

Forte Jemma

Ja i pani M

Fran, sympatyczna dwudziestodziewięciolatka, która bez powodzenia próbuje zostać aktorką, ostatecznie dostaje pracę u słynnej gwiazdy Caroline Mason. Apodyktyczna, żółowata Caroline okazuje się straszną szefową. Na szczęście obecność uroczego Carsona, sławnego hollywoodzkiego amanta i męża Caroline łagodzi sytuację. Pewnego dnia Fran widzi coś, czego zobaczyć nie powinna. To nieoczekiwanie zmienia życie samej Fran i jej chlebodawców...

Prolog

Jest w życiu raptem kilka takich dni, w których przeżywamy najważniejsze chwile; to właśnie one - w zależności od tego, w co wierzymy - albo określają, albo wypełniają nasze przeznaczenie.

Nazywam je dniami przeznaczenia. Te dni mają dwie cechy wspólne. Po pierwsze, z pozoru są całkiem zwyczajne, i dopiero po fakcie - jeśli w ogóle - uświadamiamy sobie, że je przeżyliśmy. Po drugie, nie sposób o nich zapomnieć.

Żeby mnie choć odrobinę zrozumieć, musicie wiedzieć, jak wyglądał jeden z takich moich dni.

To było w połowie lat osiemdziesiątych, miałam dziewięć lat. Była sobota jak każda inna w domu Massich. Mój brat Daniel poszedł na trening futbolu, a ja miałam w spokoju obejrzeć z mamą popołudniowy film. Za oknami światło latarni sączyło się w szary, listopadowy mrok; zaczął siąpić deszcz. Z niejaką satysfakcją pomyślałam, że w ten przenikliwy ziąb mój brat będzie biegał, dygocąc, po rozmokłym boisku. Z kuchni doszedł mnie zapach gotowanych potraw.

- Zaraz się zacznie - powiedziała mama, siadając obok mnie na kanapie.

- Co to za film, bo zapomniałam? - spytałam, sięgając po wypielegnowaną dłoń mamy i kładąc ją na swojej.

- *To wspaniałe życie*. Zwykle puszcza ją na Gwiazdkę. To historia pewnego mężczyzny, George'a Bailey. George

dowiaduje się, jak wyglądałby świat, gdyby on się nigdy nie urodził.
W skupieniu trawiłam tę informację.

Do pokoju wszedł ojciec, usiadł na swoim krześle, sięgnął po okulary zwisające na piersiach na sznureczku i zajął się krzyżówką. W owym czasie był szefem kuchni w pobliskiej włoskiej restauracji, której teraz jest właścicielem i menedżerem, a jego obecność w domu w weekend była rzadką gratką.

Rozbrzmiała uwertura, pokój wypełniły dźwięki muskanych strun.

Oparłam nogi na skórzanym pufie i z czułością zerknęłam na moje białe jazzówki, cieniusieńko prążkowane džinsy i bordowe getry.

Westchnęłam z zadowoleniem. A potem zobaczyłam Jamesa Stewarta w roli George'a Baileya i do końca filmu myślałam już tylko o nim.

Mój romans z gwiazdami srebrnego ekranu zaczął się kilka lat wcześniej, kiedy pierwszy raz zobaczyłam *Na przepustce* z Gene'em Kellym - film, w którym zaprezentowano majstersztyk sztuki krawieckiej: autentycznie odlotowy mundur - ale aż do tego dnia był to tylko romans. Tymczasem film, który właśnie obejrzałam, poruszył mnie do tego stopnia, że ta namiętność przerodziła się z miłości w coś znacznie poważniejszego.

Obudziła się moja ambicja.

Film dobiegał końca, płakałam.

George Bailey dokonał odkupienia, a ja byłam wstrząśnięta jak nigdy dotąd. Z moich wielkich, brązowych oczu po policzkach ciurkiem spływały łzy.

- Dobrze się skończył, a mnie się zrobiło tak smutno - westchnęłam, pociągając nosem.

- Wiem, kochanie, wiem - próbowała pocieszyć mnie mama, mocno tuląc do siebie. - Cieszę się, że ci się podobał.

Naprawdę się ucieszyła. Tylko że trwała w błogiej nieświadomości maszyny, którą właśnie puściła w ruch moja dziecięca głowa. Zostanę aktorką. Przyjdzie taki dzień, kiedy to ja będę wzruszać innych tak, jak Jimmy Stewart.

- Pójdę do szkoły aktorskiej - ogłosiłam po chwili.

Mama zignorowała tę wiadomość i poszła nastawić czajnik. Wierzyłam, że mnie ogarnął, wcale jednak nie żelzał, i po godzinie, przy kolacji, nadal rozmyślałam o tym samym.

- Możesz się chociaż zastanowić? Ja naprawdę chcę iść do szkoły aktorskiej. Proszę cię. Bardzo cię proszę.

Mama wywróciła oczami.

- Francesco, nie pójdziesz do szkoły, w której będziesz musiała przedwcześnie dojrzeć tylko po to, żeby potem wiecznie szukać pracy i zmarnować sobie życie. Ile razy mam to powtarzać? Aktorstwo to żaden zawód. Poza tym nie stać nas na taką szkołę.

- Kiedy ja naprawdę tego chcę - jęknęłam. Tata westchnął.

- Fran, skończ te brednie. Możesz zapomnieć o aktorstwie, nie ma mowy.

- To niesprawiedliwe - zawodziłam. - Na pewno się dostanę do takiej szkoły. Przecież wszyscy mówili, że w szkolnym przedstawieniu byłam świetna.

W wymianę zdań postanowił włączyć się Daniel, który właśnie wrócił z treningu.

- Przymknij się. Byłaś do bani. Grałaś fatalnie, tylko rodzice bali ci się powiedzieć.

- Daniel, wystarczy - powiedziała mama surowo, odkładając widelec.

Wymownie wbiłam wzrok w mamę, czekając, aż zaprzeczy doniesieniom Daniela, ale najwyraźniej nie miała nic do dodania. Byłam wściekła.

- Sam się przymknij. Wyżywasz się, bo Suzy cię rzuciła - wypaliłam.

Uderzyłam w czuły punkt. Daniel rzucił mi mordercze spojrzenie, porwał swój talerz i popędził na górę co sił w chudych nogach.

Tata wyglądał, jakby kończył mu się zapas cierpliwości, ale postanowiłam podjąć jeszcze jedną próbę.

- Tato, zrozum... Ja chcę być sławna.

- Czemu, Francesco? - spytał sfrustrowany, z wyrazem całkowitego oszołomienia na twarzy.

Czemu? Co to za pytanie? Bo nie ma nic fajniejszego na świecie.

Chciałam przemilczeć tę kwestię, ale ojciec czekał na odpowiedź. Nie da rady. Muszę to powiedzieć.

- Jak będę sławna, to będę szczęśliwa.

Mama pokręciła głową. Jej córeczka - wcale już nie taka mała - musiała się jeszcze sporo nauczyć. Wszystko, niestety, wskazywało na to, że dziecko będzie musiało przekonać się o jej racji na własnej skórze.

- Fran, jakim cudem możesz wiedzieć, czego tak naprawdę chcesz? - spytał ze znużeniem ojciec. - Nie dalej jak kilka dni temu twierdziłaś, że chcesz pisać artykuły do „Cosmopolitan”.

Poczułam, jak po całym moim ciele rozlewa się gorzkie rozczarowanie.

- Ale już nie chcę. Chcę być aktorką - wykrzyczałam.

- Wystarczy tego dobrego - ucięła matka. - Nie będę tolerować takiego zachowania. I co to za absurdalne przekonanie, że sława to sposób na szczęście...

Resztę wieczora przesiedziałam w swoim pokoju, pochlipując.

Pogrzebałam w kasetach, włączyłam magnetofon. Rozbrzmiała muzyka, sięgnęłam do szafki nocnej po swój ukochany pamiętnik, po czym przy dźwiękach ścieżki z *The Kids from Fame* zaczęłam gryzmolić słowa buntu. Jak większość dziewięciolatek zwykle popadałam w przesadę.

Nienawidzę mamy i taty. Są okroooooopni i na niczym się nie znają. Nie ma nic fajniejszego niż zostać sławną aktorką. Ja to po prostu wiem.

Dopiero wiele lat później zrozumiałam, że rodzice wcale tak bardzo się nie mylili.

Dwadzieścia lat później

1

- Cięcie! - krzyknął reżyser. - Na tym kończymy. Dziękuję wszystkim za tydzień dobrej pracy. Widzimy się w poniedziałek.

Francesca Massi - odtwórczyni głównej roli - odetchnęła z ulgą, kiedy James Carrington wreszcie się od niej od-kleił. Z nieskrywanym zapałem obściskiwał ją i tarmosił całe popołudnie - cienka warstwa jego potu pokrywała całe jej ciało. Francesca marzyła o prysznicu.

- Proszę, panno Massi - garderobiana podała szlafrok, którym Francesca z wdzięcznością się otuliła. Osiemdziesięcioosobowa ekipa zdążyła już napatrzeć się na jej niewątpliwe wdzięki, a ona czuła, że musi chronić ocalałe resztki swojej skromności. Ruszyła w stronę garderoby, ale wtem ogarnęło ją przygnębienie. Już zmierzał do niej Geoff, producent erotoman; z jego bladoniebieskich, zbyt blisko osadzonych oczu wyzierało zdecydowanie. Ramię przewiesił niedbale wokół szyi swojej najnowszej dziewczyny, Stacey. Od kilku tygodni nęka Francescę, żeby zagrała w jego najnowszym filmie, i zupełnie nie przyjmuje do wiadomości jej kompletnego braku zainteresowania.

- A, tu jesteś - wysapał. - Dobrze, że cię znalazłem, mamy ważną sprawę do omówienia...

- Znow mi wyleciał z ręki ten zardzewiały dziurkacz. Bardzo bym naciągnął twój zakres obowiązków, gdybym cię poprosił, żebyś odkurzyła? Mam całe biurko w krwistych paprochach.

Natychmiast odrywam się od klawiatury i obracam w fotelu.

- Ależ skąd, Geoff. Już lecę.

- Jak jesteś zajęta, może być potem - mówi Geoff, nonszalancko wymachując ręką, a jednocześnie beczelnie lustrując Stacey, która właśnie weszła do biura - macha do niego zalotnie i kokieteryjnie zarzuca na ramiona grzywę tlenionych blond pasemek. Stacey dobrze wie, jak działają na Geoffa jej blond włosy i długie nogi, i bezwstydnie to wykorzystuje. Mówiąc delikatnie, nie przepadam za Stacey, zresztą z całkowitą wzajemnością. Spośród grona około piętnastu osób, z którymi pracuję w Diamond PR, faktycznie przyjaźnię się tylko z Radzem.

Siedzi naprzeciwko mnie, wygląda bosko, jest superinteligentny (kiedy nie jest na haju) i ku zgrozie swojej ortodoksyjnej hinduskiej rodziny jest totalnym hipisem, farbuję włosy na wszystkie kolory tęczy i maluje paznokcie. Przy okazji jest naszym kierownikiem biura. Rankiem zabiera się do pracy z niesłychaną werwą, ale mniej więcej w porze lunchu jego zapal się ulatnia - wymyka się wtedy na balkon, żeby wypalić gigantycznego jointa. Potem nie nadaje się zupełnie do niczego, chociaż trzeba przyznać, że na haju osiąga w tetrisie całkiem niezłe wyniki.

Fakt, że przez większą część popołudnia nasz kierownik biura wyłącznie plecie bzdury i pochłania olbrzymie kebaby, jakimś cudem umyka uwadze Geoffa, ale to pewnie dlatego, że nasz szef zaszywa się beztrako na całe dni w jakimś klubie członkowskim.

Nie narzekam. Mieć szefa, który wychodzi i zostawia biuro samemu sobie, to dla mnie bomba, no i główny powód, dla którego pracuję tu już tak długo za marną pensję: ja też wpadłam w pewien nałóg, o którym Geoff nie ma bladego pojęcia. To nałóg, z którym najwyraźniej nie umiem wygrać, w którym trwam od lat i który żadną miarą nie wychodzi mi na dobre. Nałogowo biorę udział w castingach, a żeby sobie na to pozwolić, muszę mieć pracę, która pozwoli mi się urywać na pół godziny, jak mój agent znajdzie jakąś ciekawą propozycję. Odkąd się tu zatrudniłam, planuję rzucić posadę osobistej asystentki Geoffa, gdy tylko któryś z tych castingów wypali.

Geoff oddala się od mojego biurka i idzie do Stacey. Wreszcie mogę odetchnąć z ulgą i wrócić do pisania opowieści. Powierzchnia biura jest otwarta, więc raczej trudno się skupić, ale sztukę wyłączania się opanowałam do perfekcji.

- Udane spotkanie, Stace? - pyta Geoff, spozierając na rowek między jej piersiami, kiedy Stacey schyla się, żeby skitnąć pod biurkiem torby z „Top Shopu”.

- Bardzo. Dzięki, że pytasz - grucha Stacey, kopniakiem usuwając ostatnią torbę z pola widzenia. - Przepraszam, że tak długo to trwało. Straszne były opóźnienia w metrze.

- A ja mam na imię Doris - szemrze pod nosem Radż.

- Nic się nie stało, skarbie - mówi Geoff z protekcyjnym uśmiechem, idąc tyłem w stronę biurka, co jemu pewnie wydaje się szalenie seksowne, a faktycznie wzbudziłoby niepokój pracowników BHP, bowiem Geoff stanowi zagrożenie nie tylko dla siebie samego, ale i dla wszelkich nieożywionych przedmiotów na swojej drodze. Z żalem stwierdzam, że nie potykając się o nic i na nic nie wpadając, dociera do krzesła (imponujące, nie powiem) i jeszcze płynnym ruchem na nie opada, mimo że przez cały czas nie spuszcza wzroku ze Stacey, która udaje, że ten przeciągły kontakt wzrokowy jej odpowiada, chociaż i tak dobrze wiem, że jest inaczej. Nie lubię jej z wielu powodów.

Stacey to ten typ panienki, która uważa, że jedzenie herbatników albo ciasta jest odrażającym przejawem czyjejs

słabości, i skwapliwie oddałyby cały majątek, gdyby w zamian napisano o niej w magazynie „OK”. Krótko mówiąc, jest typem nielubianym przez inne kobiety. Naturalnie mężczyźni ją uwielbiają; wokół palca owinęła sobie praktycznie cały rodzaj męski. Kobiety mają ją za żonę z piekła rodem, za to mężczyźni widzą w niej istotkę o niespełnionych potrzebach. Najtrudniej przyznać mi się do tego, co najbardziej mnie w niej drażni: otóż mamy kilka cech wspólnych, które pewnie po części wyjaśniają naszą wzajemną nieufność.

Tak jak ja Stacey tylko czeka, żeby się urwać z Diamond PR, a pracę w firmie uważa za krok na drodze do upragnionego zajęcia. Tak jak ja chce grać, choć podejrzewam, że równie dobrze zadowoliliby ją zapowiadanie programów, śpiewanie albo czytanie wiadomości, i że gdyby tylko mogła zostać dzięki temu sławna, natychmiast zrzuciłaby ubranie i biegła na golasa po Trafalgar Square z bananem wetkniętym w tyłek. Gwoździem do trumny jej osobowości jest to, że odwzajemnia zaloty Geoffa; te umizgi są nieznośne, a wszyscy musimy codziennie je oglądać, bo pracujemy przecież w open spejsie.

Moje palce dosłownie fruwały po klawiaturze.

Choć na myśl o rozmowie z Geoffem po tak ciężkim dniu pannę Massi ogarniało rozdrażnienie, to jednak nie mogła stłumić chichotu. Dzisiaj Geoff przeszedł samego siebie - włożył nieprawdopodobnie ohydny, szary, skórzany marynarkę. Francesca wiedziała, że kiedy tak niespiesznie idzie w jej stronę, wydaje mu się, że wygląda świetnie. Tymczasem przypomina! raczej członka Bee Gees, chociaż Stacey na pewno mu o tym nie wspomni. Niech robi z siebie idiotę, byleby tylko łoży! na jej wyjątkowo drogi styl życia...

- Wiesz co, Fran - mówi Geoff, odchrząknawszy. - Jeśli to nie problem, to może od razu odkurz i zdaj mi raport, to zabiorę Stacey na lunch.

Zobaczymy, czy złowiła na spotkaniach jakichś nowych klientów.

- Jasne - odpowiadam, powstrzymując śmiech na widok zmarkotniałej twarzy Stacey.

Jak to dobrze, że to ona jest obiektem zalotów Geoffa, a nie ja. Ten facet ma w sobie coś odrażającego, a przy tym jest przekonany, że kobiety powinny uważać go za dar niebios. Od razu sklasyfikowałam go jako gościa, który, usiłując zaciągnąć kobietę do łóżka, odgrywa Luthera Vandrossa.

Zapisuję opowiadanie i minimalizuję plik, biorę podręczny odkurzacz i idę do biurka Geoffa. Schylam się, żeby odkurzyć podłogę wokół jego wielkich stóp, które dziś wcisnął w parszywe, świecące mokasyny z frędzlami. Pewnie mają logo jakiegoś znanego projektanta i kosztowały fortunę, ale jeśli o mnie chodzi, wyglądają jak obuwie taksówkarza i w żadnym razie nie pasują do dżinsów. Geoff ma zdumiewające wyczucie stylu - mówię to z ogromnym przekąsem.

Uporawszy się z zadaniem, które nijak ma się do zakresu moich obowiązków, wstaję, żeby przekazać szefowi skrót najważniejszych wiadomości z Diamond PR.

- No, dobra - zaczynam. - Po pierwsze, pamiętasz ten damski zespół, z którym widziałeś się w zeszłym tygodniu?

-No?

- Babki zdecydowały się na jakąś inną firmę.

- Szlag - stęka Geoff i bezskutecznie usiłuje przełamać ołówek na pół.

- Z lepszych wieści - dzwoniła Shanice z „Wielkiego Brata” - dodaję szybko.

Mina Geoffa sugeruje, że nie ma o niczym pojęcia, więc wprowadzam go w temat.

- Fakt, że nie jest to wymarzona klientka. Zeszłego lata występowała w „Wielkim Bracie”, ale rzuciła się z pazurami na współlokatora, więc ją wylali. Chce się z tobą spotkać i porozmawiać o zmianie wizerunku. Jej główny cel jest jasny jak słońce. Marzy o karierze modelki.

Geoff wstaje, podchodzi do kanapy w rogu i rozwala się na niej jak panisko.

- Kurczę, wiem, do czego zmierzasz: gdybyśmy mieli przekonać do niej opinię publiczną, to nie starczy nam czasu na inną robotę. Ale z tego, co pamiętam, na pewno jest warta spotkania - mówi z egzaltacją, wykonując przy tym nieprzyzwoite gesty. - Umów ją.

- Oczywiście - odpowiadam.

Dopiero teraz spostrzegam, że Stacey, która nasłuchuje znad swojego biurka, dostała purpurowych wypieków.

- Świnia jesteś - bełkocze Stacey łzawie. - Dobrze wiesz, że uwielbiam „Wielkiego Brata” i mam bzika na punkcie Shanice. Mnie trzeba było to przekazać. Ty nawet nie oglądasz „Wielkiego Brata”.

Wpatruję się w nią, kompletnie osłupiona. Co za kretyńka.

- Kochanie - odzywa się po chwili Geoff, nadal rozwalony na kanapie, z jedną nogą wyciągniętą prosto, a drugą zgiętą w kolanie - wygląda jak starzejący się model z siódmej strony magazynu. - Skoro to dla ciebie tyle znaczy, to może faktycznie się tym zajmij. Fran na pewno nie będzie miała nic przeciwko.

- Dzięki, Geoff, jesteś aniołem - wdzięczy się Stacey ze sztucznym uśmiechem. - Zresztą to i tak należy do moich obowiązków. W końcu to ja odpowiadam za kontakty z klientami. Fran jest tylko twoją asystentką. Liczę w myślach do dziesięciu.

- Wracając do tematu - podejmuję wątek - zanotowałam kilka pomysłów na to spotkanie i przygotowałam artykuł prasowy, żeby Shanice zorientowała się, co możemy zrobić.

Stacey przeszywa mnie wzrokiem i podbiega do mojego biurka.

- Przejmuję Shanice i zabieram materiały. A tak na przyszłość - wbrew temu, co ci się wydaje, nie tylko ty w tej firmie umiesz pisać.

Czekam, aż Geoff zbeszta Stacey za ten popis chamstwa, ale on milczy.

Wpatruje się w nią pożądliwie, jakby nie zachowała się jak świnia, tylko jak głupia gęś. Sama już nie

wiem, na kogo jestem bardziej zła, i łapię się na tym, że patrzę na Geoffa spode łba. Kiedy on to wreszcie spostrzeża, ma w sobie przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby normalnie usiąść zamiast trwać w pozie dziewczyny z rozkładówki. Po chwili jednak szczęście się ode mnie odwraca.

- Co to, kurwa, jest? - wykrzykuje Stacey tak piskliwym głosem, że wszyscy wokół podnoszą głowy znad biurka. Przez obrotowe drzwi w mojej głowie przelatuje potworna myśl i natychmiast robi mi się słabo. O, nie, o, nie, o, nie. To niemożliwe. A jednak.

- Geoff Harding to facet o rozdętym ego i skromniutkim intelekcie - czyta Stacey na tyle głośno, że słyhać ją w całym biurze. - Wyrobił sobie co prawda nazwisko, grając w filmach akcji w latach osiemdziesiątych, ale to za mało, żeby puścić mu płazem późniejsze klapy i fatalną garderobę...

Stacey czyta jeszcze kilka zdań pod nosem, prędkość, z jaką omiata wzrokiem całą stronę, z pewnością liczy się w węzłach.

- Czeka, czeka - mówi, przechodząc z radosnego oburzenia w ślepią furję. - „...Flądra imieniem Stacey, z którą Geoff się prowadzi, mogłaby służyć za ilustrację wszystkich frazesów na temat panów w pewnym wieku i ich braku rozeznania w tym, czy panienka leci na ich kasę czy osobowość. Trzeba oddać Stacey, że jest mocno zdeterminowana - w końcu romansuje z gościem, który wbija się w bardziej obcisłe dzinsy niż ona sama...”.

- Fran, co to jest, do cholery? - pyta zbaraniały Geoff.

- Nic takiego, Geoff. Naprawdę, zupełnie nic, pisałam to ot tak, dla zabawy - tłumaczę, usiłując ruszyć się z miejsca, w którym najwyraźniej na chwilę skamieniałam, i podejść do swojego komputera. - Przestań, Stacey. To prywatne zapiski.

Stacey patrzy na mnie wzrokiem, który mrozi mi krew w żyłach, a ja czuję, że oto nadeszła ta chwila, kiedy po raz

pierwszy w życiu będę musiała odeprzeć fizyczną agresję. Stacey rzuca się na mnie i kolejne pięć minut mija mi w plątaninie ramion, paznokci i włosów. Wokół nas zbiera się tłumek i w pewnej chwili słyszę nawet, że Hazel z księgowości krzyczy „dołóż jej, Fran!”, o co zupełnie bym jej nie podejrzewała, więc tym bardziej to doceniam.

Trudno tę żalostną szarpaninę uznać za bójkę czy walkę, choć w którymś momencie Stacey zadrapała mnie aż do krwi. Wstyd się przyznać, ale w odruchu desperacji odpłaciłam jej pokrzywką i dopiero wtedy odskoczyła ode mnie, mamrocząc przekleństwa.

Koniec przedstawienia, wszyscy wracają na swoje miejsca, lekko zawiedzeni, że nie turlaliśmy się po podłodze z zadartymi kieckami i że nie musiał nas rozdzielać rozwścieczony Geoff. Faktycznie jest wściekły, co zresztą zupełnie mnie nie dziwi; informuje mnie, że podczas lunchu razem ze Stacey zastanowią się, co ze mną zrobić. Nie muszę chyba dodawać, że tryskam radością, dowiedziawszy się o jej udziale w procesie decyzyjnym.

Oboje wychodzą z biura oburzeni, Stacey teatralnym gestem uciska nadgarstek, chociaż nic jej przecież nie dolega.

Odwracam się i widzę piętnaścioro par wpatrzonych we mnie oczu. Wtem uświadamiam sobie, że wyciągnąć mnie z tego mógłby tylko świetny PR-owiec, więc tutaj nie mam czego szukać. Na gwałt potrzebne mi przyjacielskie wsparcie, więc zwracam się ku osłupiałemu Radzowi, ale on bynajmniej mi nie pomaga.

- Coś ty sobie myślała, Fran? Po coś to zostawiła na pulpicie? - pyta.

- Daruj sobie. Przecież wiem, że zachowałam się jak głupia cipa. Myślisz, że mnie wyleją?

- Nie wiem. Szlag, mam nadzieję, że nie - mówi Radź, wzruszając lekko ramionami.

Tę niepewność biorę za zły znak.

- Chrzanić to - mówię, czując, jak wzbiera we mnie panika. - Jestem już koszmarnie spóźniona na lunch z Carrie Anne, muszę lecieć, pogadamy później.

- Na razie - odpowiada Radź, wychodząc na balkon, gdzie jak nic wyjara potężnego jointa, żeby się odstresować.

2

Pędzę przez Soho, zastanawiam się, co ze mną będzie, i chlastam się psychicznie. Jak mogłam być tak głupia? Może niespecjalnie przepadam za tą pracą, ale jest mi, do ciężkiej cholery, potrzebna, a do tego zżerają mnie wyrzuty sumienia, bo w sumie mogłam urazić Geoffa, a tego akurat nie chciałam. Wyobrażam sobie minę Abbie - mojej najlepszej przyjaciółki i współlokatorki - kiedy oznajmiam jej, że przez jakiś czas mogę mieć problem z czyszczeniem. To mina kogoś wkurwionego.

Przystaję na rogu Wardour i Old Compton, wypatruję okazji, żeby przejść na drugą stronę ulicy, i niewiele brakuje, żeby pędząca po kałużach ciężarówka obryzgała mnie od stóp do głów. Jest koniec lutego, pogoda koszmarna - jak zresztą i mój nastrój - wreszcie, w dość ryzykownej chwili, przebiegam przez jezdnię i nagle uświadamiam sobie, że na wieczór jestem umówiona z Harrym, moim chłopakiem. Szlag, będę musiała mu opowiedzieć, co się stało, a nie mam żadnych złudzeń, że nie okaże mi cienia litości. Zamiast wczuć się w rolę pocieszyciela, jak nic uzna moją najświeższą tragedię za doskonałą okazję, żeby łać po nogach ze śmiechu. Jakby mało miał tych okazji - wyzłośliwiam się w myślach. Resztę drogi pokonuję zwawym sprintem i kiedy wreszcie docieram do „Bruno's Cafe”, poirytowana Carrie Anne siedzi już przy naszym stoliku.

- Gdzieś ty była, skarbie? - pyta. - Zostało mi tylko dwadzieścia minut, muszę wracać na spotkanie.

- Wiem, wiem, bardzo cię przepraszam. Miałam fatalny poranek - wyjaśniam, dysząc i zdejmując płaszcz.

- Siadaj i opowiadaj. Nie widziałyśmy się całe wieki.

Poznałam Carrie Anne dziesięć lat temu na planie filmowym -brzmi to szumnie, w rzeczywistości wcale tak nie było. Do szkoły aktorskiej oczywiście nie poszłam i w wieku osiemnastu lat postanowiłam zatrudnić się na planie jako dziewczyna na posyłki. Uznałam, że dzięki temu poznam od środka ten świat, którego tak bardzo chciałam być częścią. Fakt, sporo się dowiedziałam, na przykład z czym pija kawę i herbatę osiemdziesięcioro członków ekipy i jak podłe ma się samopoczucie, kiedy zaczyna się pracę przed szóstą rano. Poza tym sprawdziłam na własnej skórze, że przeżyć za sto funtów tygodniowo nie jest łatwo i że jeśli codziennie przez dziesięć tygodni jada się na śniadanie gorący posiłek, to przybiera się na wadze. Z bardziej istotnych spraw przekonałam się, że wbrew temu, co twierdzą niektórzy, praca na planie w żadnym razie nie jest nudna i że ją uwielbiam, choć bezwzględna hierarchia w ekipie dawała mi się we znaki - zajmowałam w końcu najniższy szczebel. Szczyt zarezerwowano dla aktorek - to one były arystokracją, a ich życzenia - rozkazami. Chociaż nie, arystokraci tracą przecież mnóstwo czasu na zajęcia, których zapewne chcieliby uniknąć - na przykład wypełnianie nudnych funkcji czy rozmowy z politykami - a aktorzy nie.

Carrie Anne była trzecią asystentką reżysera, a w chwili, kiedy zobaczyłam tę zmysłową, rudowłosą kobietę, kiedy usłyszałam, jak mówi z werwą, tubalnie się śmieje, a sprośne komentarze ekipy kwituje jeszcze bardziej dosadnymi uwagami, wiedziałam, że od razu się polubimy i zostaniemy przyjaciółkami.

Praca nad filmem dobiegła końca i o ile mnie bez reszty pochłonęły marzenia o aktorstwie, o tyle Carrie Anne wiedziała, że chce zostać przy tym, co robi. Dziś jest kierownikiem produkcji największego studia w Wielkiej Brytanii -Great British Films - a kontrast między przebiegiem naszych karier jest niezbitym dowodem na to, że jej wybór był rozsądniejszy. Ona pracuje na pełen etat, jest rozchwytywana i świetnie zarabia, a ja przez całe lata zahaczałam się to tu, to tam, przebrnęłam przez deprymujący proces poszukiwania agenta i biegałam na castingi, i choć przytrafiały mi się dorywcze role (z naciskiem na dorywcze), to moje skromne sukcesy tylko nieznacznie osłodziły gorycz odrzucenia, której zaznałam znacznie więcej.

- Dziękuję, skarbie - Carrie Anne zwraca się do Brunona, który podaje nam do stolika dwie porcje panini z mozzarellą i pomidorem. - No, dobra, Fran. Skrót wiadomości. Jakies ciekawe castingi? Jak z Harrym?

- No więc tak, casting miałam ostatnio tylko jeden i to do reklamówki pod pasek, co właściwie wyczerpuje temat, a z Harrym w porządku. Ale mam też bardziej przełomowe wieści - otóż mój nawyk zabijania czasu pisaniną najprawdopodobniej właśnie przypłaciłam utratą pracy - ogłaszam poranne wieści.

Wysłuchawszy szczegółów, Carrie Anne wpatruje się we mnie z opadłą szczęką.

- Wybacz, Fran, ale jak mogłaś być tak głupia? Czemu przynajmniej nie zmieniłaś imion?

Nie umiem odpowiedzieć. Palę się ze wstydu i dopiero teraz dociera do mnie, jaką byłam kretynką. Carrie Anne w lot pojmuje mój stan i zmienia ton na współczujący.

- No, dobra, słuchaj, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Lepiej zastanówmy się, co zrobić.

Wzdycham.

- Szczerze mówiąc, to nawet jeśli Geoff mnie nie wyleje -co jest raczej mało prawdopodobne, skoro właśnie w tej chwili mój największy wróg wypłakuje mu się w mankiet - i tak nie mogłabym tam zostać. To po prostu koszmarny obciach. -Przerywam, żeby ugryźć kanapkę. - Poza tym dużo ostatnio myślałam i doszłam do wniosku, że w wieku dwudziestu dziewięciu lat warto spojrzeć faktom w oczy.

- To znaczy? - pyta spokojnie Carrie Anne. Przywykła do tego, że łatwo się unoszę.

- Niełatwo przechodzi mi to przez gardło, ale zaczynam wątpić, że zostanę aktorką. Włożyłam w to tyle energii, ale to cholernie trudne, a do tego na rynku jest koszmarna konkurencja - tłumaczę, przeżuując. - Nie pamiętam, kiedy byłam na jakimś sensownym castingu i chyba dociera do mnie, że jeśli naprawdę chcę grać, to zostaje mi tylko darmowy etat w jakimś prowincjonalnym teatrze. Na to, oczywiście, mnie nie stać, więc marnuję swój czas w Diamond PR, a co gorsza - tłumaczę dalej i dopiero teraz się rozkręcam - wszyscy ci reżyserzy castingów, którzy wydawali się choć trochę mną zainteresowani, po nakręceniu reklamy natychmiast zapadali się pod ziemię. W sumie, jak teraz się nad tym zastanawiam, to pewnie nawet w prowincjonalnym teatrze by mnie nie chcieli. - Ta ostatnia myśl utwierdza mnie w poczuciu klęski.

Carrie Anne - chociaż bardzo stara się tego nie zrobić -wydaje z siebie serdeczny chichot, przy czym niemal się krztusi kawałkiem mozzarelli.

- Przepraszam cię, kochanie, ale nie mogłam wytrzymać. Niedawno wreszcie zobaczyłam twoją reklamówkę i prawie narobiłam w majtki - odrzuca głowę do tyłu i zaśmiewa się na samo wspomnienie.

Carrie Anne dobrze wie, że lubię robić z siebie jaja, a do tego nigdy nie przebieram w słowach. Tylko że dziś nie bardzo jestem w nastroju.

- Byłaś przezabawna - mówi, ocierając łzy.

Uśmiecham- się ponuro i wzdycham. Nie potrafię się w sobie zebrać i tłumaczyć ludziom, że wcale nie miałam być śmieszna. Oto w czym rzecz. Jakiś czas temu wystąpiłam w reklamówce firmy oferującej ubezpieczenia samochodowe dla kobiet *Damski Asekurator*. Kiedy dowiedziałam się, że wygrałam casting, byłam niedorzecznie wręcz rozradowana. Już samo przesłuchanie podreperowało moje nadwątlone ego, a kiedy usłyszałam, że za jeden dzień pracy dostanę dwa tysiące funtów, moja radość nie miała granic. Ucieszyli się wszyscy moi krewni i przyjaciele - pewnie mieli nadzieję, że przynajmniej przez jakiś czas przestanę im truć. Nawet Geoff był zadowolony, to znaczy zanim go tknęło, kiedy to ja znalazłam czas na casting...

Oczywiście znalazł się ktoś, kto nie cieszył się wcale - była to Stacey.

Nieudolnie próbowała tuszować zazdrość i oburzenie, że wybrano właśnie mnie, co w owym czasie stanowiło dla mnie niejaki bonus, a kiedy przysłali faksem do firmy listę płac, z moim nazwiskiem na samej górze w rubryce „artyści”, wydawało mi się, że szczęście wreszcie się do mnie uśmiechnęło... No, ale potem nakręciłam tę reklamówkę.

Ubrali mnie jak dziewczynę gangstera - w końcu firma nazywa się *Damski Asekurator*. Mam raczej pełne kształty, choć jestem szczupła - noszę rozmiar 12 - więc w obcisłej spódniczce, dopasowanym żakieciku, kabaretkach i rękawiczkach wyglądałam całkiem ponętnie. Do czasu, aż zabrała się za mnie wizażystka, która stwierdziła, że moje długie, kręcone, ciemne włosy nijak nie dają się ułożyć, więc po półgodzinie wicherzenia mi szopy dała sobie spokój, upchnęła włosy w beret, po czym naszarpała się jeszcze, żeby go zawadiacko przekrzywić. Reżyserowi powiedziała, że to taki styl a la Bonnie i Clyde, na co on odparł, że „jemu przypominam raczej Franka Spencera, ale nic już nie poradzimy”.

Moją całkowitą, wieczystą utratę godności przypieczętowałam, śpiewając do kamery chwytliwy dżingiel. Rekla-

mówka była źle nagrana i tandetna jak diabli, a oświetlenie spaprane, więc kiedy zaczęli ją nadawać, przyszło mi na myśl, że zamiast pomóc mi w karierze, może ją na zawsze zaprzepaścić.

Możliwe, że ze wszystkich wymienionych powodów ten kiczowaty filmik zwrócił uwagę widzów i wkrótce stał się jedną z tych reklam, które ludzie uwielbiają właśnie dlatego, że są całkiem do bani. A, właśnie - mój agent zadzwonił do mnie przed kilkoma dniami, mówiąc, że latem znów będą ją nadawać, ale nie dostanę tantiem, bo sknocił kontrakt...

Patrząc na to z optymistycznej strony, wreszcie mogę powiedzieć, że tak jak mój idol, Jimmy Stewart, poruszyłam kogoś do łez. Drobną różnicą polega na tym, że do łez -i to łez wstydu - doprowadziłam wyłącznie samą siebie. Jeśli chodzi o innych widzów, to pewnie zalewali się łzami uciechy. I oto w chwili, kiedy moje stałe zatrudnienie zawisło na włosku, a kariera aktorska utknęła w dość zawstydzającym punkcie, niemal czuję, jak czas ucieka i że zmienić tę sytuację mogę tylko ja.

- Danrsobie spokój z graniem - ogłaszam, niejako na próbę, po cichu licząc na to, że Carrie Anne będzie mnie od tego pomysłu odwodzić. Z bolesnym rozczarowaniem stwierdzam, że na jej twarzy maluje się nie żal, ale wyraz rozradowanej ulgi.

- Doskonale, kochanie. Wybacz szczerze, ale zawsze sądziłam, że lepiej wyszłabyś na pisaniu niż na aktorstwie. Dobrze, że się wreszcie zdecydowałaś.

- Ze co? - pytam z wyrazem twarzy, który w pełni odzwierciedla moje skołowanie.

Carrie Anne puszcza do mnie oko.

- Pytasz o pisanie? Skoro rzucasz aktorstwo, które, powiedzmy sobie szczerze, jest koszmarnym zawodem, chyba że należysz do wąskiej elity, to pewnie po to, żeby spróbować sił w pisaniu. Akurat do tego masz prawdziwy talent.

- Carrie Anne - mówię z niezadowoleniem - nie zamienię jednego absurdalnego marzenia na drugie. Odkąd pamiętam, uwielbiam pisać i to się z pewnością nie zmieni, ale to tylko hobby, a już na pewno nie coś, na podstawie czego ludzie mieliby mnie oceniać. - Biorę głęboki wdech. To był ciężki dzień, a przyjaciółka tylko stara się mi pomóc. - Po latach porażek przyszedł czas, żebym dała sobie spokój. Wszystko wskazuje na to, że już nie jestem asystentką Geoffa, więc najbardziej przydałaby mi się względnie ciekawa praca, w której wreszcie mogłabym się wykazać. Nie macie czegoś w Great British Films? Wiem, że taka robota to nie pewnego, ale z mojego aktorstwa nici, a ja nie umiem sobie wyobrazić pracy w innej branży i zrobię absolutnie wszystko, byle tylko iść do przodu.

Carrie Anne wpatruje się we mnie wielkimi, zielonymi oczami i uśmiecha się z czułością.

- No, mam nadzieję, że nie wszystko! Rozejrzę się, ale zrozum, że możesz zmarnować swój największy dar. Nawet nie dałaś szansy swojemu pisaniu. Jeśli są u nas jakieś wakaty, to chyba tylko przy nudnej, biurowej robocie.

- Na pewno nie nudniejszej od tego, co robię od ostatnich kilku lat. Poza tym marzy mi się praca, która w jakikolwiek sposób wiązałaby się z filmem - tłumaczę, usiłując pohamować drżenie głosu.

Carrie Anne ściska mi rękę i próbuje zebrać myśli.

- Muszę lecieć, kotku, ale możesz mi wierzyć - świat filmu naprawdę nie jest taki wspaniały. Jasne, zdarzają się wyjątkowe chwile, ale chociaż przez całe lata wypruwałam z siebie flaki, to nadal zasuwałam do późna i marnuję mnóstwo czasu na pracę z ludźmi, którzy mają o sobie zbyt wysokie mniemanie.

- Na przykład? - pytam, powodowana nagłą ciekawością. Uwielbiam opowieści Carrie Anne i choć ona sama twierdzi, że zwykle nie ma do powiedzenia nic ciekawego, to zupełnie się z nią nie zgadzam.

- Dajmy spokój, bo przesiedzimy tu do północy - ucina oschle. - Muszę lecieć. Ucałuj ode mnie swojego cudownego chłopca.

- Jasne - zapewniam ją, smutniejąc na myśl, że nasz krótki lunch właśnie dobiegł końca, a ja paplałam tylko o sobie. - Widzimy się wieczorem, będę pamiętać.

- Widzisz - mówi Carrie Anne, zapinając płaszcz - to kolejny minus mojej pracy. Zero czasu na życie prywatne. Pewnie skończę jako stara panna. A jednak mówiąc to, Carrie Anne się uśmiecha, i obie wiemy, że choćby się zaklinała, że jest inaczej, to uwielbia swoją pracę i nie zamieniłaby jej na żadną inną. Wstaję, żeby ją przytulić.

- Przepraszam, że się spóźniłam i że gadałyśmy tylko o mnie. Wiem, że wcale nie jest tak źle. Masz rację, przynajmniej z Harrym mi się układa, to duży plus - mówię, rozluźniając uścisk i patrząc jej w oczy. - Ale pamiętaj o mnie. Mówię serio, zrobię wszystko.

Carrie Anne wraca do pracy, a ja siedzę, wpatrując się w resztki lunchu. Zamawiam cappuccino, byle tylko odwlec powrót do biura, z którego, jak podejrzewam, zostanę bezceremonialnie wylana.

3

Przedemną ostatni tydzień pewnej, płatnej pracy. Namiastka nadziei, że nie zostanę zwolniona, ulotniła się w chwili, gdy o wpół do szóstej chwiejnym krokiem weszła do biura Stacey z Geoffem. Zwycięski błysk w jej oku powiedział mi wszystko.

- Rzecz w tym, Francesco, że chętnie puściłbym wszystko w niepamięć, bo pod wieloma względami jesteś cholernie dobrą asystentką - mówi Geoff z dziwnym wyrazem twarzy,

ma wypieki od wypitego podczas lunchu alkoholu - ale najzwyczajniej w świecie nie mogę tolerować przemocy wobec innych pracowników. Oczywiście w tej chwili Stacey szybciotko łapie się za nadgarstek. Już mam zauważyć, że ona sama ma pewnie pod swoimi akryłowymi szponami całe płatki mojej skóry, ale gryzę się w język. Dobrze wiem, że przegrałam.

- To nie wszystko - ciągnie Geoff. - Jak słusznie zauważyła Stacey, PR-owcy muszą być dyskretni. Nie mogę zatrudniać kogoś, kto kpi z ludzi za ich plecami. Dla naszych klientów zaufanie to podstawa. Stacey szczerzy się w moją stronę, nawet nie próbuje maskować dzikiej przyjemności, jaką czerpie z mojej porażki. Wychodzę z pracy i idę w stronę Leicester Square. Schodzę do metra, żeby dojechać do Harry'ego. Jestem koszmarnie zawiedziona, zestresowana i spięta.

Tkwiąc beczynnie w metrze, co wcale nie poprawia mi humoru. Jest tłoczno i straszliwie duszno, przez całą drogę stoję, pocę się w grubym płaszczu i zastanawiam, co mam począć z własnym życiem. Zmuszam się do pozytywnego myślenia. A może właśnie potrzebowałam spaść na dno? Może wreszcie skupię się na tym, co mogę osiągnąć, a nie na tym, co niemożliwe. Tyle przecież potrafię, muszę się tylko przyłożyć. Żeby tak jeszcze wiedziała, co to „tyle” dokładnie oznacza. Raptem, ku konsternacji mężczyzny, w którego pachę jestem wgnieciona, czuję, że nie dam rady dłużej być dzielna, i wybucham płaczem.

W pobliżu mieszkania Harry'ego w Hammersmith ze zdumieniem stwierdzam, że jest mi znacznie lepiej. Łzy bywają zbawienne, a ponieważ przeplakałam całą drogę do Hammersmith Grave, czuję, że zelżały napięcie i stres.

Wciskam dzwonek i podejmuję mocne postanowienie. Nie ma co zarażać Harry'ego smętnym nastrojem. Trzeba

pójść za radą Carrie Anne i skupić się na tym, co mi się w życiu układa. Zamiast urządzić łzawy wieczór, postanawiam zaprosić Harry'ego na uroczą kolacyjkę, na którą właściwie mnie nie stać, bo przecież właśnie wylali mnie z pracy. Przęłykam ślinę i raz jeszcze wciskam dzwonek. Za nic nie zmarnuję dzisiejszego wieczoru. Chcę przyjemnie spędzić czas.

- Cześć! - mówię radośnie, kiedy Harry wreszcie otwiera drzwi. - Mam nadzieję, że jesteś głodny. Po kiepskim dniu trzeba dokądś pójść i utopić smutki.

- Masz czerwone, spuchnięte oczy - padają pełne współczucia słowa powitania.

Moja dolna warga zaczyna niebezpiecznie drżeć, po policzku spływa samotna łza. Jestem na krawędzi.

- Kurczę, Harry, wylali mnie z pracy, a ja nie mam pojęcia, co dalej. Harry wygląda jak sparaliżowany. Tak bardzo potrzebuję, żeby mnie przytulił, ale on tego nie robi. Przeciskam się obok niego, żeby przynajmniej odegrać tę żalosalną scenę za zamkniętymi drzwiami. Stoję w korytarzu, płacząc, a Harry rozgląda się wokół, jakby szukał przyjaznej duszy, która doradzi mu, jak najlepiej się zachować.

- Cholera, Fran. Nie wiem, co powiedzieć - tylko tyle przychodzi mu do głowy.

Robię, co mogę, żeby wziąć się w kupe, bo doskonale wiem, że ta fala emocji zupełnie go obezwładnia.

- No, dobra - mówię wreszcie, usiłując odzyskać wesoły ton - nic nie mów, idziemy na kolację. Tylko się przebierz, żeby nas nie posadzili w śmietniku.

Harry pracuje dla niewielkiej firmy nagraniowej i zupełnie nie przejmuje się tym, w czym chodzi do pracy. Dziś jednak niebezpiecznie balansuje na krawędzi stylu nonszalanckiego luzaka (który jak najbardziej mi odpowiada) i zapuszczonego niechlujka. Ma na sobie wymiętoszoną koszulkę, którą trzeba pilnie wrzucić do pralki i wygotować,

z dziurawej skarpety wystaje wielki paluch, zarost ma co najmniej czterodniowy. Na szczęście abnegacja Harry'ego nie tłumi jego naturalnej atrakcyjności. A może to atrakcyjność wynika z abnegacji, sama nie wiem.

- Strasznie mi przykro z powodu pracy - mówi Harry, sprawiając przy tym wrażenie, jakby za wszelką cenę postanowił ignorować sugestie wyjścia z domu, niczym pacjent ze zdiagnozowaną ciężką agorafobią. - Co się stało?

- Stacey - odpowiadam. Nie czuję się na siłach wprowadzać go w szczegóły. - To jak, idziemy czy nie? - pytam zniecierpliwiona, a przy okazji nagle sobie uświadamiam, że na obcasach niemal dorównuję mu wzrostem. Wcale nie jestem taka wysoka, to on jest raczej niski.

- Chyba nie... Zjadłem duży lunch - pada raczej obojętna odpowiedź Harry'ego.

Wreszcie dociera do mnie, że Harry zachowuje się dziwnie i że nadal stoimy w korytarzu.

- Wszystko w porządku? - pytam go.

- Tak - mamrocze pod nosem, kierując się w stronę kuchni.

Idę za nim, czując, jak ogarnia mnie rozdrażnienie. Straciłam pracę, przebijałam się do niego przez miasto w godzinach szczytu, a teraz to ja go pytam, czy wszystko w porządku. Wzdycham.

- Herbaty? - pyta Harry, włączając czajnik.

- Miałam nadzieję, że zaproponujesz wino, ale niech będzie herbata.

Mógłbyś mnie też przytulić.

Zero reakcji.

- Gdzie Wayne? - pytam.

Wayne to współlokator Harry'ego, świetny facet. Widok jego uciesznej twarzy dobrze by mi teraz zrobił. Przynajmniej porcja jego cierpkiego humoru rozrzedziłaby atmosferę.

Harry nie patrzy mi w oczy.

- Wyszedł na trochę. Prosiłem go.

Nagle ogarnia mnie strach, a intuicja szepcze mi coś, czego wcale nie chcę słuchać. Postanawiam zignorować to ostatnie zdanie i uznać, że Harry jest w złym humorze z jakiegoś banalnego powodu, którego na razie się nie domyślam. Spotykamy się od pół roku, poznaliśmy się przez wspólnych znajomych. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie jesteśmy zakochani po uszy, ale dobrze nam razem. Dużo się śmiejemy, lubimy podobnie spędzać czas, a do tego Harry mnie kręci. Jest na luzie, więc zwykle bez problemu znajduje z ludźmi wspólny język. Nie napinamy się w swoim towarzystwie. Przynajmniej do tej pory tak było. Dziś Harry jest równie zrelaksowany, jak ktoś, kto właśnie przebiegł maraton londyński w klapkach.

Stoimy w ciszy, czekając, aż woda się zagotuje.

Ta niezręczna sytuacja sporo mnie kosztuje. Chcę, żeby wszystko wróciło do normy. Próbuję przytulić się i go pocałować, ale on tylko cmoka mnie w policzek, jak całuje się kogoś, kto ma opryszczkę, a to potwierdza moje najgorsze obawy. Robi mi się niedobrze.

- No, dobra, to ci poprawi humor: zgadnij, czego się dowiedziałam? - mówię, jak kabareciarz, który ma fatalny wieczór. - Latem będą znów nadawać moją reklamówkę.

Harry patrzy na mnie obojętnym wzrokiem, wzrusza ramionami i wydaje z siebie dziwny dźwięk. Coś między słabym chichotem a piskiem.

Niech go szlag. Co ja najlepszego wyprawiam? Po takim dniu to nie ja powinnam go pocieszać. Zabieram się do robienia herbaty - tłukę kubkami, przrzucam sztućce w szufladzie, otwieram wszystkie szafki w poszukiwaniu cukru. Chlustam mleko, sypię cukier, po czym wkładam cukier do lodówki, a mleko wstawiam do szafki.

- Bałaganisz. Może ja to zrobię? - proponuje Harry.

- Nie trzeba, umiem zaparzyć herbatę - odpowiadam, mieszając jak wściekła. Najpewniej obawiając się, że zaraz wydłubię łyżeczką dziurę w jego ulubionym kubku z logo

drużyny piłkarskiej Chelsea, Harry wreszcie postanawia poinformować mnie, co mu jest.

- Posłuchaj mnie, Fran.

Sięga po kubki, wstawia je do zlewu, delikatnie ujmując mnie za ramię i prowadzi do pokoju, gdzie sadza mnie na kanapie i wygłasza nieuchronnie w takiej chwili frazesy.

- Musimy porozmawiać.

Szlag. Szlag. Szlag. Szlag. Tylko nie to. Nie dzisiaj.

Harry siada na krześle w przeciwnym kącie pokoju. Myślę sobie, że nie dałoby się wtłoczyć między nas więcej przestrzeni, chyba że wystawiłby krzesło do ogródka. Już mam wypowiedzieć tę myśl na głos, ale odzyskuję zdolność logicznego myślenia. Czas, żeby Harry wypowiedział swoją kwestię.

- Widzisz, chodzi o to... Jesteś super i wiem, że wybrałem trochę nieodpowiedni moment...

- Trochę? - pytam z sarkazmem.

Mowa ciała Harry'ego w pełni oddaje jego zakłopotanie. Tymczasem ja nie zamierzam mu niczego ułatwiać. Czekam na „ale”.

- Ale chyba powinniśmy się rozstać.

To zdanie wystrzela mu z ust z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Harry cieszy się, że ma to wreszcie za sobą i podnosi wzrok, żeby na mnie spojrzeć. Z rozczarowaniem stwierdzam, że na jego twarzy maluje się widoczna ulga.

O, kurwa. Kurwa, kurwa, kurwa.

Od początku nie brałam Harry'ego za tego jednego, jedyne, ale i tak było mi z nim dobrze, no i byłam przekonana, że sporo jeszcze przed nami. Najwidoczniej on tego przekonania nie podzielał. Dlaczego?

- Jesteś naprawdę wspaniałą dziewczyną. Zabawną i piękną, ale...

Aha, znów to słowo. „Ale”. Słowo, które mówi mi, że jestem nie dość piękna. Coś przychodzi mi nagle na myśl, więc wchodzę mu w słowo.

- Masz kogoś? - naprawdę chciałam zadać to pytanie bardziej pewnym głosem. Ze zgrozą uzmysławiam sobie, że za chwilę znów się rozpłaczę.
- Nie. Nie, słoneczko. Nie mam nikogo. To chyba taki czas w moim życiu, kiedy muszę być sam. Nie jestem gotowy na poważny związek.

Odzyskuję równowagę.

- A nasz jest poważny? Dużo się razem śmiejemy i tyle. Przecież nie wywieram na ciebie żadnej presji.

- Wiem - mówi Harry i wygląda, jakbym właśnie tę presję wywierała. Po chwili zmienia fason i dodaje pogodnie: -Luzuj, Fran. Nie rób mi wyrzutów. Przecież sama nie traktujesz mnie poważnie. Ciągłe mnie spławiasz, bo następnego dnia masz casting i musisz się przygotować. A co takiego wypadło ci w najbliższą niedzielę?

- Oscary - mamroczę.

Harry nie jest w stanie powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Widzisz - mówi triumfalnie. - To naprawdę super, że wreszcie docenili twój występ dla *Damskiego Asekuratora*, ale zasłanianie się Oscarami to raczej kiepska wymówka.

Nie zamierzam tłumaczyć, dlaczego chcę zostać w domu i oglądać rozdanie Oscarów ani dlaczego trzeba się przygotować do castingu. Po co?

- Wiesz co, Harry Robinsonie, powinieneś zmienić ton. To nie fair - odwracać kota ogonem i wmawiać mi, że kończysz, bo to ja mam takie, a nie inne podejście do tego związku. A skoro musisz wiedzieć, to mnie ono odpowiada.

Harry ma przynajmniej tyle przyzwoitości, że wygląda nieswojo.

- Przynajmniej miałbyś jaja i podał mi prawdziwszy powód - żądam.

- Dobrze - mówi. Ma markotny, przegrany wyraz twarzy. - Chyba... chyba nie jestem gotów na związek - odpowiada, wicherząc palcami splecione, brązowe, kręcone włosy.

Włosy, których już nigdy nie dotknę, bo od tego nie ma odwrotu. Nie mam złudzeń, że nic już dla niego nie znaczę. Przełykam ślinę. Chcąc za wszelką cenę ocalić przynajmniej resztki godności, uznaję, że czas się zbierać. Jeśli tego nie zrobię, za chwilę padnę mu do stóp albo rzucę nim na podłogę jak zawodnik rugby i będę błagać o ostatnią szansę, a to - powiedzmy sobie szczerze - nie byłoby najmądrzejszym zagranie.

- Idę - mówię po chwili. Tak bym chciała, żeby mnie zatrzymał.

Harry wstaje.

- Okay.

W świecie idealnym byłabym pokrzywdzoną bohaterką, odtraconą przez przystojnego kochanka, który za chwilę zrozumie, jak wielki popełnił błąd. W rzeczywistości Harry jest zadowolony, że się zbieram.

- Francesca, jeszcze jedno. Naprawdę strasznie mi przykro, że miałaś taki gówniany dzień i że ja się do tego dołożyłem. Nie wiem, czy cię to choć trochę pocieszy, ale jestem pewien, że szybko coś znajdziesz.

Twarz wykrzywia mi wyraz buntu.

- Nie chciałem cię zranić i naprawdę uważam, że jesteś wspaniała. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

- Tak, jasne - odpowiadam, choć widoków na przyjaźń to ja nie widzę. Raczej nie miewam ochoty dać przyjacielowi w mordę.

- Już idę, ale jeszcze jedno muszę ci powiedzieć. Otóż chwilę wybrałeś sobie zupełnie gównianą. Wiem, że twój scenariusz tego nie przewidywał, ale ja jednego dnia straciłam i robotę, i faceta. To brzmi jak jakaś babska tragifarsa, a ja wcale nie mam ochoty grać tak zaszraną rolę - wypalam, poniewierając własną godność.

Wpatruję się w Harry'ego i ogarnia mnie złość, bo jego twarz, na której jeszcze przed chwilą malowała się troska, jest co najmniej rozbawiona.

- Co? - burkliwie żądam wyjaśnień.
- Nic, nic.
- Pytam: co?
- Skoro mowa o zasranych rolach, to trzeba dodać jeszcze jedno:
„nieważne, czy stłuczka, czy poważny wypadek, niech ucierpi zderzak,
ale nie twój zadek. Nie bój się i zadzwoń, możesz liczyć na to, że cię
uratuje twój Damski Aserukatoooooor”.
- Odpierdol się, dobrze? Jak się kogoś rzuca, to nie robi się z niego jaj -
wypalam na odchodnym, wykazując się totalnym brakiem poczucia
humoru. Muszę jak najszybciej dojechać do domu i tam się wreszcie
rozkleić.
Bez większych ceregieli mijam Harry'ego, chwytam płaszcz, szybko
wychodzę za próg i wybiegam z budynku na ulicę. To nie był dobry
dzień.

4

Wychodzę ze skóry, żeby jak najszybciej wejść do domu -wyciągam
klucz i kieruję go gdzieś w stronę zamka. Usłyszała mnie Abbie, która
otwiera drzwi i o włos tylko unika dźgnięcia kluczem w twarz.
- Fran, wariatko, wydłubałabyś mi oko. - Szkoda, że właśnie tak
pozdrawia mnie moja współlokatorka, bo nie widziałyśmy się przez kilka
dni.
Abbie jest kierowniczką pizzerii w Clapham i co tydzień pracuje na inną
zmiannę, więc nigdy nie wiadomo, kiedy na siebie wpadniemy. Co prawda
omal nie przyprowadziłam jej o ciężkie uszkodzenie ciała, ale ogromnie się
cieszę, że jest w domu, ona zaś szybko dostrzega na mojej twarzy bezna-
dzieję i ślady łez, więc jej irytacja ustępuje trosce, a to oczywiście
wywołuje mój kolejny potok łez. Przyjaciółka bez

słowa prowadzi mnie do kuchni, raczy herbatą i wsparciem, a wysłuchawszy opowieści o wszystkich moich zgryzotach, mocno mnie przytula.

- Biedactwo - mówi Abbie łagodnie - to się nazywa parszywy dzień, co? Kiwam głową, kompletnie wykończona.

- Nie złość się, Fran - mówi Abbie niepewnie - ale muszę coś z siebie wyrzucić. Powiem to raz i zamkniemy temat. Dlaczego strzełaś taką głupotę - czemu nie zmieniłaś imion albo nie byłaś ostrożniejsza?

- Nie wiem, Abs - odpowiadam ponuro. - Tyle czasu uchodziło mi to na sucho, że straciłam czujność. Ale ze mnie idiotka.

Abbie wstaje po szklanekę wody.

- Ale to i tak nie wszystko twoja wina. Ta zaszra Stacey wcale nie musiała cię tak wywalić. Serio, co za krowa. No i dlaczego Harry z tobą zerwał? Co powiedział?

- Że nie jest gotów na poważny związek - mówię cicho, doskonale wiedząc, jak to brzmi i jaka marna to wymówka. Z powodów, których nie będę teraz analizować, nie wspominam tego fragmentu naszej rozmowy, w którym była mowa o tym, że nie widuję się z nim z powodu castingów czy transmisji Oscarów.

- Szczerze mówiąc, spodziewałabym się po nim czegoś więcej.

Nie wiem, co powiedzieć, a nie mam siły dłużej tego analizować. Ni stąd, ni zowąd, nagle wydaję z siebie gigantyczne, przeciągłe ziewnięcie. Jest dopiero wpół do dziewiątej, ale ja się do niczego nie nadaję. Abbie nie na darmo jest moją najlepszą przyjaciółką - natychmiast przejmuje pałeczkę.

- Wiesz co, zrobię ci kąpiel. Jak będziesz chciała pogadać, to pogadamy, a jak nie, to może coś obejrzymy - proponuje.

Niemrawo kiwam głową.

- Dobra. Idziesz jutro do pracy?

- Dopiero wieczorem, więc mamy cały dzień dla siebie. Za to w niedzielę pracuję na rano.

Abbie napuszcza wody do wanny, z korytarza dobiega mnie szum i jej głos.

- Pieprzyć Harry'ego. Jego głupią czuprynę też. Daj sobie z nim spokój. Palant z niego, skoro cię nie docenił.

Uśmiecham się wątro.

- Dzięki, Abs.

Biorę kąpiel, wkładam piżamę i starą bluzę. Kusi mnie popisać w pamiętniku, ale nagle łapie mnie ból głowy, więc rozglądam się za proszkami, a w tym czasie Abbie wertuje naszą kolekcję DVD. Siadam na kanapie, poduszkami moszczę sobie siedzenie.

Abbie dosłownie zanurza głowę w szafce. Słyszę jej przytłumiony głos.

- *Casablanca... Deszczowa piosenka... Na przepustce... Sprawa Kramerów!*

- Tylko nie to. Coś lżejszego.

- *Grease?*

- Może...

- *Top Gun, Dirty Dancing... To wspaniałe życie.*

- *To wspaniałe życie.*

Abbie wywraca oczami z czułością, ale nie protestuje. Dobrze wie, że to mój ukochany film, że mogę oglądać go bez końca, że nigdy mi się nie znudzi i że zawsze jest mi po nim lepiej. Jeszcze zanim anioł Clarence zacznie naprawiać życie George'a Bailey, zasypiam na kanapie.

W niedzielny wieczór, po około czterdziestu ośmiu godzinach trawienia wypadków ostatnich dni, powoli zaczynam ogarniać rzeczywistość.

Niezapowiedziana, narzucona samotność bynajmniej nie napawa mnie radością, ale nie myślę już, że to koniec świata; czarna rozpacz ustąpiła spokojnej akceptacji i zwykłemu smutkowi, nad którym jako tako

panuję. Trzeba przyznać, że cały zapas silnej woli zużywam na walkę z chęcią zatelefonowania do Harry'ego, a w chwili, kiedy moja wytrwałość właśnie się wyczerpuje, wraca z pracy Abbie, więc resztką woli wyłączam telefon.

Może jestem przybita i bezsilna, ale to nie zmienia faktu, że dziś jest ten jeden, jedyny, bajeczny dzień w roku, a tego nic i nikt - nawet Harry - mi nie zepsuje. Czekałam na ten wieczór cały tydzień, a ucieczka od rzeczywistości bardzo mi się przyda. Dziś rozdanie Oscarów.

Mija jakiś czas, ceremonia zaraz się zacznie. Nareszcie -oto nadchodzi moment, kiedy otrzymam swoją ulubioną dawkę show-biznesu.

Niezmałone szczęście.

- Cała jesteś podekscytowana - mówi Abbie, zapadając się w wielkim pufie i przymierzając się do otwarcia butelki wina.

- Aha - odpowiadam zauroczona; czekam w napięciu, żeby nie pominąć ani słowa komentarza.

Najlepsza część. Gwiazdy w szykownych strojach na czerwonym dywanie. Oceniamy ich kreacje w skali od jednego do dziesięciu.

Catherine Zeta Jones wygląda olśniewająco, Julianne Moore też. Po chwili zjawia się arcyprzystojny Carson Adams ze swoją dziewczyną, Caroline Mason, a tuż za nimi - moja ulubienica, Jennifer Aniston, Johnny Depp i Vanessa Paradis.

- Fran, dziewczyna Carsona Adamsa to Caroline Mason czy Marina Madson? Ciagle mi się mylą - mówi Abbie.

- Wiem, są podobne. Carson jest z Caroline Mason. Ona zresztą dawno w niczym nie grała. W latach osiemdziesiątych wystąpiła w *Kochanie, nie opuszczaj mnie*. Marina Madson była żoną Jamesa Reddingtona - tego, który grał Jamesa Bonda - a teraz występuje w *Love Story* - wyjaśniam szybko, żeby nie umknęła mi ani sekunda transmisji (czasem zdumiewam samą siebie tym, że znam tak wiele błahostek z życia gwiazd; lata oglądania filmów dokumentalnych i fabularnych, a ostatnio - kanału „E! Entertainment” zrobiły swoje).

Na miejsce dotarła Joan Rivers z córką Melissą - będą zgryźliwie komentować kreacje. Byle dziennikarze z działu mody wypowiadają się na temat sukien, chociaż sądząc po ich własnym, fatalnym stylu, raczej nie mają do tego uprawnień. Och, jak ja to uwielbiam!

- Oddałabym wszystko, żeby tam być w takiej sukni -mówię rozmarzona, wpatrując się w Kate Hudson w olśniewającej, złotej kreacji. - Ja to mam oszałamiające osiągnięcia, co?

Abbie, która właśnie wzięła wielki łyk wina, patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Wariatko, porównujesz się z gwiazdami klasy A.

Marszczę czoło. Gdyby wiedziała, jak nedorzeczne marzenia żywię od dzieciństwa, wcale by jej nie było do śmiechu. Tak jak mnie, byłoby jej wstyd.

- Fran? - mówi Abbie, wstając z pufa i siadając obok mnie na kanapie.

-Tak?

- Powiedziałaś wczoraj, że chyba dasz sobie spokój z graniami. Mówiłaś poważnie?

- Raczej tak. Tak - odpowiadam. - A co? Czemu pytasz? Abbie jest nieco zakłopotana, jakby obawiała się mojej reakcji.

- Sama nie wiem. Chyba tylko mam nadzieję, że mówiłaś serio, bo aktorstwo to straszna rywalizacja. Zastanawiałam się, czy cały ten stres jest tego wart.

Właśnie na czerwonym dywanie stanęła Nicole Kidman.

- Kiecka dziesięć na dziesięć, co? - pytam.

Abbie unosi kciuki na znak potwierdzenia, ale nadal wygląda na zmartwioną.

Odwracam się w jej stronę, skupiając na niej całą uwagę.

- Powiem ci coś, Abbie, mówiłam poważnie, ale tylko dlatego, że nie mam wyjścia. Niczego tak nie pragnę, jak zostać aktorką.

- Poważnie? - pyta Abbie. - Bo wcale nie byłaś taka szczęśliwa, kiedy zaczęli puszczać reklamówkę i wszyscy cię krytykowali.

- Ale to nie było granie - odpowiadam z lekkim rozdrażnieniem. Przez kilka minut wpatruję się w milczeniu w ekran, po czym dodaję: - Martwisz się pewnie o czynsz, ale obiecuję, że nie nawalę. Zbiorę się do kupy i znajdę normalną pracę, a na razie złapię coś dorywczego.

- Wcale nie martwię się o czynsz - odparowuje Abbie -tylko o siebie. Uśmiecham się do niej z wdzięcznością. Po chwili, zadowolone z wymuszonej przerwy w rozmowie, wpatrujemy się w nabożnym milczeniu, jak Bóg - to znaczy George Clooney -przechodzi obok dziennikarzy.

Abbie zakłada krótkie brązowe włosy za uszy.

- Czasem martwi mnie co innego - ja chyba nigdy nie rozumiałam, czemu za wszelką cenę tak bardzo chcesz zostać kimś. Bo widzisz, ja lubię pracę w restauracji, ale jej nie kocham, to tylko praca i tak jest w porządku. - Orzechowe oczy Abbie błyszczą na tle bladej, szkockiej karnacji.

Skupiam się na ekranie, zadowolona, że znów mam wymówkę, żeby od razu nie odpowiadać. Wcale się nie łudzę: znam swoje możliwości i wiem, że nigdy nie będę na Oscarach, ale do szczęścia wystarczyłaby mi odrobina tego splendoru, który w dzieciństwie tak mnie urzekł; zaledwie okrusz sławy wynagrodziłby cały mój trud. Zerkam na Abbie. Domyślam się, że prowadzimy tę rozmowę, bo dziewczyny uznały, że najwyższy czas ją odbyć i że właśnie Abbie przypadło to zadanie.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie umiem ci wytłumaczyć, dlaczego taka jestem, a jeśli ma cię to uspokoić, to powiem, że już prawie z tego wyrosłam - częstuję przyjaciółkę kłamstwem.

- Okay - odpowiada Abbie z uśmiechem i chyba obie odczuwamy teraz ogromną ulgę, wiedząc, że na tym możemy

tę gadkę skończyć. - Grunt to wiedzieć, że ma się nie po kolei w głowie, a ty - jak widać - wiesz.

- Wiem - przytakuję. - Jestem oszołomem, któremu prawo do sławy przysługuje wyłącznie z powodu wystąpienia w najgłupszej reklamówce na świecie. Spójrz na Helen Mirren, bosko się trzyma, co?

Miną całe wieki, zanim zaczniesz się sama uroczystości, Abbie nie wytrzyma, idzie spać. Przystaje w drzwiach.

- Wiesz, że powiedziałam to wszystko tylko dlatego, że nam na tobie zależy i szkoda by nam było, gdyby twoje pisanie miało się zmarnować. Wiedziałam. „Nam” oznacza Abbie, Sabinę i Ellę - moje najbliższe przyjaciółki, a to była jedna z tych rozmów. W zeszłym roku padło na mnie, żeby pogadać z Ellą, która od pół roku była na diecie Atkinsa i nie zanosilo się, żeby zamierzała ją przerwać.

- Widzisz, Abbie, jeśli mówisz, że aktorstwo jest rywalizacją, to co dopiero mówić o pisaniu. Ale nie martw się, będzie dobrze - przekonuję ją, kiedy powoli zmierza do swojego pokoju.

Na razie jest dobrze, na razie lepiej być nie może. Pochłonał mnie showbiznesowy raj. Oczy mi się kleją, nie zasypiam tylko siłą woli. Co roku na nowo zaskakuje mnie to, jak długa i nudna jest ta część uroczystości, ale i tak ją lubię. Uwielbiam ten przepych, te podziękowania, to krótkie wejrzenie w fabrykę snów. Uwielbiam show-biznes i cały ten blichtr. Nad ranem oczy odmawiają mi posłuszeństwa, odpadam.

5

W poniedziałek ledwie wlokę się do pracy, jestem nieprzytomna po nieprzespanej nocy (wyłącznie na własne życzenie) i wzdragam się na myśl o dniu, który mnie czeka. Praca

w okresie wypowiedzenia musi być jakąś odmianą sadoma-sochizmu. Myślę sobie, że zadzwonię potem do Harry'ego, ale zaraz przypominam sobie, że już nie jest moim chłopakiem, co jeszcze bardziej psuje mi humor. Boże, naprawdę powinnam uporządkować swoje życie.

Kiedy docieram do biura, tam już wrze jak w ulu, a większość zespołu biega w szaleńczej krzątaninie, przygotowując się do popołudniowej wizyty Shanice. Co innego Radź - on po prostu leży na biurku.

- Cześć, Radź - witam się z nim, zdejmuję płaszcz i wieszam na swoim krześle.

- Cześć, Fran - odpowiada.

Radź ma dziś na włosach deseń w paski - coś jak sierść tygrysa. Głowę oparł na biurku, z twarzą zwróconą do blatu. Mówi jakimś skrzeczącym głosem.

- Jest już Geoff? - pytam.

- Nie - pada przytłumiona odpowiedź.

- Bosko. Muszę dziś wysiać tonę ofert i nagrań. Co mi szkodzi - ostatni raz spróbuję złapać jakąś rolę, choćby dla śmiechu, a potem - no cóż, agencja pośrednictwa pracy. Są tu gdzieś koperty z miękką wkładką? Cisza.

- Radź, wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś tu siedział całą noc - żartuję.

- Siedziałem - pada odpowiedź. - Wieczorem umówiłem się z chłopakami w mieście, a potem wpadłem tu zaja-rać. Ostatni joint był mocny jak skurwysyn.

I wszystko jasne.

Po trzech godzinach Radźowi udaje się wreszcie odkleić twarz od biurka. Ja byłam przez ten czas bardziej produktywna. Przejrzałam wszystkie strony „The Stage”, wysłałam swoje nagrania do rozlicznych reżyserów castingów, a nawet załatwiłam sobie od poniedziałku dorywczą pracę. Od przyszłego tygodnia będę wprowadzać dane w dziale księgowości firmy papierniczej. Bomba, co?

Robię Radzowi mocną kawę z dwoma kostkami cukru, którą on z wdzięcznością wypija duszkiem.

- Nie chce mi się wierzyć, że się zabierasz, Fran. Bez ciebie będzie do dupy.

- Dzięki - odpowiadam ponuro. - Mnie też będzie cię brakowało. Ale całkiem się ode mnie nie uwolnisz. Jeszcze ci nie mówiłam, że latem znów będą puszczać *Damskiego Asekuratora*.

Radź wypluwa połowę kawy na biurko.

- Hi, hi, hi... Ha, ha, ha... *Damski Asekurator*. Do dziś leję po nogach... Hi, hi. - Wtem, widząc mój wyraz twarzy, dodaje: - O, kurna, sorry, Fran. Chciałem powiedzieć, że to wspaniale.

Po południu mocno doskwierają mi suche oczy, ale i tak nie mogę się oderwać od ekranu. Geoffa wciąż nie ma w biurze, a ja trwam w stanie najwyższego skupienia.

Radź zaraził mnie tetrisem, a ja za chwilę pobiję swój życiowy rekord.

Atmosfera w biurze jest taka, że wysysa z człowieka całą energię. Jeśli w ogóle miałam jakiś zryw do pracy, to szybko mi przeszło, i teraz cała moja uwaga koncentruje się wyłącznie na grze i na tym, żeby dotrzeć do końca tygodnia.

Klocki spadają w oszalamiającym tempie, jestem całkowicie pochłonięta tym, żeby na czas prawidłowo je ułożyć. Stukam palcami w klawiaturę z taką szybkością, że jak nic nabawię się zapalenia stawów, ale w tej chwili to nie ma znaczenia, liczy się tylko wygrana. Za kilka sekund wreszcie będę miała wynik, który próbuję osiągnąć całe popołudnie. Nagle dzwoni moja komórka.

- Radź, możesz odebrać? - wydieram się, waląc palcami w klawisze z prędkością karabinu maszynowego.

Radź wyłania się z szafy z przyborami do pisania, w której utknął na godzinę, robiąc... no, właśnie, tego nie wie nikt.

- Co mówisz?

A niech to. Przegrałam. Koniec gry.

- Nic, nic, nieważne. Halo? - odbieram telefon.

- Cześć, skarbie, tu Carrie Anne. Co u ciebie? Geoff odprawił cię z kwitkiem?

- Tak - odpowiadam. -1 nie tylko on. Tego samego wieczora rzucił mnie Harry.

Carrie Anne bierze długi wdech.

- Psiakrew, to jakiś dowcip? Tak mi przykro. Czemu?

- Bo ja wiem? - odpowiadam. - Ale wiesz co, ostatnio sporo wysłuchiwałaś moich narzekań, więc już dość wylewania łez. Nie martw się, daję radę. Byle do przodu.

- A, to dobrze. Bo widzisz, nie chcę wyjść na gruboskórą, tylko jak zwykle mam urwanie głowy i nie mogę gadać. Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że chyba jest praca, która może cię zainteresować.

- Nie chyba, tylko na pewno - mówię podekscytowana, prostując się przy biurku i odwracając się w fotelu od wścibskiej, wpatrzonej we mnie Stacey. - Biorę wszystko. Wprowadzanie danych, niewolnictwo, wszystko.

- Uważaj, co mówisz, bo kto wie, jakiś element niewolnictwa pewnie w tym jest. Przyjeżdża do nas pewna aktorka ze Stanów. Ma zagrać w sztuce, a poza tym namawiamy ją do udziału w jednym z naszych filmów w przyszłym roku. Skontaktowała się z nami, bo najwyraźniej nawaliła jej asystentka. Chce ją zwolnić i szuka nowej. Od zaraz. Płaci pięćset funtów tygodniowo.

Pięćset funtów tygodniowo!

- Co to za aktorka? - pytam bez tchu.

- Mam nikomu nie mówić, ale tobie chyba mogę, tylko ani słowa. Nie bardzo rozumiem.

- Po co ta tajemnica? Czemu masz nie mówić?

- Wiesz, jakie są aktorki. Wszystko ma być w tajce żeby czuły się ważne.

Marzę o tym, żeby zostać aktorką, ale jakie one są, to nie wiem. Wierzę Carrie Anne na słowo, w końcu pracowała z takimi gwiazdami, jak Renee Zellweger i Keira Knightley.

- No, dobra, mów, umieram z ciekawości.

- Caroline Mason.

- Och - tyle wydobywa się ze mnie, kiedy w głowie fur-kocze kołowrotek z wiadomościami o gwiazdach. Wertowanie magazynów „Hello” i „OK” nie poszło na marne.

- Rany, Caroline Mason. Nieźle się składa, dopiero wczoraj ją widziałam, oglądałam rozdanie Oscarów - piszczę, bezgranicznie podekscytowana.

- Wiem. Poleciała do Stanów specjalnie, żeby pójść z Car-sonem na galę, ale dziś wraca.

Uwielbiam, jak Carrie Anne ot tak rzuca podczas rozmowy nazwiskami gwiazd z pierwszych stron. Mówimy w końcu o Caroline Mason i Carsonie Adamsie - jestem tak piękny, tak fenomenalnie przystojny, że nie oprze mi się żadna kobieta, nie wyrzuciłabyś mnie z łóżka, gdybym pierdział, rzygał, a nawet srał pod siebie, no i dostałem Oscara w zeszłym roku.

Ja pierdziele.

Przełykam ślinę.

To może być nadzwyczajna szansa. Carrie Anne proponuje mi pracę dla kogoś, kim ja sama zawsze chciałam być. Dla gwiazdy filmowej. To będzie najbardziej niesamowite wyzwanie, a do tego da mi czas, żeby przemyśleć, czego tak naprawdę chcę w życiu.

Pięćset funtów tygodniowo to kupa kasy, po raz pierwszy w życiu będę mogła coś odłożyć. Wreszcie będę miała blichtr, o którym marzę - nawet jeśli to tylko jego namiastka - a w dodatku ta propozycja bije na głowę wprowadzanie danych w dziale księgowości firmy papierniczej - myślę sobie wesoło. Ale też, powiedzmy sobie szczerze, od pracy w takiej firmie bardziej ekscytujące jest nawet stanie w korku.

Wracam na ziemię.

- Carrie Anne, to brzmi po prostu niesamowicie, dziękuję! Dziękuję ci, że o mnie pamiętałaś. Są już terminy rozmów kwalifikacyjnych? Ile jest kandydatek? Kiedy moja kolej? - mówię z taką prędkością, że aż pieni mi się w ustach.

- Rany boskie, Fran, opanuj się, kochanie - śmieje się Carrie Anne. - Może się okazać, że będziesz przeklinać dzień, w którym ci to zaproponowałam. Powiem ci tylko tyle - aktorki bywają perfidne. Rozmawiamy jeszcze przez chwilę. Rozgorączkowana błagam Carrie Anne, żeby wpisała mnie na pierwszym miejscu na liście kandydatek i szepnęła za mną dobre słowo. Przyjaciółka obiecuje mi to, po czym się rozłącza.

Odkładam słuchawkę, rozradowana obracam się w fotelu i w tej sekundzie przypominam sobie o istnieniu Geoffa. Rozglądam się za Radzem.

- Nasz czaruś poleciał po coś na ząb - mówi Stacey, przyglądając mi się podejrzliwie. - Coś taka rozradowana? Jakiś genialny pomysł na opowiadanie? - pyta z jadowitą uprzejmością.

Bardzo, bardzo powoli i bardzo, bardzo rozważnie pokazuję Stacey znak V. Wiem, że to bardzo, bardzo dziecinne, ale za to mam satysfakcję jak cholera. W odpowiedzi Stacey wściekle wyrzuca w górę obie ręce - do tej pory widywałam ten gest wyłącznie u włoskich kierowców.

Wreszcie zjawia się Radź z pieczonym ziemniakiem, koktajlem truskawkowym i paczką wybuchowych cukierków - wszystko to połyka jednym haustem - a ja mam wrażenie, że jeśli za chwilę nie przekażę mu najnowszych wieści, to dosłownie mnie rozerwie.

- Rany, Radź! Muszę ci coś powiedzieć - szepczę nad biurkiem. - Właśnie gadałam z Carrie Anne. Powiedziała, że Caroline Mason szuka asystentki i - w skrócie mówiąc - w każdej chwili mogę zostać wezwana na rozmowę - kończę, nieco zbita z tropu odgłosami trzaskania dobiegającymi z gardła Radza.

- Była niezła w *Love story* - mówi Radź z ustami pełnymi cukierków i śliny.

Zastanawiam się, czy sprostować tę pomyłkę, kiedy nagle rozlega się dzwonek i wszyscy krzyczą: „Na miejsca! Idzie szef z Shanice!”.

Po zaszczytnej wizycie odmienionej, zupełnie nieagresywnej, uduchowionej Shanice i jej potężnych piersi zespół na powrót popada w swój zwykły stan bezwładu, a ja i Radź gadamy na balkonie, nie bacząc na ziać i wilgoć. Okazuje się, że choć oczywiście słyszał o Carsonie Adamsie, to nie bardzo kojarzy Caroline Mason i najpierw sądził, że chodzi o Marinę Madson, ale w końcu on nie jest takim fanem kina jak ja, a poza tym Caroline Mason i Carson Adams żyją bez ślubu, więc opinia publiczna nie miała okazji zachłystywać się relacjami z ceremonii. Jest to zresztą para, która pilnie strzeże swojej prywatności, przez co jest tylko jeszcze bardziej intrygująca. Tak bardzo chciałabym tych ludzi poznać. Promienieję na myśl, że to może być najlepsza okazja, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła. Wyobrażam sobie, że zostajemy z Caroline przyjaciółkami, że wreszcie spłacam kartę kredytową, a co najważniejsze, że wreszcie czuję się kimś - o tym marzę przecież od zawsze. Muszę dostać tę pracę.

6

Przez następnych kilka dni trwam w dziwnym stanie, jakbym zapadła się w otchłań. Carrie Anne zapewniła mnie, że jestem na liście kandydatek, z którymi Caroline Mason chce się spotkać, więc mam czekać na telefon od kobiety imieniem Suzy. Nie wiadomo jednak, kiedy to nastąpi.

Wreszcie przychodzi piątek, mój ostatni dzień w Diamond PR, a ja nadal nic nie wiem i zamartwiam się na

śmierć, bo może Caroline zmieniła zdanie albo, co gorsza, już kogoś zatrudniła. Gdy tylko dzwoni telefon, zrywam się na równe nogi. Na szczęście tego dnia moja komórka dzwoni tylko raz, więc przeżywam tylko jednorazowy skok ciśnienia, ale kiedy gorączkowo po nią sięgam, okazuje się, że to Harry.

- Cześć, Fran. Co słychać? - pyta. Słyszając troskę w jego głosie, mam ochotę strzelić go w pysk.

- Wszystko w porządku. Właściwie to nawet super; czekam na wieści z nowej pracy - rozpaczliwie staram się, by brzmiało nonszalancko, ale zupełnie mi nie wychodzi.

- Ojej, to super, Fran, naprawdę super.

Zapada krepująca cisza, a ja raptem uświadamiam sobie, jakie to dziwne, że relacja między dwojgiem ludzi może tak szybko i bezpowrotnie się skończyć. Jednego dnia robienie komuś dobrze ustami wydaje się zupełnie naturalne, a niemal nazajutrz zwykła rozmowa telefoniczna wywołuje zażenowanie.

- Słuchaj, Fran...

- Harry...

Odzywamy się jednocześnie.

- Mów - nakazuję. Przez sekundę łudzę się, że może dzwoni do mnie, żeby mi powiedzieć, że popełnił straszliwy błąd.

- Dobra. Pewnie jesteś na mnie zła i oczywiście masz do tego prawo. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy wszystko w porządku. Naprawdę chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi...

Więc jednak nie.

- A poza tym Wayne i Briggsy by mnie ukatrupili, gdybyśmy stracili kontakt. Uwielbiają ciebie i Abbie do szaleństwa.

Uśmiecham się. Będzie mi brakowało dwóch najlepszych kumpli Harry'ego pewnie nie mniej niż jego samego. Wayne i Briggsy to dwaj najzabawniejsi faceci, jakich znam. Wzruszam się na myśl, że tak mnie lubią, choć przy tym cyniczna

część mnie zastanawia się, czy to przypadkiem nie Briggsy kazał Harry'emu zadzwonić. Od początku podejrzewałam, że zadurzył się w Abbie, co zresztą napawało ją zgrozą.

Ta sytuacja jest dla mnie niepojęta, bo wydaje mi się, że powinnam być na Harry'ego wściekła, a tymczasem tydzień po rozstaniu czuję, że bardziej będzie mi go brakowało jako kumpla niż jako faceta, co oznacza, że jego decyzja o zakończeniu naszego romansu była słuszna. Tylko że ta myśl wcale mnie nie pociesza. Skoro było nie tak, dlaczego ja na to nie wpadłam?

- Harry - mówię spokojnie - będziemy kumplami. Powiedz Wayne'owi i Briggsy'emu, że tak łatwo się nas nie pozbędą. Ale widzisz, potrzebuję czasu. To nie tak, że mam złamane serce, ale daleko mi do równowagi, więc na przyjaźń jest dla mnie jeszcze ciut za wcześnie.

- Jasne, Fran - odpowiada Harry.

Rozłączamy się. Zamiast poczuć przypływ emocji, natychmiast wracam myślami do tej jednej osoby, na której telefon tak czekam. To chyba sporo mówi o moim związku z Harrym.

O piątej wymykamy się z Radzem na balkon, żeby bezczelnie przypieczętować moje odejście piwem i skrętem.

- Tylko ciebie będzie mi brakowało - mówię ze smutkiem. - No i pieniędzy.

Radź uśmiecha się głupkowato i podaje mi jointa, a ja -z niewiadomych powodów - myślę sobie „co mi tam” i biorę macha.

Pół godziny później, ku zgrozie turystów przechodzących ulicą, wymiotuję z balkonu na ziemię, chociaż ja sama zupełnie tego nie pamiętam. Joint był tak mocny, że nie mam pojęcia, jak dotarłam do domu ani jak spędziłam resztę dnia. To był mój ostatni dzień pracy w Diamond PR i ostatni raz, kiedy paliłam marihuanę. Sama już nie wiem, czy powinnam się cieszyć czy martwić tym, że nie będzie mi brakowało ani jednego, ani drugiego.

Mija jakiś czas, a ja po kolejnym makabrycznie długim i bezbrzeżnie nudnym dniu wprowadzania danych siedzę sobie w domu, zastanawiając się, czy z nudów można umrzeć, kiedy nagle dzwoni telefon.

Oto w chwili, kiedy traciłam już nadzieję i nastawiałam się na życie w nędzy i otepiałej monotonii, moje modlitwy zostały wysłuchane.

Niepoprawna Suzy wreszcie wypowiada tak wyczekiwane przeze mnie słowa:

- Mogłabyś dziś wieczorem spotkać się z Caroline? Zerkam na leżącego przede mną na talerzu tosta z fasolą i na ekran telewizora, na którym czubki kominów zwiastują początek serialu *Coronation Street*. Dostaję zastrzyk adrenaliny.

- Oczywiście, powiedz tylko gdzie.

- Spotkamy się z Caroline w jej domu. Podam ci adres.

Macham do Abbie, która podskakuje z radości, i gestykuuję panicznie, żeby podała mi coś do pisania. W ciągu dziesięciu minut zdążyłam wyskoczyć ze starego dresu i przeobrazić się w elegancką, profesjonalną asystentkę sławnej aktorki, której adres trzymam w garści. Niesamowite, czego można dokonać, kiedy jest się pod presją czasu, a pod ręką ma się najlepszą przyjaciółkę. Wybrałyśmy wąską, czarną spódnicę, prostą, beżową bluzkę i eleganckie czarne szpilki. Biegam po domu, siejąc spustoszenie.

- Torebka, telefon, klucze do domu, klucze do samochodu, błyszczak... cholera.

- Fakt. Lepiej jej nie bierz. Zrobisz złe wrażenie. - Abbie śmieje się z własnego dowcipu.

- Mówię „cholera”, bo miałam wpaść do Elli. Zadzwoń do niej, wytłumacz wszystko i powiedz, że zadzwonię później albo jutro, dobra? - drę się, wychodząc z domu.

- Jasne! - odkrzykuje Abbie z ustami pełnymi porzuconego przeze mnie tosta. - Powodzenia!

Zatrząskuję drzwi z hukiem, uśmiechając się szeroko. Nie mogę uwierzyć, że za chwilę będę w domu Caroline

Mason i Carsona Adamsa. Moja wścibska natura wreszcie będzie mogła sobie poużywać.

Dojeżdżam na miejsce przed czasem, więc siedzę chwilę w samochodzie i zbieram myśli. Od pierwszej rozmowy z Carrie Anne świadomość obecności Caroline Mason w Londynie zaczęła mnie niemal prześladować. Nagle zewsząd zaczęły wyzierać na mnie jej zdjęcia w tabloidach, miałam wrażenie, że jest na okładkach wszystkich magazynów. Wygląda na to, że wśród szanujących się aktorów zapanowała moda na granie w przedstawieniach na West Endzie za żadne pieniądze. W końcu w zamian zyskują bezcenną sławę i rozgłos. Caroline Mason nie stanowi pod tym względem wyjątku.

Odrobiłam pracę domową. Za kilka tygodni Caroline rozpocznie ośmiotygodniowe próby do głośnej sztuki, której premierę zaplanowano na czerwiec. To dość ponury spektakl o miłości i zdradzie, napisany przez wziętego scenarzystę, Johna Jamesa. Caroline ma nadzieję, że dzięki tej sztuce znów znajdzie się w świetle reflektorów, z którego znikła sześć lat temu, po urodzeniu syna Carsona Adamsa (zakładam, że musiała zrezygnować z pracy, żeby zająć się dzieckiem).

Ostatni spektakl ma się odbyć w grudniu, po czym Caroline chce od razu przystąpić do pracy nad filmem: ma zagrać pokiereszowaną psychicznie kobietę, którą nękają urojenia -komedia to nie będzie, ale zapowiada się bardzo ciekawie. Film wyprodukuje studio Great British Films, ale nie będzie to jeden z wielkich, komercyjnych projektów - raczej niszowy obraz, który przez całe lata nie mógł doczekać się realizacji, a zielone światło dostał tylko dlatego, że zainteresował się nim popularny reżyser, Thomas Anderson, któremu powierzono realizację. Dowiedziałam się od Carrie Anne, że Caroline marzyła o tej roli i czekała na nią przez długi czas, więc mówiąc o tym projekcie, mam piąć z zachwytu. Przyjaciółka stanowczo napomniała mnie przy tym, żebym w obecności Caroline nigdy nie wymówiła słowa *comeback*.

Znam też parę innych szczegółów. Choć Caroline i Carson Adams nie są małżeństwem, uchodzą za jedną z najbardziej udanych hollywoodzkich par. Mają syna Camerona i domy w Los Angeles, Nowym Jorku, South Kensington i na Bermudach. O ile kariera Caroline nieco zwolniła, o tyle Carson już od jakiegoś czasu jest na fali. Jego status gwiazdy klasy A potwierdziła ostatnio okładka „Vanity Fair” z tytułem *Hollywoodzka waga ciężka*, na której widnieje obok takich sław, jak Tom Cruise, Brad Pitt, Ben Stiller i Jim Carrey. Caroline i Carson stanowią piękną parę, a kiedy szli czerwonym dywanem na oscarową galę, wokół rozległy się westchnienia zachwytu.

Już czas. Zerkam w lusterko, muskam usta błyszczącym i wysyłam zbiorowego esemesa do Sabiny, Elli, Radzia i mamy. „Za chwilę spotkam się z Caroline Mason... w jej własnym domu! Trzymajcie kciuki. Fran x”. Uśmiecham się tło siebie - dobrze wiem, jaka będzie reakcja na te słowa. Zapadł już zmrok. Dom pod numerem czterdziestym siódmym mieści się przy pięknej, wysadzonej drzewami ulicy. To ogromny budynek w stylu georgiańskim, z podwójnym wejściem. Schody prowadzą na ganek otoczony białą balustradą. Naciskam dzwonek.

Otwiera Suzy.

- Witaj, Francesco. Wejdz. Dotarłaś bez problemu?

- Bez najmniejszego - odpowiadam na to retoryczne pytanie, które ludzie zadają, kiedy nie ma nic lepszego do powiedzenia, i uśmiecham się ciepło.

Podążam za Suzy szerokim korytarzem, usiłując zapamiętać każdy szczegół, żeby móc go później przetrwać w myślach. Oryginalny parkiet, stylowe aż do bólu połączenie antyków z nowoczesnymi meblami i, jak sądzę, oryginalne dzieło Damiana Hirsta.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, porozmawiamy w kuchni. Caroline miała dziś wiele spotkań i chciałaby się odprężyć.

- Oczywiście - odpowiadam. - Suzy, czy ty jesteś jej obecną asystentką?
- Nie. Pracuję dla innej aktorki. Moja szefowa jest przyjaciółką Caroline, więc zaproponowałam pomoc przy rozmowach. Caroline nie chciała jeszcze mówić Louisie, że szuka kogoś na jej miejsce - mówi półszepem, jak aktorka w filmie płaszcza i szpady.

Mam wielką ochotę spytać Suzy, dla kogo pracuje, ale tego nie robię. Dochodzimy do wielkich, drewnianych drzwi. Suzy nagle przystaje, jakby coś jej się przypomniało, i dodaje ściszym głosem:

- Przepraszam, że nie zadzwoniłam wcześniej. Caroline wyjechała na jakiś czas, a poza tym chciała dać obecnej asystentce ostatnią szansę.

- Nic nie szkodzi - szepczę, kiwając głową i usiłując przybrać taki wyraz twarzy, który pokazałby, że nic się nie stało, doskonale rozumiem, sama miałam tak napięty grafik, że nawet nie zauważyłam.

- Powodzenia. Teraz tylko bądź sobą. Aha, mała rada: pod żadnym pozorem nie używaj słowa *comeback*, dobra? -dodaje cichutko Suzy. Przynajmniej, zastanawiając się, co by się stało, gdybym to zrobiła.

- Gotowa?

- Tak - odpowiadam.

Suzy popycha drzwi, a ja staję w kuchni moich marzeń. Jest gigantyczna. Mahoniowe meble, marmurowe blaty, chromowane, lśniące dodatki - sądząc po wielkości, sprowadzone ze Stanów. Pośrodku jest wyspa, nad którą wiszą garnki i patelnie. Przy francuskim oknie, z którego rozpościera się widok na zieloną, londyńską oazę, stoi gigantyczny drewniany stół. Za nim, nad ogromnym kieliszkiem białego wina, siedzi Caroline Mason.

- Witaj - cedzi powitanie karmelowym głosem. - Ty zapewne jesteś Francesca. Dziękuję, że przyjechałaś.

Długie, kręcone, ciemne włosy opadają jej na plecy, ma mocno umalowane oczy - wielkie, tragiczne. Z powodu wysokich kości policzkowych i zadartego noska sprawia wrażenie, jakby patrzyła na innych nieco z góry.

Wstaje i podchodzi do wyspy, sięga po papierosy i zapalniczkę. Ma gibkie, szczupłe, umięśnione ciało, porusza się jak kocica. Jest w brązowym, welurowym dresie, na jej palcu lśni pierścionek z diamentem wielkości pięści. Emanuje jakąś niezwykłą energią, przez co nie mogę oderwać od niej oczu, i dopiero teraz rozumiem, czemu tylko niektórych określa się mianem gwiazd, innych zaś - celebrytów.

- Dzień dobry. Bardzo mi miło panią poznać. - Jestem pod wielkim wrażeniem jej wdzięku, ale bardzo staram się nie dać tego po sobie poznać.

- Wzajemnie - odpowiada, kokieteryjnie odchylając głowę. Wraca do stołu i siada. - Może wody, zanim zaczniemy?

Ma niesamowity głos. Muszę przyznać rację jednemu z młodych dziennikarzy, który opisując go, przywołał rzekę miodu i mleka przepływającą przez kamieniste łożysko, z tym że ja nazwałabym go po prostu głębokim i seksownym.

- Nie, dziękuję - wystękuje z trudem, oszołomiona sytuacją. Caroline raczy mnie uśmiechem, ukazując bardzo białe, amerykańskie zęby, i lustruje mnie od góry do dołu. Gestem pokazuje mnie i Suzy, żebyśmy usiadły.

- Suzy relacjonowała mi rozmowy telefoniczne, ale może zaczniemy od tego, że sama nam coś o sobie powiesz -mówi Caroline.

Z trudem odrywam od niej wzrok, staram się zachowywać naturalnie, co wcale nie jest proste. Jej wizerunek utrwał się w mojej głowie cal po calu na przestrzeni lat, z każdym jej kolejnym zdjęciem publikowanym w gazetach i magazynach, a jednak na żywo wygląda inaczej. Jest

drobniejsza, szczuplejsza, a twarz ma bardziej zaciętą. Na jednej z półek dostrzegam jej zdjęcie z Carsonem Adamsem, co dodatkowo mnie rozprasza. Nie jest to zwyczajna rodzinna fotka. Czerwony dywan, rozdanie Złotych Globów, obok Robert de Niro i Martin Scorsese. Usiłuję zapanować nad rozbieganym wzrokiem, ale nagle ogarnia mnie niepokój, bo ni stąd ni zowąd uświadamiam sobie, że zżerają mnie nerwy.

- Skończyłam szkołę, po czym pracowałam na różnych stanowiskach przy produkcji. Po pewnym czasie rozpoczęłam pracę etatową jako asystentka w Diamond PR...

Caroline przerywa mi.

- Jak to się stało, że z wolnego strzelca w produkcji przeszłaś na etat? Już wcześniej chciałaś zostać asystentką?

- Szukałam stałej pracy, bo amatorsko zajmowałam się graniem - niczym szczególnym, czasem trafiła mi się jakaś rólka w sztuce... W każdym razie zależało mi na pracy, w której nie musiałabym rezygnować z...

Oblewam się rumieńcem. Co ja najlepszego wygaduję? Nerwy mnie zeżarły, pali mnie wstyd. Ujawnianie swoich urojeń prawdziwej aktorce - i to takiej, której nigdy nie dorosnę do pięt - jest piekielnie bolesne, nie mam pojęcia, po co w ogóle zaczęłam ten temat. Muszę się zrehabilitować.

- W tej chwili to zupełnie nieistotne. Przez ostatnich kilka lat pracowałam jako asystentka, a to...

- Nadal chcesz zostać aktorką? - przerywa mi Caroline. Nielatwo ją zwieść. - Czy to właśnie aktorstwem chcesz się zajmować?

Mam ochotę sama siebie zdzielić za to, że zachowałam się jak idiotka.

Wiem, do czego ona zmierza; wiem też, ile zależy od mojej odpowiedzi.

- Szczerze mówiąc, ta praca bardzo mnie rozczarowała. Nie wiem, czemu w ogóle o tym wspomniałam - odpowiadam niepewnie. - Przekonałam się, że to nie dla mnie, i teraz szukam pracy, która byłaby dla mnie nowym wyzwaniem.

Znów ryzykuję, że się głupio rozgadam, więc przerywam, biorę głęboki oddech i staram się zrobić użytek z tych wszystkich technik gry aktorskiej, których uczono mnie na rozmaitych kursach, żeby opanować nerwy. Wiedziałam, że kiedyś się przydadzą. Skup się, kobieto.

- O niczym tak nie marzę, jak o tej pracy. Zapewniam, że może pani liczyć na moje całkowite zaangażowanie - mówię nieco bardziej opanowana.

- Świetnie - odpowiada Caroline. - Bo ja nie potrzebuję asystentki, która będzie biegać na castingi, a pracę dla mnie traktować jak krok na drodze do kariery. Szukam kogoś, kto będzie się przede wszystkim zajmował mną. Potrzebuję asystentki, a nie uczennicy.

Caroline wypowiada każde słowo z ogromną rozważą, czego efektem jest przemyślany, niepozostawiający wątpliwości przekaz.

Kiwam głową.

- Proszę mi wierzyć, naprawdę doskonale rozumiem. Byłaby pani moim absolutnym priorytetem. A jeśli chodzi o castingi, nie ma powodów do obaw - reżyserzy raczej skrzętnie mnie unikają - żartuję.

Cisza.

Zerkam na Suzy, wygląda na niemile dotkniętą. Mam gonitwę myśli.

- Pani Mason, moje marne próby grania są zupełnie nieistotne. Wstyd mi, że w ogóle o nich wspomniałam, zwłaszcza przy pani. Powinnam była się ograniczyć do tego, co ważne: przez ostatnich kilka lat pracowałam jako osobista asystentka, tym chciałabym się zajmować i to właśnie jest praca dla mnie.

Caroline wpatruje się we mnie przez chwilę. Nie umiem rozszyfrować wyrazu jej twarzy. Zapada przenikliwa cisza. Nagle Caroline bierze głęboki wdech i mówi:

- Rozumiem. Teraz Suzy zada ci kilka pytań. Caroline patrzy znacząco na Suzy, która od początku tej rozmowy wygląda na nieco spłoszoną.

Suzy przegląda notatki. W oczekiwaniu na jej pytanie studiuję twarz Caroline - szukam oznak, które podpowiedziałyby mi, czy wybroniłam się z wpadki - ale nie potrafię tej twarzy odczytać. Modlę się, żebym nie zawaliła sprawy.

Caroline sięga wypielegnowaną dłonią po zapalniczkę i przypala papierosa. Długiego, cienkiego, z białym nitrem -założę się, że u nas w Anglii takich nie ma. Nigdy nie miałam papierosa w ustach, ale muszę przyznać, że te, które pali, wyglądają kusząco.

Suzy wreszcie odnajduje właściwe zapiski, a tymczasem ja z zaskoczeniem stwierdzam, że jej zdenerwowanie działa na mnie kojąco.

- Pierwsze pytanie. Czego się spodziewasz po pracy w charakterze osobistej asystentki Caroline?

Namyślałam się przed odpowiedzią. Nie bardzo wiadomo, komu mam odpowiadać, ale w końcu postanawiam zwracać się do Caroline.

- Domyślałam się, że podczas pani pobytu w Londynie miałabym przede wszystkim ułatwiać pani życie. Prowadzić kalendarz spotkań zawodowych i towarzyskich, pilnować, żeby miała pani wszystko, czego pani potrzeba do pracy w teatrze, i generalnie dbać o to, aby kolejne dni przebiegały jak najsprawniej.

Caroline zachowuje śmiertelną powagę. Suzy uważnie mnie słucha, a na jej twarzy maluje się zdecydowana ulga, bo wreszcie odpowiadam, jak należy. Suzy wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami, kiwa głową z aprobatą i zerka na Caroline, czekając na jej reakcję.

- Tak, o to właśnie mi chodzi - mówi Caroline z namysłem - żeby ułatwić mi życie. Ale to nie wszystko... Suzy pewnie lepiej to wyjaśni. - Caroline znów oddaje pałeczkę Suzy.

Suzy odchrząkuje.

- Do twoich obowiązków należałyby rozmowy i spotkania z najrozmaitszymi osobami - z pracownikiem odpowiedzialnym za kontakty Caroline z brytyjskimi mediami, z jej agentem, z ludźmi z teatru i Great British Films. Ale

także w razie potrzeby musiałybyś też na przykład wezwać hydraulika albo zorganizować catering.

- Właśnie - mówi Caroline. - Może się tak zdarzyć, że w jednej chwili będziesz rozmawiać ze... Spielbergiem, a w drugiej - dzwonić w sprawie... uszczelnienia poddasza.

Caroline wpatruje się we mnie, szukając oznak oszołomienia z powodu rzuconego nazwiska, ale ja jestem zbyt pochłonięta myślą, że podała raczej mało prawdopodobny przykład.

- Żaden problem. Nie należę do osób nieśmiałych i potrafię się odnaleźć w różnych sytuacjach.

- Doskonale - kwituje Caroline. - Bo widzisz, ja potrzebuję kogoś, kto by mnie niańczył. Role, które mam grać w sztuce i w filmie, są ogromnie wymagające i raczej ponure. Nie będę miała czasu na przyziemne sprawy. Muszę się zaszyć w mrocznych zakamarkach mojej jaźni i całkowicie skupić na grze. Dlatego właśnie szukam kogoś, kto wyręczy mnie w codziennych obowiązkach.

- Rozumiem - zapewniam, choć razi mnie jej ostentacja. Staram się jednak nadać twarzy wyraz pełen zrozumienia. - Przyjechała tu pani, żeby pracować, więc ktoś musi się zająć przyziemnymi sprawami.

Caroline rzuca Suzy spojrzenie, które mówi: „może jednak ta dziewczyna nadaje na moich falach”. Suzy odwzajemnia protekcyjny uśmiech.

- Właśnie tak - potwierdza Caroline, wydmuchując dym. Nie wiem, jak jej się to udaje, ale nie traci przy tym nic ze swojej porywającej kobiecości i wcale nie wygląda jak straganiarka na targu rybnym.

Do rozmowy znów włącza się Suzy.

- Bardzo istotną część pracy stanowi organizowanie przydziału biletów. Na każde przedstawienie Caroline przysługują cztery bilety, o które wszyscy będą się bić. To płatne miejsca. Czasami koszty pokryje Caroline, a czasami będziesz musiała zdobyć numery kart kredytowych nabywców.

Kiwam głową z rozwagą. Dam radę.

Caroline przejmuje pałeczkę.

- Kolejna sprawa. Musisz wiedzieć, że to nie będzie praca jak z marzeń. Moja asystentka ma bez szemrania wykonywać wszystkie polecenia. Może się zdarzyć, że poproszę cię, żebyś kupiła tamponsy albo zrobiła zakupy.

- Oczywiście - odpowiadam. - Tego również się spodziewam. Pani będzie przecież całe dni na próbach.

Wygląda na to, że Caroline jest mi coraz bardziej przychylna. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się w Suzy, która dalej kiwa głową. Czuję, że fatalny początek tej rozmowy odchodzi w zapomnienie. Carrie Anne mówiła, że Caroline i Suzy spotkały się z kilkoma kandydatkami i odrzuciły je -zaczynam myśleć, że te dziewczyny musiały być głupie jak but, skoro nietrudno się domyślić, co Caroline chce usłyszeć.

Postanawiam coś dodać.

- Nie mam much w nosie. Chętnie pomogę też przy sprzątaniu albo pakowaniu.

Oho, przeszarżowałam - Caroline natychmiast przestaje się uśmiechać i z niepokojem wpatruje się w Suzy. Ta otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Caroline wpada jej w słowo.

- Mam gosposię, więc o sprzątaniu nie ma mowy, natomiast pomocy w pakowaniu z całą pewnością będę oczekiwać. - W jej głosie jest wyzwanie.

Najwyraźniej dałam ciała i muszę szybko to nadrobić.

- Oczywiście. Najmocniej panią przepraszam. Nie chciałam, żeby to źle zabrzmiało. Naturalnie spodziewam się, że miałabym pomagać w pakowaniu walizek... no i noszeniu - żartuję.

Cisza.

Caroline odchyła się na krześle.

- A czy ty masz jakieś pytania, Francesco?

Cieszę się, że spytała, bo pewna kwestia nurtuje mnie od czasu pierwszej rozmowy z Carrie Anne.

- Właściwie tylko jedno. Czemu nie sprawdziła się pani obecna asystentka?

Caroline wpatruje się we mnie, po czym konspiracyjnie pochyla się nad stołem.

- Wiesz, Francesco, czuję, że tobie mogę to powiedzieć. Przerywa, żeby wzmocnić efekt.

- Ostatnie tygodnie były koszmarem. Ta dziewczyna do niczego się nie nadaje.

Caroline z werwą gasi papierosa i pochyla się jeszcze bardziej, odsłaniając rowek między imponującymi piersiami. Nie ma stanika.

- Wszystko potrafi zepsuć, nawet najprostsza rzecz. Wreszcie miarka się przebrała. Umówiła mnie na wywiad i nawet mi o tym nie powiedziała. To brzmi niewiarygodnie. Obiecuję sobie, że wszystko będę zapisywać w kalendarzu... jeśli dostanę tę pracę. Caroline zastanawia się przez chwilę, po czym dodaje:

- Szczerze mówiąc, myślę, że zdecydowały też względy osobiste.

Pewnego dnia zachowała się nad wyraz nieuprzejmie i wyraźnie dała mi do zrozumienia, że moje potrzeby zupełnie jej nie obchodzą.

Suzy żarliwie przytakuje.

- Coś jeszcze, Suzy? - pyta Caroline.

- Tak. Czy masz samochód?

- Tak, chociaż zwykle jeżdżę metrem, bo parkowanie w Londynie to koszmar. Czy miałabym panią wozić po mieście? - pytam słusznie zaniepokojona, bo przecież jeżdżę rozgruchotanym fiatem uno.

Caroline aż truchleje.

- Mam kierowcę. Samochód może ci być potrzebny, żeby pozłatwiać pewne sprawy.

- Ależ oczywiście. - Wkurzam się na samą siebie, za łatwo się rumienię. Caroline nie ma ochoty ciągnąć tego wątku.

- Zresztą, to nieistotne. Zawsze możesz wziąć taksówkę. Rozmowa zmierza do końca, Caroline wstaje i mówi:

- Idę poczytać skrypt, w końcu próby zaczną się lada dzień. Suzy, skarbie, dopilnuj, żeby na czas przyjechał samochód i zawiózł mnie do „Mandarin Oriental”.

- Oczywiście - Suzy kiwa głową.

Już zastanawiam się, czy Caroline wyjdzie, nie pożegnawszy się ze mną, ale sięgając do klamki, cedzi słodkim głosem:

- Do widzenia, Francesco. Dziękuję ci. Chyba po raz pierwszy od długiego czasu będę dziś dobrze spała.

I już jej nie ma.

Suzy przełyka ślinę, a po wyjściu Caroline wyraźnie się rozluźnia.

- Bardzo dobrze poszło. Spodobałaś się.

Jestem wdzięczna Suzy za to, że nie wspomina mojej początkowej gafy i chociaż staram się zachować obojętność, to jej pochwała mile mnie łechce. Uśmiecham się, idąc za nią do drzwi. Żegnamy się, a Suzy obiecuje, że zadzwoni, gdy tylko będzie coś wiadomo. Idę do samochodu. Wyjeżdżam z ulicy i parkuję za rogiem. Przyjaciółki czekają na wieści - tylko która najbardziej doceni świeże plotki z wielkiego świata? Namysł zajmuje mi całą nanosekundę i już dzwonię do Sabiny. Odbiera po pierwszym sygnale.

- Fran? Jezu, jak to dobrze, że dzwonisz. Dostałam twojego esemesa i umieram z ciekawości. Mów, mów, mów! -nakazuje podekscytowana.

- No, więc - cedzę, rozkoszując się tym, że mam słuchacza - jest absolutnie piękna. I myślę, że poszło dobrze. Ale raczej nie jest typem, który zaprzyjaźnia się z asystentką. Sprawia wrażenie... strasznie konkretnej. Ale ogólnie jestem zadowolona.

- A za co zwolniła tę poprzednią babkę? - pyta Sabina. Mam telefon na drugiej linii.

- Zaczekaj chwilę, ktoś dzwoni, pewnie Abs. Daj mi sekundę. Halo?

- Francesco, mówi Suzy.

- Ojej, cześć - zapominam języka w gębie. Nie spodziewałam się telefonu tak prędko.

- Nie będę cię trzymać w niepewności. Chciałam od razu przekazać ci radosne wieści. Caroline chce, żebyś została jej asystentką.

- Och, to cudownie! Bardzo się cieszę. - Pewnie, że się cieszę. Tak bardzo, że zaraz zrobię w majtki.

- To fantastycznie, będzie jej bardzo miło, że tak się ucieszyłaś. Nie będę się teraz rozwodzić, możemy porozmawiać jutro, muszę tylko wiedzieć, czy możesz zacząć za dwa tygodnie. Wcześniej nie będzie takiej potrzeby, bo Caroline postanowiła wyjechać przed próbami na Bermudy.

- Oczywiście! - odpowiadam radośnie, choć odczuwam niejaką frustrację na myśl o tym, że moje marzenie nie spełni się od razu.

- Jeszcze jedno - ciągnie Suzy. - Rozumiesz, że chociaż wstępnie mówiłyśmy o okresie do Bożego Narodzenia, to jeśli zapadnie decyzja o kręceniu filmu, możesz być potrzebna na dłużej?

Kręci mi się w głowie. Wszystko dzieje się tak szybko. Praca do końca grudnia - nie ma sprawy, ale przyznam, że gdzieś pod skórą odczuwam niepokój, myśląc o tym, jak bym się czuła, gdyby w nowym roku pojawiły się jakieś propozycje grania. Od razu sama się karczę, tłumaczę sobie, że takie prawdopodobieństwo jest praktycznie żadne i że byłabym kretyn-ką, gdybym nie wykorzystała szansy, którą zesłał mi los.

- Termin jest mi znany i bardzo mi odpowiada - zapewniam z przekonaniem. - Jeśli okaże się, że będę potrzebna w nowym roku - fantastycznie.

- Doskonale - odpowiada Suzy. - W takim razie wkrótce zadzwonię, żeby omówić szczegóły.

Rozłączamy się, a ku mojemu zdziwieniu okazuje się, że Sabina nadal jest na linii.

- Jezu, Fran, mam nadzieję, że mnie przetrzymałaś, bo gadałaś z kimś ważnym.

- Dostałam tę robotę! - mówię rozpromieniona, szczerząc się od ucha do ucha.

- O, Boże. To cudownie! Gratulacje! - piszczy Sabina. - Nie trzymaj mnie dłużej w napięciu. Opowiadaj wszystko ze szczegółami. Jak była ubrana?

- W dres, ale i tak była piękna i elegancka. W żadnym razie nie wyglądała jak panienka piłkarza.

- Rany - jęczy Sabina. - A o nim mówiła?

- Nie, ale widziałam jego zdjęcia. Poza tym Carrie Annie napomknęła, że pewnie wkrótce przyjedzie, bo już kończą postsynchrony do jego najnowszego filmu.

- Postsynchrony, no tak, jasna sprawa - droczy się ze mną Sabina. - Rany, pękam z zazdrości. To będzie nieprawdopodobny odjazd.

- Wiem, wiem - przytakuję skwapliwie. W głowie mi się kręci, wszystko zaczyna do mnie docierać. Może to właśnie ten wielki przełom, na który czekałam całe życie? Niemal żałuję, że już nie jestem w Diamond PR - bardzo bym chciała zobaczyć twarz Stacey, kiedy dowiaduje się, że to ja, Francesca Massi, będę osobistą asystentką Caroline Mason.

Jadę do domu, dawno nie byłam tak szczęśliwa, z optymizmem myślę o nadchodzącym lecie. Dzięki rozmowie z Sabiną poczułam, jak to jest mieć pracę, którą inni są autentycznie zainteresowani - to wspaniałe uczucie, naprawdę wspaniałe. Wreszcie przydarzyło mi się coś wielkiego, a już wkrótce dzień w dzień będę towarzyszyć najprawdziwszym gwiazdom - i to wcale nie jako popychadło, i wcale nie jako namolny wielbiciel, tylko jako osoba stanowiąca integralną część ich życia.

Dowiem się, jak wygląda codzienność w domu Carsona Adamsa! Cóż to będzie za powiew świeżości - praca, w której faktycznie będę wykorzystywać swój mózg. Przez chwilę martwię się, czy sprostam. Muszę zadzwonić do rodziców.

Zabawne - gdyby jakiś czas temu ktoś mi powiedział, że dziś odwiedzę dom Caroline Mason, wzięłabym go za wariata, ale takie już jest życie - zupełnie nieprzewidywalne. Włączam głośno muzykę i jadę do domu, całą drogę śpiewając.

7

Dziś rano umówiłam się z Louisa, która ma mnie wprowadzić w nowe obowiązki. Nie powiem, żebym szła na to spotkanie z radością, niemniej chcę je mieć za sobą, żeby wreszcie oficjalnie zacząć nowe życie. Jestem punktualna do przesady - docieram do domu Caroline piętnaście minut przed wyznaczonym przez Suzy czasem, więc postanawiam pospacerować po okolicy. Jest wczesna wiosna, gałęzie drzew pokryte są drobnymi jak konfetti kwiatami, które drżą, muskane wiatrem.

Sąsiedztwo przywodzi na myśl opowieść o Mary Poppins, a mnie pochłania rozmyślanie o tym, który z tych domów bym kupiła, gdybym przypadkiem związała się z jakimś rosyjskim oligarchą. Wreszcie wybija dziesiąta, wchodzę po schodkach na ganek domu pod numerem czterdziestym siódmym i naciskam dzwonek. Drzwi otwiera raczej przeciętnej urody brunetka, niespecjalnie uradowana z mojej wizyty.

- Francesca, jak rozumiem. Wejdz - mówi smętnym głosem.

- Cześć - świergoczę radośnie, żeby jakoś złagodzić niezręczność sytuacji. - Louisa, prawda?

Dziewczyna odpowiada niemal niedostrzegalnym skinieniem i rozlazłym krokiem człapie przez korytarz, po czym skręca w lewo do pokoju, który okazuje się gabinetem. Jasno daje mi do zrozumienia, że nie jest w nastroju na pogawędki, więc rezygnuję z bezowocnych prób nawiązania rozmowy, co tylko wychodzi nam na dobre.

Louisa wręcza mi kalendarz, w którym zapisywała zajęcia Caroline, klucze do domu, klucze do sejf, w którym znajdują się dokumenty i karty bankowe, i w żołnierskim skrócie informuje mnie o moich obowiązkach. Nie mam nawet czasu przetrwać tych wiadomości, bo już omawia zawartość rozrzuconych po całym pokoju niezliczonych akt i segregatorów.

Pierwszy segregator.

- Dane osobiste, karty lekarskie i tym podobne. Drugi.
- Sprawy w trakcie realizacji. Kolejny.
- Różne dokumenty. Kolejny.
- Tu są sprawy, których nie zdążyłam z nią jeszcze omówić. To chyba wszystko. Aha, jeszcze sprawy priorytetowe.

Louisa wręcza mi ostatni, najbardziej wypchany segregator, a ja wpadam w panikę, bo ona już sięga po torbę i wkłada płaszcz. Ani razu nie spojrzała mi w oczy.

- Codziennie przychodzi gospodyni, Lorna. Ty pracujesz od dziesiątej aż do chwili, kiedy Caroline powie, że możesz iść do domu. Pod koniec miesiąca wypisujesz dla siebie czek i dajesz jej do podpisu. Na biurku zostawiłam notatki i klucze. Kod do alarmu masz w notatkach, więc od razu je przejrzyj.

Kiwam głową, myślę o stosach papierów, przez które muszę przebrnąć, i, delikatnie mówiąc, ogarnia mnie niepokój. Rozumiem, że sytuacja jest niezręczna, ale nie tak powinno wyglądać przekazanie obowiązków.

- O czymś jeszcze powinnam wiedzieć? - ostatni raz próbuję coś wydusić z niezawodnej Louisy.
- Tak - mówi w drzwiach.
- Świetnie. O czym?

Po raz pierwszy patrzy mi w oczy i przez chwilę sprawia wrażenie, jakby miała mi powiedzieć coś ważnego, ale najwidoczniej zmienia zdanie.

- ...Powodzenia.

I już jej nie ma.

Właśnie oficjalnie zostałam asystentką Caroline Mason.

Siadam i wpatruję się w stos papierów. Zajmę się nimi za chwilę, najpierw muszę oswoić się z otoczeniem.

Jedno trzeba oddać mojej nowej szefowej - ma doskonały gust. Ściany gabinetu są w kolorze szkarłatu, pośrodku stoi biurko - antyk z ciemnego drewna. Choć ściany są ciemne, jest nadzwyczaj widno - pokój rozświetla gigantyczne wykuszowe okno. Na ścianach wiszą obrazy, polki są zastawione pięknie oprawionymi zdjęciami. Jest cicho. Słychać tylko złowieszcze tykanie stojącego w kącie zegara.

Trochę mi nieswojo tak siedzieć samotnie w tym wielkim domu. Caroline ma niewątpliwie ogromne zaufanie do ludzi. Podchodzę do biurka, żeby przestudiować notatki Louisy. Nie dość, że jestem sama w domu Caroline, to jeszcze z tego, co mówiła Louisa, mam jej wszystkie karty kredytowe i numery PIN. To ja mam podejmować dla Caroline gotówkę i regulować wszystkie rachunki, zarówno domowe, jak i osobiste. Ta kobieta ma szczęście - mogłabym przecież okraść dom, wyczyścić jej konta i zbiec z kraju.

Z korytarza dobiega mnie odgłos przekręcanego w drzwiach klucza, zrywam się na równe nogi.

- Hop, hoop - dobiega mnie śpiewny, irlandzki głos.

- Dzień dobry - odpowiadam. To musi być Lorna - gospodyni, o której wspominała Louisa. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Wychodzę z gabinetu na korytarz.

- Pani Lorna? - pytam, podchodząc do drobnej kobiety, na oko przed siedemdziesiątką.

- Tak, złotko. A ty jak masz na imię? - mówi z silnym południowoirlandzkim akcentem, zdejmując płaszcz przeciwdeszczowy, wiążaną czapkę z przezroczystej folii - taką, jakie dołączają jako gratisy do krakersów - i całkiem odleciane różowe okulary przeciwsłoneczne, które zupełnie nie pasują do reszty jej ubioru.

- Fran.

Lorna ogląda mnie od góry do dołu.

- Minełyśmy się z Louisa. Szkoda, że już jej tu nie będzie -dopiero zaczęłyśmy się bliżej poznawać. Ale ty na pewno też jesteś bardzo miła. - Staruszka odwraca się i idzie w stronę kuchni. - Chcesz biszkopta?

Wstawię wodę.

- Nie, dziękuję. Louisa zostawiła mi tony papierów do przejrzania.

- Dobrze, skarbie. Jakbyś czegoś potrzebowała, to mnie zawołaj.

Już ją lubię.

Wracam do gabinetu i metodycznie wertuję stosy kartek. Większość z nich przysłała faksem Jodie - amerykańska asystentka Caroline i Carsona. Mam się z nią później skontaktować, a tymczasem nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pedanteria Jodie jest chorobliwa.

Co najmniej połowa papierów wydaje mi się zupełnie niepotrzebna, więc zaczynam je porządkować. Robię trzy kupki: w jednej jest to, co pewnie powinnam wiedzieć, w drugiej - to, co wydaje się ważne i czym pewnie trzeba się zająć w pierwszej kolejności, a w trzeciej - śmieci.

W stosie do wyrzucenia ładuje najdłuższa lista lekarzy, jaką kiedykolwiek widziałam. Jest absurdalna i wynika z niej, że każdą częścią ciała Caroline zajmuje się inny lekarz. W wykazie jest dentysta specjalizujący się w licówkach, okulista, dermatolog, kręgarz i tak w nieskończoność.

Po półgodzinie dociera do mnie, że życie pani Mason jest niczym globalna operacja wojskowa i że cała armia ludzi odgrywa w niej swoje niewielkie role.

Zacznijmy od Jodie, która nie ma chyba co zrobić z czasem, skoro przesała mi najrozmaitsze wykazy, na przykład listę dat urodzin przyjaciół Caroline, polecanych kwiaciarni w całej Wielkiej Brytanii i szefów sali przeróżnych restauracji. Dodajmy jeszcze, że wszystkie te listy są zalaminowane.

Steph, opiekunka Camerona. I znów Jodie przeszła samą siebie - przesłała mi kopię prawa jazdy Steph, żebym wiedziała, jak wygląda. Taka szara myszka, ale ładna, a do tego Irlandka, tak jak Lorna. Mam dane osobowe wszystkich pracowników Caroline, w tym numer ubezpieczenia gospodyni z Los Angeles, trenerów (w Anglii i Stanach), dietetyka i ogrodnika. Po co mi numer faksu ogrodnika w Stanach - nie mam zielonego pojęcia.

Caroline chce, żebym zaczęła od jutra, więc na razie postanawiam zgłębić notatki. Ale najpierw skorzystam z oferty Lorny i napiję się herbaty, jeszcze tylko obejrzę rozstawione po całym gabinecie zdjęcia. Sabina złałaby się w majtki. Są tu zdjęcia Caroline z różnych imprez, na przykład z rozdania Złotych Globów czy Nagród Tony - wygląda oszałamiająco, promiennie. Na niektórych wspiera się na ramieniu Carsona - a on? Cóż, to po prostu jeden z najpiękniejszych facetów na świecie. W ostatnim rankingu najseksowniejszych mężczyzn zdeklasował w końcu Brada Pitta, więc naprawdę nie przesadzam. Zupełnie nie dociera do mnie, że prawdopodobnie wkrótce go poznam. Jak ja dam radę? Szybko liczę zdjęcia. Dwa małe zdjęcia Camerona, trzy Carsona i dwanaście zdjęć Caroline.

Wieczorem robię wpis w pamiętniku - zapewne pierwszy z wielu dotyczących mojej nowej pracy.

*7 kwietnia
Na razie się uktada. Jutro oficjalnie zaczynam.
Aż przebieram nóżkami, żeby bliżej poznać Caroline.
Mam wrażenie, że od rozmowy kwalifikacyjnej
minęły całe wieki, ale pamiętam, że Caroline była
nieco spięta - w sumie trudno się dziwić,
biorąc pod uwagę złe doświadczenia z Louisą.
Mam nadzieję, że kiedy mnie lepiej pozna, to jej
odpuści. Z początku panikowałam, czy na pewno
dam radę, ale po dzisiejszym dniu czuję, że to będzie*

wspaniała, ciekawa, a do tego łatwa praca. W sumie co to za obowiązki? Odebrać pranie, zorganizować bankiet. Będzie super.

8

Nikt nie otwiera. Kilkakrotnie wcisnęłam dzwonek, wysłuchałam, jak przebrzmiał w środku, i nic - nikt nie podszedł do drzwi. Skwapliwie skorzystałam więc z potężnej kołatki w kształcie lwiego łba i znów nic. To mój pierwszy oficjalny dzień pracy, a ja sterczę na schodkach całą wieczność, zaczynam się denerwować i zastanawiać, czy mam raz jeszcze użyć dzwonka czy kołatki. Nie wiem, co robić, bo może Caroline już idzie mnie wpuścić, a ja nie chcę wyjść na natręta. Z drugiej strony, może nie ma jej w domu i sama powinnam otworzyć kluczem, który dostałam od Louisy? Wątpię. Suzy mówiła, że dziś nie ma prób i że Caroline na pewno będzie w domu. Łapię się na tym, że wstrzymuję oddech. Wydycham powietrze i postanawiam zastukać raz jeszcze. Po dwóch minutach, ponownym stukaniu i dwukrotnym dzwonieniu zaczynam się martwić, że może pomyliłam dni albo, co gorsza, domy, i oblewa mnie zimny pot. Cofam się o krok. Nie, to na pewno ten dom. Numer czterdziesty siódmy.

Już mam wybrać numer Suzy, kiedy dzwoni moja komórka

- Halo?

- Francesca? -Tak.

- Czemu nie otworzysz sobie kluczem?

Tracę grunt pod nogami, słysząc głos Caroline, ale szybko biorę się w garść.

- Witaj, Caroline. Przepraszam, myślałam, że pierwszego dnia nie wypada mi wchodzić jak do siebie.

- Aha - mówi Caroline. - To nie myśl. W końcu po to dostałaś klucze. Masz je ze sobą?

- Tak - odpowiadam, ale ona już odłożyła słuchawkę. Niezupełnie tak wyobrażałam sobie początek, ale staram się o tym nie myśleć i robię, co mi kazano - wchodzę.

Idę korytarzem, oddycham głęboko, zaglądam do gabinetu. Przy biurku siedzi Caroline, pochłonięta lekturą. Dałabym głowę, że czyta magazyn „Heat”, ale może się mylę. Stoję przez chwilę w nadziei, że moja szefowa podniesie wzrok. Nie robi tego, a ja uznaję, że jako potulna owieczka daleko nie zajdę, więc chrząkam. Caroline powoli podnosi głowę.

- Dzień dobry, Caroline. Bardzo przepraszam. Nie chciałam być arogancka i...

- Witaj, Francesco - Caroline przerywa moje przeprosiny i posyła mi czarujący uśmiech. - Co u ciebie?

-Ja...

- Świetnie... Chodźmy do kuchni zaplanować dzień. Caroline wstaje i przemyka obok biurka. Ma na sobie maleńki, wiązany na szyi top, jej ciało jest gibkie i opalone.

- Wyjazd się udał? - pytam grzecznie, ale ona chyba mnie nie słyszy. Nie wiem, czy powtórzyć pytanie, które nadal dźwięczy mi w uszach. Uznaję, że najlepiej odpuścić, i z lekkim rumieńcem podążam za zwawym, obleczonym džinsami Armaniego tyłeczkiem Caroline przez korytarz do kuchni, w której Lorna sprząta resztki śniadania.

- Dzień dobry, Lorno.

- Witaj, Francesco, jak miło znów cię widzieć. Przepraszam, że ci nie otworzyłam... - Lorna marszczy nos i zerka na Caroline stojącą za jej plecami, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że to Caroline nie pozwoliła mi wpuścić. Nie wiem, co zrobić z oczami, w żadnym razie nie chcę, żeby pierwszego dnia szefowa przyłapała mnie na strojeniu min, więc uśmiecham się niemrawo i modlę się, żeby Caroline nie zerknęła w naszą stronę.

- Herbaty? - pyta Lorna, skończywszy gestykulować.

- O, tak, z przyjemnością. Z mlekiem, bez cukru. Dużo bezpieczniejszy temat.

Caroline podchodzi do stołu, siada i zapala papierosa.

- Świetnie, w takim razie, Francesco, ja napiję się kawy.

- Eee... Oczywiście. Czarna czy z mlekiem? - pytam czujnie, stąpając tyłem, jak krab, w kierunku czajnika, z poczuciem, że właśnie ktoś rozłożył mnie na łopatki.

- Nie zrozumieliśmy się. Poproszę moją kawę - powtarza cierpliwie Caroline.

Przystaję. Czy ja jestem taka tępa? Mój wyraz twarzy z pewnością oddaje mój stan.

- „Starbucks”, Francesco. Codziennie rano piję kawę ze „Starbucks’a”.

Przywozi mi ją asystentka, a jeśli trzeba, podgrzewa ją w mikrofali. Bez venti quattro latte na chudym mleku z syropem orzechowym nie jestem w stanie funkcjonować.

Jestem totalnie sparaliżowana. Pieprzona Louisa.

- Ojej, strasznie cię przepraszam. Nie miałam pojęcia. Louisa słowem mi o tym nie wspominała. Mam teraz wyskoczyć czy zrobić ci rozpuszczalną i zacząć przywozić od jutra?

Usta Caroline zastygły w uśmiechu, ale wypowiada swoją kwestię bez mrugnięcia okiem.

- Przywieź mi kawę. Powiedziałam przecież - codziennie. Czuję się jak kretyńka, wybiegam z domu z płonącymi policzkami w poszukiwaniu najbliższego „Starbucks’a”.

Wieczorem leżę na kanapie, przeszczęśliwa, że Abbie jest w pracy. To nie tak, że nie mam ochoty jej widzieć, po prostu nie mam siły na rozmowę. Robię kolejny wpis w pamiętniku.

8 kwietnia

Mój pierwszy dzień w roli osobistej asystentki

Caroline Mason zaczął się raczej niefortunnie.

O ile Caroline powitała mnie z zadowoleniem,

o tyle od razu jasno dała do zrozumienia, że wszystko ma być tak, jak ona sobie życzy, kropka. Najpierw w nieskończoność dobijałam się do drzwi, aż w końcu zadzwoniła na moją komórkę i kazała mi otworzyć kluczem. Łatwiej byłoby chyba mnie wpuścić, ale może była czymś zajęta. Jej telefon zupełnie zbił mnie z tropu, czułam się jak idiotka. Chwilę później popełniłam kolejny błąd - nie przywiozłam jej kawy, co mam robić codziennie rano. Popędziłam do Starbucksa i tylko dzięki temu, że mają punkt na każdym rogu, udało mi się wrócić w ciągu dziesięciu minut - przez cały ten czas modliłam się, żebym na pewno zamówiła to, co chciała. Udało się, Bogu dzięki, zarobiłam jeden punkt. Pomimo moich potknięć Caroline zachowała spokój, choć niewątpliwie chciała jak najszybciej zabrać się do pracy. Przywiozłam kawę i ledwie zdążyłam zdjąć płaszcz, a ona już dyktowała mi listę rzeczy do zatwierdzenia. Zdaje się, że chce nadrobić stracony czas, kiedy nie miała asystentki.

W sumie pierwszy dzień był dobry, choć stresujący. Idę spać. Jestem wykończona, mam przetadowaną głowę i muszę się wyspać, żeby z zapalem rozpocząć drugi dzień pracy.

9

Drugi dzień jest podobny do pierwszego - pracowity, nieco przerażający i zaczyna się od rozmowy z Caroline, po której znów mam poczucie, że nawalam. Początek tej rozmowy nastąpił, kiedy byłam w toalecie, właśnie zrobiłam siku i jeszcze siedziałam na sedesie. Coś mnie tknęło, żeby zabrać

ze sobą telefon. Caroline dzwoni z teatru i nawet nie sili się na uprzejmości.

- Niech Lorna przygotuje mi lunch - sałatkę z rukoli, rzeżuchy, granatów i orzechów włoskich. Osobno chcę kawałek pieczonego kurczaka na zimno.

- Oczywiście - odpowiadam, w pośpiechu podciągając majtki. Muszę natychmiast znaleźć długopis, więc nie mam nawet czasu się podetrzeć.

- Przyjedziesz na lunch do domu? - pytam, pędząc do gabinetu. Łapię długopis i zaczynam notować: kurczak, rukola, rzeżucha...

Caroline wzdycha.

- Nie, Francesco. Nie wyjdę w połowie próby, bo akurat mam ochotę zjeść w domu.

.. .granaty, orzechy włoskie.

No, dobra. Nic nie rozumiem. To dopiero mój drugi dzień, a co krok zgadywanka.

- Schować sałatkę do lodówki na jutro? - pytam.

Caroline wzdycha w sposób, który daje mi do zrozumienia, że nie tylko powiedziałam nie to, co trzeba, ale na dodatek palnęłam straszliwą głupotę.

- Nie. Ja rozumiem, że w powszechnym mniemaniu aktorki stale się głodzą, Francesco, ale jeśli mam czekać do jutra, to padnę z wycieńczenia. Lorna robi lunch, a ty zamówisz rowerzystę, żeby na pierwszą mi go dowiózł.

- Oczywiście - odpowiadam, myśląc, że chyba raczej przesadza z tą troską o środowisko.

- Normalnie sama byś mi go przywiozła, ale musisz poszukać pościeli do domu na Bermudach. Zadzwoń do gosposi i dowiedz się, jaką pościel mamy teraz, bo ma być dokładnie taka sama, tej samej firmy, tylko nowa...

Lista sprawunków ciągnie się w nieskończoność, mam ich tyle, że w najbliższej przyszłości na nic nie starczy mi czasu, a do tego jest jeszcze lista spraw, których nie udało mi się załatwić wczoraj; na dodatek bez przerwy dzwoni moja

komórka. Wydzwania do mnie cała rzesza, która w niepojęty dla mnie sposób od wczoraj zna mój numer.

- Cześć, mówi Leticia, przyjaciółka Cas. Organizuję lunch pod hasłem wspierania kobiet w przemyśle filmowym, chciałam sprawdzić, czy Caroline na pewno będzie...

- Cześć, tu Claus, trener głosu pani Mason. Muszę się z nią umówić...

- Cześć, mówi Ralph Fiennes. Jestem w mieście, chciałbym umówić się z Caroline na lunch. Kiedy jest wolna?

Nie powiem, ten ostatni telefon mocno mnie ożywił.

Na te wszystkie rozmowy tracę mnóstwo czasu, a do tego przez nie lista sprawunków stale rośnie, więc postanawiam zakasać rękawy i wziąć się do pracy - jestem zdecydowana jak najwięcej załatwić i zrobić na Caroline wrażenie. Po kilku godzinach trafiam jednak na niemożliwą do pokonania przeszkodę.

Za dwadzieścia pierwsza dzwonię do Caroline - spodziewam się, że będzie miała wyłączony telefon i że zostawię jej wiadomość. Ale ona odbiera.

- ...chwilczkę, skarbie. Dzwoni moja asystentka. To zajmie tylko sekundkę - szczebiocze słodko, po czym syczy do mnie: „Co?!”.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że lunch jest już w drodze.

- Tego bym się, psiakrew, spodziewała.

- I jeszcze jedno. Pościeli, którą chciałaś kupić na Bermudy, już nie produkują. Jest za to bardzo podobny wzór, więc...

- Nie rozumiem. Czego tu nie rozumieć?

- Wycofali ją z produkcji. Wydrukowałam ci zdjęcie nowego wzoru, żebyś mogła...

- Za słabo się starasz, Francesco - mówi lodowatym tonem. - Dobrze wiesz, o co cię prosiłam. Bardzo mnie rozczarowałaś. Asystentka ma być aktywna, przedstawiać rozwiązania, a nie mnożyć problemy. W ogóle się nie przyłożyłaś.

Skoro mówię, że potrzebny mi konkretny wzór pościeli, to nie robię tego dla własnej przyjemności...

Nie wierzę własnym uszom. Obrażanie się za pościel wydaje mi się strasznie niesprawiedliwe i nie bardzo mogę pojąć, dlaczego robi z tego taką aferę.

- Zrozum, Francesco, że ktoś tak zajęty jak ja najzwyczajniej nie ma czasu wysłuchiwać czyichś „nie”, a tym bardziej zмагаć się z czyjąś negatywną energią...

Caroline może niezupełnie wbija posłańca na pał, ale z pewnością zagaduje go na śmierć, a skoro wyłuszczyła,

O co jej chodzi, to niech się wreszcie rozłączy, bo ja mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. A może powinnam spojrzeć na to inaczej: jeśli zależy mi na tej pracy, a wiemy, że tak jest, to niechże się wreszcie zajmę tym, co polecono mi zrobić (wyobrażam sobie, że tak właśnie pouczyłaby mnie Caroline).

Odkładam inne sprawy na później i większość dnia spędzam, wisząc na telefonie z pracownikiem biura fabryki w Mediolanie, która kiedyś tę pościel produkowała. Łamanym włoskim błagam go, żeby wznowili linię pościeli wycofaną przed pięciu laty, co (oczywiście) okazuje się bezcelowe,

i sama już nie wiem, kto wziął mnie za większą wariatkę: Lu-igi z Mediolanu, czy mój ojciec, którego zameczałam z pracy telefonami, żeby mi podpowiedział parę włoskich zwrotów, bo sama nie mogłam sobie poradzić. Wstyd mi strasznie, bo zapomniałam niemal wszystko, czego ojciec nauczył mnie po włosku w dzieciństwie, zostały mi tylko jakieś strzępy wiedzy: umiem spytać, gdzie jest dyskoteka i poprosić o kilogram brzoskwiń, ale akurat to jest mi w tej chwili zupełnie niepotrzebne.

Marnuję resztę dnia na wyszukiwaniu w Google'u stron internetowych producentów pościeli na całym świecie i właśnie stwierdzam, że mam dość i że czas się poddać, kiedy nagle dzwoni Radź. Jestem do tego stopnia mile zaskoczona, że ogarnia mnie przemożna ochota go zobaczyć, więc namawiam go, żebyśmy spotkali się u mnie za trzy kwadranse.

Godziny szczytu dawno minęły, siedzę sama w wagonie metra. Zamartwiam się, jak powiedzieć Caroline, że nawaliłam w sprawie pościeli. Wieczorem prosto z próby poszła na kolację ze swoją przyjaciółką Leticją, więc dzisiaj mi się upiekło, ale już nurtuje mnie konieczność przyznania się do porażki nazajutrz. Jestem wypruta. Żeby się nauczyć, jak robić wszystko zgodnie z zamysłem Caroline, muszę zapamiętywać mnóstwo szczegółów - głowę mam koszmarnie skołowaną, bo mój mózg nie musiał się tak wysilać od lat. Ale w sumie nie boję się wyzwania, tylko się z niego cieszę. Po prostu zmiana rutyny to szok dla organizmu, a ja przez ostatnie lata pracowałam w ślimaczym tempie. No i martwi mnie, że jeszcze nie przekonałam do siebie Caroline. Czuję się tak, jakbym zdawała egzamin, a ona tylko czekała, aż obleję. Ale może jest po prostu nieufna, bo te wszystkie asystentki okazały się do bani (dziś przez telefon faktycznie rozmawiała ze mną pokrętnie, ale nie mam głowy zastanawiać się czemu). Trochę mi przykro, bo to byłaby wymarzona praca, gdyby tylko Caroline była trochę miłsza i spokojniejsza. Tymczasem ona zachowuje się jak udzielna księżna i wyznacza jasną granicę między szefem a podwładnym. Może jestem niepoprawną optymistką, ale czuję, że jeśli się postaram, jeśli ona nabierze do mnie choć trochę zaufania, to może się rozchmurzy i straci maniery właścicielki niewolnika.

Docieram pod dom, a tam już czeka na mnie Radź. Tak się cieszę, że go widzę. Dwadzieścia minut później siedzimy na kanapie, rąbamy jajecznicę, trzymając talerze na kolanach (ale na tackach!) i usta nam się nie zamykają: dzielimy się wszystkim, co nam się przydarzyło od czasu naszego ostatniego spotkania. Podczas tej rozmowy coś mnie lekko rozprasza, ale nie potrafię tego sprecyzować. Wiem tylko, że coś się w Radżu zmieniło. Tak pewnie czuje się mój ojciec, kiedy matka wraca od fryzjera. Już wiem.

- Radź?

- Co, Fran?

- Nie jesteś na haju.

-Aż tak widać? - pyta lekko zawstydzony. - Dostawałem paranoi. No i któregoś dnia zostawiłem paszport w biurze podróży, potem, robiąc sobie coś do żarcia, prawie spaliłem matce dom, a na dodatek zdawało mi się, że atakuje mnie pająk olbrzym - to wszystko w przeciągu zaledwie trzech godzin. No i postanowiłem z tym skończyć.

- Aha - stękam z rozwąga. - Jak by ci to powiedzieć, nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam cię na trzeźwo, a to pewnie znaczy, że dobrze zrobiłeś.

Radź kiwa głową, jego abstynencja nagle staje się oczywista. Potem, najwyraźniej nie chcąc już dłużej analizować swojego stanu ani rozwodzić się nad grzechami przeszłości, zmienia temat.

- Jak tam nowa praca?

Opowiadam Radźowi, czym zajmuję się przez cały dzień, odgrywam scenę z kawą, parodiując Caroline, a Radź pęka ze śmiechu. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że to komiczna opowieść, a rozbawienie słuchacza jest dla mnie wspaniałą nagrodą, dostaję skrzydeł. Dziesięć minut później Radź wciąż się zaśmiewa, wysłuchując moich perypetii z telefonowaniem do Mediolanu, a ja myślę sobie, że muszę te historie spisać, żeby na pewno ich nie zapomnieć. Minęły dopiero dwa dni, a ja mam tyle do opowiadania. Jestem z siebie dumna.

10

Mam cudowne poczucie wyrwania się z wygodnictwa, w którym tkwiłam zbyt długo, przez kolejne dwa tygodnie towarzyszy mi jakiś rodzaj pochmurnej ekscytacji wywołanej tym, że wreszcie dla odmiany pracuję tak ciężko i tak długo, a dni mijają jak z bicza strzelił.

Życie pani Mason pochłania mnie bez reszty, z rodziną i przyjaciółmi kontaktuję się wyłącznie przez telefon. Rzadko mam czas naskrobać coś w pamiętniku, ale kiedy znajduję chwilę, tematów mi nie brakuje.

28 kwietnia

Powoli przyswajam prawidła skomplikowanego życia mojej szefowej i powoli zaczynam ją poznawać. Caroline niewątpliwie budzi respekt. Kiedy ma dobry humor, można o niej powiedzieć, że to kobieta, która wie, czego chce, za to kiedy ma gorszy dzień, moja praca zamienia się w piekło. Wiem, że aktorki tak mają, więc staram się przyjmować tę pracę z dobrodziejstwem inwentarza. Caroline Mason ma nieznośne wady, ale jest bez wątpienia kobietą inteligentną - myślę, że nawet kiedy trzyma mnie krótko, to z pewnością zdaje sobie sprawę z tego, że nieśluszenie wytladowuje na mnie swoją frustrację. Czy ta świadomość jej doskwiera - tego jeszcze nie wiem. Czasem bywa zwyczajnie grubiańska i chociaż w żaden sposób jej to nie usprawiedliwia, obserwując ją na co dzień, widzę, że nie dostaje za to po nosie. Coś mi się wydaje, że wmówiła sobie, że humory są efektem ubocznym temperamentu i że są dla artystki czymś tak naturalnym, jak wytladowywanie się na pracownikach. Nie muszę chyba dodawać, że mam na ten temat zupełnie inne zdanie.

Mimo to gdzieś w głębi nadal czuję, że jest szansa, żebym została może nie jej przyjaciółką, ale osobą zaufaną. Jeszcze nie przekonałam jej do siebie na tyle, ale daleko mi do tego, żeby się poddać.

Następnego dnia o wpół do jedenastej siedzę z Caroline na tylnym siedzeniu samochodu. Kierowca wiezie nas do teatru.

Wpisuję trzydziestą czwartą pozycję na liście sprawunków: kupić mleczko i płyn do demakijażu oczu Lancôme (jasno-, nie ciemnoniebieski).

- Potem zadzwoń do banku i powiedz, żeby mi przelali pięć tysięcy funtów na bieżące konto.

Pozycja trzydziesta piąta... Zaraz, zaraz. Podnoszę wzrok.

- A ja nie potrzebuję upoważnienia? Caroline wygląda na poirytowaną.

- Psiakrew. Pewnie tak. Dobra, zadzwonię do banku i dam ci pełnomocnictwo.

Myślę sobie, że skoro i tak zadzwoni do banku, to mogłaby sama zlecić przelew, ale roztropnie milczę. W ciągu ostatnich dwóch tygodni przekonałam się, że aktorki nie przepuszczą żadnej okazji, która uzasadnia konieczność wykonania bezsensownego telefonu. Na przykład często dostają takie polecenia:

- Zadzwoń do asystentki pana Harrisa, powiedz, żeby do niego zadzwoniła i powiedziała mu, żeby do mnie zadzwonił.

- Jaki jest numer asystentki?

- Nie wiem. Dam ci numer pana Harrisa, zadzwoń i poproś.

Wiem, wiem, wiem. Ale w końcu jeśli ktoś płaci za luksus posiadania osobistej asystentki, która zrobi za niego wszystko, to musi też się sporo natrudzić, żeby wymyślać jej kolejne zadania. Rozumiecie?

- Kup mi dwa kartony papierosów i skocz do „Harvey Nicks” po tę kawę, którą lubię. Kup cztery puszki.

Posłusznie notuję. Cztery puszki. Chryste, nic dziwnego, że chodzi taka nabuzowana. Zakup napoi z wysoką zawartością kofeiny od początku stanowi motyw przewodni mojej pracy - czasem wydaje mi się, że Caroline szukała przede wszystkim kogoś, kto zaopatrywałby ją w kawę. Doszłam nawet do wniosku, że swój sukces finansowy „Starbucks” zawdzięcza przede wszystkim Caroline Mason.

- Terry, zatrzymaj się przy „Starbucksie” - prosi kierowcę Caroline.
Ależ wybrała sobie moment.

Siedzę na tylnym siedzeniu, zmiażdżona przez torby, ubrania do pralni i zestaw talerzy. Mam je zwrócić w „Har-rodzie”, a przy okazji kupić dwanaście zestawów pościeli -niemal identycznej jak ta, której zażądała na początku. Długo trwało, zanim zdołałam ją przekonać, że tamten wzór naprawdę jest nie do zdobycia, ale wreszcie stwierdziła, że „ostatecznie może być ta”. Po chwili samochód staje, odkładam notes i usiłuję wydostać się z samochodu, żeby zamówić jej napój o koszmarnie skomplikowanej nazwie. Dzwoni moja komórka - to Kenneth, odpowiedzialny za kontakty z mediami. Caroline czeka w samochodzie, paląc papierosa. Odbieram telefon i wysłuchuję paplaniny o jakiejś zaplanowanej sesji dla działu mody „Sunday Times”. Mam rozmowę na drugiej linii. Sięgam po zamówioną kawę i odbieram drugą rozmowę. To Caroline dzwoni z samochodu.

- Kup mi jeszcze osiem pudełek gum, a potem dopisz do listy nowe skarpetki sportowe. Zadzwoń do mojego trenera i powiedz, że muszę przełożyć spotkanie...

Staram się słuchać i wszystko spamiętać, sięgam po pieniądze, trzymając kawę i osiem pudełek gum - to trochę zbyt ambitne. Przytrzymując telefon brodą, napieram na ciężkie, szklane drzwi i w tej właśnie chwili wszystko wypada mi z rąk. Zalewam się kawą, parzę sobie rękę. Caroline obserwuje mnie z okna samochodu, ale powieka nawet jej nie drgnie. Podbiega do mnie kierowca, Terry, z nawilżanymi chusteczkami.

- Wszystko w porządku? Chyba mocno się poparzyłaś. Prawda jest taka, że potwornie pieką mnie ręce, ale wiem od dawna, że wstyd tłumi ból. Caroline uchyla okno.

- Z tej kawy to już raczej nic nie będzie. Zamów mi drugą, taką samą, tylko frappe. Gorąco dziś.

Ręce pulsują mi z bólu, pędzę z powrotem do „Starbuck-sa”. Nie pamiętam, kiedy byłam tak spięta i zestresowana.

Na ironię zakrawa fakt, że początkowo uznałam Jodie za pedantyczną neurotyczkę; teraz już wiem, że ta koszmarna skrupulatność nie wzięła się znikąd. Zupełnie nie miałam racji, sądząc, że przekazała Louisie stosy papierzysk dla złośliwej satysfakcji - zrobiła to tylko dlatego, że Caroline oczekuje od wszystkich swoich pracowników, że będą na wyrywki znali każdy szczegół jej życia. Nie muszę chyba dodawać, że stos papierów, które uznałam za śmieci, okazał się nadzwyczaj przydatny, a jeśli czegoś nie jestem pewna albo nie wiem, jak rozumieć polecenia Caroline, to zdaję się na Jodie - moją wybawicielkę. Dzwonię do niej codziennie, gdy tylko w Nowym Jorku wybija ludzka godzina, i - szczerze mówiąc - bez jej pomocy i bez herbatek z Lorną chyba nie dałabym rady.

Wsiadam do samochodu, podaję Caroline frappe. Sięga po kubek, jedziemy dalej.

Przynajmniej za jedno należy się Caroline dobre słowo: sprawnie i dogodnie aranżuje nasze spotkania. Wczoraj zapowiedziała, że dziś rano spotkamy się u niej w domu i razem pojedziemy do teatru, bo mamy więcej niż zwykle do omówienia, a poza tym przed próbą ma wywiad dla „Standardu” i chce, żebym uczestniczyła w spotkaniu z dziennikarzem. Tak właśnie wyobrażałam sobie tę pracę, więc bardzo się ucieszyłam - tym bardziej że mogę obejrzeć próbę, co oznacza, że na własne oczy przekonam się, jak pracuje jeden z najśłynniejszych brytyjskich reżyserów teatralnych, sir Richard Brocklebank. Teraz jednak, gdy lista sprawunków przybiera rozmiary epepei, zaczynam się zastanawiać, jakim cudem dziś po południu zdążę wszystko załatwić.

Zerkam z boku na moją dziwną szefową. Rozpuszczone włosy opadają jej na ramiona, wygląda olśniewająco, ale wystarczy uważniej się przyjrzeć, żeby dostrzec zaciśnięte usta i dumnie uniesiony, zadarty nos, co ujmuje jej atrakcyjności. Dzwoni jej komórka.

- Co u ciebie, kochanie? - wydziera się do słuchawki z aktorską egzaltacją, no, ale w końcu jest aktorką. - Co mówisz? Słabo cię słyszę... O, już lepiej. Przyjedziesz na moje urodziny, skarbie? Naprawdę? Cudownie. Pewnie wynajmę penthouse w „Met” albo „Browns”, albo wymyślę jakieś inne miejsce, gdzie będzie można swobodnie się pobawić... Wspaniale. Tak, będzie Carson i ci, co zawsze, Leticia i tak dalej... Ta ździra? Skąd! Niech się trzyma z daleka. Aha, Carson robi z Julią promocję *Reportera*, tego nowego filmu, więc ona też będzie... Dobrze, kochanie, zadzwoń niedługo. Ciao, ciao.

Zdecydowanym ruchem zatrzaskuje klapkę telefonu i wzdycha z zadowoleniem. Jak widać nawet gwiazdy filmowe w pewnym wieku cieszą się imprezami urodzinowymi. Tylko że to nie będzie spotkanie paru osób w „Pizza Express”. Chłonę każde słowo Caroline, żeby potem ze szczegółami opowiadać o niej przyjaciółkom. Wysłuchiwanie tego, co u mnie, sprawia im jakąś nadzwyczajną przyjemność, a dowiadują się głównie od Abbie, bo ja albo nie mam czasu, albo siły na spotkanie. W głębi ducha strasznie rajcuje mnie rola dostawcy wieści o życiu pewnej sławnej osoby. To smutne, ale prawdziwe.

Po kilku minutach dojeżdżamy do teatru. Caroline zostawia wszystkie torby w samochodzie, więc zakładam, że nie będą jej potrzebne. Idę za nią tylnym wejściem, potem brudną klatką schodową do zupełnie niewytwornego pomieszczenia. Siedzi tam kilka osób - czytają, piją herbatę, rozmawiają. Rozpoznaję trzech aktorów, których widziałam w jakichś filmach. Jestem podekscytowana.

- Cześć, Cas - mówi gość, którego niedawno widziałam w reklamie, choć nie pamiętam w jakiej. Na pewno widziałam go w czymś jeszcze. Jest po czterdziestce, wysoki, z lekkim brzuszkiem. Ma ciemne włosy i brodę. Bezskutecznie usiłuję przypomnieć sobie jego nazwisko. Uśmiecham się do niego, a on odwzajemnia uśmiech, tymczasem Caroline

ignoruje go i gestem wskazuje mi, żebym usiadła obok niej po drugiej stronie sali.

Szepcze do mnie, ledwie otwierając usta, tak że tylko ja ją słyszę: „Nie cierpię, jak ktoś, kto mnie nie zna, zwraca się do mnie inaczej niż Caroline”.

Ten komentarz na stronie traktuję jak gigantyczny postęp. Oto przeskoczyliśmy z uprzejmych wymian zdań i rozmów o pracy na znacznie bardziej rozrywkowe forum plotek i żartów. Muszę to wykorzystać.

- Racja, coś strasznego - przytakuję, kiwając głową z nabożeństwem.
- Francesca, gdzie moje torby? - tym jednym pytaniem Caroline całkiem burzy mój radosny nastrój.

- W samochodzie - odpowiadam.

- A dlaczego, do jasnej cholery, nie tutaj? Są mi potrzebne. Leć.

Nienawidzę siebie za to, że oblewam się rumieńcem, przeskakuję po dwa schodki, mrużąc do siebie pod nosem. Wybiegam na dwór, powietrze ochładza mi twarz.

- Wszystko w porządku, skarbie? - pyta Terry.

- Tak, tylko zapomniałam toreb.

- Ojej, przepraszam - mówi Terry ze skruchą. - To moja wina. Zwykle ja je zanoszę, ale myślałem, że skoro dzisiaj z nią jesteś... - urywa, zawstydzony.

Uspokajam go.

- Wyluzuj, Terry, to chyba nie należy do twoich obowiązków. W sumie to sama mogła je wziąć.

Ups. Po raz pierwszy otwarcie skrytykowałam Caroline. Zaniepokojona czekam na reakcję Terry'ego, ale widzę, że wszystko gra - uśmiecha się szeroko i chichocze.

- Leć już, zanim wyśle ekipę poszukiwawczą.

Terry właśnie podaje mi ostatni pakunek, uważając przy tym, żeby nie pognieść ubrania w worku, przewieszzonego przez moje ramię jak toga, kiedy dzwoni moja komórka. Oboje wybuchamy śmiechem, bo nie musimy zerkać na

ekran telefonu, żeby wiedzieć, kto dzwoni, i w tej jednej chwili zostajemy kumplami. Terry wyjmuję mi telefon z kieszeni i przystawia do ucha.

- Już idę, Caroline. Mam wszystko... Nie zapadłam się pod ziemię.

Docieram do sali, dysząc ciężko, obwieszona Marnotami, ale przecież Madame nie ruszy się, żeby mi pomóc. Dziś włożyła dzinsy Rock and Republic, kamizelkę i odlotowe ponczo, ale najwidoczniej popełniłam grzech śmiertelny, uważając, że w tym ubraniu spotka się z dziennikarzem.

- Myślałaś, że po co zabrałam torbę z ubraniami? Dla hecy? - warczy na mnie, kiedy przekładam rzeczy na wieszak w kącie sali. - Wydaje ci się, że dobór garderoby i kreowanie wizerunku to błahostka?

Mniej więcej w połowie ochrzanu do Caroline dociera, że pozostali aktorzy słyszą każde jej słowo, więc raptem usiłuje zmienić ton, żeby jej pytania zabrzmiały lekko i miło. Może i jest jedną z najbardziej znanych aktorek na świecie, ale ten numer jej nie wychodzi. Aktor, którego wcześniej nie mogłam rozgryźć - już wiem: grał w *Heartbeat* i ma na imię Jeremy - zupełnie nieroztropnie postanawia dorzucić swoje dwa grosze.

- Luzuj, Cas, masz chyba ważniejsze sprawy na głowie niż ciuchy.

Richard chce dziś powtórzyć naszą wspólną scenę. Od tego zaczynamy.

W tej chwili robi mi się Jeremy'ego ogromnie żal.

Caroline bardzo powoli obraca się na pięcie, posyła mu niewiarygodnie pogardliwe spojrzenie, a przy tym powoli i wyraźnie, głosem tak zimnym, że niemal przechodzą mnie ciarki, mówi:

- Możesz mi wierzyć, Jeremy, że nasza wspólna scena martwi mnie dużo bardziej, i to z wielu powodów. A co do luzowania, to jest szansa, że się odprężę, jak wreszcie zadasz sobie trochę trudu, żeby zapamiętać moje zasrane imię. Dla twojej wiadomości, brzmi ono Caroline.

- No tak, ja tylko...

- Nie „Cas”. Caroline.

- Jasne, ale...

- Sądząc po naszej ostatniej próbie zapamiętywanie kwestii nie jest twoją mocną stroną, ale z pewnością wbicie sobie do głowy jednego imienia nie powinno nastęczyć większych trudności nawet tobie, prawda?

Następuje pełna osłupienia, kłopotliwa cisza. Jeremy (wreszcie) stracił język w gębie, ja wpatruję się w podłogę, jakby był to najbardziej fascynujący widok, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać. Jedną z aktorek, która najwidoczniej nie może znieść napięcia, chrząka i wymyka się z sali. Inni coś mruczą, idą po herbatę i też dają nogę. Reszta stoi jak rażona gromem, a cała ta sytuacja nie mogłaby być bardziej niezręczna, chyba że rozległby się teraz dźwięk kościelnych dzwonów albo płacz dziecka. Ukradkiem zerkam na Caroline i ze zdumieniem stwierdzam, że bez wątplenia straciła pewność siebie. Najwyraźniej dotarło do niej, jak to zabrzmiało, i że nawet wedle jej standardów wyprowadziła zespół z równowagi trochę za wcześnie.

Nagle zaczyna świergotać.

- Ojej, Jeremy, nie rób takiej zdziwionej miny. Nie znasz się na żartach? - mówi z wymuszonym uśmiechem.

Jeremy nie wie, jak się zachować, stoi przez chwilę jak wryty, zupełnie spłoszony. Po chwili pojmuję, czego Caroline się teraz po nim spodziewa, i szybko się ożywia.

- Ha, ha, dobry dowcip, Caroline, naprawdę dobry - mówi z wymuszoną radością, a pozostali wydają z siebie westchnienie ulgi. - Od tej chwili żadnych zdrobnień, tylko Caroline - wypala, a po chwili, jakby po namyśle dodaje: - Koniec z czułymi słówkami. Cas oficjalnie przestała istnieć. Tak jest, proszę pani - Stuka obcasami jak Herr Commandant. Przesadził, myślę sobie z żalem.

Sztuczny uśmiech Caroline znika tak szybko, jak się pojawił.

Próba jest absolutnie porywająca, w tej chwili jestem gotowa sądzić, że mam najlepszą pracę na świecie. Pyskają myśli o zakupie skarpetek sportowych i odwożeniu naczyń do „Har-rodza” - całą moją uwagę pochłania magia, którą sir Richard Brocklebank roztacza nad aktorami biorącymi udział w próbie. To scena miłosna, stanowiąca integralną część scenariusza, a ja muszę przyznać, że kunszt Caroline jest oszałamiający. Przemyka po scenie w tunice Missoni i roztacza swój urok w tym obskurnym pomieszczeniu, w którym granice sceny zaznaczono na podłodze taśmą. Wygląda eterycznie, nieziemsko i tak właśnie ma się prezentować, czyli - powiedzmy sobie szczerze - kreuje wizerunek skrajnie odmienny od osoby, którą jest w rzeczywistości. Jeremy, który gra jej ukochanego, nie sięga jej do pięt, choć pod czujnym okiem reżysera stale robi postępy. Wątpię jednak, aby kiedykolwiek dorównał Caroline Mason; jego gra naprawdę pozostawia wiele do życzenia. Widz ma być przekonany, że tę parę łączy szalona, namiętna miłość i że ukochana czuje się bezpieczna tylko w towarzystwie swojego mężczyzny. Niestety gołym okiem widać, że ona mogłaby go rozgnieść na miazgę; jej gra jest wyrazista, lecz subtelna, jego - obcesowa i przyziemna. Podejrzewam, że skoro ja to wyczuwam, to tym bardziej musi być tego świadomy Richard Brocklebank, ale może się myłę - zauważyłam, że tylko dwa razy z niepokojem drapie się po bródce, poza tym wydaje się opanowany i sprawia wrażenie, że wszystko ma pod kontrolą. Po każdej większej scenie dialogowej robi przerwę i dokładnie omawia grę z aktorami: krytykuje nadzwyczaj umiejętnie, nie wystawiając na szwank ich kruchych ego. Reżyser zachęca pozostałych aktorów, aby dzielili się spostrzeżeniami, a kiedy jeden z młodszych członków zespołu ma czelność konstruktywnie skrytykować Caroline, ona posyła mu lodowate spojrzenie.

Aktorzy uwielbiają te dyskusje, zwłaszcza Caroline, która co jakiś czas odciąga Richarda w kąt i tam prowadzi z nim ożywione, szeptane rozmowy, podczas gdy reszta stoi wokoło i popija kawę. Założę się, że głównym tematem tych rozmów jest biedny Jeremy - zupełnie nieświadomy swoich niedostatków i tego, jak bardzo irytuje Caroline. Szczerze mówiąc, trudno jej się dziwić - widząc, jak gra na żywo, nabrałam dla niej ogromnego szacunku. Ale trzeba też przyznać, że przeistacza się na powrót w siebie w mgnieniu oka. W jednej chwili leży na podłodze, płacząc i zawodząc, załamując ręce z rozpacz, a w drugiej podbiega do mnie i mówi: „Trzeba coś zrobić z moim iPodem. Nie działa tak jak trzeba” albo „Gdzie ta cholerna dziennikarka? Już powinna tu być. Natychmiast zadzwoń do Kennetha, bo masz na dziś całe mnóstwo spraw, a możesz wyjść dopiero po wywiadzie”. Mnie tam spóźnienie Lindy Myles jest bardzo na rękę, ale wymykam się z pokoju i dzwonię do obleganego publicysty Kennetha, który ma taki głos, jakby za chwilę miał przyplącić stres zawałem serca.

- Jak to jej nie ma?! - wykrzykuje tuż po moim ostatnim słowie.

- No, jeszcze nie ma.

- Szlag. Dobra, za chwilę oddzwonię. Co ona na to? Bardzo się wściekła?

- pyta przerażony.

- Nie jest źle. Nie przejmuj się, to nie twoja wina - pocieszam go, bo nie chcę być odpowiedzialna za jego zawał. Prawda jest taka, że jeśli dziennikarka wkrótce się nie zjawi, Caroline zacznie kipieć z wściekłości. Nawet ja wiem, że to dziennikarze mają czekać na aktorów, a nie na odwrót. Kenneth oddzwania.

- Ta jej gówniara rozchorowała się w szkole. Pojechała po córkę i będzie za dwadzieścia minut - mówi, zachłystując się śliną. - Co ja mam zrobić?

- Wszystko jej wyjaśnię - odpowiadam przytomnie. - Chore dziecko, na pewno zrozumie.

Caroline w ogóle nie rozumie.

- A co mnie to obchodzi, że się dzieciak rozchorował? Przecież to, kurwa, nie mój problem - syczy na mnie Caroline w kącie sali, tak żeby nie słyszał jej Richard Brocklebank. -Gdzie jest Kenneth? Natychmiast mnie z nim połącz.

Ocieram twarz z jej śliny i z ciężkim sercem wystukuję numer Kennetha, nieświadomego, że właśnie w tej chwili spływa na niego łaska pańska: oto wpada Linda Myles - publicystka z „Evening Standard”. Wbiega zdyszana, od razu robi mi się jej żal.

- Dzień dobry, pani Mason. Najmocniej przepraszam za spóźnienie, zupełnie nagle córka mi się potwornie rozchorowała. Wiem, że pani to doskonale zrozumie, sama jest pani matką.

Uśmiecham się. Ładne zagranie, Linda Myles ma trochę oleju w głowie. Pani Mason też nie jest głupia i dobrze wie, kiedy grać osobę o nieodpartym uroku.

- Ależ oczywiście - cedzi słowa z rozmysłem. - Bardzo pani współczuję. Jak się czuje córka?

- Ma zapalenie migdałków. Teraz siedzi z babcią, a ja mam nadzieję, że uda mi się ją umówić... - dziennikarka przerywa w pół słowa, gdy tylko uświadamia sobie, że Caroline ma zdrowie jej dziecka głęboko gdzieś. - Gdzie możemy porozmawiać?

- Proszę za mną - warczy moja szefowa, po czym długim krokiem wychodzi z pokoju, nie obejrzawszy się, czy kobieta idzie za nią.

Linda zerka na mnie i uśmiecha się ze współczuciem. Po chwili, jak ktoś, kto zupełnie bez entuzjazmu wykonuje zawód polegający na prowadzeniu wywiadów z diwami, przewraca oczami, po czym obie zdążamy posłusznie śladem Caroline.

Kilka dni później, pewnego sobotniego poranka, siedzę w domu, w kuchni, radośnie skrobiąc w pamiętniku.

3 maja

Zaczęłam pisać na komputerze „Pamiętnik osobistej asystentki”. Opisuję oczywiście własne doświadczenia, ale trochę koloryzuję, żeby dodać im pikanterii. Po całym dniu wypełniania rozkazów ta pisanina działa na mnie terapeutycznie. Pierwszy rozdział jest o tym, jak asystentka goni w piętkę, żeby ze wszystkim zdążyć na czas, zupełnie jak ja. No i uczę się na błędach: jestem bardziej dyskretna - nazywam aktorkę panią M. A skoro o tym mowa, to może i w pamiętniku powinnam ograniczyć się do inicjału.

W powieści będę mogła wylać na szefową wszystkie żale, a skoro będę na niej wzorować postać fikcyjną, to muszę zachować ostrożność: pani M. będzie miała córkę, a nie syna, i męża, pana X.

Nie mogę się doczekać, żeby zasiąść do pisania, a ponieważ mam wiadomości z pierwszej ręki, to z pewnością nie zabraknie mi inspiracji. Poza tym z powodu całkowitego braku życia towarzyskiego nie miałabym teraz jak pisać o czymś innym. Pod koniec dnia zwykle padam na nos i jeśli w ogóle mam ochotę do czegoś się zabrać, to tylko do pisania, zatem wszystko się na to składa. Nie mam nawet ochoty podnieść słuchawki i zadzwonić do którejś z przyjaciółek, bo niemal cały dzień wiszę na telefonie. Ella i Sabina mają mi pewnie za złe, że tak nagle znikam. Dobrze wiem, że musiały zbyt długo czekać na dzisiejszy lunch.

Odkładam długopis, ziewam i rozważam wypicie kolejnej filiżanki herbaty. Jestem w jakimś koszmarным letargu -chyba wreszcie dopadły mnie skutki podekscytowania i stresu ostatnich kilku tygodni. Pracuję od miesiąca i wydaje mi się, że idzie mi całkiem nieźle. Z każdym dniem doskonałą umiejętność przewidywania potrzeb Caroline, a ponieważ wreszcie dotarło do mnie, że nadmierna wydajność działa na moją szkodę, to mam za sobą może i niewielki, ale jednak przełom.

Z początku stawiałam na głowie, żeby załatwić wszystkie sprawy na liście, ale za każdym razem, gdy informowałam Caroline, że wywiązałam się ze swoich zadań co do joty, ona, zamiast okazać zadowolenie, wydawała się rozdrażniona; ja spodziewałam się pochwały, a ona odbierała moją produktywność niemal jak prowokację. Im więcej udało mi się załatwić, tym więcej spraw zlecała mi na następny dzień - w końcu doszło do tego, że chcąc się ze wszystkiego wywiązać, pracowałam codziennie do dziesiątej, jedenastej w nocy. Kilka dni temu doszłam do kresu - siły mnie opuściły i ogarnęło rozgoryczenie, że Caroline w ogóle mojej pracowitości nie docenia. Uznałam, że nie będę zaharowywać się na śmierć, i po raz pierwszy od dłuższego czasu przepracowałam dzień w normalnym tempie i skończyłam pracę o normalnej porze, wiedząc, że nie załatwiłam wszystkiego.

Następnego ranka, roztrzęsiona, powiedziałam Caroline uprzejmie, ale stanowczo, że zwyczajnie nie dałam rady ze wszystkim się uporać, a wyraz jej twarzy powiedział mi, że wreszcie zachowałam się jak należy. Zwycięski błysk w jej oku był dla mnie wyraźnym sygnałem, że uprawiała jakąś dziwną grę i że właśnie wygrała. Od tamtej pory nieco poluzowała i choć nigdy jeszcze mnie nie pochwaliła, podejrzewam, że ma o mnie dobre zdanie. W końcu jeszcze mnie nie wylała, a z tego, co mówi Jodie, wyrzucanie na bruk asystentek to jej ulubiony sport. Wkrótce jednak próby się skończą, więc będziemy spędzać razem znacznie więcej czasu, ale na razie nie ma co o tym rozmyślać.

Zajadam tosta z pastą „Marmite” i rozkoszuję się nieziemską ciszą i spokojem. To jeszcze jeden plus mojej pracy - dopiero doceniam to, jak cudownie jest pobyć w domu. Ostatnie tygodnie rzeczywiście nie były łatwe, ale w tej chwili nie ma to znaczenia, a ja nie mam powodów do narzekania - ciekawa praca to coś wspaniałego. Przez okno wpada rześka, wonna bryza, która oficjalnie zwiastuje nadejście lata, a ja cieszę się na myśl o lunchu z przyjaciółkami, za którymi tak bardzo się stęskniłam. Wstawiam wodę na herbatę. Po chwili słychać bulgot wrzátku i lądowanie poczty na wycieracze, więc wychylam się za drzwi, podnoszę listy i wracam do kuchni. W spokoju przeglądam przesyłki. Ulotki z pizzerii, rachunek za prąd, rachunek za wodę. Dopiero po chwili spostrzegam jeszcze jedną kopertę. Jest kremowa, raczej droga i zaadresowana do mnie. Rozrywam ją, przejęta, co też może być w środku, czytam, czytam raz jeszcze i opadam na krzesło.

Jak nienormalna wpatruję się z niedowierzaniem w sztywny, kremowy papier ze srebrnym drukiem. Po chwili dociera do mnie, co przeczytałam. Niech to szlag. Trzymam papier dwoma palcami, jak brudną chustkę i idę do pokoju. Padam na kanapę, żeby przetrwać najświeższe wieści. Krew się we mnie gotuje, muszę przeczytać list po raz trzeci, żeby mieć pewność, że dobrze go zrozumiałam.

Nie pomyliłam się. Harry się żeni.

Na górze kartki charakterem pisma Harry'ego stoi jak wół „Pani Francesca Massi i Pani Abbie McCrew”, pod spodem, srebrnym drukiem jest coś takiego:

o zaszczytowanie obecnością na ceremonii zaślubin proszą

Sandy Reed

i

Harry Robinson.

Bła, bła, bła. Mam gdzieś gdzie i kiedy, obchodzi mnie

tylko kto. Nie mogę złapać tchu. Jakim, kurwa, cudem zdążył sobie znaleźć narzeczoną, odkąd się rozstaliśmy? Ja dopiero znalazłam pracę. Sukinsyn! Po cholere wciskał mi kit, że jest niegotowy na poważny związek? Wymierzam kopniaka w stół i uderzam się mocno w palec - nie wiem, czemu zadaję ból sobie, skoro tak naprawdę mam ochotę poważnie uszkodzić pana młodego. Chcę go zabić. Z odrazą na twarzy staram się pognieść zaproszenie, ale nie bardzo mi to wychodzi - papier jest rzeczywiście doskonałej jakości. Dzwoni telefon. To Abbie.

- Cześć, Fran. Nie zdążę wpaść do domu, żeby się przebrać, jadę prosto do pubu - dyszy ciężko.

- Gdzieś ty była wczoraj w nocy? - pytam niemrawo.

- Potem ci powiem.

- Też mam ci coś do powiedzenia, ale w takim razie i ja zachowam to na później. Zobaczymy się na miejscu - mówię ponuro. Rozłączamy się. Zerkam na zegar. Przerasta mnie kapiel w wolny dzień, a poza tym mam ochotę jak najszybciej wypić drinka. Muszę się ubrać i zadzwonić po minitaksówkę.

Kiedy dojeżdżam na miejsce, Abbie, Ella i Sabina siedzą już przy naszym ulubionym stoliku. Jak dobrze je widzieć. Wpatruję się w nie z czułością, od razu odpuszcza mi stres po dość nerwowej przeprawie przez miasto.

- Przepraszam za spóźnienie - całuję wszystkie po kolei i siadam. Sabina nalewa mi wina i uzupełnia swój kieliszek. - Przeżyłam jazdę z piekła rodem. Kierowca w ogóle nie znał miasta. Całą drogę musiałam mu tłumaczyć, jak jechać, i jeszcze wdychać jego smród. Potem za tę wątpliwą usługę policzył mi siedemnaście funtów. Rozbój w biały dzień. Ale w końcu sama zamówiłam minitaksówkę bez licencji. Mówcie, co u was. Jej, ale się za wami stęskniłam.

- My też, bośmy cię, cholera, nie widziały całe wieki -

odpowiada Ella. - Chętnie bym cię obsobaczyła za to, że jesteś głównianą przyjaciółką, ale sobie odpuszczę. Jak cię wreszcie widzę, to mam wrażenie, że jestem bliżej Carsona Adamsa.

- Już zamówiłyśmy - przerywa Sabina. - Dobra, Abs, dokończ, co mówiłaś, a potem posłuchamy najświeższych plotek o Caroline Mason. Zabawna rzecz - kiedy jestem w gronie dawnych znajomych, czuję się, jakbym była w wieku, kiedy ich poznałam. To oznacza ni mniej, ni więcej, że w towarzystwie przyjaciółek zachowuję się jak dwunastolatka. Z nimi nie ma mowy

O wywyższaniu się i udawaniu kogoś, kim się nie jest: one dobrze pamiętają czasy, kiedy nosiłam obciachową bandanę i jazzówki i na zabój kochałam się w Michaelu J. Foksie. We cztery przerobiłyśmy wszystko - wagary, pierwsze wyjazdy wakacyjne, sobotnie prace. Trzymałyśmy się razem jako nastolatki, których największym zmartwieniem było to, czy zadzwoni do nas Justin Brookes. Trwałyśmy przy sobie, kiedy życie ciężko nas doświadczało. Po śmierci ojca Abbie to my trzymałyśmy ją za ręce na pogrzebie i to my wysłuchiwałyśmy jej skarg pół roku później, kiedy wszyscy inni zakładali, że dawno już doszła do siebie. Nie widujemy się już tak często jak kiedyś, poza tym Ella wyszła za mąż i każda z nas ma też inne przyjaciółki, ale wiem, że te dziewczyny będą mi bliskie do końca życia. Abbie, Sabina i Ella są dla mnie jak siostry.

Sabina świetnie dziś wygląda. Ma długie, lśniące blond włosy, jak zwykle jest zadbana i nieskazitelna. Pracuje w reklamie - jest producentką i świetnie zarabia. Dodajmy do tego, że zawsze stawiała na jakość, a nie na ilość, i już wiadomo, że jej garderoba - choć nieco zbyt konserwatywna jak na mój gust - jest godna pozazdroszczenia. Dziś ma na sobie dzinsy firmy Seven for Ali Mankind, mokasyny Toda, cienki, kaszmirowy sweterek i coś, co mi wygląda na bransoletkę od

Cartiera. Sabina uwielbia plotki, więc delectuje się opowieścią o ostatnich wyczynach Abbie.

- Kiedy w końcu powiedział, że nie muszę płacić za szkodę, odpadłam obok niego - w ubraniu! - a on dalej przynudzał, jaki to z niego genialny zawodnik. Chryste, co za nudziarz. Drugi David Brent, tylko z Islington. Rano obudziłam się w lekkim szoku i jak tylko uświadomiłam sobie, gdzie jestem, dałam nogę, zanim się obudził - Abbie triumfalnym tonem kończy swoją opowieść, jak diabli dumna ze swojego wybryku.

Abbie jest całkowitym przeciwieństwem Sabiny - to jedna z najbardziej niechlujnych osób, jakie znam. Gwiżdże na to, czy ma zrobione paznokcie albo uczesane włosy, zresztą i tak jest atrakcyjna - ma ciemne włosy ostrzyżone na boba i jasną karnację. Jeśli chodzi o garderobę, to ona z nas wszystkich jest najbardziej na czasie. Dziś ma na sobie T-shirt, czarne spodnie od fraka i conversy.

- Ale z ciebie wariatka - śmieje się Sabina. - Ja tam nie nadaję się do takiego waletowania - muszę mieć mleczko do demakijażu, kosmetyki i majtki na zmianę.

- Jak się we mnie krew gotuje, to nie myślę o tym, żeby zająć się demakijażem. Przemywam twarz wodą i tyle -uśmiecha się Abbie.

Ella wygodnie się opiera i dorzuca swoje dwa grosze.

- Ja mam tak, jak Sabina. Za stara jestem, żeby od tak u kogoś się przekimnąć. Mogę być zalana w trupa, a i tak zamówię taksówkę i odpadnę dopiero w domu. Tylko że chyba mam ten etap już za sobą.

Ella pięknie dziś wygląda, jak zwykle zresztą, ale widać, że jest zmęczona. No i nie pije wina. Pewnie ma kaca.

- Jakoś nie wydaje mi się, żeby twój Paul skakał z radości, gdybyś odpadła u obcego gościa - chichocze Abbie. -A właśnie, dlaczego nie pijesz?

- Dziś mi nie wchodzi - odpowiada Ella. - Wczoraj przeholowałam.

Tak myślałam. Sabina zmienia temat.

- Fran, a ty co tak cicho? Wszystko w porządku?

- Tak... Chyba tak - zaczynam. - W sumie to jestem totalnie rozbita, tylko przez chwilę o tym zapomniałam - myślałam sobie, jak nasze życie czasem przypomina pastisz jakiegoś gównianego dramatu. A zmierzam do tego, że mam pewne ciekawe wieści. Dobre i złe. Od których zacząć? Nie ma co, rozbudziłam ich ciekawość.

- Od dobrych - odpowiada Ella.

- Proszę bardzo. Zostałyśmy z Abbie zaproszone na ślub -przerwywam dla wzmocnienia efektu. - Złe wieści są takie, że to ślub Harry'ego.

- Co?! - pytają chórem.

-Tego Harry'ego? Twojego byłego, Harry'ego Robinsona? -pyta Abbie, marszcząc nos.

- Właśnie tego. Chyba że znacie kogoś innego o tym samym nazwisku - mówię niemrawo i niemal chce mi się śmiać na widok zszokowanych min przyjaciółek.

- Czekaj, czekaj - mówi powoli Sabina. - Przecież kiedy cię rzucił... to znaczy, kiedy się rozstaliście, mówił, że nie jest gotowy na związek...

- I że kończy tylko dlatego, że nie chce się angażować. Tak to w skrócie było - ucinam, bo wcale nie mam ochoty wracać teraz do tamtej rozmowy.

- Niech to szlag - mówi Sabina, przeżuując temat.

- Znaczy się - wygadywał pierdoły - dodaje Abbie. -Kurczę, Fran, doczekałaś się, biedaczko, dalszego ciągu telenoweli.

Niemrawo wzruszam ramionami.

- Czekaj chwilę - wtrąca Ella - kiedy wyście się rozstali?

- Dwa i pół miesiąca temu - odpowiadam z udawanym wahaniem w głosie, choć ten koszmarny, lutowy dzień przeznaczenia pewnie utkwi mi w głowie na zawsze. Poza tym opisałam go dla potomności w pamiętniku z najmniejszymi szczegółami.

- Chyba tak. A ślub kiedy ma być? - ciągnie Ella.
- Pokażę wam zaproszenie. - Szukam nerwowo w torbie i dramatycznym gestem wyciągam z niej kopertę. Siegają po nią wszystkie trzy. Abbie jest pierwsza.
- Sobota, szóstego czerwca. To już niedługo. Ella ma zatroskany wyraz twarzy.
- Tak mi przykro, kochanie. Trzymasz się jakoś?
- Tak, nawet całkiem nieźle - odpowiadam, analizując swój stan. - Chyba jestem w szoku. Nie zryczałam się, ale też w końcu wszystkie wiemy, że mój związek z Harrym nie był taki poważny. Tylko że czuję się jak kretyńka. To znaczy, ja naprawdę uwierzyłam w te jego pierdoły. Dałam się złapać na tekst, że nie jest gotowy na poważny związek. A teraz proszę, on się żeni. To tak, jakbym dostała w pysk. Podchodzi kelnerka z półmiskiem i czterema talerzami. Dziewczyny zamówiły rybę, frytki, sałatki. Nakładamy jedzenie. Pierwsza odzywa się Sabina.
- Cholernie mi przykro, że właśnie ja to mówię, ale musiał poznać tę Sandy Reed, kiedy jeszcze byliście razem. Pewnie, że są tacy, co biorą ślub na wariata, tylko że w tym wypadku chyba tak nie było.
- Wiem. Pytałam go, czy kogoś ma - zaprzeczył. Potem jeszcze rozmawialiśmy kilka razy przez telefon, ale nigdy o nikim nie wspomniał. Zamiast odpowiadać Sabina po prostu unosi brwi - więcej nie trzeba.
- Pewnie, że wciskał mi kit, ale nie mam pojęcia, co go tak przypiliło - dodaję szybko.
- Może to Australijka i zależy jej na tym, żeby szybko dostać wizę? - sugeruje Ella.
- Może - odpowiadam z powątpiewaniem w głosie. - Albo coś takiego, albo w tajemnicy spotykał się z nią od lat. Inaczej ten pośpiech jest niepojęty. No i nie rozumiem, po cholere mnie zaprasza.

Wtrąca się Abbie, z ustami pełnymi frytek.

- Może faktycznie chciał, żebyście zostali przyjaciółmi. Powiedzmy sobie szczerze, że gdyby było inaczej, toby cię nie zaprosił. Można to uznać za swoisty komplement. Myślę, że powinniśmy pójść.

Sabina odkłada sztucce.

- Wiecie co? Abbie ma rację. Nie kochał cię, robił cię na boku i jeszcze cię okłamał przy rozstaniu...

Przerywam jej, choć jestem w połowie kęsa.

- Może jeszcze posyp ranę solą i wyciśnij cytrynę, co?

- Fakt, że dobrze to o nim nie świadczy - ciągnie Sabina - ale zawsze mieliście ubaw po pachy i Abbie ma rację - musisz dla niego dużo znaczyć, skoro zaprasza cię na ślub. Nie zrobiłby tego, gdyby podejrzewał, że wytniesz mu jakiś numer.

Odkładam sztucce.

- Nie pójdę. W ogóle nie brałam tego pod uwagę. Sabina się rozkręca.

- Musisz. Pokażesz dużo większą klasę, niż gdybyś to olała, co zresztą oznaczałoby, że za bardzo ci na nim zależy. Poza tym sama mówiłaś, że to nie była miłość. Bądź wielka i idź. I wypij, ile możesz - w końcu alkohol będzie za darmo.

Tracę głowę. Czy ja nie powinnam być na niego wściekła, uznać zaproszenia za zniewagę i powiedzieć mu, żeby je sobie wsadził? Z drugiej strony, dziewczyny mają rację - coś w tym jest, że mnie zaprosił, coś wzruszającego. To jedno niewielkie zaproszenie ma w sobie cholernie dużo treści. Mówi, że znaczę dla niego o wiele więcej niż jakaś tam była panienka. Że chociaż nie wyszedł nam związek, to może wyjdzie nam przyjaźń.

- W sumie to chętnie zobaczę tę Sandy Reed, Randy Seed czy Bandy Weed - mówię w końcu.

- Mnie też zaprosił - wtrąca Abbie. - Myślę, że trzeba pójść. Przynajmniej trochę się pośmiejemy. No i gdybyśmy nie poszły, to ciekawość by nas zżarła.

- Ella? - zwracam się do najrozsądniejszej z przyjaciółek.

- Powinnaś pójść. Nie mam wątpliwości.
- Wygląda na to, że podjęłyście za mnie decyzję. Dobra, Abbie. Zobaczmy ten zaszary ślub. Ale jak się zdenerwuję, jak go zobaczę, to obiecaj, że mnie powstrzymasz, zanim powiem albo zrobię coś, czego mogę żałować - zamykam temat, odsuwając talerz. - O, Boże!
- Co?! - wołają jednocześnie, przerażone, wszystkie trzy.
- W co ja się ubiorę?!

13

Mijają dwa tygodnie. Jadę do pracy. Po wielkiej naradzie z Abbie postanowiłam telefonicznie poinformować Harry'ego, że będziemy na jego ślubie - może to pozwoli przełamać lody przed tym wielkim dniem. Poszło nieźle. Kiedy usłyszał, kto dzwoni, był przerażony, ale wyluzował, kiedy przekonał się, że nie będę wygłaszać tyrad, choć nie jestem pewna, czy moje gratulacje zabrzmiały przekonująco. On w każdym razie - z niewiadomego mi powodu - szczerze się ucieszył, a mnie udało się nawet zignorować cichy głos w środku, który nakazywał mi go wypytać o przyszłą żonę z manierą opętanego policjanta. Grzecznie się pożegnaliśmy.

Choć mężczyźni udają, że wcale tak nie jest, plotkują z podobnym zapamiętaniem jak kobiety, z tą tylko różnicą, że posługują się raczej monosylabami. Nie zdziwiłam się zatem, gdy kilka minut później zadzwonił do mnie Briggsy, proponując, że zawiezie nas na ślub. Zgodziłam się, ale głównie dlatego, że myśl o prowadzeniu w drodze powrotnej na koszmarnym kacu zupełnie mnie nie nęciła.

Głos wewnętrzny mówi mi, że przyjęcie zaproszenia jest nienormalne, ale mam przed sobą jeszcze dwa tygodnie, żeby oswoić się z tą myślą. Dziś mamy poniedziałkowy ranek

i wreszcie przyszedł czas, żeby zawieźć Carołine do teatru w samym sercu West Endu. Premiera sztuki już za dwa tygodnie, więc od tej chwili wszystkie próby będą się odbywać w teatrze, w kostiumach. Carołine prosiła, żebyśmy spotkały się o dziewiątej w garderobie i omówiły wszystkie bieżące sprawy. Sama nie mogę uwierzyć, że posłużyłam się liczbą mnogą. Chodziło mi o to, że ona powie mi, co mam zrobić. No właśnie - premiera zbliża się wielkimi krokami, więc Carołine jest jeszcze bardziej spięta i wybuchowa niż zwykle, a na domiar złego coś szwankuje w jej komórce, więc ostatnio całymi godzinami wisiałam na telefonie z serwisem obsługi abonenta Orange, co pewnie grozi uszczerbkiem na zdrowiu. Na dodatek codziennie zawraca mi głowę swoim iPodem, który - jak twierdzi - nie działa tak jak trzeba, a ja naprawdę nie wiem, o co jej chodzi, jak zresztą żaden z pracowników wszystkich odwiedzonych przeze mnie serwisów. Zadzwoiłam nawet w tej sprawie do Jodie, w nadziei, że mnie olśni.

- Sprawdziłaś baterie? - spytała grzecznie.

- Nie, ale na pewno zrobiła to Carołine - odpowiadam.

- Akurat - wzdycha Jodie. - Ledwie potrafi go obsługiwać i na pewno nie będzie trwoniła swojego cennego czasu na sprawdzanie baterii.

Wybucham śmiechem.

- Jodie, czyżbym wyczuwała gorycz w twoim głosie?

- Chyba tak. Ale nie będę narzekać, teraz jest cudownie, bo zajmuję się tylko Carsonem. Kiedy jej nie ma, to wręcz nie wiem, co robić z czasem.

- Używaj życia - doradzam. - Wróci, zanim się obejrzysz.

- Wiem, nie musisz mi przypominać. A właśnie, wiadomo coś o jej filmie?

- Jeszcze nie. Rozmowy utknęły w martwym punkcie.

- Niedobrze. Modlę się, żeby wszystko wyszło, to będę tu miała jeszcze trochę spokoju. A, miałam ci powiedzieć, że Carson pewnie poleci na premierę. Będzie miał trochę

wolnego - na razie zastanawia się, czy iść za radą agentki i wystąpić w komedii romantycznej. Na pewno jeszcze się w tej sprawie odezwę. Śmigam przez cuchnące Chinatown, myśląc sobie, jak niesamowitym przeżyciem będzie poznanie Carsona Adamsa.

Dojeżdżam do teatru i tłumaczę strażnikowi, kim jestem. Pędzę wąskimi schodami na górę i odnajduję garderoby - są jeszcze zamknięte.

Postanawiam zejść na dół i poczekać w głównej sali, w której ekipa w czarnych spodniach i koszulkach montuje dekoracje i oświetlenie.

Posiedzę tu i zaczekam na Carolinę, sprawdzam tylko, czy mam włączony telefon. Obserwuję ludzi zaabsorbowanych pracą. Moją uwagę przykuwa kobieta na scenie - ma farbowane, rude włosy i cztery kolczyki w uchu. Idzie w moją stronę i bez wątpienia zastanawia się, kim jestem.

- Mogę pani w czymś pomóc?

- Dzień dobry, jestem Francesca, asystentka pani Mason. Chciałam tu na nią poczekać.

- Witaj, Francesco - kobieta uśmiecha się ciepło i wyciąga dłoń. - Janice, kierownik sceny, bardzo mi miło. Obawiam się, że trochę tu posiedzisz, Carolinę ma być dopiero o jedenastej. Jeśli chcesz, zaprowadzę cię do garderoby, ale jak wolisz, możesz zostać tutaj.

Dzięki, Carolinę, super, że dałaś mi znać - myślę z irytacją.

Po dwóch i pół godziny wreszcie zjawia się Carolinę. Wchodzi do największego i najwygodniejszego pokoju w teatrze i jęczy.

- Chryste, co to ma być? - pyta.

- Najlepsza garderoba w teatrze - odpowiadam. Wygląda, jakby chciała zakwestionować moje słowa, ale chyba jest zbyt wytrącona z równowagi.

- Dobra, rozumiem, że masz czym pisać.

Po godzinie wychodzę z teatru z listą długości mojego uda, oszołomiona mrugam w ostrym świetle słońca. Początek jest prosty - pałeczki do uszu, waciki, pastylki na

gardło, ale potem jest coraz gorzej, aż do pozycji czterdziestej ósmej, czyli specjalnej lodówki na wino, i pięćdziesiątej drugiej - czyli filtra powietrza. Nie wiem, czy mam się śmiać czy płakać.

14

Wieczorem, zakupiwszy około jednej czwartej produktów z listy i wydawszy na nie około tysiąca funtów, znów jadę na spotkanie z Caroline, z nową kartą SIM do jej telefonu. Mamy się spotkać w firmie cateringowej i degustować smakołyki na przyjęcie urodzinowe.

Dojeżdżam przed czasem, więc zgodnie z życzeniem Caroline czekam na zewnątrz. Nie bardzo wiem, po co jestem tu potrzebna, pewnie mam posłużyć za ludzki odpowiednik kaftana bezpieczeństwa.

Wchodzimy do środka. Wybór koktajlowych kanapek jest nadzwyczajny. Caroline oczywiście nie bierze do ust tych, które mają dużo tłuszczu albo węglowodanów - podsuwa je mnie. Aha, już wiem, po co tu jestem. Co ją obchodzi mój cellulit albo to, że wybieram się na ślub byłego. Ale nie narzekam, bo kanapeczki są po prostu przepyszne, no i w drodze do domu nie będę musiała zahaczać o Tesco.

Po degustacji i przedyskutowaniu skandalicznych cen z właścicielem firmy wychodzimy na dwór - Caroline zapala papierosa i pokazuje, żebym wsiadła do samochodu.

- Zdasz mi relację po drodze. Masz kartę do telefonu? - warczy na mnie w samochodzie, a dopiero potem daje Terry'emu znak, żeby jechał.

Wkładam jej do telefonu nową kartę SIM i modłę się, żeby działała. Ktoś chyba wysłuchał moich próśb, bo wszystko

na to wskazuje, choć Caroline wyrywa mi telefon, zanim zdążę sprawdzić.

- No dobrze, o czym powinnam wiedzieć? - warczy. Przez dziesięć minut relacjonuję bieżączkę - do kogo dzwoniłam i co załatwiłam. Docieram do końca listy, podjeżdżamy pod jej dom.

- Od jutra chcę to wszystko na piśmie, codziennie będziesz mi na biurku zostawiać raport. Dokończ w samochodzie i oboje będziecie wolni - mówi Caroline.

Terry mieszka w tej samej dzielnicy co ja, więc załapię się na podwózkę do domu. Co za radość. Mówię dalej.

- Tuńczyk w oliwie z oliwek jest w lodówce, razem z resztą zakupów - mówiąc to, zastanawiam się, czy takie informacje też mam zamieszczać w raporcie. - Odebrałam chustę z burberry, a twój prawnik prowadzi rozmowy z magazynem „Now” w sprawie... niekorzystnych zdjęć. Ukrywam fakt, że fotka prezentująca z bliska jej cellulit wisi u mnie na lodówce.

- I wiesz co? - pytam promiennie, żeby szybko zmienić temat, bo ona na wzmiankę o zdjęciu dostaje piorunów w oczach. - Prada chce cię ubrać na premierę.

Dzwoniła do mnie dziewczyna z działu PR Prądy imieniem Amanda, mówiąc, że Prada byłaby zaszczycona, mogąc zapewnić pani Mason garderobę na tę okazję.

Czekam na reakcję.

- Naprawdę? - Twarz Caroline rozpromienia się na ułamek sekundy. Albo inaczej: rozpromieniłaby się, gdyby botoks jej w tym nie przeszkadzał. - Świetnie. Oddzwoń i powiedz, że mają mi też dać kosmetyki. W ogóle wyciągnij, co się da.

Jeżu, ona jest niemożliwa. Wzdycham. Chyba słyszała.

- Kiedy ma być przymiarka? - pyta nadąsana, zwięzając oczy. Na pewno słyszała.

Sprawdzam w notatkach.

- Chcieliby jak najszybciej, bo przecież premiera lada chwila. Zaproponowali dwudziestego ósmego maja. Przymiarkę zrobi menedżer działu ubrań kobiecych, Paulo, który przyleci z Mediolanu specjalnie w tym celu.

Nawet ona jest pod wrażeniem, choć stara się tego nie okazać.

- Serio? Świetnie... Tylko dopilnuj, żeby przymiarka nie kolidowała z żadnym spotkaniem - mówi, zapalając kolejnego papierosa.

Uchyłam okno, usiłując chronić płuca. Spodziewałam się z jej strony nieco większej chęci współpracy z dobroczyńcami. Osobiście uważam, że to mistrzowskie zagranie - wystroić Caroline na popremierowe przyjęcie - choć podejrzewam, że duży wpływ na decyzję Prądy miały plotki o przylocie Carsona Adamsa. Amanda pytała mnie przez telefon z dziesięć razy, kiedy on się pojawi, a ponieważ me mam pojęcia, dawałam jej wymijające odpowiedzi. Aż mam ochotę powiedzieć Caroline, że jedyny powód propozycji Prądy jest prosty: dom mody chce zyskać na popularności Carsona - może wtedy przestałaby udawać, że to dla niej coś tak normalnego, jak dla zwykłych ludzi zakupy w „Sainsbury's”.

- To oni muszą dostosować się do mnie - dodaje po chwili. - Mam teraz za dużo innych spraw na głowie, jak choćby spamiętanie kwestii - Caroline zanoszą się głośnym, nieco groźnym śmiechem. Zapominam języka w gębie. Chyba nigdy wcześniej nie słyszałam jej śmiechu, a mniej więcej tak wyobrażam sobie szatański chichot. Wpatruję się w nią z otwartymi ustami, aż nagle zdaję sobie sprawę, że właśnie strzeliła dowcip i że ja też powinnam się zaśmiać. Wydaję z siebie niemrawy rechot. Mija dziesięć sekund, zatrzymujemy się pod jej domem, a ona dalej się śmieje. Ogarnia mnie lekki niepokój. Nagle śmiech urywa się - równie gwałtownie, jak się zaczął. - Ha, ha, haaaaa... Muszę lecieć.

Wysiada i wali drzwiami. Terry mruga do mnie w lusterku. Myślę sobie, że ona ma dziwaczne poczucie humoru, i wybieram numer biura prasowego Prądy.

22 maja

Może to wredna uwaga, ale czasem zastanawiam się, czy pani M. ma po kolei w głowie. Komunikuje się w dość dziwny sposób, ma raczej specyficzne poczucie humoru, huśtawki nastrojów i ewidentny problem z wymianą codziennych uprzejmości - zdarza mi się zastanawiać, czy aby na pewno funkcjonuje tak, jak my wszyscy. Na przykład codziennie wieczorem rozmawia z synem, który chodzi do szkoły w Los Angeles, ale kiedy gospodyni wspomniła o nim w rozmowie, pani M. natychmiast ucięła temat. Może nie chce o nim mówić z obawy, że się przy mnie rozklei? Najwyraźniej nie ma pojęcia, że dzięki temu tylko wydałaby mi się silniejsza, bardziej ludzka i sympatyczna.

Odkładam na chwilę długopis, z namysłem żuję palec, po czym idę włączyć komputer. Otwieram plik zatytułowany „Pani M.” i przepisuję niemal słowo w słowo to, co właśnie naskrobałam w pamiętniku, z tym że zmieniam płeć dziecka.

Przymiarka odbywa się kilka dni później, w siedzibie Prądy przy Sloane Street, tuż po próbie, o szóstej. Od chwili, gdy Amanda zadzwoniła do mnie po raz pierwszy, rozmawiałam z nią co najmniej trzy razy dziennie i nie mam złudzeń, że wszystkie żądania Caroline, o których musiałam ją

informować, delikatnie mówiąc, wprawiły ją w zakłopotanie. A Caroline domagała się kosmetyków do makijażu, torebek i butów z nowej zimowej kolekcji. Jeśli chodzi o samą przymiarke, powiedziała, że nie obejdzie się bez szampana, zaznaczając, że musi to być Dom Perignon i że Prada ma tego dnia pokryć koszty eksploatacji samochodu i wypłacić wynagrodzenie kierowcy. Cała ta sytuacja była dla mnie koszmarnie krępująca i kiedy rano kazała mi raz jeszcze zadzwonić do Amandy i poprosić o zestaw walizek, nawet do głowy mi nie przyszło jej polecenia wykonać.

Terry zawiózł nas na Sloane Street, ma wrócić za godzinę. Wchodzimy do budynku, gdzie wylewnie wita nas Amanda.

- Dzień dobry, pani Mason, zapraszam. To dla nas ogromny zaszczyt. W imieniu domu mody Prada pragnę podziękować pani za to, że w premierowy wieczór zdecydowała się pani zaprezentować w naszej kreacji.

Pewnie, że się zdecydowała, w końcu to darmo. Sami zaproponowali. Ojej, chyba z wiekiem staję się coraz bardziej cyniczna.

Carolina uśmiecha się wdzięcznie.

- Witaj, Amando, to dla mnie ogromna przyjemność -wreszcie móc cię poznać. I to ja jestem zaszczycona. W taki wieczór nie włożyłabym nic innego. Jakie piękne gabinety.

- Ty na pewno jesteś Francesca.

Podskakuję, uświadamiając sobie, że Amanda mówi do mnie. Myślami byłam lata świetlne stąd, usiłując dojść, co ma wspólnego ta urocza kobieta, która stoi obok mnie, z chamską krową, dla której zwykle pracuję. Trzeba przyznać, że kiedy chce, potrafi być czarująca.

- Dzień dobry, Amando - wykrztuszam wreszcie. - Bardzo mi miło.

Mijamy kolejne pokoje. Udajemy się do przeciwległej części budynku, gdzie znajduje się specjalna przymierzalnia na takie właśnie, specjalne okazje. To luksusowe pomieszczenie

wyłożone arcygrubym dywanem, z cudownym oświetleniem, w którym czeka już armia ludzi. Nietrudno domyślić się, który to Paulo, ponieważ uosabia wszystkie stereotypowe cechy włoskiego projektanta. Właściwie zamiast opisu wystarczą trzy słowa - włosy, skóra i krucyfiksy - i już wiadomo, o co chodzi. Wita Caroline z otwartymi ramionami.

- Cóż za radość, pani Mason. Od dawna panią podziwiam - grucha, całując jej dłoń.

- Ależ pan miły! Jestem niewymownie wdzięczna, że przyjechał pan specjalnie z Mediolanu. Ogromnie mnie pan ujął - Caroline częstuje go swoim sztucznym uśmiechem.

Nigdy jeszcze nie widziałam Caroline w podobnej sytuacji, a kiedy tak przechadza się po pokoju, czarując wszystkich na prawo i lewo, widzę, że Amanda i pięciu asystentów bez dwóch zdań cały ten teatr kupują.

Podejrzewam, że rozgryzł ją tylko Paulo, coś mi mówi, że przejrzał ją na wskroś i że jest pewnie podobnym typem; co tu dużo mówić, trafił swój na swego.

W końcu wyczerpują się tematy niezobowiązujących rozmów, napoje zostały przyniesione (dla mnie herbata, dla niej - Dom Perignon), czas przystąpić do pracy.

- Zechciałaby się pani rozebrać, pani Mason - prosi Paulo, wskazując pomieszczenie za kotarą.

Pani Mason oczywiście zechciałaby - nie rusza się z miejsca i zrzuca ubranie bez cienia skrupowania, z radością wykorzystując okazję, aby pochwalić się chirurgicznie skorygowanymi piersiami. Amanda oblewa się straszliwym pąsem, kaszle nerwowo i odwraca wzrok. Paulo wpatruje się w Caroline wzrokiem, który mówi jej, że jest skończoną pięknnością, asystenci nie mogą oderwać oczu od jej sutków, a ja spokojnie siorbię herbatę.

Wreszcie zaczyna się przymiarka. Pięciu asystentów Paula krząta się wokół Caroline w taki sposób, że ja pewnie odganiałabym się od nich jak od much, ale Caroline najwyraźniej to uwielbia. Przyszło mi oglądać niezwykle widowisko.

Jeden trzyma torby i buty. Drugi majstruje przy jej włosach, kolejny upina materiał szpilkami, pozostali dwaj rozplývają się w ochach i achach. Caroline wygląda w sukni nieprawdopodobnie pięknie - to obcisła kreacja w kolorze bladej brzoskwini. Całe to zamieszanie zupełnie jej nie wzrusza - wykorzystuje okazję, aby podyktować mi kolejne zadania do ciągnącej się w nieskończoność listy, a przy tym - ku zgrozie Amandy i Paula - przez cały ten czas pali papierosa za papierosem.

Wreszcie jednak osiąga próg znudzenia, wydając polecenia, używa coraz krótszych zdań, a w jej głosie zaczyna pobrzmiewać złośliwość. Mnie to wręcz cieszy, bo już miałam dosyć tych słodkich minek i nienaganych manier.

- IPod naprawiony?

- Jeszcze nie, nie zdążyłam.

- Hmm. Trzeba posłać kwiaty Pierce'owi Brosnanowi. Za pięćdziesiąt funtów, z kwiaciarni Jane Packer.

- Oczywiście. Co ma być na bileciku? - pytam, notując w zawrotnym tempie.

Zero reakcji.

Carolina zamyka oczy i wydmuchuje dym przez licowane zęby.

Brzoskwinią ma wizję.

- Przepraszam, co ma być...

- Myślę.

Czekam. Nadgarstek lekko mi pulsuje. Jeden z asystentów niechętnie kłuje Caroline szpilką.

- Uważaj! - warczy.

Maska spada - zauważam radośnie. Znow zamyka oczy.

- Napisz tak: Pierce, kochanie... Niech te kwiaty rozjaśnią ci ten jakże ponury dla nas wszystkich czas. Niech przypomną, że i my jesteśmy delikatni jak kwiaty - żeby przeżyć, one potrzebują pożywienia i wody, my zaś - miłości i troski. Kochająca C.

Amanda odwraca się. Ciekawe, dlaczego trzęsą jej się ramiona.

Caroline otwiera oczy i wbija we mnie wzrok, czekając, aż pochwalę jej pisarski talent.

- Co myślisz?

Myślę, że postradała zmysły i życzyłabym sobie, żeby ten liścik był tylko kiepskim żartem, ale wyduszam z siebie:

- Wspaniałe.

Chryste, jak ja siebie za to nienawidzę.

Mija kolejne pół godziny i Paulo jest wreszcie zadowolony z kreacji.

Caroline przebiera się tak, żeby wszyscy mogli po raz ostatni zerknąć na jej nienaturalnie sterczące piersi (musi się pochwalić, skoro wydała na nie tyle kasy) i dziękuje całemu zespołowi.

Podchodzi do nas Amanda.

- Pani Mason, na znak wdzięczności chciałabym wręczyć pani drobne upominki.

Caroline przyobleka twarz we wdzięczny uśmiech, którym posługiwała się wcześniej, i ochoczo chwyta potężną torbę.

- Amando, jesteś cudowna, naprawdę cudowna. Nie trzeba było.

Specjalnie upomniałam Francescę, żeby o nic nie prosiła, bo sama suknia jest tak wspaniałym podarunkiem. Naprawdę, ogromnie dziękuję.

Amanda unosi brwi i patrzy na mnie zdumiona. Wiem, że nie warto bronić siebie i swojej reputacji.

Pal licha wszystko inne, przynajmniej Caroline będzie w dobrym humorze, skoro wyłudziła tyle prezentów, a o tej porze dnia tylko to mnie obchodzi. Oddam wszystko za łatwe życie.

Wychodzimy z budynku, Caroline uśmiecha się, macha do wszystkich i rozsyła pocałunki. Gdy tylko mijamy drzwi, uśmiech znika - Caroline odkłada go na później, dobre maniery też.

- No, dobra, zobaczymy, co dali - mówi, wskakując do samochodu. Ledwie zamyka drzwi, a już gorączkowo przegląda zawartość torby.

- Zamszowe botki, fantastycznie. Kosmetyki, super. Och, torba z krokodylej skóry.

Mam wrażenie, że oglądam bardzo drogą wersję „Generation Game”.

- Sandały? Przecież już po sezonie. Kaszmirowy sweter, ładny. Zegarek...

No i nie ma, kurwa, ani płaszcz, ani walizki.

Zniecierpliwiona głośno wzdygam.

- Francesco, czy ty właśnie westchnęłaś? -Nie.

Chryste, naprawdę zrobiłam to tak głośno?

- Westchnęłaś, sama, kurwa, słyszałam - mówi wściekła. Wbija się w siedzenie i patrzy na mnie ze złością, na chwilę zapomina o prezentach. Ja twardo obserwuję widok za oknem.

- A, już wiem, co ci jest.

- Nic mi nie jest, Caroline. Naprawdę nie chciałam westchnąć.

- Nie, ja dobrze wiem. Też byś chciała dostać prezent. Odwracam się w jej stronę.

- Poważnie, Caroline, nie chcę.

- Hmm... Mogę ci dać ten błyszczący, jak chcesz - mówi niepewnie, wyjmując go z kosmetyczki.

- Nie trzeba, naprawdę - z jakiegoś powodu chce mi się śmiać.

- Weź. Chcę ci go dać - mamrocze z nosem w górę, odwracając ode mnie wzrok.

Ten niezręczny gest hojności jest tak sprzeczny z jej naturą, że wręcz czuję się wzruszona i z wdzięcznością przyjmuję podarek.

- Dziękuję. To bardzo miło z twojej strony.

- I tak mi się kolor nie podoba - mówi, rujnując cały efekt.

Jest potworny korek, przez kolejne pięć minut niewiele posuwamy się do przodu. Caroline jedzie do „Bibendum” na kolację z przyjaciółką Leticją, której z jakiegoś powodu

wydaje się, że do moich zadań należy zaspokajanie jej wszystkich zachcianek. Na przykład dzwoni i nadaje: „Skarbenku, mówi Leticia. Strasznie chciałabym iść na drinka do «Century», załatw mi wejściówki dla mnie i trojga moich przyjaciół”. Wiem, wiem - to się w głowie nie mieści. A jeszcze bardziej nie mieści się w głowie to, że robię, co mi każe. Cieszę się, że jedziemy w moją stronę, w kierunku Clapham. Na Kings Road samochód wlecze się niemiłosiernie, Caroline pierwsza przerywa ciszę.

- Miałam ci powiedzieć, Francesco, że znów coś jest nie tak z moją komórką. Zajmij się tym.

Ja się chyba załamie.

- Jak cię gnoje będą spławiać, to powiedz im, do cholery, czyj to telefon. Znasz mnie i wiesz, że nie cierpię wykorzystywać swojego nazwiska, ale czasami to jedyny sposób.

Terry zerka na mnie w lusterku, oboje mamy na twarzy półuśmiech. Ta kobieta jest niesamowita - muszę o tym napisać.

- Aha, jeszcze jedno, Carson przylatuje na premierę. Możesz popracować w sobotę i wszystkim się zająć?

Nie wierzę własnym uszom. Wreszcie mam okazję poznać Carsona Adamsa, a ja akurat wtedy nie mogę.

- Ogromnie cię przepraszam, Caroline, ale nie mogę. Jadę na ślub za miasto. Wspominałam ci o tym.

- A, tak - mówi poirytowana Caroline. - W takim razie załatw wszystko przed weekendem.

- Oczywiście - zapewniam ją, zastanawiając się, jak długo Carson zabawi w Londynie.

Wieczorem bazgrzę w pamiętniku, żeby rozładować stres.

28 maja

Jakoś przestałam wyczekiwać spotkania z drugą połową pani M, bo jeśli oceniać go po zachodzie,

związany z jego przyjazdem, to jeszcze większy z niego wrzód na dupie niż z jego partnerki. Chyba organizacja podróży premiera albo papieża nie byłaby bardziej skomplikowana, a jeśli Caroline każe mi raz jeszcze zadzwonić do służb specjalnych Heathrow, żeby sprawdzić, czy na pewno po niego wyjdą, to stracę nad sobą panowanie.

Jodie, z którą rozmawiam codziennie, zapewnia, że C. jest miły i gdyby nie pani M., on sam na pewno nie robiłby ze swojego przyjazdu tak wielkiego halo, ale jakoś jej nie wierzę. W końcu kiedy na początku spytałam ją o listę lekarzy pani M., odpowiedziała: „To nic takiego, uznałam tylko, że lepiej, żebyś ją miała, na wypadek gdyby - niech Bóg broni - licówka jej pękła albo coś”. Miała rację, tylko to „niech Bóg broni” dało mi do myślenia...

Od razu mi lepiej. Pisanie to doskonały relaks, a że jest dość wcześnie, mam poważny dylemat: podciągnąć robotę czy dopisać kolejny rozdział „Pamiętnika osobistej asystentki”. Padam z nóg, ale chyba trochę popiszę. Następny fragment mam już właściwie obmyślony i pewnie dobrze byłoby go spisać, dopóki wszystko pamiętam. Uśmiecham się szeroko, przypominając sobie inne absurdalne incydenty. Caroline podaje mi kolejne rozdziały jak na talerzu.

Na przykład dziś - idę ulicą, dzwoni moja komórka. Rozmowę, którą przeprowadziłam z Caroline, przytaczam słowo w słowo.

- Cześć, Caroline.

- Gdzie jesteś?

- Właśnie idę do „La Perla” po twoją bieliznę.

- Po cholere ogłaszasz to na ulicy - syczy. Rozglądam się, ale nie dostrzegam w tłumie nikogo, kto

byłby zainteresowany tym, o czym rozmawiam przez telefon.

- Przepraszam.
- Jak już odbierzesz wiesz co, to zadzwoń do służb specjalnych i... co?
- Nic nie mówiłam.
- To nie do ciebie. Muszę kończyć.

Koniec rozmowy. Podobne dialogi odbywamy dość często. Caroline wymyka się z próby, żeby mi wydać pilne polecenie, po czym dzwoni raz jeszcze i kończy w pół słowa. Fascynuje mnie to, że grając na próbie, bez przerwy wymyśla mi nowe zadania. Scenarzysta chyba się załamał, gdyby wiedział, że głowa głównej aktorki jest całkowicie zaprzątnięta służbami specjalnymi British Airways i zakupem nowych stringów. Podchodzę do kasy, żeby zapłacić za peniuar i koronkowe stringi, które bardziej przypominają żyłki do maszynki do krojenia sera. Caroline znów dzwoni.

- Mam tylko sekundę. Zadzwoń do służb specjalnych i powiedz, że Carson życzy sobie, żeby ktoś go odprowadził do samochodu.
- Już dzwoniłam.
- To zadzwoń raz jeszcze. Potem zadzwoń do Dorchester, sprawdź, czy na pewno będzie dla nas lepszy apartament, załatw mi rozkład podróży, podejmij trzysta funtów dla Carsona i pięćset dla mnie...
- Czyj rozkład?
- Jak to czyj, Carsona. Muszę kończyć.

Nie narzekam. Przynajmniej nie brak mi pomysłów, a moja powieść stale się rozrasta...

15

Sobota, szósty czerwca, jest sucho i słonecznie, a ja jestem wręcz wdzięczna Harry'emu, że wybrał ten właśnie dzień

na swój ślub, bo oto mam wymówkę, żeby spędzić cały weekend z dala od Caroline. Wczoraj przed wyjściem z pracy trzykrotnie sprawdziłam, czy wszystko jest przygotowane na weekend; gotówkę, którą podjęłam dla Caroline i Carsona, zostawiłam w kopertach w Dorchester (najwidoczniej wypłacenie pieniędzy z bankomatu przerasta ich oboje). Początkowy żal, że nie poznam Carsona, ulotnił się bez śladu i teraz niemal trwam w ekstazie: mam wolny weekend i ze wszystkim zdążyłam się uporać. Na wszelki wypadek wezmę jednak ze sobą komórkę.

Rozmyślałam o tym, co mnie czeka.

Dziś zobaczę Harry'ego Robinsona po raz pierwszy od naszego rozstania. Dziś Harry Robinson się żeni.

Abbie jest w dużym pokoju, podśpiewuje piosenkę, która leci w radiu, i maluje się przy lusterku nad kominkiem. Zerka na mnie.

- Wyglądasz bosko - mówi.

„Bosko” to trochę za dużo powiedziane, ale przyznaję, że obejrzałam się w lustrze z zadowoleniem. Postanowiłam włożyć starą, ale prześliczną, białoniebieską, jedwabną sukienkę marszczoną w talii - oparłam się pokusie kupienia nowej, wystrzałowej kiecki, tłumacząc sobie, że przecież muszę oszczędzać. Proszę, proszę, co za dojrzałość! Chyba za wcześnie się pochwaliłam, bo trochę jednak zaszalałam - poszłam na manikiur i pedikiur i teraz z zachwytem wpatruję się w swoje stopy. Do sukienki dobrałam delikatne, srebrne sandałki, a blady róż na moich paznokciach po prostu idealnie z nimi współgra. Jak to miło dla odmiany pomyśleć o sobie i o tym, w co sama mam się ubrać.

- Kochana jesteś. Też pięknie wyglądasz. Długo ci jeszcze zejdzie? Zaraz powinien być Briggsy.

Ogarnia mnie śmiech, bo Abbie odwraca się, żeby posłać mi wymowne spojrzenie. Dobrze wie, że czeka ją weekend topornych zalotów Briggsy'ego, i trudno się dziwić, że

niespecjalnie się ucieszyła na wieść, że z nim jedziemy. Ja tam jestem zadowolona. Trochę się pośmiejemy, a jutro żadna z nas nie będzie musiała prowadzić na gigantycznym kacu. A kac wydaje mi się nieunikniony.

Okazało się, że niezupełnie będzie to darmowa podwózka. Kiedy Briggsy zadzwonił za pierwszym razem, sądziłam, że składa uprzejmą, bezinteresowną propozycję, jednak od tego czasu dzwonił kilkakrotnie, żeby w zamian coś wynegocjować - oczywiście poza strzelaniem oczami do Abbie, bo to od początku było wliczone w transakcję. Stało na tym, że ja miałam znaleźć i zabukować nam pokój na noc, no i jeszcze wpłacić kaucję.

To tylko jeden z irytujących nawyków Briggsy'ego - on po prostu musi mieć to poczucie, że dopiął swego albo że to on jest górą. Równie irytujące są jego niezapowiedziane wizyty - na szczęście rzadsze, odkąd Harry mnie rzucił - wyżeranie nam wszystkiego z lodówki i korzystanie z naszego telefonu bez naszej zgody, żeby pogadać z jedną ze swoich panienek, która - tak się akurat składa - jest na Florydzie. Briggsy jest didżejem i wie, że raczej beztroski żywot.

Ślub ma się odbyć o trzeciej, w niewielkiej miejscowości Todpuddle, a Briggsy zaklinał się, że podróż nie potrwa dłużej niż dwie i pół godziny, ale dobrze wiem, że niespecjalnie by się przejął, gdybyśmy nie zdążyli na ceremonię, więc podejrzewam, że to raczej niedokładna kalkulacja. Dla mnie z kolei spóźnienie się na ślub to przejaw chamstwa i powód do wstydu, więc poszliśmy na kompromis i ustaliliśmy, że przyjedzie po nas o pierwszej. Jest za pięć.

- Właściwie już jestem gotowa - mówi Abbie, nakładając róż.

- Wyglądasz cudnie - komplementuję przyjaciółkę. Ma na sobie kremowy garnitur, a pod spodem liliową, obcisłą koszulkę na ramiączkach, buty na obcasach i kapelusz z miękkim rondem.

- Dzięki, kotku, nie wiem tylko, gdzie schowam fajki. Po dwudziestu minutach schowanie papierosów jest najmniejszym z naszych zmartwień. Briggsy'ego jak nie było, tak nie ma, my miotamy się po całym domu, mamrocząc przekleństwa. Wtem na dworze rozlega się klakson.

- Bogu dzięki - mówię, łapiąc kopertówkę i chustę. Ostrożnie wybiegamy w szpilkach i pędzimy na podjazd.

- Gdzieś ty był, do jasnej cholery? - wkurza się Abbie.

- Wszystko gra, laseczki? Musiałem jeszcze parę spraw załatwić - zdaniem Briggsy'ego to ma być wyjaśnienie.

Ani przez chwilę nie wierzę, że sprawy, które załatwiał, nie mogły poczekać. Siadam z przodu.

- A, właśnie - mówi Briggsy radośnie - znów puszczają tę chlamiastą reklamówkę. Nieważne, czy stłuczka... Jak to szło? Nieważne, czy stłuczka, czy wypadek, dzwonię po swojego asekuratora...?

Nie jestem w nastroju. Poza tym postanowiłam ignorować fakt, że czasem ludzie wpatrują się we mnie na ulicy, co niechybnie oznacza, że mój koszmar powrócił.

- Co ty, kurwa, masz na sobie? - ripostuję niezbyt grzecznie. Briggsy jest w dżinsach, T-shircie i japonkach -wystawił swoje odrażające, owłosione paluchy na widok publiczny.

Ignoruje moje pytanie. Wnerwia mnie.

- Kurde, Abs, wyglądasz git. Ty też, Fran. Masz super cycki w tej kiece. Zaczynam czuć niepokój, który czuję zawsze, kiedy wiem, że się spóźnię, ale to odczucie schodzi na dalszy plan, bo raptem wyłazi ze mnie coś, co od dłuższego czasu dusiłam w środku.

- Wiesz co, Briggsy, już od jakiegoś czasu mam ochotę iść z tobą na noże. Czemuś mi, do jasnej cholery, nie powiedział, że Harry kogoś ma i że są rozmowy o ślubie? Przecież wiedziałeś i mogłeś mi oszczędzić szoku, jakim było zaproszenie.

Briggsy przyjmuje tylko nieco skruszony wyraz twarzy.

- Słuchaj - mówi zaczepnie - jak masz zamiar robić z igły widły, to Briggsy w to nie wchodzi.

Briggsy często mówi o sobie w trzeciej osobie.

- Poza tym, co za różnica, że ci nie powiedziałem? Moje milczenie Briggsy słusznie bierze za „pewnie żadna”.

- Sama widzisz - ciągnie. - Gdybym coś palnął, to dopiero bym namieszał. W końcu to nie mnie by się oberwało, nie? - kończy, puszczając do mnie oko, co jest u niego odpowiednikiem przeprosin.

Postanawiam nie ciągnąć tematu.

- Ale wiesz co, Fran?

- Co? - pytam, niesłusznie oczekując porady godnej mędrca.

- To bycie na noże bardzo mi się podoba. Tak to możesz się na mnie wyładowywać w dowolnej chwili, bez pytania - wypowiedziawszy tę kwestię, Briggsy wybuchą swoim charakterystycznym, szczeniackim i wyjątkowo zaraźliwym śmiechem, po czym wrzuca wsteczny i wyjeżdża z podjazdu. - No, dobra - mówi, zwieszając ramię za okno, jak szpanujący gnojek. - Gdzie ja teraz kupię garnitur?

- Briggsy, palancie - warczy na niego Abbie z tyłu - nie mamy czasu.

Cieszę się, że to ona próbuje opanować sytuację, bo ja dzisiaj nie ręczę za siebie.

- Luzuj. Rany, coście takie nadęte, okres macie, czy co? W tej chwili go nienawidzę. Ale wiem, że tylko czeka, aż

złapię przynętę, więc milczę i wyglądam przez okno. Abbie też nic nie mówi, siedzi wściekła. Najwyraźniej nieświadomy tego, że przyprawia nas o skręt kiszek, Briggsy włącza głośno muzykę i podjeżdża do sklepu „Jigsaw” na Kings Road. Parkuje i błaga, żebyśmy pomogły mu coś wybrać. Jestem pewna, że to by tylko wydłużyło czas spędzony w sklepie, więc rzucam mu tylko: „Pocałuj nas w dupę. I pospiesz się”.

Słońce niemiłosiernie nagrzewa czarną karoserię, zaczynamy się z Abbie gotować, ale za nic nie wysiadziemy. Ja

mamrocze przekleństwa i życzę Briggsy'emu śmierci, Abbie wychyla się za okno i pali papierosa za papierosem. Raptem obie naraz uświadamiamy sobie, że w całym tym pośpiechu zapomnieliśmy zabrać na jutro ubranie na zmianę - torby zostały przy drzwiach w korytarzu. To zdecydowanie nie poprawia nam humoru. Niech to szlag.

Wreszcie Briggsy wychodzi ze sklepu i choć siedzimy tu wściekłe, muszę zagryźć wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Przebrał się w błękitny garnitur, który może by uszedł na Carsonie Adamsie, a w którym on wygląda żałośnie. Ciuchy niesie upchnięte w worku na garnitur, no i nadal człapie w swoich koszmarnych japonkach.

- Coś ty z siebie zrobił? Wyglądasz jak alfons - wypalam, trzęsąc się ze śmiechu, kiedy Briggsy wsiada do samochodu.

Abbie parska śmiechem.

- Musisz tak obnosić ten mięsień piwny?

Briggsy ma do tego stopnia rozdęte ego, że słysząc takie komentarze, autentycznie bierze je za dobry dowcip. Przygląda nam się przez chwilę, puszcza oko, włącza głośniejszą muzykę i wyjeżdża na Kings Road.

- Jestem Briggsy i wyglądam bosko, wbijcie to sobie do głowy - wykrzykuje przy pierwszych taktach *Ibiza anthem*.

Wreszcie jesteśmy w drodze, więc natychmiast poprawiają nam się humory. Świeci słońce, gra muzyka, nie ma korków - to wystarczy, żebyśmy się z Abbie odprężyły. Całą drogę do Wiltshire Briggsy prowadzi jak zawodowy kierowca - bardzo szybko i bardzo bezpiecznie. Ja robię za pilota, więc to cud, że błądzimy tylko raz. Sama nie mogę w to uwierzyć, ale docieramy do kościoła dwadzieścia minut przed czasem.

- Miałem rację, moje panie? - pyta nasz kolega alfons, wyłączając radio, a potem silnik.

- Miałeś - przyznajemy. Chcemy jak najszybciej rozprostować nogi.

Z rozkoszą wdycham wiejskie powietrze. Jak dobrze czasem wyjechać z Londynu.

Jazda była dość hałaśliwa, więc idziemy na drinka i pijemy w ciszy. Zaczynam się odprężyć, rozglądam się wokoło i czuję, że napięcie w ramionach powoli puszcza. Na miejscu jest już wielu gości, rozmawiają w niewielkich grupkach: elegancyści mężczyźni w dziennych garniturach, pięknie wystrojone kobiety. Łatwo rozpoznać babki z Londynu i z prowincji. Te z Londynu wydały fortunę na fryzjera specjalnie na tę okazję, mają sześciocalowe obcasy i okulary słoneczne jak gwiazdy rocka; dziewczyny ze wsi mają sukienki, które nie odsłaniają zbyt wiele, nie noszą okularów ani wielkich kapeluszy.

Kościół jest piękny. Wejście przystrojono splecionymi w łuk girlandami nadzwyczaj wonnych, kremowych i fioletowych kwiatów przetykanych listowiem. Stare mury z szarego kamienia wyglądają niesamowicie na tle błękitnego nieba, powiewa delikatna bryza. To idealny dzień na brytyjski letni ślub. Popadam w błogość - słyszę brzęczenie pszczoły, ptaki świergocące na gałęziach drzew, delikatny poszum rozmów i... dzwonek mojej komórki.

- Halo?

- Mój komputer nie działa.

- Witaj, Caroline. Który komputer? - pytam głośnym szeptem.

- Mój laptop. Nie działa - tłumaczy burkliwie.

- Nie wiedziałam, że chciałaś go zabrać do Dorchester -usprawiedliwiam się, odchodząc na bok, bo wpatrują się we mnie wszyscy zgromadzeni przed kościołem goście. Chowam się przed ich zgorzonymi spojrzeniami za rogiem i ciągnę: -Nie będzie działał, to amerykański komputer, w domu masz specjalne łącze.

- To co ja będę, kurwa, robić przez cały ten zasrany weekend?

Mam kilka sugestii, ale nie mogę powiedzieć ich na głos. Słyszę, jak wydmuchuje dym.

- Muszę sprawdzić pocztę.

- Zadzwoń do dozorczy ośrodka, na pewno pozwolą ci skorzystać z komputera.

Słyszę jakiś odgłos, coś między westchnieniem a parsknięciem, a potem sygnał przerwanej rozmowy.

Abbie podbiega do mnie, łapie mnie za rękę i pyta, czy wszystko w porządku.

- Tak. A dlaczego pytasz? - odpowiadam, zakładając przeciwsłoneczne okulary Diora.

Zamiast powiedzieć: „Bo za chwilę będziesz patrzeć, jak twój były facet się żeni”, Abbie odpowiada:

- Bo tak się nagle spięłaś.

- Nic mi nie jest - zapewniam ją. A przynajmniej nic mi nie było, dopóki ona mi nie przypomniała, że może powinno być. W końcu inni mogą uznać, że moja obecność jest dziwna, a i ja sama nie wiem, jak zareaguję na ceremonię. W tej chwili czuję tylko pełne napięcia oczekiwanie. Mam guł w żołądku na myśl, że zaraz zobaczę Harry'ego. W sumie się cieszę, bo nagle uświadamiam sobie, że się za nim stęskniłam. Znowu dzwoni moja komórka. Chryste Panie.

- Tak? - warczę.

- W przyszłym tygodniu mój komputer ma działać wszędzie, w każdym hotelu. W końcu po to go kupowałam - sący jad Caroline, która najwyraźniej kipi od chwili, gdy rzuciła słuchawką.

- Caroline - staram się zachować cierpliwość - możemy o tym porozmawiać w przyszłym tygodniu? Idę na ślub. Właśnie wchodzę do kościoła.

- Jak chcesz - rozłącza się.

Bogu dzięki, że przyjeżdża Carson. Może to babsko przestanie wydzwaniać co pięć minut. Wywracam oczami do Abbie, która zdążyła się już uodpornić na moją dzwoniącą bez przerwy komórkę.

- Zobacz, kto tu jest - mówi Abbie z zachwytem. Pędzi po trawie na obcasach, najszybciej jak może.

- Wayne! Kopę lat!

Idę za nią nieco wolniej, z lekkim niepokojem. Nie tylko Harry'ego mi brakowało, jego kumpli też. Wayne włożył garnitur - w ogóle na nim nie leży, pewnie go wypożyczył. Wayne jest wysoki - ma jakieś sześć stóp i pięć cali - a spodnie są co najmniej dwa cale za krótkie. Niewątpliwie jest uradowany, że nas widzi.

- Abbie, słoneczko, jak cudownie cię widzieć. Fran, wyglądasz bosko. Co u was, dziewczyny?

- Całkiem nieźle - odpowiada Abbie. - Poza tym, że przyjechałyśmy z Briggsym, to wszystko jest okay.

- Cieszę się. - Wayne całuje Abbie w policzek i zwraca się do mnie. - A ty, aniołeczku? Wstrzymasz ceremonię czy zamilkiesz na wieki? - pyta, patrząc mi prosto w oczy.

- Daj spokój. Co mi tam. Przyjechałam za darmo się napić. Zamierzam wytrwać w tej bezczelnej pozie do końca dnia. Wayne ściska mnie za ramię.

- Zuch dziewczyna. Przetykam ślinę.

- Dobra, zobaczymy się pewnie później. Powodzenia przy wygłaszaniu mowy. Zakładam, że jesteś drużbą.

- Jestem. Ale myślę, że Harry będzie tego żałował - odpowiada Wayne. Abbie zanosi się śmiechem.

- W takim razie z przyjemnością cię posłucham.

- Zamierzam popisać się brakiem taktu - mówi poważnie Wayne - pozbawić Harry'ego czci i doprowadzić do tego, że rodzina go wydziedziczy. Dobrze mi idzie, muszę się pochwalić, że już zdążyłem podbić mu oko.

- Tak, jasne - chichoczę. - Na razie. Chodź, Abs, zajmiemy miejsca, co? Jest co najmniej trzydzieści stopni w słońcu, więc z przyjemnością wchodzimy do chłodnego kościoła. Oczy dopiero po chwili oswajają się z mrokiem, zarzucam na ramiona szal. Rozbrzmiewają łagodne dźwięki organów, prawie wszyscy goście są już w środku.

- Panie są gośćmi panny młodej czy pana młodego? -pyta woźny, w którym rozpoznaję jednego z kumpli Har-ry'ego do kieliszka.

- Pana młodego - odpowiada Abbie. Większość ławek jest już zajęta, wciskamy się z brzegu, prawie na samym końcu. Briggsy siedzi dwie ławki bliżej ołtarza - znalazł sobie miejscówkę między dwiema atrakcyjnymi blondynkami. Zerkam na nawę.

Oto i on, pan Harry Robinson. Wpatrując się w tył jego głowy, czuję ukłucie urażonej dumy. Abbie trąca mnie łokciem.

- O co ci chodzi? - szepczę poruszona.

- Gapisz się jak wół na malowane wrota - odpowiada półgębkiem.

Odwracam wzrok i udaję, że pochłania mnie obserwowanie kwiatowych dekoracji. Wzdycham. Totalny surrealizm.

Harry, facet, który nie chciał się angażować, dzisiaj się żeni. Co prawda widzę go od tyłu, ale wiem, że jest zdenerwowany. Przebiera nogami, wpatruje się w jakiś odległy punkt.

Właśnie przechodzi obok nas Wayne. Pojawienie się drużby oznacza, że ceremonia lada chwila się zacznie, więc goście zaczynają niecierpliwie wiercić się w ławkach. Wyczuwa się pełne ożywienia oczekiwanie. Za chwilę ta część uroczystości, którą zwykle najbardziej lubię - zawsze wpatruję się w dumnego ojca i wyraz twarzy pana młodego.

Nagle organista się ożywia, a ja aż podskakuję w ławce. Rozbrzmiewa marsz weselny, Harry już wie, że nadchodzi panna młoda, więc odwraca się w jej stronę.

Wszyscy wpatrujący się w niego goście wydają zbiorowy pomruk. Muszę szybko dodać, że bynajmniej nie dlatego, że jest tak niewiarygodnie przystojny - choć faktycznie wygląda nieźle - tylko z powodu gigantycznej śliwy, jaką ma pod okiem. Wayne nie żartował.

Zerkam na Abbie, żeby sprawdzić, czy i ona to dostrzegła, a ona tymczasem niemal wpycha sobie rękaw do ust, usiłując zdusić rechot. Uśmiecham się. Jakoś łatwiej mi znieść ślub byłego faceta, który wygląda jak po rundzie z Tysonem. Trącamy się z Abbie łokciami.

- Jak to miło ze strony Wayne'a - szepczę półgębkiem.

Potem, zupełnie jak na meczu tenisa, wszyscy jednocześnie odwracają głowy. Oto nadeszła ta chwila. Za chwilę zobaczę dziewczynę, która usidliła Harry'ego Robinsona do tego stopnia, że postanowił się z nią związać na całe życie. Dziewczynę, której raczej nie polubię.

Już za chwilę.

Oto i ona. Panna Sandy Reed.

Kiedy w drzwiach pojawia się prowadzona przez ojca panna młoda, mniej więcej połowa gości znów wydaje z siebie zbiorowe westchnienie. I znów muszę powiedzieć, że to nie ma nic wspólnego z jej urodą. A jest piękna. Burza ciemnoblonde włosów przywodzi na myśl postacie z malowideł prerafaelitów. Ma przepiękną suknię (romantyczną, z podwyższonym stanem, upstrzoną maleńkimi koralikami i perełkami) i okazały bukiet.

Ale odeszłam od tematu.

Powodem westchnięcia nie jest ani uroda panny młodej, ani jej kreacja, ale jej odmienny stan. Sandy Reed jest w ciąży. Zaawansowanej. Jak by to powiedzieć - tak wielkiego brzucha chyba nigdy nie widziałam.

Zagryzam wargi i powstrzymuję skowyt.

Od tego wszystkiego kręci mi się w głowie. Sandy Reed jest w ciąży. Co do tego nie ma wątpliwości. W żadnym razie nie jest to kwestia nadwagi.

Wiem, bo wpatruję się w nią uporczywie, kiedy nas mija w drodze do ołtarza. Na pewno jest w ciąży i na pewno nie w pierwszym ani drugim trymestrze. Wygląda, jakby za chwilę miała rodzić. Kolejna rzecz, o której wszyscy, psia mać, jakoś zapomnieli wspomnieć.

Ogarnia mnie fala rozmaitych emocji. Miotają mną szok, upokorzenie i zdumienie.

Nic dziwnego, że Harry tak szybko się mnie pozbył. Nie dość, że grał na dwa fronty, to jeszcze od dawna musiał wiedzieć, że ona jest w ciąży. Facet, który zasłaniał się lękiem przed związkiem, dzisiaj się żeni, a wkrótce zostanie ojcem. Co za farsa!

Zerkam na Abbie. Ona ma dalej rękaw w ustach, trzęsie się ze śmiechu, łzy spływają jej po policzkach.

- Lepiej być nie mogło - parska.

Sandy podchodzi do pana młodego. Milkną organy, zaczyna przemawiać ksiądz.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj... Dzwoni moja komórka.

16

Do najgorszych koszmarów sennych należy podobno ten o paradowaniu na golasa w miejscu publicznym. A co powiecie na to: jesteście na ślubie swojego byłego faceta, a stuknięta szefowa wydzwania na waszą komórkę w trakcie ceremonii (nie mam złudzeń, że to ona). No i co?

Golizna w tłumie wcale nie wydaje się taka straszna.

Po pierwsze, żywa melodyjka niesie się po całym kościele. Myślę pewnie to samo, co reszta gości: „co za idiota nie wyłączył komórki?”. Nagle spływa na mnie koszmarna świadomość, że to ja, więc prawie mdleję ze wstydu. Dwieście osób obraca się w moją stronę i przeszywa mnie wzrokiem, z którego przebija - z różnym natężeniem - gniew, irytacja, politowanie. Próbuję udawać, że to wcale nie moja komórka zakłóca uroczystość, ale widzę, że ten numer nie przechodzi, bo to, że dźwięk dochodzi z mojej torebki, jest oczywiste, a do tego ci, którzy siedzą najbliżej, lekko się ode mnie odsuwają.

- Przepraszam, przepraszam, bardzo przepraszam -mamrocze, adresując to słowo do możliwie licznej grupy, a przy tym nie śmiem nawet spojrzeć w kierunku państwa młodych. Roztrzęsioną ręką wreszcie wymacuję w torebce telefon, który mam ochotę roztrzaskać o ziemię, i natychmiast go wyłączam.

Godzinę później Harry i Sandy są oficjalnie małżeństwem, a ja jestem nie mniej roztrzęsiona niż na początku ceremonii.

- Ale macie głupie miny. Nikt wam nie powiedział, że panna młoda ma sadzonkę? - dopytuje, podchodząc do nas, subtelny jak zawsze Briggsy.

- Nie, nikt - naskakuję na niego. - Rozumiem, że to pierwszy taki wypadek w twoim życiu, kiedy raptem wzięło cię na dyskrecję, ale jakbyś nas po drodze uprzedził, to może nie opadłyby nam tak szczęki.

Zrażam Briggsy'ego swoim opryskliwym tonem.

- Spoko, Briggsy - mówi Abbie. - Fran jeszcze się stresuje tym telefonem. Mrugam w ostrym słońcu. Abbie ma rację. To, że Harry nie tylko poznał przyszłą żonę, kiedy byliśmy razem, ale jeszcze ją zapłodnił, mało mnie w tej chwili obchodzi. Zamartwiam się tym, że wyszłam na nieokrzesaną prostaczkę. Pieprzona Caroline. Na dodatek będę musiała do niej oddzwonić, a wtedy zmiesza mnie z błotem za wyłączenie telefonu.

- Co się martwisz, tak jest na wszystkich ślubach - nie powiem, żeby komentarz Briggsy'ego mnie uspokoił. Kto jak kto, ale on na pewno nie może być autorytetem w sprawie savoir-vivre'u.

- Może faktycznie powinienem był wam powiedzieć, że panna młoda jest w ciąży, ale nie chciałem was denerwować. Wystarczy zobaczyć, w jakich teraz jesteście humorach. A poza tym, Fran, upiekło ci się. W końcu Harry to czarny charakter, nie? - ciągnie Briggsy radośnie. - A dziś proszę:

po ślubie, dziecko w drodze... To wszystko przed nami, Abs. Jak będziesz grzeczna.

Oburzający wywód Briggsy'ego wprawia Abbie w śmiech. On chichocze i klepie ją po tyłku.

Napięcie trochę mi puszcza. Zerkam na rodzinę, która właśnie ustawia się do zdjęcia. Fotograf w życiu chyba nie widział takiej galerii osobliwości. Pan młody szczerzy się od ucha do ucha, ale z podbitym limem wygląda jak chuligan. Patrząc na pannę młodą ma się wrażenie, że zabierze ją stąd karetka, a nie limuzyna. Z niejaką satysfakcją stwierdzam, że Harry jest co najmniej dwa cale niższy od żony, ale muszę przyznać, że wyglądają na szczęśliwą parę i na pewno nie sprawiają wrażenia, jakby brali ślub pod presją. Jednak swoboda, jaką usiłują zachować w tej sytuacji, jest nieco wymuszona.

Nagle ktoś od tyłu mnie obejmuje. Nie muszę się odwracać, wiem, kto to jest.

- Wayne, czemu mi nie powiedziałeś? Obchodzi mnie naokoło, żeby spojrzeć mi w oczy.

- A co miałem powiedzieć? Cześć, Fran, tak sobie dzwonię, żeby pogadać. A przy okazji - Harry puścił cię kantem. I spodziewa się dziecka.

- Choćby coś takiego, tak - mówię ze złością. - A zresztą, wszystko jedno. Muszę sprawdzić pocztę głosową.

- To twoja komórka dzwoniła? - pyta ze śmiechem Wayne.

- Tak. Myślałam, że się spalę ze wstydu. Pracuję dla aktorki, która zamecza mnie telefonami.

- To ktoś znany?

- Raczej tak. Caroline Mason.

- A, tak. Świetna rola w *Love Story*.

- Nie ona w tym grała, tylko jej największa rywalka, Marina Madson.

Zostawiam Wayne'a. Wymykam się za kościół i włączam telefon. Mam dwie wiadomości.

Wiadomość pierwsza: „Francesca... Francesca... Jesteś tam? Francesca... Halo? To mój drink? Dziękuję bardzo, proszę tam postawić... Francesca, Francesca... Gdzie ona, do cholery, jest?”

Wiadomość druga: „Francesco, to ja. Nie wiem, dlaczego nie odbierasz. Idziesz na wesele? Dopisz do listy na przyszły tydzień przypomnienie - byłam w „Matches”, znalazłam koszulkę, która mi się podoba.

Powiedziałam, że odbierze ją moja asystentka. Muszę lecieć, przywitać Carsona. A, jeszcze jedno, o której zamykają „Harrodsa”?”

Wciskam „usuń”, wyłączam telefon i postanawiam go nie włączać aż do poniedziałku.

Mija kilka godzin, zabawa trwa w najlepsze. Sałatkę z melona i gumowego kurczaka zapijamy wiadrami alkoholu. Siedzimy z Abbie przy jednym stoliku, incydent z telefonem odszedł w niepamięć, a ponieważ udziela mi się radosna atmosfera i wlewam w siebie wino, zaczynam dobrze się bawić. Kelnerzy zbierają talerze, za chwilę zaczną się przemówienia, a cały tłumek - teraz dobrze już naoliwiony - zaczyna radośnie pokrzykiwać.

Pierwszy zabiera głos ojciec panny młodej - jego wystąpienie jest urokliwe, ale raczej przewidywalne. Nie ma słowa o tym, że młoda para pospieszyła się z decyzją o rodzicielstwie, nie ma uwagi pod adresem świeżo upieczonego zięcia, że mógł się lepiej zabezpieczać, ale są ze dwa żarty na temat stanu córki. Kolej na Harry'ego, który już wstaje ku radosnej owacji gości, a ja nagle ogłaszam przy stoliku, że muszę pilnie iść do toalety, uzupełniając tę informację westchnieniami w stylu „ojej, w takiej chwili” i „nie mogę sobie darować, że to przegapię”. Prawda jest taka, że wysłuchiwanie peanów Harry'ego na cześć żony, z którą mnie zdradzał, byłoby ponad moje siły. Wymykam się więc i wracam dopiero po dziesięciu minutach, gdy w sali rozlega się

gromki aplauz - goście nagradzają Harry'ego za to, z pewnością romantyczne, wyznanie. Z krzesła wstaje Wayne, a Abbie ściska mnie za rękę - ona dobrze wie, że to nie mój pęcherz wybrał sobie ten, a nie inny, moment.

Wayne stuka w kieliszek łyżeczką i znów rozlegają się krzyki i oklaski. Akurat tego przemówienia bardzo chcę wysłuchać. Będzie dobre.

- Panie i panowie. Przygotowałem sobie parę zdań, ale zdaje się, że Harry właśnie sprzątnął mi je sprzed nosa...

Nieco później, kiedy cały tłum szaleje na parkiecie, wymykam się z sali przykrytej gigantycznym namiotem, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Sporo wypiałam, muszę zacząć się pilnować. Posiedzę na trawie, chwila samotności dobrze mi zrobi. Abbie jest innego zdania.

- Fran, co tu robisz?

- Muszę chwilę odpocząć.

- Nie musisz - odpowiada przyjaciółka. Gwałtownym ruchem zwała się obok mnie, brudząc trawą kremowy garnitur. - Od rozstania z Harrym nie byłaś na żadnej randce, ciągle się zamartwiasz - jak nie pracą, to czymś innym. Wiesz co, najwyższy czas, żebyś trochę użyła życia. Co powiesz na tego?

Abbie wskazuje na mężczyznę, który właśnie chwiejnym krokiem wyszedł przed namiot i który, podobnie jak ja, najwyraźniej potrzebuje odetchnąć świeżym powietrzem. Spozstrzegłam go już wcześniej - zwrócił moją uwagę, bo jest jedynym gościem w czarnym krawacie. Mój brak odpowiedzi Abbie bierze za zachętę do tego, żeby go zawołać, a ja aż się kulę z zażenowania.

- Halo, halo, możesz tu podejść?! Chcę, żebyś poznał moją przyjaciółkę! Facet rozgląda się, szukając wzrokiem osoby, do której woła Abbie; wreszcie uświadamia sobie, że chodzi o niego, i lekko się kołysząc, zmierza w naszą stronę. Ma w czubie.

Jest wysoki - ma pewnie trochę ponad sześć stóp - szczupły i, jak mi się wydaje, zupełnie niczego sobie.

- Do mnie mówisz? - pyta, poprawiając okulary w czarnej oprawie. Jest ładnie opalony, ma jasnobrązowe, niemal piaskowe włosy.

- No jasne - wypala Abbie. - Chcę ci przedstawić moją przyjaciółkę, Francescę.

- Zamknij się, Abbie - mamrocze zawstydzona.

Gość raczej nie podziela mojego zakłopotania i podchodzi bliżej.

- Cześć, Francesco, jestem Tom. Bardzo mi miło. Ściskam wyciągniętą rękę i podnoszę wzrok.

Teraz nie mam już wątpliwości, że jest atrakcyjny. Ma szerokie bary i przystojną twarz, choć przystojną w taki brytyjski, zawadiacki sposób. Jest w nim coś ekscentrycznego, ale to może być tylko wrażenie wywołane absurdalnym frakiem i okularami w czarnej oprawce. Tak czy inaczej, ma w sobie coś, co każe mi się uśmiechnąć, a moje pierwsze odczucie jest takie, że warto się nim bliżej zainteresować.

- O co chodzi z tym czarnym krawatem? - pytam.

- To stary dowcip chłopaków. Bawi ich, jak zrobią mnie w jajo i ubiorę się ni w pięć, ni w dziewięć do okazji. Ta zabawa trwa od lat, tylko że tym razem blef był pozorny. Wayne kazał mi włożyć dzienny garnitur, więc uznałem, że na pewno wszyscy będą w czarnych krawatach. Czuję się jak idiota.

Obie się śmiejemy. A zatem Tom nie jest arogantem. Przez chwilę patrzymy na siebie z Abbie z szerokimi uśmiechami na twarzach, po czym Abbie nagle wstaje.

- A ty dokąd? - pytam.

- Do baru - odpowiada, znikając w namiocie i zostawiając nas oboje w dość niezręcznej ciszy.

Wreszcie Tom chrząka.

- Francesco, masz ochotę zatańczyć?

- Czemu nie? - odpowiadam niepewnie.

Mijają cztery godziny. Jestem pijana. Pijana i szczęśliwa. Cały ten czas spędziłam z Tomem, bawiąc się w najlepsze. Tańczyliśmy bez przerwy, wypiliśmy hektolitry wina, szampana i piwa. I gadaliśmy w nieskończoność.

Właśnie postanowiliśmy odpocząć po akrobacjach tanecznych - przysiadamy, żeby pogadać.

- Wiesz, Francesco, co jest cudownego w tym wieczorze?

- Co takiego?

- Usta nam się nie zamykają, a ani słowem nie wspomnieliśmy o tym, czym się zajmujemy. To dobry znak.

- Racja - przyznaję - tylko skoro o tym wspomniałeś, to teraz musimy ten temat poruszyć.

- Chyba tak. Jestem weterynarzem. Wybucham śmiechem.

Tom wygląda na nieco urażonego.

- Nie ma się z czego śmiać, to nic zabawnego. Uspokajam się i uśmiecham.

- Wiem, że to wcale nie jest śmieszne. Tylko widzisz, jak byłam mała, marzyłam o tym, żeby zostać aktorką. Ojciec był przerażony, roztaczał wizję, jak to będę stale bez grosza, a jako przykład pewnego zawodu zawsze podawał weterynarza.

- Ale rozumiem, że do niczego cię nie zmuszał?

- Nie, nie zmuszał. Nawet nie mogę powiedzieć, żeby mnie nie wspierał, tylko po prostu realistycznie oceniał szanse na zatrudnienie większości aktorek i prezenterek.

- Miał rację?

- Raczej tak. Nie, nieprawda. Miał całkowitą rację - nigdy nie byłam w stanie utrzymać się z grania. Jak na ironię, teraz pracuję dla aktorki.

Jestem asystentką Caroline Mason.

- Powiniennem ją znać? - pyta Tom.

- To dziewczyna Carsona Adamsa - dodaję tytułem wyjaśnienia. Im lepiej znam Caroline, tym bardziej mnie śmieszają spotkania z ludźmi, którzy nie mają bladego pojęcia,

kim ona jest. Z pewnością nie jest gwiazdą takiego formatu, za jaką się uważa.

- A, o nim słyszałem. Bo widzisz, nie przepadam za kinem. Chyba że starym.

Słyszając to, chichoczę. Wcale nie śmieję się z Toma - po prostu rzadko trafia się na faceta, który przyznaje się do zamiłowania do starych filmów. Nie dość, że jest cholernie przystojny, to jeszcze ma wyrazistą osobowość, czego nie można powiedzieć o facetach, z którymi umawiałam się w ciągu ostatnich kilku lat.

- Jak to jest być prywatną asystentką? - pyta Tom. Zastanawiam się nad odpowiedzią. Od czego tu zacząć?

- Zdarzają się wspaniałe chwile. Co prawda Caroline ma w sobie coś z udzielnej księżnej - potrafi być obcesowa i zupełnie oderwana od rzeczywistości - tylko że świat, w którym się obraca, nie jest zbyt realny, więc w sumie trudno jej się dziwić. Generalnie lubię tę pracę - obserwowanie ludzi jej pokroju jest fascynujące, jak zresztą uczestniczenie - do pewnego stopnia - w ich świecie blichtru. Do tego przyzwoicie zarabiam, a przebywanie z Caroline jest najczęściej absurdalnie śmieszne. Bo widzisz, ja uwielbiam pisać, i co wieczór nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zasiądę przed komputerem. Na pewno nie jest nudno.

Zapada cisza, w żadnym razie nie krępująca. Zerkam na Toma. Patrzy na mnie, uśmiechnięty. Nagle, ni stąd, ni zowąd, całuje mnie w policzek i mówi coś, co mnie zaskakuje.

- Kiedy o tym opowiadasz, aż ci się oczy świecą. Dziwne, że to mówi - przecież dopiero się poznaliśmy.

Zerkam na niego raz jeszcze, żeby sprawdzić, czy się ze mną nie droczy. Ma poważną minę - nie oceniał mnie zatem, tylko wyraził opinię. Patrzę na jego dłonie. Są ładne - opalone i gładkie, ale męskie. Nie wiem, jak zareagować, więc zmieniam temat.

- Jaki jest twój ulubiony film? - pytam.

Ta odpowiedź będzie kluczowa. Od niej może zależeć to, czy facet naprawdę mi się spodoba, czy też dam sobie z nim spokój.

- Pewnie nie widziałaś. *To wspaniałe życie.*

Po chwili Tom pyta, czy wyjdziemy na chwilę na zewnątrz. Ale ja już wiem, że chcę, żeby mnie pocałował.

Siedzimy na wilgotnej trawie, rozmawiamy jeszcze przez jakieś dziesięć minut, aż wreszcie on patrzy mi głęboko w oczy. Ja wpatruję się w jego - zza okularów widzę, że są piękne, zielone. Całujemy się. To cudowny pocałunek - namiętny, bardzo długi. Wreszcie odrywamy się od siebie. Nie mam złudzeń - oboje jesteśmy podnieceni. Jemu brakuje tchu.

Okulary mu trochę zaparowały.

Mówię mu o tym, żeby rozładować napięcie.

- Nic dziwnego - odpowiada z uśmiechem. - Po takim pocałunku? Chodź, potańczymy jeszcze.

Właśnie w tej chwili zaczyna się *Sexbomb* Toma Jonesa, a Tom chwytam mnie za rękę. Potem robimy tę koszmarną rzecz, którą wszyscy robią na weselach - idziemy do środka, podrygując w takt muzyki, przeciskamy się przez tłum na czarno-białym parkiecie, żeby znaleźć dobre miejsce. Tańczymy całe wieki, a ja dobrze wiem, że oczy mi błyszczą z szalonej radości. Czuję, że tańczę świetnie i robię mnóstwo figur - to pewna oznaka, że mam dobrze w czubie. W pewnej chwili dołącza do nas rozpromieniona Abbie, dumna z tego, że okazała się dobrą swatką. Leci *I'm in the mood for dancing* The Nolans, a ja usiłuję przekrzyczeć muzykę, żeby powiedzieć Tomowi, że idę do baru - on odpowiada, unosząc oba kciuki.

Przeciskam się przez tłum i wpadam na Harry'ego.

Stoimy jak wryci całą wieczność - tak przynajmniej mi się wydaje, po czym odzywamy się oboje naraz.

- Ty pierwszy - mówię.

- Dobrze cię widzieć, Fran. Idziemy do baru? Uzbrojona w drinka, zadaje pytanie, które nurtuje mnie od tygodni.

- To kiedy poznałeś Sandy?

Twarz Harry'ego wykrzywia bolesny grymas.

- Nie rób mi tego, Fran. Przepraszam cię za to, jak się zachowałem.

Straciłem głowę, nie umiałem ci powiedzieć. Wiem, że zachowałem się jak tchórz, ale...

Postanawiam skrócić jego męki. Dość się nacierpiał, a poza tym - to nie ma już znaczenia.

- Spoko, Harry. Jest okay. Nie płakałam nocami w poduszkę. Brakowało mi ciebie, to wszystko. Teraz już chyba możemy zostać kumplami.

Harry uśmiecha się szeroko i podnosi kieliszek.

- Za przyjaźń. Jeśli to w czymś pomoże, to powiem ci, że Wayne bez końca się na mnie wyżywał.

- Serio? - pytam. Wzrusza mnie ta wiadomość. - Pomogło. To kiedy ma się urodzić mały Harry albo mała Harriet?

- Już za kilka tygodni - mówi z dumą Harry. - Stanęliśmy na głowie, żeby zdążyć ze ślubem, wszystko wydarzyło się tak szybko... - Harry milknie, zawstydzony.

- Harry, nie przejmuj się, naprawdę. Cieszę się, że ci się ułożyło, i dziękuję, że nas zaprosiłeś.

Harry rzuca mi spojrzenie, którego nie rozumiem.

- Co takiego? - pytam.

- Może wkrótce i ja ci będę gratulował. Widziałem cię z Tomem, chyba się nieźle dobraliście.

Boże, dlaczego ja się tak łatwo czerwienię?

- Wiesz, jak to jest na weselach, wszyscy chcą się dobrze bawić. Musisz już pewnie lecieć do żony, co?

- Tak. Fajnie, że pogadaliśmy. Wstaje i odchodzi.

- Harry? - wołam go. - Tak?

- Zawsze chciałam cię o coś spytać. - O co?

- Jaki jest twój ulubiony film?

- Śmieszne pytanie. Bo ja wiem? Chyba *Szklana pułapka* -cała seria. Odchodzę, śmiejąc się, ale jak zwykle to Harry musi mieć ostatnie słowo.

- Tak przy okazji, dzięki za prezent.

Nie rozumiem. Przecież nie dałam mu prezentu... jeszcze. Cholera, co za obciach.

- Chciałam ci go podrzucić, jak wrócisz z podróży poślubnej - odpowiadam, w końcu nie ma to jak improwizacja.

- Nie trzeba, Fran, serio. Dostałem go nie dalej jak wczoraj, za sprawą kablówki. Akurat włączyłem telewizor, kiedy leciała ta niewiarygodna reklamówka - twój głos dosłownie wypełnił cały pokój: „Nieważne, czy stłuczka, czy poważny wypadek...”.

Nie reaguję, bo i po co. Przeciskam się przez tłum z wielkim uśmiechem na twarzy.

17

Budzę się z potwornym kacem. Łeb mi pęka, czuję jakiś straszliwy fetor. Ostrożnie otwieram jedno oko, potem drugie. Mam na twarzy zaschnięte resztki tuńczyka z niedoje-dzonej kanapki, co tłumaczy smród, leżę w ubraniu na podłodze pokoju hotelowego.

W końcu to ja zorganizowałam, zabukowałam i opłaciłam pokój, a tymczasem na łóżku widzę trzy wybrzuszenia. Wstaję, ścieram z twarzy kawałki tuńczyka i bardzo się staram nie zwymiotować. Sięgam po czajnik, idę do łazienki, napełniam go wodą z umywalki i włączam. Wśród wybrzuszeń na łóżku powstaje jakieś poruszenie, więc idę zobaczyć, co się dzieje. Pomędzy dwiema blondynkami leży Briggsy. Na szczęście cała trójka jest w ubraniach.

- Dobry - mówi Briggsy z zamkniętymi oczami.
- Zająłeś całe łóżko. Wielkie dzięki, spałam na podłodze -warczę na niego, zmagając się z przepotwornym bólem głowy.
- Briggsy chichocze.
- Że co?! - pyta, przyglądając się, jak otwieram saszetki kawy rozpuszczalnej i śmietanki. - Mogłaś spać w łóżku, tylko że byłaś tak skuta, że zamówiłaś kanapkę i odpadłaś na podłodze w trakcie jedzenia. Ojoj, coś zaczynam sobie przypominać.
- Cholera.
- Ciszej, Fran. Łeb mi pęka. Podbiegam do niego.
- Briggsy, tylko bez żadnych wygłupów, bo cię zabiję. Rozmawiałam wczoraj z szefową czy nie?
- Hi, hi - zaśmiewa się Briggsy. - No, tak.
- Tak - rozmawiałam czy tak - nie rozmawiałam? - dopytuję, choć dobrze wiem, jak było. Łudzę się jeszcze, że może mi się wydaje.
- Rozmawiałaś. Przyszłaś, włączyłaś telefon, ona zadzwoniła i wpadła w słowotok. Ty lałaś po nogach ze śmiechu i nie byłaś w stanie rozmawiać, więc dałaś mi telefon.
- Siadam na podłodze, chowając twarz w dłoniach.
- Spięta jakaś była, paplała, że koniecznie musi z tobą pomówić, bo czegoś tam jej nie spakowałaś. Luzuj, pogadałem z nią i jakoś ją uspokoiłem.
- A co ja wtedy robiłam? - pytam słabym głosem.
- Akurat przynieśli ci kanapkę. Wolałaś zająć się żarciem niż rozmową.
- O, Boże - zawodzę. - Co jej powiedziałeś?
- Czarowałem ją, w końcu to moja specjalność. Wytłumaczyłem, że jesteś strasznie zajęta i że zadzwonisz innym razem. Pomyślałem, że dobrze będzie jej trochę posmarować, więc powiedziałem, że była boska w *Love Story*.
- Ja chyba oszaleję.

- Kogo zaciągnąłeś do wyra? - mamrocze, nadal chowając twarz w dłoniach.

- Ja jestem Tricia, a to moja siostra Claire. Jesteśmy kuzynkami Harry'ego - mówi jedna z pańienek zaspianym głosem, z twarzą wbitą w poduszkę. - To z tą Caroline Mason wczoraj rozmawiałeś?

- Tak - przytakuję smętnie.

Wtem rozlega się walenie do drzwi. Idę otworzyć, spodziewając się zobaczyć wściekłą Caroline. Na szczęście to Abbie, której jeszcze nie dopadł kac. Jest rozpromieniona, najwyraźniej spędziła upojną noc w ramionach nieznanego. Mówi, że wszyscy będą w pubie na lunchu, postanawiamy się zebrać. Przez dobre dziesięć minut szukam torby z ubraniem na zmianę, aż wreszcie przypominam sobie, że jej nie zabrałam. Chryste, co za koszmarny kac. Ściągam sukienkę, która jeszcze wczoraj wyglądała pięknie, a dziś jest wymięta, ma plamy po trawie i jest upstrzona kawałkami zaschniętego tuńczyka, biorę prysznic, po czym znów ją wkładam - ohyda.

W drodze do pubu zastanawiam się, czy będzie tam Tom, i choć spinam się na myśl o wczorajszej rozmowie z Caroline, to przede wszystkim czuję podekscytowanie, bo może go zobaczę, przy czym w życiu nie przyznałabym się do tego głośno przed Briggsym.

Widzę go już od progu. Stoi przy barze, w czarnym krawacie, a ja uświadamiam sobie, że mam motylki w żołądku. Myślę sobie z ulgą, że na trzeźwo, w świetle dnia nadal mi się cholernie podoba, więc posyłam mu swój najpiękniejszy uśmiech. Ku mojemu bolesnemu rozczarowaniu on odwraca się, nawet nie zerka w moją stronę.

- Ignoruje mnie, bo tak fatalnie wyglądam? - pytam Abbie, która właśnie dostrzegła odcisk buta na swojej kremowej marynarce. O nic nie będę pytać.

- Skąd, wyglądasz super. Może jest nieśmiały? - odpowiada Abbie bez przekonania.

Znajdujemy stolik, Briggsy idzie do baru po napoje. Jeszcze raz zerkam na Toma, a kiedy patrzy w moją stronę, macham do niego, ale on zachowuje się tak, jakby mnie nie widział. To już szczyt grubiaństwa - o takie zachowanie mogłabym podejrzewać siedemnastolatka albo jeszcze młodszego gnojka, ale nawet wtedy uznałabym je za żałosne.

- To się w głowie nie mieści, totalnie mnie zignorował - mówię z niedowierzaniem do Abbie, usiłując maskować potworne rozczarowanie. Abbie milczy, czyli przyznaje mi rację, i zerka w stronę Toma z błyskawicami w oczach.

Briggsy przynosi napoje. Wypijam duszkiem colę light, po czym sugeruję jemu i Abbie, żebyśmy jak najszybciej się zebrali. Im obojgu kac dopiero zaczyna doskwierać, na szczęście popierają mój pomysł. Opróżniają szklanki, zbieramy się. Wychodzę za próg, nagle woła mnie Tom.

Odwracam się.

- Mogę do ciebie zadzwonić? - pyta, wykonując objaśniający gest.

Posyłam mu lodowate spojrzenie i wychodzę. Może wszystko wydawało mi się wczoraj takie cudowne, bo byłam pijana?

Nie dam rady zadzwonić do Caroline. Mam strasznego kaca i jest mi smutno, więc nie włączam telefonu. Postanawiam zjawić się w pracy z samego rana i dopiero wtedy zmierzyć się z rzeczywistością.

18

Zwykle zaczynam pracę o dziesiątej, ale tego ranka zjawiam się w domu Caroline punktualnie o dziewiątej. Otwieram drzwi, zbieram pocztę i idę prosto do gabinetu. Dzwonię na

komórkę Caroline, wiedząc, że szefowa jest nadal w Dorchester. Postanowiłam udawać, że nic takiego się nie stało, w nadziei, że ona nie będzie wracała do tematu pijackiej rozmowy, w co jednak wątpię. Na szczęście zgłasza się poczta głosowa - najchętniej odwlokłabym chwilę rozmowy w nieskończoność.

- Dzień dobry, Caroline. Mówi Francesca. Cieszę się, że masz wyłączony telefon - mam nadzieję, że to oznacza, że wypoczywasz przed dzisiejszym wielkim dniem. Wszystko jest pod kontrolą. Porozmawiamy, jak wstaniesz. Pa.

Super, mam to za sobą. Zaczynam przeglądać fakсы, które przysły przez weekend.

- Cześć. Ty na pewno jesteś Francesca.

Skaczę na równe nogi, odwracam się i oto stoi przede mną Carson Adams, odziany jedynie w niewielki, biały ręcznik.

Chryste. Jest piękny. Zupełnie nie byłam przygotowana na spotkanie prawdopodobnie najprzystojniejszego faceta na świecie. Zdjęcia nie oddają tego, co on w sobie ma. Kolana dosłownie się pode mną uginają, czuję się mniej więcej tak, jak czułam się w wieku czternastu lat na koncercie grupy Curiosity Killed the Cat. Mam ochotę piszczeć i skamleć. To oczywiście nie wchodzi w grę, bo nie mam lat czternastu, tylko dwadzieścia dziewięć, a w dodatku facet jest moim szefem, więc robię, co w mojej mocy, żeby wziąć się w garść. Nie mogę jednak powstrzymać uśmiechu na widok opalonych bicepsów, gładkiej klaty i sześciopaka na brzuchu - takie coś widzę na żywo po raz pierwszy.

Dopiero po chwili dostrzegam potargane włosy w kolorze ciemnoblonde, piękne, błękitne oczy i wyrzeźbione rysy. Czuję się tak, jak powinny czuć się babki, oglądające męski striptiz (choć powiedzmy sobie szczerze, nie wiem, na którą striptiz tak działa). Bosko.

Carson najwyraźniej przywykł do porażającego wpływu, jaki wywiera na kobiety, bo moja opadnięta szczeka w ogóle go nie dziwi. Podchodzi bliżej i podaje mi rękę.

- Carson Adams, bardzo mi miło.

Jego nagość jest teraz zaledwie kilka cali ode mnie. Ja trwam w całkowitym oszołomieniu i naprawdę staram się coś z tym zrobić. Jestem zupełnie zbita z tropu, ale jakoś udaje mi się uścisnąć tę piękną dłoń i wydobyć z siebie głos.

- Mnie również. Jestem Francesca. Myślałam, że jesteście w Dorchester. Raptem uświadamiam sobie, że wciskam tyłek w biurko, kurczowo ściskam papiery przy piersi i ciężko oddycham. Staram się przyjąć jakąś bardziej wyluzowaną pozę, wygładzam spódnice i żałuję, że dziś rano nie umyłam głowy. W tej jednej chwili uwielbiam swoją pracę.

- A, tak... byliśmy. Wstałem rano i pomyślałem, że dam Cas trochę oddechu, w końcu dziś premiera. Poza tym nie cierpię hoteli.

Zdecydowanie wolę być w domu, sama rozumiesz.

- Jasne - odpowiadam takim tonem, jakbym zwykle bukowałam apartamenty w Dorchester, a potem, w ostatniej chwili, postanawiała z nich nie korzystać. Zarzucam włosy na ramiona - robię to odruchowo, serio.

Carson wychodzi z pokoju.

- Pójdę się ubrać - mówi.

Dokonuję wyczynu silnej woli, opierając się pragnieniu, żeby krzyknąć: „Nie, błagam, nie ubieraj się!”, pobiec za nim i do niego przyłgnać. Nigdy w życiu fizyczna obecność mężczyzny tak na mnie nie podziałała.

Szcześciara z tej Caroline. Nic dziwnego, że tak o siebie dba i nosi stringi z żyłki wędkarskiej.

Biorę się w garść. Tak być nie może. Nie mogę się ślinić na widok faceta szefowej, nawet jeśli jest nim Carson Adams. O rany, niech ja tylko zadzwonię do dziewczyn.

Brzęczy moja komórka.

- Halo?

- To ja, Francesco.

- Witaj, Caroline. Wszystko w porządku? - pytam śpiewnie, wciąż podekscytowana spotkaniem z Carsonem.

- A niby dlaczego miałyby być inaczej? Nie powiem, żebym pochwałała twoje zachowanie podczas weekendu, ale nie będziemy teraz o tym rozmawiać. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Wiem, bardzo cię przepraszam, byłam trochę...

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Pamiętaj tylko, że w tym tygodniu masz mi poświęcić całą swoją uwagę, jest sporo rzeczy do zrobienia. O której będą w teatrze ludzie z Prądy, żeby mnie ubrać?

- Umówiłam Pradę, Jimmy'ego Choo i De Beers na piątą. Mają zadbać, żebyś była zadowolona. Kierowca przyjedzie po ciebie i Carsona i zabierze was na przyjęcie. Trzy komplety biletów są już przydzielone.

- Świetnie. O drugiej czekam na ciebie w Dorchester, pojedziesz ze mną do teatru, a potem zajmiesz się resztą. Umówiłaś dziewczynę od wosku, fryzjerkę i wizażystkę?

- Tak - mówię niby normalnym głosem, ale nadal czuję się jak po stosunku. Dostałam głupawki po spotkaniu z Carsonem, mam ochotę krzyknąć: „tak jest, proszę pani!” i zsalutować.

- Dobrze. Dopilnuj, żeby Carson o trzeciej się ostrzygł. Aha, załatw mi jeszcze do garderoby cztery cristale, cztery chablis i skrzynkę wody mineralnej.

Kurczę, jak się tak opijesz, to będziesz cały wieczór biegać do toalety.

Uspokój się, Francesco.

- Oczywiście. Zaraz powiem Carsonowi o fryzjerze.

- Skąd masz jego komórkę? Czegoś tu nie rozumiem.

- Nie mam, jest w domu. Następuje dłuższa chwila ciszy.

- A, tak, oczywiście. Do zobaczenia o drugiej.

Wtem przychodzi mi do głowy pewne wyjaśnienie. Może się pokłócili i Carson nocował w domu, co by tłumaczyło zamieszanie i to, że Caroline nie wiedziała, gdzie on jest. Może dał nogę, kiedy w obliczu zbliżającej się premiery wpadła

w neurozę. Zupełnie by mnie to nie zdziwiło. Na miejscu Carsona też trzymałabym się od niej z daleka. Tak czy inaczej, mam poczucie, że z pijacką rozmową mi się upiekło. Lorna zagląda do pokoju.

- Dzień dobry, Fran. Co u ciebie? Udało się wesele?

- I to jak! A tak przy okazji - mówię z przejęciem, podbiegając do niej, żeby podzielić się cudowną nowiną - Carson tu jest.

- Wspaniale! - piszczy z zachwytem staruszka i wybiega z pokoju, żeby go przywitać, nawet się nie oglądając. Nie mam jej tego za złe. Słyszę jej głos w korytarzu.

- Carson, skarbie, gdzie jesteś?... Ooooch, niech ci się przyjrzę.

Wyglądasz wspaniale.

Zgadzam się. Oj, zgadzam się. Wstaję i podążam za odgłosami do kuchni. Carson wydaje się równie uradowany z tego spotkania, jak Lorna - ściskają się i gadają jak najęci. Przez chwilę zazdroszczę Lornie, że zachowuje się przy nim swobodnie i że łączy ich zażyłość. Wiem, że to głupie, więc strofuję się w myślach. Cieszę się, że Carson jest taki miły i nic nie wskazuje na to, że szykuje się powtórka z Caroline. Jest ulepiony z zupełnie innej gliny. Caroline nigdy nie rozmawia z Lorną, tylko wyszczekuje rozkazy. Uważam to za karygodne, bo Lorna od tylu lat troszczy się o nią podczas pobytów w Anglii. Tymczasem z Carsonem Lornę wydaje się łączyć znacznie silniejsza więź niż pracodawcę z gospodynią czy szefa z podwładną. Carson - niestety już w ubraniu - dostrzega mnie w drzwiach.

- Chodź, Francesco. Napijesz się z nami herbaty?

- Bardzo chętnie - uśmiecham się sztucznie, po czym wstrząśnięta uświadamiam sobie, że nie była to propozycja, ale prośba. Odklejam się od framugi i przestaję się bawić włosami. Staję prosto.

- Ja zaparzę - mówię.

- Daj spokój - mówi Carson, darząc mnie uśmiechem o sile megawata, który sam w sobie jest wystarczającym

powodem, żeby za rolę w filmie kasował dwadzieścia milionów. - Ja to zrobię.

I robi. Carson Adams robi mi herbatę.

- Carson - zaczynam z wahaniem - Caroline prosiła, żebym ci przypomniała, że masz po południu fryzjera. Nazywa się Daniel Galvin, będzie tu o trzeciej.

- Świetnie. Dziękuję ci.

Jej, on właśnie powiedział „dziękuję”. Chyba się zakochałam. Biorę filiżankę, ale niezręcznie mi do nich dołączyć. Wolałabym, żeby mnie nie wypytywał, czym dokładnie zajmuję się w jego domu, więc tak jak co dzień zaczynam sprawdzać zawartość lodówki. Przysłuchuję się ich pogawędce. Carson opowiada o swoim ostatnim filmie i o tym, jak miło pracowało się z Julią. Lorna mówi, że jej siostrzenica boleśnie przeżywa kolejne niepowodzenia w zapłodnieniu in vitro, a jej samej doskwiera zapalenie torebki maziowej. Ich światy dzielą całe lata świetlne, ale rozmawiają jak najlepsi przyjaciele, widać, że cieszą się z tego spotkania. Okazuje się, że mają pewien wspólny temat.

Kiedy Lorna pyta „Jak mały?”, twarz Carsona promienieje. Widać, że darzy syna bezgranicznym uwielbieniem.

- Wiedziałaś, że córka Lorny opiekuje się moim synem? -pyta Carson. Właśnie kończę pisać listę zakupów i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że on mówi do mnie.

- Nie. Nie miałam pojęcia, że Steph to twoja córka - mówię do Lorny nieco zaskoczona, choć zastanawiam się teraz głównie nad tym, czy mam w torbie trochę podkładu, żeby szybko się umalować. - Teraz rozumiem, skąd wasza zażyłość.

Lorna sięga po herbatę.

- Pracuję dla Carsona ładnych parę lat, a Steph opiekuje się małym Cameronem, odkąd przyszedł na świat.

- Cudownie - odpowiadam. - Potrzebujecie czegoś ze sklepu, bo właśnie jadę po zakupy?.

- Ja dziękuję - mówi Carson.

- Skarbeńku, mogłabyś kupić kurczaka z farmy ekologicznej? - pyta Lorna. - Dzwoniła jej wysokość, chce na jutro pieczone na zimno. Tak naprawdę sama nie wiem po co, bo i tak go nigdy nie zjada - Lorna wyraca oczami i wzrusza ramionami.

Zszokowana czekam na reakcję Carsona, ale on nie wydaje się zbyt przejęty tym, że Lorna właśnie niegrzecznie wyraziła się o jego kobiecie.

- Pewnie, że kupię.

Zawsze chętnie pomagam Lornie. Nie cierpię, kiedy Caroline wysyła ją po zakupy - dobrze wie, że staruszka cierpi na artretyzm, a mimo to każe jej schodzić pół miasta.

- Dobra dziewczyna z tej naszej Franceski - mówi Lorna, a ja mam ochotę ją ucałować.

Przemierzam alejki supermarketu, szukając między innymi bezpszenicznego chleba, ekologicznego łososia, ekologicznego ananasa w kawałkach i ekologicznego kurczaka. Myślę sobie o tym, że właśnie poznałam jednego z najsłynniejszych aktorów na świecie. Szkoda, że nie zabawi tu dłużej - leci z powrotem zaraz po przyjęciu. Nic dziwnego, że gwiazdorskie pary mają problemy: ich kalendarze w ogóle nie przewidują spędzania czasu we dwoje.

Zastanawia mnie coś jeszcze - Jodie miała rację. Carson wydaje się nadzwyczaj miłym gościem, więc co robi z takim babskiem jak Caroline? Dzwoni moja komórka.

- Halo?

- Czy rozmawiam z Franceską?

- Tak, to ja. - O, super, jest ten miód, który miałam kupić. Nie będę musiała specjalnie jechać do „Harrodsa”.

- Francesco, mówi Tom. Poznaliśmy się na weselu Harry'ego.

Ojej.

- Francesco?
- Jestem, jestem. Co u ciebie? - pytam grzecznie. Zupełnie nie spodziewałam się tego telefonu.
- W porządku, a u ciebie?
- U mnie też.
- Przykro mi, że nie udało nam się porozmawiać w niedzielę w pubie.
- Nic się nie stało - odpowiadam najbardziej bezceremonialnym tonem, na jaki mogę się zdobyć, choć w duchu jestem zdumiona, że Tom zadzwonił.
- To dobrze. Co byś powiedziała na to, żebyśmy umówili się w piątek na kolację?
- W piątek nie mogę - kłamię.
- Szkoda. A w sobotę?
- Też nie mogę - mówię hardo, nadal pali mnie upokorzenie po tym, jak zignorował mnie w pubie.
- Rozumiem. To może zadzwonię innym razem?
- Tak. Czemu nie... Jak chcesz.
- Okay.
- Okay.
- To na razie.

W jego głosie słyszałam autentyczne rozczarowanie, ale jestem dumna, że się nie zламаłam. W końcu mnie olał, zachował się bezczelnie. Mimo to czuję, że zachowałam się wrednie. Ładuję do wózka stopy butelek wody mineralnej i szczerze żałuję, że tak dobrze bawiłam się z nim na weselu. Gdybym spodziewała się tego telefonu, pewnie nie byłabym tak niegrzeczna. Świta mi w głowie myśl, że skoro zadzwonił, to nie może być taki zły. No cóż, miejmy nadzieję, że zadzwoni raz jeszcze. Spycham na bok rosnący we mnie żal. Dobra, jeszcze tylko soczewica i do kasy.

Przetrząsam torbę w poszukiwaniu rozkładanej kosmetyczki, którą zawsze zabieram, kiedy robię zakupy dla Caroline. Muszę w czymś pomieścić banknoty i paragony,

których po każdym dniu mam całą stertę. Wreszcie udaje mi się wygramolić ze sklepu - objuczona torbami szukam taksówki, żeby podjechać do kolejnego sklepu, czyli do „Dixons”. Muszę kupić nowy adapter do iPod'a Caroline -może to zadziała. No i muszę znaleźć jeszcze jakiś cholerny sklep, który nie wyprzedził kurczaków z chowu wolnowy-biegowego.

Caroline pozwala mi w razie potrzeby korzystać z taksówek, problem w tym, że żadnej w okolicy nie widzę, więc mozę się z siatami do domu. Zostawię je i pojedę dalej. Ach, gdybym tego pamiętnego dnia, kiedy poznałam Caroline, wiedziała, jakie kryteria faktycznie musi spełniać prywatna asystentka! Przede wszystkim musi mieć łapy robotnika i bicepsy Popeye'a. Jeśli ciekawi was, czym jeszcze powinna się wykazywać pomocnica megagwiazdy, to dodam, że niezbędne są: obsesja na punkcie sporządzania list, łeb jak książka telefoniczna i magisterium z mody. Nieodzowne są wybitne zdolności dyplomatyczne oraz umiejętność wyławiania poleceń z bezsensownego bełkotu. A skoro o obsesji na punkcie list mowa, to muszę ten wykaz uzupełnić stwierdzeniem, że jeśli rozważacie podjęcie pracy dla kogoś takiego jak Caroline, zawczasu uzbrojcie się w „wiedzę”, nawiążcie znajomości z obsługą lotniska i członkami wszystkich jakich się da rad miejskich; nie muszę chyba dodawać, że daleko nie zajdziecie bez opanowania elementów hardware'u telefonu komórkowego i komputera. O ile mogłam się spodziewać, że od pierwszorzędnej asystentki będzie się takich umiejętności wymagać, o tyle nie podejrzewałam, że będę się musiała nimi wykazywać w tempie niewspółmiernym do stopnia pilności załatwianych spraw i że przez to nabawię się permanentnego skrętu kiszek. Poza tym nie myślałam, że będę się stale stresować nie tym, co robię, ale tym, co muszę wykonać w następnej kolejności.

Przystaję na chwilę, żeby dać rąkom odpocząć, poprawiam uszy siatek, które boleśnie wrzynają mi się w ręce.

Moje ostatnie podejrzenia, że Caroline szykuje się na apokalipsę, są w pełni uzasadnione. Dom powoli zamienia się w magazyn, już się oswoiłam z nabywaniem wszystkiego w ilościach hurtowych. Po co kupować jedną ozdobną świecę zapachową, skoro można kupić ich pięć? Dwie butelki wody Evian? Nie bądźcie śmieszni. Trzy skrzynki, a co najmniej dziesięć butelek ma być stale w lodówce (Caroline sprawia wrażenie, jakby sława zwalniała ją z troski o środowisko, a wypicie kranówki było jednoznaczne z samobójstwem).

Po dwudziestu minutach docieram do domu - muszę przysiąść na najniższym schodku, żeby odpocząć, zanim wdrapię się wyżej. Po chwili udaje mi się złapać oddech, przenoszę siatki po kolei, wreszcie są wszystkie na ganku. Oczywiście przed wejściem do domu wygładzam włosy, żeby Carson nie zobaczył mnie potarganej.

Słyszę jego głos. Pewnie korzysta z telefonu w gabinecie. Zdaje się, że rozmawia z Caroline.

- Cześć, słoneczko... Ogromnie cię kocham. Nie mogę się doczekać, żeby znów z tobą być, wiesz przecież.

Uśmiecham się, przemykając cichutko korytarzem. Pogodzili się. Jakie to urocze.

Wstawiam wodę do lodówki. Dzwoni moja komórka.

- Halo?

- Francesco, to ja. Przywieź mi do Dorchester te srebre buty Manolo Blahnika, na wypadek gdyby nie podobały mi się buty Jimmy'ego Choo, dobrze?

Nie marnowała czasu na rozmowę z ukochanym, myślę ponuro.

- Oczywiście.

Idę korytarzem po ostatnie siatki, słuchając jej słowoto-ku: tłumaczy mi, komu mogę dawać specjalne bilety, a kogo mam za wszelką cenę unikać. Nie bardzo się skupiam na tym wywodzie, zaintrygowana faktem, że Carson nadal rozmawia przez telefon w gabinecie.

- Niedługo znów będziemy razem, będę cię wspierał. Jezu, tak strasznie tęsknię, kotku... Też cię Kocham. Ogromnie. Pa, pa.

Przemykam się do kuchni, Caroline nadal brzęczy mi do ucha.

- Francesco, rozumiałaś? Anna Wintour - zawsze tak. Jeśli zadzwoni ktoś z innego magazynu i powie, że się ze mną przyjaźni, to najpierw mnie spytaj.

- Oczywiście. Niedługo przywiozę ci buty.

Kończę rozmowę, ale nie mam czasu przeżywać szoku, bo odbieram kolejny telefon.

Właśnie rozmawiam z gościem, który twierdzi, że zna Caroline od lat, i chce bilety na przyszły czwartek, kiedy Carson radośnie wpada do kuchni z siatką w rękę.

- Zostawiłaś w korytarzu - deklamuje.

- Dziękuję - odpowiadam, odbierając torbę. Odwracam się, żeby nie patrzeć mu w oczy. Caroline jest wkurzająca, to fakt, ale strasznie mi smutno, że facet robi ją w konia. Jestem chyba okropnie naiwna, a do tego zła na siebie, że tak się tym przejęłam. Uchodzą za jedną z najszcześniejszych hollywoodzkich par, a przy tym Carson sprawia wrażenie uroczego, normalnego faceta, ale to wszystko poza. Na miły Bóg, czy na tym świecie nie ma żadnych świętości?

- Bardzo mi przykro, proszę pana - przerywam człowiekowi, który do mnie dzwoni. - Nie mam pod ręką notatnika, a poza tym, szczerze mówiąc, większość biletów została już rozdana. Może pan powtórzyć nazwisko?... Ach... Sir Ian McKellen. Rozumiem. Czy mogę prosić o pański numer? Oddzwonię, na pewno coś uda mi się załatwić.

Z zażenowaniem kończę rozmowę z sir Ianem, zdumiona, że sam wykonał ten telefon. Wszyscy inni porozumiewają się ze mną przez asystentki.

- Wszystko w porządku, Francesco? Wyglądasz na lekko wstawioną - mówi Carson z lekkim niepokojem na twarzy.

Może i hałaśliwie krzątam się po kuchni, ale to nie powód, żeby mnie oskarżać o picie.

- Nie miałam kropli w ustach i pewnie strzelę sobie coś mocniejszego dopiero po premierze - wypiję lampkę szampana, żeby uczcić powrót Caroline na scenę.

Carson wygląda na zupełnie zdezorientowanego.

- Świetnie. Nie wiedziałem, że dała ci bilet.

- Nie dała - wyjaśniam. - Wzniosę toast w domu. Lojalność, sam rozumiesz.

- Aha. W takim razie dobrej zabawy.

Nagle ogarnia mnie obawa, czy nie posunęłam się za daleko. Chciałam mu jasno dać coś do zrozumienia, ale z kolei prawie nie znam faceta i nie powinnam być niegrzeczna.

Carson wpatruje się we mnie ze zdumieniem na twarzy.

- Gdybyś czegoś potrzebował, daj znać - mruczę, wychodząc z kuchni z potwornymi rumieńcami na twarzy.

19

4 czerwca

Nie wszystko w życiu pani M. jest takie, jakie się wydaje na pierwszy rzut oka. Może nie ma co jej zazdrościć tak niewiarygodnie przystojnego partnera, że niekiedy sam George Clooney wygląda przy nim jak przeciętniak? Nie wiem, czemu odkrycie, że pan X. zdradza panią M., tak mną wstrząsnęło. Zrobiło mi się strasznie smutno. Gamoń ze mnie - nabrałam się na to, czym karmią nas PR-owcy wielkich gwiazd. Ale też uświadomiłam sobie, że pisząc powieść, muszę być bardzo ostrożna, bo w grę wchodzi uczucia prawdziwych ludzi.

Granica między opisywaniem życia sławnej aktorki a popisem niedyskrecji jest niezwykle cienka. Nie zamieszczę w powieści żadnych szczegółów, które zdradzałyby tożsamość pani M. i pana X. albo wskazywałyby na ich związek. Mój pan X. jest szarakiem, do tego ma na twarzy dzioby po ospie, które maskuje podkładem. Pani M. jest wprawdzie piękna, ale wszystkie wypadki rozgrywają się w Hollywood, a główny wątek stanowią przygotowania pani M. do roli w filmie i jej relacje z rozchwytywaną asystentką.

Następnego ranka w drodze do pracy zaglądam do kiosku, żeby przejrzeć gazety, i z ulgą stwierdzam, że recenzje są niezłe. Jak zwykle jestem w okolicy dziesięć minut wcześniej, idę po kawę do „Starbucks” i zjawiam się w domu Caroline punktualnie o dziesiątej. Wkładam klucz do zamka, ale wtem drzwi otwiera Lorna.

- Frań - mówi, wychylając się za drzwi i rozglądając na wszystkie strony, po czym przywołuje mnie skinieniem.
- Cześć, Lorna. Wszystko w porządku? - pytam.
- Ona się od rana dziwnie zachowuje - mówi Lorna scenicznym szeptem, pukając się w głowę. - Nie poszła nawet na trening.
- Serio?

To naprawdę dziwne. Nie zdarza jej się opuścić treningu.

Zdejmuję i wieszam płaszcz, odwracam się i dopiero wtedy rejestruję strój Lorny. Koszulka z napisem „wszystkim zdarza się wdepnąć w gówno” zupełnie nie pasuje do reszty jej stroju od Marksa i Spencera.

Lorna zdecydowanie nie przejmuje się tym, co na siebie wkłada.

- Wróciła o czwartej nad ranem. - Lorna opiera się na froterce z ręką na biodrze. Domyślam się, że już od jakiegoś czasu udaje, że sprząta korytarz - czekała, żeby przekazać mi wieści.

Już mam jej coś odpowiedzieć, kiedy Caroline otwiera drzwi do kuchni. Ma na sobie jedwabną piżamę i szlafrok i sprawia wrażenie ogromnie podekscytowanej, pewnie jeszcze szumi jej w głowie alkohol. Może i Carson wcześniej wyszedł z przyjęcia, ale ona z całą pewnością dobrze się bawiła.

- Witaj, Francesco, kochanie - mówi do mnie, cała rozpromieniona. Kochanie? A więc na pewno jest pijana.

- Dzień dobry, Caroline. Gratulacje. Recenzje są znakomite.

- Prawda? - mówi, otulając się szlafrokiem. Jeszcze nie zdążyła zmyć makijażu. - Udało mi się! Byłam wspaniała! - krzyczy, unosząc ramiona, po czym wraca w podrygach do kuchni, żeby na powrót zatopić się w lekturze recenzji dostarczonych przez starego, dobrego Kennetha.

Nikt powyżej piętnastego roku życia nie powinien podrygiwać.

Idziemy za nią z Lorną, wymieniając spojrzenia i trącając się łokciami. Takiego stosu gazet, jaki jest na stole, nigdy nie widziałam.

- Twoja kawa, Caroline.

- Dziękuję, Francesco - odpowiada Caroline, sięgając po kubek.

Szok odbiera mi mowę. Caroline Mason właśnie powiedziała „dziękuję”, to historyczna chwila. Wpatrujemy się w siebie z Lorną, jednocześnie unosząc brwi. Patrzymy, jak Caroline sięga po kolejną recenzję i z zadowoleniem spija słowa pochwały.

Kenneth dzwoni na moją komórkę.

- Witaj, Kenneth - mówię radośnie.

- Pst, jeśli ona jest obok, udawaj, że to nie ja - syczy.

- Aha, dobrze, tak - paplę, nie wiedząc, jak zareagować.

- Za żadne skarby nie może zobaczyć recenzji w „Independent”. Nie wiem jak, ale pozbądź się tej gazety, natychmiast ją wyrzuć - błaga mnie rozpaczliwie.

Źle trafił, bo Caroline właśnie otwiera zakazany dziennik, a jej dobry humor w jednej chwili ustępuje horrendalnej zgrozie.

- Skurwysyny! - wrzeszczy. Kenneth się rozłącza.

Lorna patrzy na mnie skamieniała, podbiega umyć spodek i filiżankę, które przed chwilą odstawiła na suszarkę.

- Wiesz co, Caroline? Tą jedną się nie przejmuj - rzucam nerwowo.

- Słucham?! A ty co, próbujesz mnie chronić? - grzmi z furją, przeglądając kolejne linijki.

Wcale nie próbuję jej chronić. Martwię się o siebie i Lornę.

Za późno. Dobry humor Caroline ulotnił się na naszych oczach, kuchnię spowija czarna chmura. Gdyby to był film, za oknem zaczęłoby grzmieć.

- Ostra jak brzytwa, tyle ci powiem - utyskuje Caroline.

- Rozumiem - próbuję ją pocieszyć - ale zawsze znajdzie się jakiś malkontent, co nie odróżnia głowy od dupy. Ja bym się nie przejmowała. Siadam obok niej przy stole. Jest dopiero wpół do jedenastej, a ja jestem wykończona.

- Nie chodzi tylko o tę recenzję. Miałam wczoraj koszmarny wieczór - rzuca Caroline i nie wdając się w szczegóły, wstaje i wychodzi - szlafrok powiewa jak płaszcz Drakuli. Idzie na górę, pewnie do sypialni.

Patrzę na Lornę i wzruszam ramionami, po czym na paluszkach podchodzę do stołu, żeby zobaczyć, co ją tak rozgniewało. Recenzja faktycznie nie jest dobra - krytyk mówi, że Caroline przeszarżowała - ale bynajmniej nie jest miażdżąca. Gdyby ktoś chciał zobaczyć, jak Caroline szarżuje, to powinien szerokim łukiem ominąć teatr i zajrzeć tutaj. Mija dziesięć minut. Dopijamy w kuchni herbatę.

- Może powinniśmy do niej zajrzeć? - pyta Lorna.

- Chyba tak - przyznaję. - Zwłaszcza po tym komentarzu o zeszłym wieczorze. Przyjęła już pewnie pozę królowej i czeka.

Chichocząc, przelewamy kawę ze „Starbucks” do kubka, podgrzewamy ją w mikrofalach, bierzemy stertę gazet (bez „Independent”) i idziemy na górę do sypialni. Przez chwilę sterczymy, pod drzwiami jak zdenerwowane uczennice, aż wreszcie ja zbieram się na odwagę i pukam. Muszę coś zrobić, bo inaczej spóźni się na botoks.

- Caroline? -Co?

- Twoja kawa.

- Wejdz - mówi niemrawo. Ostrożnie się rozglądam. Caroline leży na wznak w łóżku.

- Dobrze się czujesz? - pytam, niepewna jej reakcji.

- Tak. O ile to możliwe po takich obelgach. Wchodzę. Siadam na krańcu łóżka, gazety kładę na podłodze.

- Caroline, dostałaś same dobre recenzje i jedną kiepską, to naprawdę nadzwyczajne osiągnięcie. - Wiem, że mówiąc to, sporo ryzykuję.

- To prawda - odpowiada, marszcząc czoło. Następuje niezręczna chwila ciszy. - Ale tu nie chodzi tylko o recenzję.

Nic nie rozumiem.

- Wspomniałaś, że to nie był dobry wieczór, ale jeśli nie chodzi o recenzję, to o co? Przedtem byłaś taka szczęśliwa -mówię do niej tonem, jakim mówiła do mnie mama, kiedy byłam rozhuśtaną hormonalnie nastolatką, zupełnie nieracjonalną i nieporadną wobec własnych zmian nastrojów.

- A skąd wiesz, że byłam szczęśliwa? - pyta oskarżyciel-sko. - Nie masz pojęcia, co ja musiałam znieść. To miał być mój wielki dzień, a był okropny.

- Dlaczego?

Caroline marszczy czoło, usiłując wymyślić przyczynę.

- Dałam z siebie wszystko, a co powiedziała moja zasrana przyjaciółka Leticia? Nic. Nie usłyszałam słowa pochwały.

- Naprawdę? - powątpiewam.

Caroline podnosi wzrok i wydyma wargi jak mała dziewczynka, której właśnie powiedziano, że nie dostanie zabawki.

- Naprawdę.
- Na pewno była zachwycona.
- Nie była.

Caroline rozcapierza palce u stóp i ponuro się w nie wpatruje.

- Mam teraz trudny okres i potrzebuję wsparcia.

Rozglądam się po pokoju. Sądząc po bałaganie, jaki panuje w sypialni, Leticia aż tak bardzo nie zepsuła jej zeszłego wieczora. Kreacja Prądy leży wymięta na podłodze.

Caroline podąża za moim wzrokiem, rozdrażniona.

- Mogłabyś to posprzątać?

Kiwam głową. To nie jest dobra chwila, żeby jej przypomnieć, że sprzątanie sypialni nie należy do moich obowiązków. Oddam wszystko za łatwe życie.

Caroline podpira się na łokciu i odrzuca do tyłu burzę ciemnych włosów. Nawet z zaschniętym tuszem do rzęs wygląda pięknie.

- Dałam z siebie wszystko, a Leticia powiedziała tylko, że świetnie wyglądałam i że grałam inaczej. Jakie „inaczej”?! Już ja jej dam „inaczej”
- odgraża się Caroline.

Po chwili, jakby sama wyczuła jad w swoim głosie, zmienia ton.

- A taki Geoffrey, mój agent, przyszedł za kulisy i płakał -tak bardzo się wzruszył. Łzy mu ciekły po policzkach.

- Poważnie? - pytam, usiłując zdusić śmiech, który mnie ogarnia, kiedy próbuję to sobie wyobrazić.

- Tak. Płakał w moich ramionach jak dziecko i powiedział, że zagrałam rewelacyjnie.

Jak bym zarabiała dwadzieścia procent tego co on, też bym była - myślę sobie, schylając się, żeby podnieść jej majtki z podłogi.

Caroline opada na poduszkę i sięga po maskę na oczy.

- Poczytaj mi recenzje, Francesco.

Składam jej majtki i chowam do szuflady, wertuję stertę gazet, szukając najlepszego nagłówka.

- Carsonowi się podobało? Caroline zdejmuję maskę.

- Uważa, że byłam wspaniała. A przynajmniej zachowywał się tak, jakby tak uważał.

Oj, to za dużo informacji. Skurczybyk grający na dwa fronty.

Zza drzwi dochodzi nas gniewne fuknięcie. Czyżby Lor-na wiedziała to, co wiem ja?

- Lorna, przestań podsłuchiwać i zajmij się czymś pożytecznym. Upiecz mi kurczaka.

Po południu, wyprawiwszy Caroline z Terryem na botoks, siedzę w kuchni z Lorną - pijemy herbatę i jemy owsiane ciasteczka. Omawiamy dramatyczny poranek, a Lorna śmieje się tak głośno, że łzy ciekną jej po policzkach, a jej irlandzki akcent staje się jeszcze wyraźniejszy.

- Ten bałwan popłakał się w garderobie. Nie może być! -Lorna ledwie zipie ze śmiechu.

- Fakt - przyznaję - ale i tak bardziej zdumiało mnie to, że rano podziękowała mi za kawę.

- Bo powinna, Francesco. Jesteś dla niej, psiakrew, jak wróżka z bajki - mówi oburzona Lorna. - Twoja kawa, Caroline. Ja to załatwię, Caroline. Zakupy zrobione, Caroline.

Śmieję się. Lorna ma trochę racji. Caroline rzeczywiście płaci mi za to, żebym była jej etatową wróżką. Różnica polega tylko na tym, że Kopciuszek za wszystko dziękował.

- Lorna? - zaczynam niepewnie.

- Co, kochanie?

- Myślisz, że Carson kiedykolwiek... Czy myślisz, że oni są szczęśliwą parą?

- Nie wiem, o czym mówisz - ucina Lorna obronnym tonem. Z pewnością coś wie.

Cieszę się, kiedy dzień wreszcie dobiega końca. O czwartej Caroline pojechała do teatru, ale wcześniej musiałam jej powiedzieć, że dzwoniли z Great British Films i że proszą o spotkanie, co nie wróży dobrze. Caroline specjalnie się nie przejęła albo po ostatnich przeżyciach nic do niej jeszcze nie dociera. W tej chwili wydaje się niezdolna do okazywania niczego poza lekkim oszołomieniem. Jak to wpłynie na jej grę, nie wiem, ale to jej problem.

Wychodzę z pracy. Dojeżdżam do domu, padam na kanapę i nagle coś sobie uzmysławiam. Próby dobiegły końca, zaczęły się przedstawienia. Caroline ma zaledwie dwa poranne spektakle w tygodniu, z czego jeden w sobotę, co oznacza, że teraz będzie stale w domu. Będzie miała mnóstwo czasu, żeby mnie nękać. Na samą myśl robi mi się słabo. No, ale będę miała nowy materiał do powieści. A właśnie, zwlekam się z kanapy po laptop. Włączam go i już chichoczę na myśl o pisaniu kolejnego rozdziału.

Kładę palce na klawiaturze i zaczynam stukać.

20

Praca i pisanie pochłaniają mój czas i energię do tego stopnia, że cokolwiek, co ożywia moje zaniedbane życie towarzyskie, jest niczym powiew świeżości: każde wydarzenie, które nie ma nic wspólnego z Caroline i jej wariackim życiem, każda przyjemna i normalna - w najlepszym tego słowa znaczeniu - chwila.

Wczoraj byłyśmy zaproszone z dziewczynami do Elli na kolację. Nie mogłam się tego spotkania doczekać, tym bardziej że Caroline miała być od szóstej w teatrze, czyli choć raz wiedziałam na pewno, że skończę pracę o rozsądnej porze. Umówiłam się z Abbie i razem pojechałyśmy metrem do domu Elli w Tooting. Już w chwili, gdy otworzył nam jej mąż, Paul, wiedziałam, że coś jest nie tak - był podenerwowany, zupełnie nieswój. Potem co rusz wpadał Elli w zdanie, oboje się rumienili. Trwało to do chwili, kiedy przyjechała Sabina - wtedy postanowili przekazać nam wieści.

Stanęli uroczyście przed kominkiem, Paul objął żonę i...

- Jestem w ciąży - ogłosiła Ella, uśmiechając się od ucha do ucha. - W trzynastym tygodniu. Wczoraj byliśmy na USG. Mam termin w grudniu. Następuje totalne szaleństwo. Krzyk Abbie praktycznie rozrywa mi bębunki, Sabina płacze, a ja nie przestaję wrzeszczeć: „O Boże, o Boże”. Potem padamy sobie w ramiona, Ella głaszcze się po brzuchu, Paul z wigorem ściska nam ręce, najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie i swoich plemników. To był cudowny wieczór - nigdy go nie zapomnę. Ale to było wczoraj, a dziś rozpaczliwie usiłuję przywołać tę radość, aby utrzymać ten stan. To technika, której przed wiekami uczyłam się na jakimś kursie.

Dziś Madame się nudzi.

Jak zwykle mam setki spraw do załatwienia, a ona ciągle mnie rozprasza. Dzwoni jej komórka. Nie odbiera. Ja też nie.

Wreszcie ona wygrywa, rozdrażniona odkładam długopis i sięgam po jej telefon. Obłok radości znika.

- Telefon Caroline Mason - mówię. - Dzień dobry, panie Devine. Jest, zaraz ją poproszę.

Caroline macha rękami i gwałtownie kręci głową.

- Chwileczkę, panie Devine... Ojoj, chyba tracę zmysły. Nie ma Caroline, poszła do fitness klubu... Wiem, wiem, jest bardzo zdyscyplinowana... Oczywiście, przekażę... chwileczkę. ..

Caroline coś mówi bezgłośnie z drugiego końca pokoju, ale zupełnie nie wiem co. Powtarza to kilkakrotnie, z coraz szerzej otwartymi ustami, wysila się tak, że na szyi wychodzą jej żyły. Wreszcie poddaje się, sfrustrowana moją niewiarygodną głupotą, i gestem pokazuje, że bym się rozłączyła.

- Tak, panie Devine... Bardzo przepraszam. Przekażę, że pan dzwonił. Odkładał telefon. Carolina wywraca oczami.

- Próbowałam się dowiedzieć, czego chciał.

- Pomówić z tobą, to chyba jasne - fukam, nie potrafiąc ukryć irytacji.

- Więc teraz muszę do tego gnoja oddzwonić, prawda? - mówi, sięgając po komórkę. - Dzień dobry, panie Devine - mówi czarującym tonem. - Jak się pan miewa? Najmocniej przepraszam za moją asystentkę. Wydawało jej się, że poszłam na trening, a ja przecież jestem w domu.

Wracam do wypełniania formularza dla FedEksu - chcę się z tym uporać w ciągu najbliższych pięciu minut.

- Rozumiem, że pański prawnik chciałby się skontaktować z moim.

Proszę przekazać szczegóły mojej asystentce.

Podaje mi telefon, sięgam po długopis i naklejane karteczki.

Zapisuję informacje, odkładam telefon i wracam do tego, co robiłam wcześniej.

Caroline podchodzi i wbija we mnie wzrok.

Ignoruję ją. Skupiam się na tym, co robię, i nie mam zamiaru okazywać jej uwagi, której tak nachalnie się domaga.

Zaczyna stukać palcami w biurko.

A ja nadal ją ignoruję.

- Francesco.

- Tak, Caroline? - wzdycham.

- Czemu tak oszczędzasz te naklejane karteczki? Bardzo się cieszę, że właśnie dzwoni dzwonek - przyszedł jej trener, czas na porcję ćwiczeń. Pod jej nieobecność staram się maksymalnie wykorzystać ciszę i co nieco udaje mi się zrobić. Muszę wykonać mnóstwo telefonów i dopilnować wielu spraw, a do tego dochodzą jeszcze rozmaite pierdoły, na przykład nadanie FedEksem przesyłki do Jodie - muszę jej wysłać jeden diamentowy kolczyk, uwierzylibyście? Caroline zgubiła drugi na kolacji w „Claridges”, dokąd pojechała po spektaklu, i chce jak najszybciej przekazać sprawę ubezpieczycielowi. Żeby dorobić identyczny kolczyk, jubilerzy w Los Angeles muszą mieć wzór, a żeby ten proces przyspieszyć, Caroline nie chce go zgłosić do oclenia, więc wyślę go zawinięty w szal. Jodie obawia się, co będzie, jeśli przesyłkę zatrzymają celnicy albo, nie daj Bóg, zaginie. A szanse na to, że tak się stanie, są całkiem spore, biorąc pod uwagę fakt, że wszystko, w czym macza palce Caroline, generalnie idzie nie tak. Ta kobieta stale coś gubi, myli się w ustaleniach i doskonali w komplikowaniu życia, ale powoli się do tego przyzwyczajam. A właśnie, wiecie, jak się skończyła historia z iPodem? Jodie miała rację - wystarczyło wymienić baterie. Gdyby nie to, że Caroline daje mi zarobić, powiedziałabym jej, gdzie powinna go sobie wsadzić.

To niesamowite, ile udaje mi się zrobić, kiedy Caroline nie stoi nade mną jak kat nad dobrą duszą. Po godzinie, całkiem z siebie zadowolona, postanawiam zrobić sobie przerwę i zejść do Lorny na kawę. Moja komórka dzwoni po raz setny.

- Halo?

- Cześć, mówi Tom. Tom Worthington, poznaliśmy się na weselu. Tego to się nie spodziewałam.

- Cześć. Co u ciebie?

- W porządku, dzięki.

Nie ma śladu po swobodzie, z jaką rozmawialiśmy na weselu, ale i tak cieszę się, że zadzwonił. Wcześniej faktycznie potraktowałam go zbyt szorstko, ale to się zdarza babkom, które w przeszłości zawiedli faceci: kiedy wreszcie trafiają na porządnego gościa, każą mu płacić za grzechy wszystkich byłych.

- Słuchaj, powiem wprost, czy zechciałabyś...

Szlag, muszę mu przerwać. Mam rozmowę na drugiej linii, to Caroline. Psiakrew, co ja mam zrobić. Nie chcę, żeby pomyślał, że znów go spławiam, ale jeśli nie odbiorę, ona mnie zabije.

- Tom, strasznie cię przepraszam, ale czy mógłbyś zadzwonić później? Właśnie dzwoni moja szefowa i...

Oczywiście teraz to on musi mi przerwać.

- Nie ma problemu. Rób, co masz do zrobienia. Cześć. Koniec rozmowy. Cholera. Wciskam zielony przycisk.

- Tak, Caroline?

- Znajdź katalog Donny Karan. Wracam do domu, muszę wymyślić kreację na urodziny.

Tak, to faktycznie cholernie pilna sprawa, nie miałam wyjścia, jak tylko przerwać rozmowę z Tomem - myślę ponuro, idąc do kuchni. Niech to diabli. Dlaczego ja zawsze muszę wszystko popsuć? Powinnam była odrzucić połączenie i później jakoś jej to wyjaśnić. Mam nadzieję, że on jeszcze zadzwoni.

- Już tu jedzie - ostrzegam Lornę, która czyta magazyn przy stole. Staruszka natychmiast zrywa się na nogi.

- Dzięki, Fran. Nie miałam pojęcia, że już tak późno. Strząsa okruchy z bluzki, wstawia talerzyk i filiżankę do zlewu. W zamku zgrzyta klucz. Wchodzi Caroline, naładowana endorfinami po treningu - wygląda irytująco pięknie w jasnoróżowym komplecie.

- Lorna, skarbie, poproszę naturalny sok jabłkowy - mówi, wchodząc tanecznym krokiem, po czym otwiera wykuszone okno i przypala papierosa. - Fran, o czymś powinnam wiedzieć?

Coś musi być ze mną nie tak, skoro mam dziką satysfakcję, patrząc, jak Lorna nalewa jej sok - nie dostałam naturalnego, więc kupiłam zwykły sok „Safeways”. Wpadam w swój asytencki trajkot, rozgniewana, że przez jej głupi telefon nie mogłam pogadać z Tomem. Mam nadzieję, że on nie weźmie tego do siebie - w końcu wie, czym się zajmuję i jak bywam zajęta.

- Bilety na przyszły tydzień i rezerwacje lokali załatwione. Leticia przyjedzie wieczorem do teatru, pojedziecie do „Ivy”. Stolik zarezerwowałam na wpół do jedenastej, żebyś zdążyła spokojnie się przebrać. Rozmawiałam z menedżerem Julii Roberts - Julia nie może niestety przyjechać na twoje przyjęcie urodzinowe, ale przesyła życzenia i całusy. „Joseph” zrealizował zamówienie - później je odbiorę. Graham Norton zaproponował dni, w których mogłabyś wystąpić w jego programie, Jonathan Ross też. Kenneth uważa, że powinnaś zdecydować się albo na jednego, albo na drugiego. Gospodyni na Bermudach potwierdziła otrzymanie referencji, które jej wysłałaś. Nowa zaczyna od poniedziałku.

Caroline popija sok jabłkowy i jakoś nic jej nie doskwiera -kto by pomyślał, tyle dodatków chemicznych i barwników...

- Który program twoim zdaniem powinnam wybrać? Zastanawiam się. Boże, jak to fajnie mieć w życiu takie wybory.

- Szczerze mówiąc, to trudna decyzja. Jeśli wystąpisz u Grahama Nortona, to będziesz raczej dodatkiem do programu, bo cały show skupia się na jego dowcipach i zabawnych telefonach do fanów. Nie jestem przekonana, czy to ci odpowiada. Z kolei program Jonathana Rossa jest świetny, ale raczej lekki - publiczność oczekuje anegdot, więc sama nie wiem, czy to coś dla ciebie.

Kiedy kończę swój wywód, Caroline wpatruje się we mnie z otwartymi ustami i z pewnością zastanawia się, czy uznać to, co powiedziałam, za bezczelność czy dobrą radę. Jestem w końcu tylko asystentką - swoje opinie powinnam zachować dla siebie. Usłyszawszy pytanie, asystentka ma wybrać jedną z poniższych odpowiedzi: „Cokolwiek postanowisz, na pewno będzie to słuszna decyzja”, „Wyglądasz fantastycznie”, „W pełni się z tobą zgadzam”.

Lorna stoi jak zamurowana, czeka na wybuch hysterii. A jednak atak szału nie następuje.

Caroline dopala papierosa, wbijając we mnie wzrok.

- Skoro nagle stałaś się ekspertem od mediów i mojej osobowości, to co sugerujesz, Francesco? Olać oba programy i spierdolić promocję sztuki? Trochę się wzdragam przed powiedzeniem tego, co myślę, ale tylko trochę.

- Nie. Zastanawiałam się tylko, czy jest jakiś powód, dla którego miałabyś nie wystąpić w tym nowym programie. Ma go poprowadzić znany, inteligentny prezenter z Radia 4, którego już ochrzcili nowym Parkinsonem. To ma być program, w którym najważniejsze będą wywiady, a nie tania rozrywka, żeby facet mógł dotrzeć do widzów. Lista gości jest zresztą imponująca - udział potwierdzili już John Travolta i Meg Ryan.

Caroline zastanawia się, a ja czuję, że niewiele brakuje, żebym została wylana z pracy. Myślę sobie też, że sławni ludzie popełniają mnóstwo błędów, bo nikt nie ma śmiałości kwestionować ich decyzji w obawie przed utratą pracy. Całkiem uczciwie powiedziałam jej, co myślę, choć gdybym miała być naprawdę szczerą, przedstawiłabym to tak: „Dobra, Caroline, darujmy sobie pierdoły. Wszystko jedno, czy zdecydujesz się na Grahama Nortona czy Jonathana Rossa, bo i tak wypadniesz fatalnie - nie załapiesz ich sarkazmu i ironii, a na dodatek nie masz w ogóle poczucia humoru. Jeśli masz choć trochę rozsądku, wybierz odpowiedni

program - taki, w którym nie będziesz musiała zabawiać publiczności - a na pewno wypadniesz świetnie".

Lorna nadal stoi skamieniała, boi się głośniej odetchnąć.

Caroline cały czas przesywa mnie wzrokiem.

- Kenneth wspominał coś o tym w zeszłym tygodniu. Milknij, rozważa za i przeciw i podejmuje decyzję.

- Dobra, zadzwoń do Kennetha, niech mnie tam umówi. Byłam kilka razy u Parkinsona i faktycznie taka formuła bardziej mi odpowiada.

Uśmiecham się. Lorna oddycha głęboko.

- No, dobra, gdzie katalog Donny Karań?

Pędzę po niego jak posłuszny szczeniak i przynoszę swojej pani.

Carolina przegląda zdjęcia, samoprzylepnymi karteczkami zaznacza strony, na których coś zwróciło jej uwagę. Wspaniały sposób robienia zakupów.

- Co twoim zdaniem powinnam włożyć? - pyta. Niesłychane. Mój niepoohamowany wybuch szczerości najwyraźniej przysporzył mi i moim opiniom nieco jej zaufania.

- Ta sukienka jest niesamowita - mówię, wskazując tę, która podoba mi się najbardziej.

- Też tak sądzę - mówi Caroline radośnie. - Możesz mi ją wypożyczyć?

- Oczywiście. Zajmę się tym później, teraz odbiorę twoje rzeczy z „Josepha”.

- Dobry plan. Aha, miałam ci powiedzieć, że na przyjęciu będzie Carson. Tym razem przyleci z Cameronem i Steph.

- Cudownie - cieszy się Lorna na myśl o spotkaniu z córką.

- Wiedziałam, że się nasza Lorna ucieszy. - Oto jedna z tych rzadkich okazji, kiedy Caroline stara się być miła. Ma przy tym strasznie protekcyjny ton.

Z przyjemnością patrzę na uradowaną Lornę, ale na samą myśl o uprzejmych rozmowach z Carsonem po tym, co

niedawno odkryłam, robi mi się niedobrze. Zbieram się do „Josepha”.
- Dokup samoprzylepne karteczki, Fran - woła za mną Caroline.
Wieczorem, kupując karteczki w sklepie papierniczym, uświadamiam sobie, że Tom nie oddzwonił. Wyładowuję się w dość żałosny sposób - kupuję osiemdziesiąt paczek.

21

W domu czeka mnie miła niespodzianka - są u nas Sabina i Ella. Siedzimy przy stole w kuchni, jemy pyszną sałatkę z kurczakiem, którą zrobiła Abbie, pijemy wino, nadrabiamy zaległości.

Teraz, kiedy Ella zdradziła, że jest w ciąży i nie musi dłużej ukrywać brzucha, dostrzegamy, że już się trochę zaokrąglił. Wszystkie strasznie się cieszymy i robimy z tego wielką hecę. Ja dokazuję najbardziej - pewnie z powodu wyrzutów sumienia, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy tak rzadko spotykałam się z Ellą.

- Mam nadzieję, że nie odpadłam z konkursu na matkę chrzestną przez to, że mnie ciągle nie ma? - pytam niby żartem, ale moje obawy są jak najbardziej prawdziwe.

- No co ty, Fran - uspokaja mnie Ella - przecież wiemy, ile pracujesz, a poza tym wynagradzasz mi to plotkami z wielkiego świata. Moje szare życie od razu nabiera kolorów.

Śmieję się.

- Tak, tak, gdybyś widziała, jak całe dni popłynęłam po sklepach, na pewno uznałabyś, że żyję jak w bajce.

Wtrąca się Abbie.

- Nie gadaj, na pewno masz nowe plotki. Opowiadałaś im o Carsonie w ręczniku?

- Nieceeee! - krzyczy Sabina. - Ty małpo! To się nazywa fart! Jak wyglądał? Co mu powiedziałaś?

Znów się śmieję.

- Obiecuję, że wszystko wam opowiem, ale najpierw mówcie, co u was. Dopóki się nie dowiem, nie wspomnimy nikogo, czyje imię zaczyna się na C.

Rozsiadam się wygodnie, przyjaciółki opowiadają o swoim życiu, a ja słucham ich z przyjemnością i myślę, jak to jest cudowne rozmawiać z normalnymi ludźmi. Z ludźmi, którzy nie domagają się ciągłej uwagi i pochwał. Którzy mają normalne związki i nie robią innych w konia. Którym nie przyszłoby do głowy kazać komuś objechać pół Londynu tylko po to, żeby kupić konkretny rodzaj chleba, a to dlatego, że nie zawiera pszenicy i poleca go Gwyneth. Którzy znają wartość pieniądza. Caroline ostatnio bardzo straciła w moich oczach, i chociaż na przekór sobie darzę Carsona sympatią, on także mnie zawiódł. Kiedy zaczynałam pracować dla Caroline, wcale nie byłam jej zagorzałą fanką, ale to dlatego, że Caroline od lat nie wystąpiła w żadnym filmie, natomiast z pewnością ją podziwiałam. Sądziłam, że ma idealne życie, jest urocza i skończenie piękna. Sprawdziła się tylko jedna z tych opinii - może to wcale nie taki zły wynik.

Szokiem dla mnie samej było to, że choć nie poświęcałam informacjom o Caroline Mason większej uwagi, to jednak miałam na jej temat wyrobione zdanie. Wkrótce okazało się, że moje wyobrażenia zupełnie nie przystają do rzeczywistości, i chyba poczułam się oszukana. To tylko kolejny dowód na to, że podświadomie uważamy się za ekspertów od życia gwiazd za sprawą wiadomości na ich temat prezentowanych w mediach i Internecie. Codziennie oglądamy zdjęcia sławnych ludzi i czytamy rozmaite informacje o ich życiu, sądzimy więc, że mamy prawo do opinii na ich temat, na przykład: „Nie cierpię jej - nie dość, że uważa się za pepek świata, to jeszcze jest za chuda" albo: „Jest

cudowna. To świetna babka", a przecież tych ludzi w ogóle nie znamy. Na czym więc opieramy nasze opinie? Wtem moją uwagę przykuwają słowa Abbie.

- Do powiedzenia mam tylko tyle, że oficjalnie jesteśmy z Adamem parą.

- Abbie! To cudownie! Znalazłaś naprawdę super gościa -pokrzykuje rozradowana. Abbie naprawdę musi go lubić, skoro coś takiego ogłasza - zresztą, ma powody. Był u nas kilka razy, robi naprawdę doskonałe wrażenie.

- Czyli tylko ja i Fran zostałyśmy samotne na placu boju -mówi Sabina.

- Na to wygląda - odpowiadam, wzruszając ramionami. -O, Abbie, zapomniałam ci powiedzieć - dzwonił do mnie ten gość z wesela, Tom. Chciał mnie zaprosić na kolację.

- Super! - piszczy Abbie. - Tak się cieszę! Już się bałam, że dałaś ciała. Na kiedy się umówiliście?

Oho, żałuję, że poruszyłam ten temat.

- Nie umówiliśmy się. Miałam drugi telefon i musiałam przerwać rozmowę.

Wpatrują się we mnie trzy rozczarowane twarze.

- Jak to? - dopytują Abbie i Sabina.

- Jesteś, psiakrew, koszmarna - wtrąca Ella.

- Czemu?

- Bo nigdy nikomu nie dajesz szansy, a do tego sama sobie nie odpuszczasz. Trzeba było się umówić. Abbie mówiła, żeście się dobrali jak w korcu maku i że takie coś rzadko się zdarza. Facet dwa razy do ciebie dzwonił, a ty się zachowałam jak królowa śniegu.

Jestem w szoku.

- Kurczę, chyba nie zasłużyłam sobie na takie mocne słowa, co? - pytam pozostałe, choć dobrze wiem, że skoro komentarz padł z ust Elli, to z pewnością jest trafny. Niech to szlag. Najgorsze jest to, że mają całkowitą rację. Już wcześniej sama doszłam do tego wniosku.

Dziewczyny nie ciągną tematu w obawie, że mogą zranić moje uczucia. Przez resztę wieczoru dyskutujemy nad imieniem dla dziecka Elli, a im dłużej o tym gadamy, tym głupsze mamy pomysły. Do czasu wyjścia Elli o wpół do jedenastej ustalamy, że dziewczynka będzie miała na imię Fransabella - od połączenia naszych imion - albo Holly. Chłopiec będzie miał na imię Benmignicju - po członkach zespołu Curiosity Killed the Cat - albo Rudolph. Zaraz po wyjściu Elli żegna się z nami Sabina, a ja idę prosto do łóżka i nadludzkim wysiłkiem staram się ignorować dotkliwie poczucie żalu, które nachodzi mnie za każdym razem, gdy pomyślę o Tomie. Czyli bardzo często.

22

Jest poniedziałek. Impreza urodzinowa Caroline, która ma się odbyć w weekend, jest już prawie dopięta na ostatni guzik. Do końca tygodnia sfinalizuję wszystkie sprawy - muszę dopilnować, żeby Cameron, Steph i Carson byli pod dobrą opieką i żeby niczego im nie zabrakło (nie oni się tego domagali, to słowa Caroline).

Przyjęcie odbędzie się późno. Przedstawienie kończy się o dziesiątej, więc Caroline pojawi się w „Browns” dopiero o jedenastej. W niedzielę podejmie najbliższych na lunchu w „Sandersonie”. Caroline nie żałuje pieniędzy na fetę - na myśl o tym, ile będzie kosztowało samo jedzenie, robi mi się słabo. Tym bardziej, że jubilatka pewnie tylko coś skubnie. Siedzę w gabinecie i przez telefon omawiam z kierownikiem „Sandersona” szczegóły uroczystości. Z korytarza dochodzi mnie głos Carsona - cała trójka musiała właśnie dotrzeć z lotniska.

- Bez zapachowych świec na stole. Proszę podać Dom Perignon po daniu głównym, przed przemowami. Skontaktuje się z państwem Orlando Hamilton - to on przygotuje dekoracje kwiatowe. Dobrze?

Właśnie kończę rozmowę, kiedy do gabinetu wpada śliczny chłopaczek o okrągłej buźce, krzyząc: „Lornaaaaa!”.

Ma fryzurę na pazia, pulchniutki policzki i z pewnością był słodkim niemowlęciem. Jest wyrosniętym sześćo-latkim, silnym, energicznym, skórę ma muśniętą kalifornijskim słońcem, blond włosy i błękitne oczy - czego innego można się spodziewać po potomku Carsona Adamsa? Widząc mnie, Cameron przystaje i pyta: „A ty to kto?”.

Ma uroczy akcent, będący mieszanką irlandzkiego i amerykańskiego. Ja wprawdzie nie mam dzieci, ale na miejscu Caroline czułabym się co najmniej nieswojo, bo jej syn spędza tyle czasu z nianią, że mówi bardziej jak ona niż jak matka.

- Cameron, prawda? Jestem Fran. Pracuję dla twoich rodziców.

- Super - rzuca i wypada z pokoju.

Lorna przygotowywała sypialnie na górze i dopiero teraz musiała usłyszeć gości, bo nagle piszczy z uciechy i pędzi po schodach na dół tak szybko, jak tylko pozwala jej artretyzm.

Tymczasem w drzwiach gabinetu pojawia się przepiękna twarz Carsona.

- Cześć, Fran. Co u ciebie?

- W porządku, dziękuję - mruczę, przez chwilę porażona jego uśmiechem i niezdolna do żadnego ruchu. Ciągłe się na czymś w tej pracy łapię. W tej chwili na przykład na tym, że ja, Francesca Massi, jestem po imieniu z Carsonem Adamsem.

- Mam dla ciebie kilka wiadomości. Agentka pilnie prosi o telefon, czeka na odpowiedź w sprawie scenariusza -mówiła, że będziesz wiedział, o co chodzi.

- Jasne - z tonu Carsona wnioskuję, że raczej nie zawracał sobie głowy skrytem.

Agentka dzwoniła do mnie już cztery razy, a wygląda na to, że długo jeszcze nie dostanie odpowiedzi.

- Jest Cas?

- Nie, pojechała woskować nogi - tłumaczę z zażenowaniem, bo mnie samą potwornie zawstydza fakt, że choć nie widziała syna od miesiący, to jednak ważniejsza była dla niej wizyta w salonie piękności. Rumienię się i w tej chwili nienawidzę Caroline za to, że jej tu nie ma. Tymczasem Carson nie wydaje się zaskoczony.

- Steph! - woła nianię, po czym zwraca się do mnie. - Musicie się poznać.

- Idę - odpowiada cichy, wesoły głos. W drzwiach pokazuje się druga głowa. - Cześć, Francesco. Bardzo się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać.

Zdjęcie Steph w żadnym razie nie oddawało jej urody. Jest prześliczna w bardzo naturalny sposób, na jej twarzy nie ma śladu makijażu. Ma te same oczy co Lorna - ciepłe, przyjazne.

- Cześć - mówię, wstając. - Ja też bardzo się cieszę. Jak minęła podróż?

- Doskonale. Nie przepadam za lataniem, ale nie ma co narzekać. Zajrzę do mamy, oszalała z radości na widok Camerona. Chodź, Carson, zobacz. Wychodzą, a ja znów zastanawiam się nad tym, że Carson zupełnie inaczej traktuje innych ludzi niż własną kobietę.

Dzwoni moja komórka. Nie wierzę własnym oczom - to mój zapomniany agent.

- Halo?

- Cześć, Francesco, co u ciebie? - chrypi John, jak zwykle zresztą.

- Super, dzięki. Dawno się nie słyszeliśmy.

- Fakt. Ale wiesz co? *Damski Asekurator* to przebój. Wiedziałaś, że znów go nadają?

- Aha - przyznaję, a na samą myśl aż mnie skręca. Jakie to szczęście, że nie mam czasu oglądać telewizji.

- Fantastycznie. Leci w każdym bloku reklamowym, co? No, i właśnie dzięki temu mam dla ciebie propozycję na przyszły poniedziałek. Tylko zanim zaczniesz wybrzydzać, że to nie rola w teatrze, pamiętaj, że jak się nie ma wyboru, to się nie narzeka - na wszelki wypadek strofuje mnie John.

- Dobra- odpowiadam - co masz?

- Kanał cyfrowy FAB produkuje nowy teleturniej. Szukają pomocnicy prezentera, sami się do mnie zgłosili i uważają, że będziesz świetna. Mówili nawet, że gdybyś wygrała casting, to chętnie by cię ubrali jak w *Damskim Asekuratorze*. Co ty na to?

- Brzmi świetnie - lżę jak pies. - Nie odbierz tego źle, ale pracuję teraz na całym etacie i raczej nie uda mi się wyrwać - mówiąc to, uprzytomniam sobie, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy mojej tak zwanej kariery aktorskiej nie poświęciłam nawet jednej myśli. Albo faktycznie zabrakło mi czasu, albo chęci.

- Skoro tak... Puszczę ci mejla ze szczegółami. Sama zdecydujesz - mówi John obrażonym głosem.

- W porządku - odpowiadam roztargniona. Mam kogoś na drugiej linii.

- Aha, Francesco, jeszcze jedno. Gdybyś w ogóle nie miała czasu na castingi, to daj mi jakoś znać, co, skarbie?

Nie mam czasu przetrwać tej ostatniej, beczelnej uwagi. Odbieram drugą rozmowę.

- To ja - cedzi Caroline. - Skończyłam wosk, nie ma samochodu. Gdzie jest Terry?

- Pięć minut temu przywiózł ich z lotniska, lada chwila powinien być, w końcu to bardzo blisko. Wszyscy są cali i zdrowi - tłumaczę i nie mogę wyjść ze zdumienia, że to nie o rodzinę zapytała w pierwszej kolejności.

- To dobrze, słuchaj, skoro już rozmawiamy...

Znów ktoś dzwoni. Zerkam na ekran telefonu - to numer, z którego wcześniej dzwonił Tom. Zachowałam go po ostatniej rozmowie... na wszelki wypadek. Szybko oceniam sytuację.

- Wybacz, Caroline - przerywam jej słowotok. - Właśnie dzwonią w sprawie twojego przyjęcia.

Odbieram drugą rozmowę, lekko drżąc na myśl o tym, co stanie się ze mną w najbliższej przyszłości.

- Halo?

- Cześć, tu Tom. Tom z wesela.

- Cześć.

- Widzisz, jest tak... Ostatnio nie wydawałaś się zbytnio zadowolona, że dzwonię, więc pomyślałem sobie, że spróbuję jeszcze raz, a potem dam ci spokój. Chciałem tylko spytać, czy wybrałabyś się ze mną na kolację? - cały ten potok słów Tom wyrzuca z siebie niemal na jednym wydechu. Aż mi go szkoda.

- Z największą przyjemnością - odpowiadam.

- Naprawdę? - pyta zszokowany. - Wspaniale. To wspaniale.

Biorę głęboki oddech.

- Widzisz, nie wiedziałam, co myśleć. Było mi przykro, że mnie zignorowałaś dzień po weselu. Poczułam się jak idiotka, chociaż może trochę przesadziłam. Na swoją obronę masz to, że zadzwoniłeś, więc... - milknę, bo sama nie wiem, do czego zmierzam.

- Francesco - mówi Tom - nie zignorowałbym cię, gdybym nie zapomniał okularów. Głupio mi to mówić, ale jeśli nie zwróciłem na ciebie uwagi, to tylko dlatego, że cię nie poznałem. Zobaczyłem cię z bliska, dopiero kiedy wychodziłaś, ale wtedy już twoja przyjaciółka piorunowała mnie wzrokiem.

- Więc to tak...

Teraz wszystko jasne. Głupio mi.

- Co powiesz na sobotę?

Mam gonitwę myśli. W sobotę jest przyjęcie urodzinowe Caroline i pewnie na wszelki wypadek powinnam być w gotowości. Ale w końcu... dlaczego coś miałoby pójść nie tak? Nie mogę zmarnować tej okazji.

- Świetnie, sobota brzmi doskonale.

- Cieszę się. Podaj mi swój adres, przyjadę po ciebie o ósmej - mówi Tom z wyraźną ulgą w głosie.

Rozłączam się, oszołomiona i rozradowana, i dopiero po chwili dostrzegam, że mam sześć nieodebranych połączeń. Przez całą rozmowę ignorowałam sygnał przychodzących rozmów - wiem, kto wydzwaniał, ale to nie jest konkurs, nie dostanę za prawidłową odpowiedź żadnej nagrody.

Słyszę klucz w zamku i zbieram się w sobie.

- Fraaaaaancesca!

- Tu jestem - odpowiadam cienkim głosikiem.

- Do mnie! - pada rozkaz.

Wychodzę z gabinetu. Caroline stoi w korytarzu, ręce opiera na biodrach. Od śmierci ratuje mnie Carson, który właśnie w tej chwili zbiega ze schodów.

- Cas, jak się masz? - mówi, całując ją w policzek.

Po raz pierwszy widzę ich razem - z fascynacją obserwuję, jak na widok Carsona twarz Caroline natychmiast się zmienia. W jednej chwili pojawia się na niej uśmiech - choć oczy pozostają lodowate - a do tego szefowa nagle przypomina sobie o dobrych manierach. Zastanawiałam się, jakim cudem on z nią wytrzymuje - teraz już wiem.

- Świetnie, dziękuję. Udany lot? - pyta przymilnym głosem.

Caroline dobrze wie, kiedy warto nad sobą panować.

- Tak. Cameron i Steph są na górze - mówi Carson, wchodząc na schody.

Przeskakuje po trzy schodki naraz - przypomina mi rozradowanego szczeniaczka - gdyby miał ogon, na pewno by nim merdał.

- Już do was idę - mówi Caroline, podążając za nim. Zatrzymuje się, odwraca do mnie i rzuca przez zaciśnięte zęby: -Nigdy więcej nie waż się rozłączyć, kiedy mówię.

Jej brak zainteresowania przyjazdem syna napawa mnie obrzydzeniem i chyba po raz pierwszy, odkąd odkryłam, że Carson kogoś ma, zaczynam się z tego cieszyć, a przynajmniej

nieco to rozumieć. Naprawdę trudno go winić. Tylko nie mam pojęcia, czemu ten uroczy facet wybrał sobie taką heterę. W końcu na brak chętnych na pewno nie narzekał.

Dzwoni telefon. To trener Caroline. Niechętnie wracam do organizowania jej życia.

Wieczorem w domu z pasją oddaję się jedynemu zajęciu, które pozwala mi zachować zdrowe zmysły - dopisuję kolejne strony *Pamiętnika osobistej asystentki* (na tym etapie mogę już nazwać swoje dzieło powieścią; trudno w to uwierzyć, ale mam już ponad dwieście stron, mogę więc chyba posługiwać się określeniem „książka”). Nie piszę już tylko o codziennych zmaganiach; postacie zyskały wyraźne osobowości, klaruje się główny wątek. Cała opowieść skupia się wokół asystentki pewnej znanej, pomyłonej aktorki, żony równie słynnego aktora, który zupełnie nie jest taki, jaki się wydaje na pierwszy rzut oka. Panią M. zżera zazdrość i robi, co może, żeby zniszczyć karierę pana X. i na tym wypłynąć, ale z powodu rozmaitych omyłek jej poczynania odnoszą dokładnie odwrotny skutek. Opisałam w książce mnóstwo zabawnych sytuacji (bezpośrednio inspirowanych życiem Caroline), a kilka dni temu dałam Abbie fragment do poczytania - głośny śmiech dobiegający z jej pokoju był dla mnie najlepszą nagrodą i motywacją do dalszej pracy. Pomyślałam sobie w głębi duszy, że może warto coś z tą powieścią zrobić, kiedy ją skończę. Wysiać do agentów? Trochę się chyba zagalopowałam... Tak czy inaczej, pisanie sprawia mi ogromną radość. Poza tym udało mi się zmienić tyle szczegółów i okoliczności, że nawet gdyby ukradziono mi komputer, nikt by się nie domyślił, kto był prototypem opisanych postaci. Może lutowa konfrontacja z Geoffem i Stacey była ważnym dniem przeznaczenia? Może musiałam się przekonać, że opisywanie prawdziwych osób bywa aktem okrucieństwa i że trzeba zachować wielką ostrożność? Kto wie? Jedno jest pewne: po stresującym

dniu w pracy pisanie to doskonały sposób, żeby zachować dystans - dopisawszy rozdział czy dwa, przestaję przejmować się tym, co się wydarzyło, i bez trudu funkcjonuję w normalnym świecie. Cieszę się, że znów piszę. Czegoś równie obszernego nigdy wcześniej nie udało mi się stworzyć, nawet przed podjęciem pracy w Diamond PR. Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo mi tego brakowało.

23

Jest czwartek przed przyjęciem urodzinowym Caroline i - co ważniejsze - przed moją randką z Tomem. Chyba powinnam kupić Madame jakiś prezent, ale nie mam pomysłu. Tymczasem z zadowoleniem przyjmuję pomyślny finał rozmów z Donna Karan: dziś rano kurier dostarczył wysłaną ze Stanów sukienkę dla Caroline.

Po wybraniu jej w zeszłym tygodniu namolnie wydzwaniałam do działu PR Donny Karan. Była tylko jedna taka suknia w tym rozmiarze, w dodatku w Nowym Jorku. Nie wspomniałam, że wcześniej upatrzyła ją sobie Penelope Cruz, bo przecież Caroline dostałaby apopleksji; na szczęście ostatecznie Penelope wybrała na swoją premierę inną kreację, więc ta upatrzona była dostępna.

Caroline jest w tej chwili na treningu. Sukienkę powiesiłam w jej pokoju. Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczy. Jest absolutnie przepiękna, w stylu z lat pięćdziesiątych, bez ramiączek; czarną satynę pokryto warstwą szyfonu z połyskliwym nadrukiem. Jest obłędna i z bólem muszę przyznać, że Caroline będzie w niej wyglądała oszałamiająco. Jak przystało na dobrą asystentkę, ustawiam na podłodze kolekcję butów, spośród których Caroline dobierze parę do sukienki, i wyjmuję akcesoria: torebki i kolczyki.

Słyszając, że właśnie wróciła z biegu, pędzę na schody, żeby ją przywitać. Dziś ma na sobie błękitne obcisłe legginsy z lycrą i białą bluzę z kapturem.

- Udał się trening?

- O, tak. Możesz mi odkręcić wodę pod prysznicem? Gdzie są wszyscy? Idę do łazienki przy jej sypialni.

- Carson i Steph zabrali Camerona do zoo. Udało mi się to tak załatwić, żeby na dwie godziny zamknęli ogród dla publiczności. Gdybyś zechciała się tam z nimi spotkać, prosili, żebyś zadzwoniła.

- A po jaką cholere miałabym tam jechać? - patrzy na mnie zdumiona, zdejmując trykot.

Zaskoczona, unoszę brwi. Z tego, co wiem, nie spędziła z Cameronem jeszcze nawet pięciu minut, ale oni pewnie lepiej bawią się bez niej.

Postanawiam uznać jej pytanie za retoryczne.

- Widziałaś, co powiesiłam?

- Nie. Co? - pyta spod prysznicza.

- Sukienkę.

- Świetnie.

Po kilku minutach, owinięta ręcznikiem, wychodzi z łazienki. Ma niesamowicie zgrabne nogi.

- Przymierzysz? - pytam.

- Pewnie - mówi, zrzucając ręcznik. Odwracam wzrok od jej zupełnie łysej cipki, która wygląda jak filet z kurczaka.

Tak jak przypuszczałam, sukienka leży na niej idealnie, więc mówiąc jej o tym, wcale się nie podlizuję. Zaczynamy dyskutować, które buty będą najlepsze.

- Moim zdaniem te czarne, satynowe Gucciego.

- Nie jestem przekonana - mówi Caroline z niezadowoleniem. Odrzuciła już co najmniej tuzin par, mimo że wszystkie wyglądały świetnie.

- Gdzie katalog?

Posłusznie go przynoszę, a ona szuka strony z sukienką, żeby zobaczyć, jakie buty miała modelka.

- Chcę takie - mówi, wskazując na błyszczące czarne sandały na nogach tyczki z katalogu.

Przyjmuję tę wiadomość z bólem serca.

- A twoje czarne od Christiana Louboutins na pewno nie będą lepsze? - próbuję niemrawo.

Resztę popołudnia spędzam, wisząc na telefonie z Nowym Jorkiem - próbuję przebłagać dziewczynę z PR, która zupełnie nie pała entuzjazmem. W końcu, po mojej litanii rozpaczliwych próśb, dziewczyna obiecuje, że odmówi innej klientce i prześle buty FedEksem. Mimo wszystko postanawiam nie ryzykować - cały następny dzień biegam po West Endzie jak oszołom. Jest środek lata i nieznośny upał, mogłabym wymienić co najmniej sto innych zajęć, którym wolałabym się teraz poświęcić, zamiast biegać po wszystkich outletach Donny Karan i zebrać o buty, których w Anglii jeszcze nie ma (wolałabym na przykład wbijać sobie igły do oczu). Oczywiście w całym Londynie nie ma choćby jednej pary, więc pozostaje mi tylko modlić się, żeby przesyłka doszła na czas. No i to oznacza, że nici z mojego jutrzejszego dnia wolnego, bo będę musiała osobiście odebrać paczkę od kuriera i dostarczyć ją do teatru. Skoro tak, postanawiam darować sobie szukanie prezentu.

Pocieszam się, że mam nowy materiał do książki; jak tak dalej pójdzie, moje dzieło rozrośnie się do rozmiarów pieprzonej epopei.

W sobotę budzę się rozanielona, bo przecież wieczorem mam randkę.

Strasznie się cieszę, że zobaczę Toma, i mam nadzieję, że wszystko pójdzie tak gładko, jak na weselu Harry'ego. Rozanielenie trochę mi przechodzi, kiedy przypominam sobie, że muszę wstać i pojechać do domu Caroline, żeby tam czekać na parę butów, ale nawet to nie psuje mi nastroju.

Jest weekend, więc dojeżdżam metrem na miejsce dwa razy szybciej. Mamy kolejny piękny dzień. Kiedy nie muszę ganiać po mieście, uwielbiam przechadzać się w słońcu po ulicach południowego Kensingtonu. Dochodzę do domu pod numerem czterdziestym siódmym, ożywiona oczekiwaniem na dzisiejszy wieczór. Wspinam się po schodkach, otwieram drzwi, nasłuchuję dźwięku sygnalizującego włączony alarm, ale nic nie dźwięczy, czyli ktoś jest w domu.

- Hop, hop! - wołam w korytarzu.

Żadnej odpowiedzi. W korytarzu panuje martwa cisza, słychać nawet tykanie zegara stojącego w gabinecie. Słońce wlewa się przez witraż ponad schodami, widać, jak w świetle wirują drobinki pyłu. Poza tym żadnego ruchu. Pewnie Caroline znów zapomniała włączyć alarm.

Idę do kuchni. Zamierzam tam poczekać na kuriera z Fed-Eksu, ale po chwili myślę sobie, że lepiej pójdę do sypialni i naszykuję wszystkie rzeczy. Caroline uznała, że skoro i tak przyjadę do teatru, to równie dobrze mogę jej przywieźć wszystkie graty: ubranie na przyjęcie i rzeczy na weekend w „Sandersonie”, gdzie - mam nadzieję - zostanie aż do poniedziałku. Po cóż miałyby zaprzętać sobie głowę torbą? Uśmiecham się ponuro, przypominając sobie, że informowała mnie o tym w taki sposób, jakby wyświadczała mi ogromną przysługę.

Wchodzę po dwa schodki naraz i kieruję się w stronę drzwi sypialni, drugich na półpiętrze. Otwieram je, na długą chwilę zamieram, po czym wydaję z siebie okrzyk szoku i zamykam je z hukiem.

O, Boże. Serce wali mi jak oszalałe, krew napływa do twarzy. Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

- Francesco! - woła Carson. Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

- Tak? - szepczę, stojąc jak trusia, wbita w ziemię ze wstydu.

- Francesco, to nie tak, jak myślisz.

- Nic nie mów - rzucam w stronę zamkniętych drzwi, bo zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Zbieram myśli i zmykam na dół. Boże, jakbym chciała stąd uciec i na zawsze zapomnieć to, co widziałam.

Siedzę w kuchni ze ściśniętym żołądkiem, zastanawiając się, co robić, kiedy słyszę odgłos kroków na schodach.

- Francesco - mówi Carson, stając w drzwiach, zawstydzony i strapiony. - Wiem, że to straszne, ale nie wolno ci nikomu pisnąć słowa. Gdyby to przeciekło do prasy...

Może i jest sławny, ale wyrzut w moim spojrzeniu jest w pełni uzasadniony.

- Carson, to nie moja sprawa. Nic nikomu nie powiem, a na pewno nie prasie - mówię cicho. - Chyba najlepiej będzie, jeśli od poniedziałku zrezygnuję z pracy.

Carson przynajmniej ma teraz na sobie spodnie i koszulę - krzywo zapiętą - ale stopy ma bose. Wygląda niechlujnie, na jego twarzy maluje się potworne poczucie winy.

Przełykam ślinę. Nie codziennie przyłapuję aktora klasy A, nagiego, jak go pan Bóg stworzył, jak posuwa niańkę z takim zacięciem, jakby od tego zależał los świata.

Ten facet jak nic dupczy wszystko, co się rusza, a incydent z opiekunką tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że to straszliwy pozorant. A skoro o tym mowa, to dziwię się Steph.

- Dobrze, Francesco, będę z tobą szczery jak z nikim. Ani z moją rodziną, ani z agentem, ani nawet z Robertem i Bradem.

Najlepszymi przyjaciółmi - De Niro i Pittem, na wypadek, gdybyście się zastanawiali.

- Okay - odpowiadam, nie mogąc złapać tchu i nie wiedząc, czy chcę to usłyszeć.

- Powiem ci, jak jest, bo czuję, że jesteś dobrym człowiekiem. Wolę, żebyś знаła prawdę, niż wyrobiła sobie o mnie zdanie na podstawie tego, co widziałas.

Carson mierzwi palcami włosy, wygląda na potwornie zestresowanego, a przy tym jest nieprzytomnie pociągający. Nie winię Steph. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy sama umiałabym mu odmówić.

Przywołuję się do porządku, oddalam sprośne myśli i skupiam się na przybraniu takiego wyrazu twarzy, który wyraża traumę i dezaprobatę.

- Carson, niczego nie musisz mi wyjaśniać. To chyba jasne, co tu jest grane, a ja nie mam ochoty wysłuchiwać, jak to Caroline już cię nie rozumie. Serio, nie oceniam cię - kłamię. -A jeśli chcesz, podpiszę ci zobowiązanie, że nie powiem nic prasie.

Do kuchni wchodzi Steph.

- Cześć, Fran - mówi wstydliwie. - Wszystko w porządku, kochanie? - pyta Carsona.

„Kochanie”, ach tak - myślę sobie, wkurzając się na jej zuchwałość. Myśli, że szybki numererek upoważnia ją do tego, żeby tak do niego mówić?

- Powiem Fran prawdę - mówi Carson do Steph, która nagle zaczyna gwałtownie mrugać.

- Jesteś pewien? A Cameron? - Steph delikatnie próbuje odwieść go od powziętego zamiaru.

- No, właśnie. Gdzie Cameron? - pytam zdezorientowana i zirytowana tą tajemniczą otoczką. Wtem rozlega się dźwięk dzwonka.

- Wyszedł z Lorną - szepcze Steph.

- To FedEx - mówię, wstając, żeby otworzyć drzwi. Wracam do kuchni z butami Caroline pod pachą. Carson i Steph są w trakcie ożywionej dyskusji.

Przerywam im - czuję się zwolniona z obowiązku uprzejmości wobec szefa, skoro widziałam jego genitalia.

- Muszę iść na górę i naszykować rzeczy Caroline na weekend - mówię ponuro. - Dobrze?

- Jasne - odpowiada Carson z autentycznie skruszoną miną.

Z trudem wchodzę na górę. Nie przechodzi mi oszołomienie po tym, co widziałam, podobnie jak szok wywołany zachowaniem Steph. Nie powiem, poszła na całość, wciąż mam przed oczami ich ciała splecione w najdziwniejszej z możliwych pozycji. Gdyby ta wizja aż tak nie wytrącała mnie z równowagi, to pewnie by mnie podnieciła. Nie sądziłam, że stosunek w takiej pozycji jest w ogóle możliwy. Wściekam się sama na siebie za to, że ten pokaz seksualnej gimnastyki tak mnie zniesmaczył. Poczulałam się jak łózkowa niedorajda. Wydawało mi się, że próbowałam już właściwie wszystkiego, a tu taka niespodzianka. No, ale w końcu nie o to chodzi.

Wchodzę do sypialni - do tej pieczary bezceństwa: pościel jest pomięta, w powietrzu unosi się zapach hormonów, a do łóżka prowadzi ścieżka zrzuconych naprędce ubrań. Powiem tyle: mam nadzieję, że do poniedziałku, zanim wróci Caroline, zmienią pościel. Jak nic szykowali się na to, że nie będzie jej cały dzień i noc.

Otwieram potężną szafę Caroline, sięgam po torbę weekendową Mulberry. Zmieniam zdanie - lepsza będzie większa walizka Vuittona. Myślę sobie, że wieczorem Carson spotka się z Caroline, żeby świętować jej urodziny. Boski prezent, nie ma co.

Pozbawiona iluzji co do ich związku, zaczynam pakować rzeczy. Muszę przewidzieć każdą ewentualność, żeby Caroline nie miała się do czego przyczepić i nie wróciła przed poniedziałkiem - potrzebuję przerwy i czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Tymczasem, słysząc na dole uniesione głosy, czuję cichą satysfakcję. Świetnie, niech się kłóca. Po dwudziestu minutach i spakowaniu wszystkich mazideł, smarowideł, witamin i Bóg wie czego jeszcze, co Caroline może uznać za nieodzowne, taszczę wielgachną walizkę na półpiętro, a potem na dół.

Zostawiam ją w korytarzu i zaglądam przez drzwi do kuchni.

- Zawiozę rzeczy Caroline do teatru - wymawiając imię zdradzonej kobiety, patrzę znacząco na Steph. Ma zaczerwienione oczy, płakała.
 - Francesco, proszę cię, nie wychodź tak - mówi zestresowany Carson. Odwraca się do Steph i patrzy na nią pytająco. Ona niemal niedostrzegalnie kiwa głową, po czym wpatruje się ponuro w podłogę.
 - Proszę cię, Fran. Wysłuchasz nas?
 - Okay - wzruszam ramionami.
 - Zaraz ci wszystko wytłumaczymy. Usiądź - mówi Carson stanowczo. Niechętnie sięgam po krzesło i siadam przy stole, żeby wysłuchać jakichś żalonych wymówek. Steph siedzi skamieniała, napięcie w powietrzu jest niemal namacalne.
- Carson siada naprzeciwko mnie i wpatruje się we mnie tymi swoimi pięknymi oczami. Jest tym bardziej pociągający, że nie zdaje sobie sprawy z własnej atrakcyjności. Nie chodzi mi o to, że kiedy patrzy rano w lustro, nie dostrzega w nim atrakcyjnego faceta - w końcu musi to widzieć. Carson nie jest arogancki. Nie wykorzystuje swojego wyglądu, żeby przejąć kontrolę albo postawić na swoim; nie zerka na siebie za każdym razem, gdy przechodzi obok lustra, jak to ma w zwyczaju wielu przystojnych facetów. Dlatego właśnie jego wygląd robi jeszcze większe wrażenie.
- Widzisz, Francesco, mój związek z Caroline jest podyktowany rozsądkiem... - zaczyna niepewnie.
- Jestem zawiedziona tą linią obrony, co zresztą uświadamia mi, że autentycznie opieram się przed zniechęceniem Carsona.
- Odkasłuje.
- Widzisz, między nami nigdy nie było miłości. To nasi menedżerowie uknuli cały ten... Cały ten plan.
 - Słucham? - pytam jak przygłup.

Carson wzdycha, po czym przechodzi do wyjaśniania. Steph cały czas wpatruje się w podłogę.

-To było w latach dziewięćdziesiątych. Caroline właśnie skończyła pracę nad *Me porzucaj mnie, kochanie*. Była wtedy wielką hollywoodzką gwiazdą. Problem polegał na tym, że partnerzy, których sobie wybierała, psuli jej romantyczny wizerunek.

Nie wierzę własnym uszom.

- Mów dalej.

- Ja byłem nowy, nikt mnie wtedy nie znał. Tak się stało, że obsadzili mnie w filmie, który odniósł spory sukces, a nasi menedżerowie uznali, że warto by zrobić z nas parę. Mówiąc zupełnie szczerze, chcieli, żebyśmy w ciągu dwóch miesięcy się pobrali, ale odmówiłem. Nie mogłem złożyć przysięgi komuś, kto mało mnie obchodzi. I kogo niespecjalnie lubię. Przetykam ślinę. Nie mam pojęcia, jak zareagować na te rewelacje. Postanawiam wziąć przykład z Sabiny i kierować się intuicją - mówię to, co każdy przytomny człowiek powiedziałby w takiej sytuacji.

- Co było potem?

- To właściwie wszystko. Przywykliśmy do tej dziwacznej sytuacji, a poza tym ten związek pomógł nam w karierach -głównie jej, jak się okazało. W życiu bym nie przypuszczał, że mój film odniesie taki sukces. Setki razy myślałem o tym, żeby to skończyć, ale z różnych powodów tego nie zrobiłem.

- Z jakich? - pytam. - Ze względu na Camerona? Carson znów mierzwi włosy palcami. Steph podchodzi do niego, opiera dłoń na jego ramieniu, żeby go wesprzeć.

- Zakochałem się - mówi Carson.

- Rozumiem - mówię, choć jestem totalnie zdezorientowana.

- Zakochałem się w Steph.

- Och - stękam z rumieńcem na twarzy.

- A ja zakochałam się w nim - mówi Steph cichutko.
- Pokochaliśmy się siedem lat temu i od tego czasu jesteście razem - dodaje Carson, sięgając po dłoń swojej kobiety.
- Rozumiem. Chociaż właściwie nie. To znaczy, może uznacie mnie za staroświecką, ale muszę spytać, czemu nie rozstajesz się z Caroline, żeby być ze Steph?

Steph podejmuje wątek.

- Głównie z mojego powodu. Po części dlatego, że związek z Caroline jest dla jego kariery dużo lepszy niż związek ze mną, ale przede wszystkim dlatego, że ja jestem taka, a nie inna. Nie cierpię być w centrum uwagi. Nienawidzę Hollywood, przyjęć i wszystkich tych bzdur. Teraz mam względnie ciche, spokojne życie. Carson jest jednym z najśłynniejszych aktorów na świecie - każda jego partnerka będzie równie znana i fotografowana na każdym kroku. Nie zniosłabym tego. - Steph bawi się nerwowo włosami. - Od samego myślenia o tym dostaję agorafobii. A tak właściwie stale jestem z Carsonem i nikt o mnie nie wie. To mi odpowiada.

Żał mi jej, że musi opowiadać o tak prywatnych sprawach. Widać, że nie przychodzi jej to łatwo.

- Lorna wie?
- Tak - przytakuje żarliwie Steph.
- A Caroline?
- Tak - odpowiadają jednocześnie kochankowie.
- Nie przeszkadza jej wasz związek tuż pod jej nosem? No i co z Cameronem, czy to mu nie miesza w głowie? - Boże, mam w głowie tyle pytań.

Na wspomnienie Camerona na twarzach obojga maluje się skrucha.

Carson najpierw odkasłuje, potem zaczyna tłumaczyć.

- Na nieszczęście dzieci słynnych par raczej trudno normalnie wychować, ale staramy się go chronić, jak tylko możemy. Niezadługo chcemy mu powiedzieć prawdę... Czyli...

Carson milknie. To bezspornie wyjątkowo trudny temat. Nie zniosę dłużej tego oczekiwania.

- Carson, prawdę, czyli...?

- .. Że jego mamą jest Steph - wystrzela Carson. O, ja pierdziele.

To wszystko zaczyna mieć sens.

To, że Lorna jest tak bliska Carsonowi i Cameronowi. To, że kiedy Carson przyleciał na próbę, nie został z Caroline w Dorchesterze. Już wtedy wydało mi się to dziwne, ale zakładałam, że się pokłócili. No i najważniejsza wskazówka -Caroline ma Camerona w dupie, a Steph ma na jego punkcie bzika. Poza tym Cameron jest uroczym dzieckiem, a gdyby był synem Caroline i odziedziczył choćby część jej genów, na pewno by taki nie był.

Dzwoni moja komórka.

Odbieram ją oszołomiona, a Steph i Carson wpatrują się we mnie, nerwowo czekając na moją reakcję.

- Cześć, Caroline. Wszystko spakowałam. Spokojnie, niedługo będę. Kochankom musi być bardzo niezręcznie, więc kończę rozmowę jak najszybciej.

- A jak się układa między tobą i Caroline? Przyjaźnicie się chociaż? - zadaję ostatnie pytanie.

Carson odpowiada bez mrugnięcia okiem.

- To najbardziej grubiańska, samolubna i obrzydliwa osoba, z którą mam nieprzyjemność trwać w udawanym związku od piętnastu lat.

Nie mogę w to wszystko uwierzyć. To niewiarygodne.

- Posłuchajcie - staram się ich uspokoić. - Muszę zawieźć jej rzeczy do teatru, ale najpierw chcę was zapewnić, że nie pisnę nikomu ani słowa. Naprawdę. Mówiłam poważnie, że mogę podpisać u prawnika oświadczenie.

Steph ma łzy w oczach - jest tak uradowana, że za chwilę pęknie.

- Nie musisz, Fran, ufam ci. Poza tym mama tyle razy mówiła, że jesteś taka cudowna. I wiesz co? To przyjemna odmiana - wreszcie powiedzieć komuś prawdę. Mam tylko

nadzieję, że nie uważasz mnie za potworną matkę, skoro mój syn uchodzi za dziecko innej kobiety. Po prostu nie dalibyśmy rady - wybuchłby skandal, a prasa rozpętałaby piekło.

Steph płacze, jakby właśnie uchodziły z niej siedmioletnie napięcie i stres. Niełatwo tak długo żyć w kłamstwie.

Podchodzę do niej i masuję jej kark, surrealizm tej sytuacji jeszcze do mnie nie dociera. Wszystko stanęło na głowie, nagle z asystentki przeobraziłam się w powiernicę, strażniczkę tajemnic, do których chciałby się dobrać cały świat.

Carson nadal wygląda na strapionego, więc staram się go uspokoić.

- Carson, naprawdę was nie oceniam. Przyznaję, że w pierwszej chwili to zrobiłam: uznałam, że ty zdradzasz swoją kobietę, a Steph sypia z cudzym facetem, a w dodatku z szefem. Teraz już wiem - zwracam się do Steph - że to twój mężczyzna, do tego ojciec twojego dziecka i... lepiej już się zamknę.

Steph śmieje się i przytula mnie z wdzięcznością, potem obejmuje Carsona, który wygląda tak, jakby kamień spadł mu z seksownej piersi, choć raczej nie jest zadowolony z tego, że jego dziewczyna tak szybko zrezygnowała z mojej pisemnej lojalki. W końcu to on jest wart setki milionów dolarów liczonych w biletach kinowych i to on decyduje o zyskach gazet, które rozchodzą się jak świeże bułeczki tylko dlatego, że zamieściły jego zdjęcie w nowej fryzurze. Co dopiero, gdyby opublikowały zdjęcia prawdziwej matki jego dziecka...

- Dziękuję ci, Fran, że nie utrudniałaś nam tej rozmowy. I tak była ciężka. Kiedyś porozmawiamy dłużej, jak będzie czas. Jeszcze jedno... Byłbym ci naprawdę wdzięczny, gdybyś przed Caroline nie dała po sobie niczego poznać.

- Nie martw się - zapewniam żarliwie. - Nie pisnę słowa. Naprawdę muszę już iść.

- Ostatnia rzecz - muszę spytać, bo pali mnie ciekawość - czy Caroline kogoś ma?

- Eeee... tak.

Oboje mają raczej chytry wyraz twarzy.

- Kojarzysz jej przyjaciółkę, Leticie? - pyta Carson.

- Tak? - odpowiadam pytaniem.

Carson tylko wpatruje się we mnie, unosząc brew.

- O rany. Rozumiem. Na razie.

24

Jestem wykończona, a choć mój mózg usiłuje doszukać się sensu w całym tym zamieszaniu, mam mętlik w głowie. O tyle rzeczy chciałabym jeszcze spytać. Czy naprawdę myślą, że to najlepsze rozwiązanie, żeby Cameron uważał Caroline za swoją matkę? Czy ich obecni agenci znają prawdę? Jak długo chcą to ciągnąć? Gdzie się nauczyli tak uprawiać seks? Na dworze już czeka Terry, żeby mnie zawieźć do teatru. Powinnam się cieszyć, że zwykle pracuję tylko pięć dni w tygodniu. On, biedaczysko, pracuje sześć, tydzień w tydzień. Jeśli akurat przez parę godzin nie jest potrzebny Caroline, zawsze mi pomaga, więc generalnie spędzamy razem sporo czasu. Terry powtarza, że woli jeździć, niż beczynnienie siedzieć. Zawsze gawędzimy i wymieniamy się uwagami na temat ostatnich wyskoków Caroline.

- Wszystko w porządku, Fran?

- Raczej tak - odpowiadam, choć nadal jestem skołowana i usiłuję przetrwać poranne rewelacje. Torby wkładamy do bagażnika, suknia wisi z tyłu w specjalnym worku, buty trzymam na kolanach. Siedzę na przednim siedzeniu, tak jak zawsze, ale modlę się, żeby Terry nie był dziś w nastroju do rozmów.

- Dzisiaj masz randkę, co? - pyta.

- Aha - odpowiadam roztargniona. - Fakt, to już dziś.

- Wszystko gotowe na imprezę urodzinową?

- Że co? A, tak. Gotowe.

Terry po raz ostatni próbuje nawiązać rozmowę.

- Pamiętasz, że w przyszłym tygodniu mam operację żylaków? Nie mogę jej przełożyć, strasznie długo czekałem na termin.

- Pamiętam, pamiętam. Nie martw się, wszystkim się zajęłam. Załatwiłam Caroline samochody na przyszły tydzień. Nie było łatwo, musiałam zaznaczyć, że pasażerka będzie palić.

- Domyślam się - mówi Terry. - Niewielu jest takich frajerów jak ja, którzy co drugi tydzień jeżdżą na pranie tapi-cerki. Dzięki, Fran, jesteś cudowna. Aha, żebyś wiedziała -właśnie zabukowałem wyjazd. Wezmę urlop dopiero w listopadzie, bo po zabiegu będę się pewnie musiał oszczędzać. Lecimy na Wyspy Kanaryjskie, mam nadzieję, że złapiemy trochę słońca. Mówiłem szefowej, ale nie jestem pewien, czy słuchała. Bardzo mi na tym zależy - ja pogram w golfa, żona poszaleje po sklepach. Będzie super.

Myślami jestem bardzo daleko. Akurat dziś jest jeden z tych nielicznych dni, kiedy nie mam ochoty gadać.

- Co mówisz? A, to świetnie. Przepraszam cię, Terry, nie zwracaj na mnie uwagi, mam za sobą piekielny tydzień. Kanary to super pomysł. Biedny Terry wreszcie pojmuje, o co mi chodzi, i jedziemy dalej w kumpelskiej ciszy.

Dojeżdżamy do teatru, pędzę do środka, uginając się pod ciuchami na przyjęcie, Terry niesie walizkę. Dostrzegam Janice, kierownika sceny, ale ona, widząc determinację w moich oczach, rezygnuje z pogawędki i wciska kod, żeby nas wpuścić za kulisy. Pędzę przez pomieszczenie ekipy technicznej, gdzie tłum w czarnych ubraniach popija herbatę, a potem drepnę szybko korytarzem w stronę garderoby Caroline. Wszyscy już przywykli, że zjawiam się tu objuczona jak muł - mają uśmieški na twarzach, unoszą brwi. Góra gratów, jaką zniosła do teatru Caroline, jest wśród ekipy

stałym przedmiotem żartów - jej garderobę wszyscy nazywają po cichu pokojem 101.

Na widok Terry'ego z potężną walizką grupa zaczyna dowcipkować.

Zwykle przystaję, żeby pożartować, ale dziś zmierzam prosto do garderoby - pukam, starając się nie wypuścić niczego z rąk.

- Kto tam? - pyta władczy głos. - To ja.

Otwiera drzwi.

- Nareszcie. Już myślałam, że zapomniałaś i że będę musiała pojechać na imprezę w kostiumie - mówi Caroline. Jest ubrana w tunikę i pali papierosa.

W fotelu w rogu dostrzegam Leticie i z ulgą myślę, że na szczęście nie przyłapałam ich in flagranti. To byłoby za dużo na jeden dzień.

- Witaj, Terry. Postaw walizkę w rogu.

Terry wykonuje polecenie, a potem sapiąc, wyciąga chustkę z kieszeni, żeby otrzeć pot z czoła. Ja rozwieszam rzeczy na imprezę i z głębi szafy wołam:

- Powodzenia w przyszłym tygodniu, Terry. Trzymam kciuki za udany zabieg! I dziękuję za pomoc!

W końcu wypada, żeby ktoś mu podziękował.

- A, tak - Caroline podnosi wzrok. - Żyłaki, jak mogłam zapomnieć.

Leticia zasłania usta ręką, nieudolnie maskując śmiech.

- Chciałbym mieć to wreszcie za sobą - mówi Terry. - Mogę jeszcze o coś spytać, pani Mason?

- Tak?

- Pamięta pani o moim urlopie? Chciałem się tylko upewnić, że termin pani odpowiada.

Caroline uśmiecha się do niego.

- Jasne, kiedy chcesz. Francesca załatwi mi samochód, a ty musisz odpocząć. Zasłużyłeś na urlop. Dokąd jedziesz?

Cieszę się, że jest miła i nie strzela mu focha. Nie powinna mu robić wyrzutów, bo to prawda: odpoczynek mu się należy.

- Znaleźliśmy cudowny, maleńki ośrodek w Lanzarote. Leticie przechodzi dreszcz.

Uśmiech zastyga na twarzy Caroline.

- No cóż, jestem pewna, że będzie uroczo.

- Bardzo dziękuję i wszystkiego najlepszego. Mam dla pani kartkę ode mnie i od żony - mówi, wyciągając z kieszeni pomietą kopertę.

- Cudownie, otworzę później - jej głos brzmi szczerze, ale mówiąc to, Caroline odwraca się i mruga do Leticii. Wzbiera we mnie fala czystej nienawiści. No tak, szczerłość ją zwyczajnie przerasta. Co za odrażające babsko.

Terry żegna się, mówiąc, że zaczeka, żeby mnie podwieźć, jeśli oczywiście pani Mason nie ma nic przeciwko.

- Śmieszny człowieczek, co, Cas? - mówi Leticia, siedząc w kącie i popijając szampana. O, kurwa, ona potrafi mówić - myślę sobie.

Leticia jest stworzeniem o dziwacznym wyglądzie, ma włosy wyczesane na śmierć, jest sucha i koścista jak chart. Do tego jest dumną właścicielką małego, śmierdzącego psiaka o imieniu - tylko się nie zlejcie - Froot Froot, z którym się nie rozstaje, a przez którego garderoba Caroline cuchnie jak klatka świnki morskiej - nic dziwnego, że na liście zakupów stale widnieją świece zapachowe. Leticia ubiera się w stylu, który sama określiłaby pewnie za typowy dla cyganerii - jest stałą klientką Nicole Fahri - ale spod tych wszystkich paciorków i szydełkowanych swetrów wyziera straszliwie przeciętna osoba. Zerkam na nią i rumienię się. Już czas stąd wyjść.

- Jest wszystko, buty też. To dosłownie jedyna para na świecie - mówię do Caroline, dając jej do zrozumienia, że dokonałam nie lada wyczynu.

Podeksytowana łapie pudło, chciwie je otwiera. Wyciąga wymarzone błyszczące sandaalki, które idealnie pasują do sukienki.

- Co sądzisz, Ticia? - pyta jednym tchem.

- Wspaniale, skarbie. Cudowne - zachwyca się „Ticia”, która - właśnie sobie to uświadomiłam - z tymi długimi kolczykami i podłużną, wąską twarzą przypomina charta afgańskiego. - Ależ by pasowały do moich spodni Balenciagi. Fran, załatwisz mi takie w rozmiarze 39?

Tłumię w sobie przemożną chęć powiedzenia jej „spierdalaj”, wyduszam z siebie „muszę już lecieć”, co, mam nadzieję, jasno wyraża, że nie zamierzam. Może i sypia z Caroline, ale to nie oznacza, że jestem do jej usług.

Koszmarna parka jest uradowana, więc postanawiam zmykać, zanim Caroline przydzielą mi kolejne zadania. W końcu mam dziś wolny dzień. Zmierzam do wyjścia.

- Francesco, zanim pójdziesz - kończy nam się Pinot Grigio, zostały tylko cztery butelki. Możesz dokupić?

To irracjonalne, choć wcale nie dziwne, że niemal wybucham płaczem. Po tygodniu usługiwania Caroline mam już dość. Dość jej żądań, dość tego, że nigdy nie mówi „dziękuję”, dość jej dziwnego życia.

Przełykam ślinę i wywracam oczami, żeby powstrzymać łzy.

- Przepraszam, ale mam dzisiaj wolne i muszę już iść. Dokupię wino w poniedziałek. Za rogiem jest „Threshers”, więc jeśli cztery butelki naprawdę ci nie wystarczą, to pošlij kogoś z teatru.

Caroline wpatruje się we mnie, zastanawiając się, jak zareagować. W końcu Leticia podejmuje za nią decyzję.

- Skarbie, puść ją. Ja i tak będę pić tylko szampana, a mamy cały zapas. Cristal i Dom Perignon - mówi nonszalancko, machając ręką, żebym już sobie poszła.

Caroline mruży oczy.

- W porządku - mówi, pryskając śliną. - Idź. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

Podchodzi, żeby za mną zamknąć. Uspokoiwszy się nieco, krzyczę do zamkniętych drzwi: „Udanego przyjęcia! I wszystkiego najlepszego!”.

Wieczorem w domu próbuję uporządkować myśli. Zaczynając tę pracę, nie miałam pojęcia, w co się wpakuję, i teraz zastanawiam się, czy nie powinnam odejść. Ta gra pozorów wywołuje we mnie straszliwy dyskomfort, nie wiem, jak długo będę w stanie udawać, że nic nie wiem, a na dodatek moja niechęć do Caroline stale rośnie. Jednocześnie darzę Carsona autentyczną sympatią i bardzo bym chciała pokazać jemu i Steph, że mogą mi ufać. Ale chodzi też o to, że nie mam na oku innej pracy, więc zostałabym na lodzie. Szczerze mówiąc, realizując co tydzień czek, odczuwam ogromną satysfakcję - zawsze odkładam trochę na konto oszczędnościowe i cieszę się, że choć raz w życiu zarabiam tyle, że nie muszę się o nic martwić, więc byłoby dobrze, gdybym jeszcze trochę wytrzymała. A więc postanowione. Zostaję.

Dla swojego dobra powinnam wytrwać do końca spektakli. Jeśli Caroline dostanie rolę w filmie, wtedy zastanowię się, co robić dalej, ale nie wydaje mi się, żebym chciała dłużej dla niej pracować. Jeszcze nie doszłam do granic wytrzymałości, ale wiem, że Caroline i jej oszalały świat będą mogła zdzierżyć tylko do pewnego momentu.

No, to już wiem. Ciągnę tę robotę.

Cieszę się, bo gdybym odeszła teraz, to czułabym, że w pewien sposób dałam ciała, że poddałam się bez walki, a to niezgodne z moim charakterem. A jeśli mam być zupełnie szczerą, to gdzieś w głębi duszy wszystko, co się dzieje, ogromnie mnie intryguje, więc czekam na rozwój wypadków. Gdyby sprawa się wydała, wybuchłby niewiarygodny skandal; muszę wiedzieć, co się wydarzy.

Postanawiam trochę popisać, bo zawsze mnie to uspokaja i po czterdziestu minutach siedzę zadowolona, napisawszy scenę, która zdziwiła mnie samą. Asystentka nakrywa pana X., jak uprawia seks z meksykańską ogrodniczką pani M., co wreszcie wyjaśnia jego zamiłowanie do *fajitas* i posiadanie imponującej kolekcji płyt Enrique Iglesiasa.

Jak to dobrze, że mogę popisać - dumam sobie. Czuję jakąś niepojętą ulgę, jakbym wyrzuciła z siebie pewne rzeczy, przez co łatwiej mi zachować dyskrecję. Lepiej mi. Idę do pokoju. Zdrzemnę się, a potem zacznę się szykować.

Później siedzę na brzegu kanapy, wykąpana, wyszykowana, w ślicznej letniej sukience, kurtce džinsowej i sandałkach z koralikami na płaskim obcasie. Czekam na Toma. Cała jestem w nerwach, mocno podekscytowana, nie mogę się doczekać randki i miłego wieczoru. Jeśli, oczywiście, Tom przyjedzie.

Dzwoni domofon. Mam motylki w żołądku.

Chwytam torbę i mówię do słuchawki: „Już idę”.

On stoi w korytarzu, a mnie nagle ogarnia zawstydzenie.

- Cześć - mówię, wbijając wzrok w podłogę i prezentując towarzyską nieporadność trzylatka.

- Cześć, Francesco. Pięknie wyglądasz - mówi Tom. Wygląda bosko. Ma świetny, granatowy garnitur i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

Wygląda jak z katalogu Paula Smitha. Po prostu bosko.

- Dziękuję.

Godzinę później siedzimy w uroczej, maleńkiej włoskiej restauracji w Pimlico. Zdążyłam już zjeść tagliolini z krabim mięsem, kelner właśnie podał danie główne. Gotowana ryba wygląda wspaniale. Co za ucztą.

To uroczy wieczór, gadamy jak najęci, ja mam wreszcie wyłączoną komórkę. Od czasu do czasu zastanawiam się, czy przyjęcie Caroline przebiega zgodnie z planem, ale dzwoniłam wcześniej i usłyszałam, że wszystko jest pod kontrolą. Zastanawiam się, czy pojawi się Carson...

- Co by powiedział o tej restauracji twój ojciec? - pyta Tom, kiedy oddala się kelner, który właśnie posypał jego ravioli parmezanem. Pytanie wyrywa mnie z zamyślenia. - Trochę mi głupio, że wybrałam właśnie ten lokal. Gdybym

wiedział, że praktycznie wychowałaś się we włoskiej restauracji pod okiem szefa kuchni - prawdziwego Włocha... Pewnie wszystko jest nie tak. Energicznie kręcę głową.

- Ojcu na pewno by się tu spodobało. Zawsze powtarzał, że najważniejsze są świetna obsługa, świeże składniki i jadłospis odpowiedniej długości. To miejsce spełnia wszystkie te kryteria. Jasne, że najbardziej lubię lokal taty, chociaż jest zdecydowanie skromniejszy. Ojciec prowadzi trattorię, zawsze pełno tam rodzin z dziećmi. Mmm, ryba jest fantastyczna.

- U twojego ojca musi być super - uśmiecha się Tom. Zapomniałam, że jest aż tak przystojny.

- Musimy się tam kiedyś wybrać. Ojciec uwielbia gościć moich przyjaciół, zawsze się do tego palił, odkąd kupił restaurację dwanaście lat temu - mówiąc to, od razu żałuję swoich słów. To niewłaściwa propozycja jak na pierwszą randkę. Zdecydowanie niewłaściwa.

- Koniecznie - pada odpowiedź, a co lepsze, Tom wcale nie wygląda, jakby miał za chwilę odstawić ravioli i uciec.

Wzdycham z zadowoleniem.

- Czemu wzdychasz?

- Bo ja wiem? Chyba po prostu zaczynam się odprężać. Miałam ciężki dzień w pracy. Jak zwykle zresztą.

- Fakt, zawsze jak dzwonię, jesteś bardzo spięta - mówi Tom. - Podobno najgorzej pracować ze zwierzętami i z dziećmi, ale powiem ci, że wolę zwierzęta od stukniętej aktorki.

- Coś w tym jest - mówię ponuro. - Ale to dobry materiał.

- Do czego?

- Nie pamiętam, czy ci wspominałam na weselu, że lubię pisać. Teraz pracuję nad powieścią - wzoruję się na tym, co robię, i na moich absurdalnych relacjach z szefową. Na początku to była zabawa i jakaś forma terapii, ale teraz zrobiła się z tego poważna rzecz. Właściwie mam już książkę. Zawsze lubiałam pisać, ale przez długi czas tego nie robiłam - pochłaniały mnie inne sprawy.

Tom wygląda na zaciekawionego.

- Jaki ma tytuł?

- *Pamiętnik osobistej asystentki*. Główna postać to neurotyczna aktorka, pani M. Jest niezwykle piękna, trochę okrutna i ma zerowe poczucie humoru.

Tom chichocze.

- Ciekawe, na kim się wzorowałaś...

- Wiem, wiem, to głupota. Gdyby Caroline dowiedziała się, co wypisuję, wpadłaby w szal, ale na szczęście nigdy się nie dowie.

- A zatem aktorka, prywatna asystentka gwiazdy i pisarka? Zastanawiam się, jakie masz jeszcze ukryte talenty - Tom wypowiada to zdanie zupełnie normalnym głosem, ale raptem na jego twarzy pojawia się wyraz przerażenia; dociera do niego, że mogłoby to zabrzmieć jak niewybredna aluzja.

Jeśli żadne z nas nie skomentuje tych słów, może to być pierwsza niezręczna chwila tego wieczora.

- Przepraszam. Nie zabrzmiało to najlepiej - w żadnym razie nie chodziło mi o komentarz w stylu Petera Stringfellowa. Myślałem o twoich talentach w sensie zawodowym.

Uśmiecham się, a Tom widocznie się odpręża.

Zajadamy z zadowoleniem. Jedzenie jest pyszne, rioja smakuje wybornie. Skaczymy z tematu na temat. Przez następnych dziesięć minut usiłuję dowiedzieć się czegoś o mężczyźnie, z którym jem kolację. Jego rodzice są w separacji, oboje mieszkają niedaleko Leicester; on wiele podróżował, a zwierzęta są jego pasją. Ma siostrę i brata. Kiedy miał szesnaście lat, poszedł na koncert grupy rockowej U2. Z najlepszym kumplem darli się wniebogłosy i wyglupiali pod sceną, po czym okazało się, że dali ten popis przed kapelą suportującą. Opowiada tę historię tak śmiesznie, że omal nie parskam winem na stół, co - powiedzmy sobie szczerze - nie byłoby eleganckie.

Ja z kolei opowiadam mu, jak dorastałam na przedmieściach Teddington i jak tęsknię za bratem, którego prawie

w ogóle nie widuję, odkąd przeniósł się do Brighton. Mówię mu, jak nadzwyczajną rolę w moim życiu odgrywają przyjaciółki. Potem raczę go kilkoma opowieściami o Caroline.

- Czy ona jest w ogóle dobrą aktorką? - pyta Tom.

- Pewnie tak, jeśli wierzyć recenzjom. Chciałabym pójść na tę sztukę, ale jak znam życie, miną całe tygodnie, zanim zasłużę na bilet. Nie przyjdzie jej do głowy, żeby zrobić dla mnie coś miłego - biorę wielki łyk wina. - A gdybym w końcu te bilety dostała, to chciałabym, żebyś wybrał się ze mną, ale to pewnie nie najlepszy pomysł.

- Czemu? - pyta zaintrygowany Tom.

- Bo potem musielibyśmy pójść za kulisy i choćby nawet przedstawienie było do bani, musielibyśmy prawić komplementy. Zobaczyłbyś mnie w głupiej roli - jak płaszczę się przed szefową. Najgorsze, że od moich gości ona oczekiwałaby dokładnie tego samego.

- Dałbym radę - mówi Tom, uśmiechając się szeroko i wycierając sos z brody.

Pewnie myśli, że żartuję.

- Długo już dla niej pracujesz? Poznaliśmy się w czerwcu i wydawało mi się, że zaraz odchodzisz.

- Umawiałam się do grudnia, kiedy kończą się spektakle. Jeśli Caroline dostanie rolę w filmie, mogę ewentualnie przedłużyć pracę, ale raczej tego nie zrobię. Na razie cieszę się, że regularnie dostaję wypłatę, no i nie mam na oku nic innego. Granie to już chyba historia. Tak naprawdę sama nie wiem, czym chciałabym się zajmować.

Tom wpatruje się we mnie tak, że serce zaczyna mi mocniej bić, a potem mówi:

- Francesco Massi, jestem pewien, że taka kobieta jak ty, poradzi sobie absolutnie ze wszystkim.

Randka przebiega idealnie. Rozmowa nigdy się nie urywa. Żaden z tekstów Toma nie wskazuje na to, że jest skrytym homofobem, rasistą, prawicowym bigotem ani maminsynkiem. Lubi dobrą, bezpretensjonalną muzykę, jest inteligentny,

zabawny, uważnie słucha. Nie przekracza granicy dobrego smaku, nie jest erotomanem gawędziarzem. Jest seksowny w dyskretny sposób, pod koniec posiłku czuję, że mam ochotę go pocałować. Przydarza nam się nawet romantyczna scena jak z filmu, która doskonale uzupełnia ten wieczór i której nigdy nie zapomnę. Jesteśmy bez reszty pochłonięci rozmową -nic dziwnego, że na weselu tak dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie. Równie przyjemnie siedzi nam się nad kawą -nie musimy być upojeni alkoholem, żeby się dogadać. Wtem kelner stuka Toma w ramię.

- Przepraszam pana. Rachunek.

Nie prosiliśmy o niego, więc patrzymy zdziwieni i nagle dociera do nas, że restauracja jest pusta, a wszyscy kelnerzy czekają tylko na nas, żeby iść do domu. My tymczasem zapomnieliśmy o całym świecie. Dla nas to bardzo romantyczna chwila, dla obsługi - wrzód na tyłku.

- Bardzo przepraszam. Zapłacę i odwiozę cię do domu -mówi Tom, za co lubię go jeszcze bardziej. Nie znoszę ludzi, którzy są nieuprzejmi wobec kelnerów.

- Pół na pół - nalegam, szukając w torebce karty kredytowej.

- Nie chciałbym wyjść na seksistę ani gościa starej daty, ale pozwól mi zapłacić, Francesco - mówi Tom, podając kelnerowi kartę.

Tom reguluje rachunek, zostawia cierplivej obsłudze okazały napiwek.

To była naprawdę wspaniała randka. Później całujemy się pod moim domem jak para nastolatków - muszę zebrać w sobie wszystkie siły, żeby się z nim pożegnać. Wreszcie udaje mi się od niego odkleić, ale najwyraźniej pocałunek był tak potężny, że przeniósł mnie w lata pięćdziesiąte - nagle czuję się jak Sandy z *Grease*. Mrugając zalotnie, mówię: „na razie, Tom, dziękuję za wspaniały wieczór”, skromnie chowam się za zamkniętymi drzwiami, po czym robię coś a la Doris Day: odwracam się, opieram plecami o drzwi i wydaję z siebie dziecięcy pisk zachwytu i radości. To się nie dzieje naprawdę.

Jest poniedziałkowy ranek, przyjechałam do pracy, w domu panuje totalny chaos. Na szczęście najwyraźniej spakowałam Caroline wszystkie potrzebne rzeczy, bo jeszcze nie wyjechała z „Sandersona”, a ja modłę się, żeby siedziała tam cały dzień, choć z Caroline nie sposób niczego przewidzieć. Skoro jednak mój telefon milczy, zakładam, że impreza się udała. Zero wieści to dobre wieści, chociaż przyznaję, że miło byłoby usłyszeć „dziękuję”. Może i jestem żałosna, ale chciałabym się dowiedzieć, jakie wrażenie zrobiła w kreacji, której wypożyczenie kosztowało mnie tyle zachodu.

Mimo to i tak twierdzę, że wolałabym jej dzisiaj nie widzieć - nie tylko dlatego, że oglądanie dąsów to żadna frajda, ale też dlatego, że wkrótce rozpęta się piekło. Przed godziną dzwoniła Carrie Anne - powiedziała, że jeśli chodzi o rolę Caroline w filmie, sprawy wyglądają fatalnie. Studio Great British Films postanowiło najpierw zrealizować inne projekty - jęczą na temat kosztów i przebakują, że nastał popyt na lekkie, romantyczne komedie. Tymczasem film, w którym miała wystąpić Caroline, to rzecz o pomyłonej kobiecie nękaniej Urojeniami, a zatem ani zabawny, ani romantyczny - no, chyba że ktoś ma naprawdę dziwaczne poczucie humoru. Kłopoty zaczęły się, kiedy Thomas Anderson, który miał ten obraz wyreżyserować, doszedł do wniosku, że scenariusz jednak nie do końca mu odpowiada, a studio wzdraga się na myśl o kolejnych przeróbkach. Caroline nie będzie w stanie odwieść szefostwa od decyzji o zarzuceniu projektu. Poza tym już toczą się rozmowy o powierzeniu Andersonowi innych scenariuszy.

Mam teraz czekać na telefon albo mejla od pana De-vine'a, nie spodziewając się raczej, że otrzymam wieści, które ucieszą Caroline. Patrząc na tę sprawę egoistycznie, jeśli do realizacji filmu nie dojdzie, Caroline wróci do Stanów,

a ja nie dość, że będę wolna, to jeszcze odpadnie mi szukanie wymówki, dlaczego nie chcę dla niej dłużej pracować. I tak zostało mi jeszcze pięć miesięcy - czyli całkiem sporo - a perspektywa zakończenia pracy w określonym terminie bardzo mi się podoba. Z jednej strony martwi mnie oczywiście brak zatrudnienia, ale z drugiej, zastanawiam się, ile jeszcze wytrzymam.

Dzisiejsza nieobecność Caroline cieszy mnie także z innych powodów: mogę swobodnie rozmyślać o Tomie i nie martwić się, że ona dostrzeże mój głupawy uśmiech. Poza tym nie muszę zachowywać pozorów naturalności, widząc ją razem z Carsonem.

Wtem na górze w sypialni rozlega się taki huk, że aż trzęsą się ściany. Są tam Carson, Cameron i Steph - ciekawe, co wyprawiają. Zastanawiam się, czy za chwilę sufit się nie zawali. Lorna spokojnie robi swoje, na pozór nieświadoma hałasu, pochłonięta układaniem kwiatów w niezliczonych wazonach.

Dziś rano już w progu odurzyła mnie cudowna woń - przez sekundę zastanawiałam się, kto zmarł, i dopiero po chwili dotarło do mnie, że bukiety szykowano nie z powodu czyjejś śmierci, ale urodzin - a dokładnie mówiąc, z powodu czterdziestej rocznicy urodzin Caroline Mason.

W korytarzu stoją chyba ze cztery potężne kosze z kompozycjami w ulubionych kolorach Caroline - kremowym i różowym. Jakimś cudem Lorna zmieściła trzy na sekre-tarzyku, jeden ogromny ustawiła na okrągłym, antycznym włoskim stole obok schodów. Gabinet jest zastawiony wazonami - stoją na biurku i półkach, nawet na faksie. Pokój tonie w barwach. Otaczają mnie żółte róże, różowe lilie, białe orchidee, karmazynowe gerbery i waniliowe begonie - i całe mnóstwo innych kwiatów. Dopiero w kuchni widać, że entuzjazm Lorny osłabł - wielu bukietów nawet nie wyjęła z folii, po prostu powtykała je do rozmaitych naczyn. Kiedy zajrzałam do niej wcześniej, dostrzegłam tylko jej głowę ponad roślinnym stosem na kuchennej wyspie.

- Witaj, Lorno. Och, zupełnie jak w kwiaciarni - jęknęłam z zachwytem.
- Prawda? A wiesz co? - zasapana Lorna obeszała wyspę, żeby mnie zobaczyć. - Weźmiemy sobie po bukietcie do domu. Zapakowałam sobie różowe róże i takie długie fioletowe kwiaty - nie znam nazwy. A ty co chcesz?

Wybrałam przepiękne białe róże z mnóstwem liści i irysy - nie mogę się doczekać, żeby je zabrać do domu. Zrobię to bez poczucia winy, bo Caroline i tak nie zauważy, a ktoś je doceni. Właśnie miałam opowiedzieć Lornie o randce, ale rozdzwonił się telefon i od tamtej chwili nie miałam jeszcze pięciu minut spokoju. W związku z tym nie udało mi się powiedzieć Lornie, że wiem o Steph i Carsonie. Bardzo zżyłam się z Lorną i nie chcę uprawiać żadnych gier. Ale może najpierw powinnam spytać Carsona, czy mogę się zdradzić przed Lorną.

Jedną z osób, które do mnie dzwoniły, była Carrie Anne, która powiadomiła mnie, jak wygląda sprawa z filmem.

- Nie jest dobrze - powiedziała. - Między nami mówiąc, na pewno tego filmu nie zrobimy. To, że Thomas Anderson zmienił zdanie co do scenariusza - to jedno. Przede wszystkim on twierdzi, że Caroline jest do tej roli za stara.

- Przecież to ma zagrać dojrzała kobieta, babka musi mieć swoje lata, żeby tyle przeżyć - protestuję, bo sama czytałam scenariusz.

- Zgoda, ale jeśli zgodzi się to zagrać jakaś dwudziestka, to na pewno ją wezmą. Zresztą, mniejsza z tym. Anderson zmienił zdanie i już. Poszło o jakieś polityczne bzdury - mówi z rezygnacją Carrie Anne, która z pokrętną naturą show-biznesu dawno już zdążyła się oswoić. Choć nie przekazała mi dobrych wieści, i tak ucieszyłam się z jej telefonu - wreszcie mogłam zaprosić ją do nas na kolację.

- Wpadnij w przyszłym tygodniu. Ściągnę dziewczyny, zjemy coś i pogadamy.

- Wiesz co? To doskonały pomysł - mówi. - Mam tyle zaległego urlopu, że może nawet uda mi się wcześniej wyjść z pracy.

- No nie, zgroza - żartuję sobie, po czym umawiamy się u mnie w przyszły czwartek.

Skończywszy rozmowę, sortuję prezenty, kartki i faksy, które przysły przez weekend. Zabieram się do pisania liścików z podziękowaniami. Caroline z pewnością będzie chciała, żebym dziś je wysłała, choć niektórych prezentów nie zdążyła jeszcze obejrzeć.

Jej agent Geoffrey, publicysta Kenneth i liczni znajomi przysłali oprócz kwiatów ekskluzywne prezenty. Są wśród nich perfumy, voucher na całodniowy pobyt w spa „Bliss”, gigantyczna tuba kremu De la Mer, kaszmirowy sweter. Nic na to nie poradzę, że w skrytości ducha myślę sobie, że niektóre prezenty dostała wyłącznie dlatego, że ofiarodawca chciał sobie zaskarbić względy Carsona. Na przykład reżyser, który ma kręcić *Zachowaj swoje pocałunki* - film, do którego agentka tak desperacko usiłuje nakłonić Carsona - przysłał chustę od Hermesa i torbę Fendi. Z tego co wiem, nawet nie zna Caroline, i jeśli nie szepnę słówka Carsonowi, to on nigdy się o tych podarkach nie dowie, no i nie będzie się zastanawiał nad tą rażącą formą przypodobania się.

Przeglądam mejle i olewam dzwoniącą komórkę. To Leticia, nie mam ochoty wysłuchiwać jej zachcianek.

Coś się pozmieniało przy rozdzielaniu specjalnych biletów, muszę się tym błyskawicznie zająć.

Tymczasem Lorna pomrukuje do siebie w korytarzu, zastanawiając się, gdzie upchnąć kolejny wazon - dziwię się zresztą, że jeszcze ich nie zabrakło, zdaje się, że hurtowe zakupy Caroline czasem przynoszą jakieś korzyści. Moja szefowa jest jedyną osobą, jaką znam, która ma w domu więcej niż trzy wazon. Na górze Cameron drze się wniebogłosy, błagając o litość - najwyraźniej ktoś postanowił załaskotać

go na śmierć. W tych warunkach trudno się skupić na pracy. Poza tym nie dam już rady dłużej ignorować jęków Lorny.

- Wszystko w porządku? - pytam, przeglądając mejle i marszcząc czoło. Zupełnie zapomniałam o dzisiejszym castingu. John pisze, że zajął się sprawą i że po południu będą na mnie czekać. Niech to szlag. Wszystko wskazuje na to, że po Bożym Narodzeniu zostanę bez pracy, więc pewnie powinnam pojechać. Nie mogę wypaść z rynku, a poza tym udział w przesłuchaniu powinien mi wreszcie uzmysłwić, że nie zawsze będę asystentką Caroline.

Lorna nie ma pojęcia, gdzie wcisnąć wazon, wreszcie poddaje się i stawia go na podłodze. Przeciska się do mnie, do gabinetu. Dziś ma na sobie spodnie w kratę, jak do gry w golfa, i koszulkę z myszką Mickey.

- Po co zawracali sobie głowę? Wyrzucone pieniądze -szepcze z oburzeniem.

- Bo ja wiem? Z tego, co wiem, ludzie z tej branży uwielbiają posyłać sobie różne rzeczy. Zwłaszcza kwiaty. Caroline wysyła bukiety do ludzi, z którymi tylko piła kawę - wkładam długopis za ucho, zastanawiając się, co począć z castingiem.

- Muszę odsapnąć - wzdycha Lorna. - Dostaję kataru siennego. Zostały mi trzy bukiety, na razie wstawiłam je do zlewu. Mam ochotę na herbatę i ciasto. Co ty na to, Fran? Może opowiesz mi o swojej randce?

Uwielbiam Lornę za to, że pije wrzącą herbatę przez cały rok - nawet teraz, kiedy jest ponad trzydzieści stopni w cieniu.

- Oczywiście. Zaraz przyjdę, napiję się wody. O, matko. Widzę przez drzwi, jak Cameron i Carson pędzą w dół po schodach, jakby coś się stało.

- Cameron, przestań, złamiesz nogę. Carson, uspokójcie się, dosyć tego dobrego - upomina ich Lorna.

Obaj ignorują jej napomnienie, Cameron mija Lornę w dzikim pędzie, wpada do kuchni, z kuchni wybiega do ogrodu, dysząc ciężko i wrzeszcząc. Carson zatrzymuje się

na chwilę, wzrusza ramionami, wicherzy Lornie włosy i już go nie ma - wcale nie strofuje syna, tylko pędzi za nim na złamanie karku.

Po chwili nadchodzi Steph - w nieco bardziej godnym tempie - uśmiechnięta od ucha do ucha. Wcale jej się nie dziwię. Ma mnóstwo powodów do radości. Zerkam na ekran i z ciężkim sercem stwierdzam, że właśnie przyszedł mejl od asystentki pana Devine'a - naczelnego dyrektora studia Great British Films. Chce się spotkać z Caroline, żeby omówić niespodziewane trudności, które wystąpiły przy realizacji projektu. Wygląda na to, że decyzja o tym, kiedy odejść, zostanie podjęta za mnie. Chyba mi z tym dobrze. Muszę pojechać na ten casting. Odpowiadam na mejla i próbuję ustalić dogodny termin spotkania, kiedy do gabinetu wpada Cameron.

- Cześć, Fran - mówi, dysząc z wysiłku.

- Cześć, Cam. Co tak latasz jak oszalały?

Zamiast odpowiedzi Cameron wydaje z siebie tylko chichot zachwytu.

- Fran, posiłujesz się ze mną na rękę?

- Pewnie - odpowiadam, ciesząc się tą chwilą przerwy. Siedzę w fotelu na kółkach, więc podjeżdżam do niego i opieram łokieć na biurku. Cameron chwytam mnie swoją pulchną rączką i zaczyna głośno sapać, usiłując mnie rozłożyć.

- Patrz, jakie mam mięśnie - mówi przez zaciśnięte zęby, a twarz kraśnieje mu z wysiłku. Po chwili daję mu wygrać, choć muszę przyznać, że niewiele mu zabrakło. Cameron unosi ręce w zwycięskim geście.

- Jestem mistrzem. Jestem mistrzem. Jestem mistrzem. Jestem mistrzem. Mógłby tak pewnie powtarzać w nieskończoność, jak to małe dziecko - postanawiam mu przerwać.

- Może i masz wielkie mięśnie, ale tym razem po prostu dopisało ci szczęście. Ja mam większe - mówię, napinając biceps.

- Nieprawda - chichocze. - Moje są większe.
- Co to, to nie - odpowiadam. - Moje.
- Wcale nie. Ja mam większe, a tata ma największe. Zaczekaj - woła, wybiegając na korytarz.

Podjeżdżam z powrotem do komputera i wracam do mejli.

- Tato! - Krzyczy Cameron. - Tatuusiuuu!
- Co, Cam? - pyta Carson z kuchni, z której dobiega chichot Lorny i Steph.

- Tatusiu, Francesca chce zobaczyć twoje mięśnie. Podnoszę wzrok.
- Cameron, to nie tak...

- Chodź, tato, pokażesz Francesce mięśnie.

Zrywam się na nogi, jestem gotowa wbić Camerona w ziemię, byle tylko się zamknął.

Za późno, Carson usłyszał i już tu jest.

- Przepraszam, Fran, dobrze słyszałem? Chcesz zobaczyć moje mięśnie? Serio? - Carson bawi się przednio, widząc, że aż mnie skręca z zażenowania.

- Wcale tak nie powiedziałam, prawda, Cameron? - moje policzki płoną.
- Spoko, nic się nie stało - mówi Carson rozbawiony. Sprawia wrażenie, jakby kobiety codziennie błagały go o pokazanie ciała, więc moja prośba - mimo że wcale jej nie wystosowałam - nie robi na nim wrażenia. - A tak zupełnie serio - masz chwilę? - pyta, nadal nieco zasapany. Patrząc na niego, mimowolnie się uśmiecham. Ma tyle samo energii, co jego syn - dziwna sprawa.

- Jasne.

- Cam, biegnij do Steph. Zaraz przyjdę, zagramy w kosza.

- Super - wykrzykuje Cameron, wybiegając z pokoju. Carson ogląda się za nim i podchodzi bliżej.

- Chodzi o tamtą rozmowę - chciałem spytać, czy wszystko w porządku. Wyszłaś lekko przerażona.

Myślę sobie, że w czasach, kiedy jeszcze pracowałam w Diamond PR, w najśmielszych marzeniach nie wyobra-

żałam sobie, że będę prowadzić tak intymne rozmowy z Carsonem Adamsem.

- No, tak. Musiałam to przetrwać. Poza tym dowiedziałam się o tym w dosyć krępującej sytuacji - tłumaczę, mając na myśli to, jak wpadłam na niego i Steph, nagich jak ich Pan Bóg stworzył, uprawiających seks w niespotykanej pozycji.

Carson ma dość przyzwoitości, by odwrócić wzrok, ale nie jest specjalnie zawstydzony. W sumie nie ma się czego wstydzić. Uśmiecham się do tego wspomnienia - przechowam je w pamięci, a w przyszłości ani chyba będę do niego z radością powracać.

- Ale nie odejdziesz od nas?

Carson zadaje to pytanie w taki sposób, że czuję, że moja obecność w tym domu bardzo mu odpowiada. To miłe uczucie. I nowe - czuję się doceniona.

- Nie, jeszcze nie. Ale chciałabym cię o coś prosić. O przysługę.

Carson na chwilę posepnieje - zastanawia się pewnie, czy będę chciała wyłudzić od niego grubą kasę. Ogarnia mnie zdumienie, kiedy uświadamiam sobie, że gdybym była osobą bez skrupułów, to faktycznie mógłby obawiać się szantażu.

- Po pierwsze, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wołałabym nie kryć przed Lorną, że znam prawdę. Bardzo mi z tym niezręcznie.

Na twarzy Carsona maluje się wyraźna ulga. Przysiada na biurku, niemal zrzucając wazon.

- Jasne. Steph na pewno będzie za.

- Druga rzecz nie ma nic wspólnego z tym, co się stało, i nie chciałabym, żeby to miało wpływ na twoją decyzję. Chciałabym się zwolnić na dwie godziny - niespodziewanie coś mi wypadło i chciałabym to załatwić...

- Masz wolne do jutra. Jest piękny dzień, a przecież czasem pomagasz nam nawet w weekendy. Leć.

Widząc mój wyraz twarzy, Carson czyta w moich myślach.

- Nie bój się, załatwię to z Caroline. Jak chcesz, mogę powiedzieć, że się rozchorowałam.
- Próbuję stłumić chichot. -Co?
- To trochę bezczelne.
- Leć. Lubię bezczelność.
- Chodzi mi tylko o to, że boisz się jej tak samo jak ja.
- Pewnie, że tak - uśmiecha się.
- Bardzo ci dziękuję. I mam nadzieję, że nie myślisz, że wykorzystuję sytuację. W życiu bym tego nie zrobiła - dodaje.
- W żadnym razie. Doceniam twoją szczerość - Carson już ma wyjść, ale wtem zatrzymuje się i dodaje z błyskiem w oku: - Na pewno nie chcesz zobaczyć moich mięśni? Zdaje się, że dość się już napatrzyłaś, co?
- Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć, płonę żywym ogniem. Na szczęście od udzielenia riposty najseksowniejszemu facetowi na świecie ratuje mnie główny winowajca - do pokoju wpada Cameron.
- Tato, tato, Steph cię woła, żebyś się napił lemoniady.

26

Tak oto po niedługim czasie wsiadam do metra, żeby dojechać do siedziby niewielkiej firmy produkcyjnej w Chiswick. Dopiero teraz uważnie przeczytałam mejla od agenta i już żałuję, że zawracałam sobie głowę.

Kandydatki na asystentkę gospodarza nowego, lekkiego programu rozrywkowego „Rodzina wygrywa” zostaną poproszone o to, aby w ciągu jednej minuty coś o sobie powiedzieć, a następnie zaprezentować swoje możliwości taneczne lub wokalne. Nie szukamy profesjonalnych wykonawców, ale osób, które nie boją się występować ani narazić na

śmieszność. Twórcy teleturnieju „Rodzina wygrywa” poszukują dziewczyny pewnej siebie, świadomej własnych niedoskonałości, zuchwałej. Nie interesują nas przeciętne hostessy.

Czemu ja się w to wcześniej nie wczytałam? Od miesiący nie byłam na żadnym castingu, a teraz takie coś? Niczego nie przygotowałam. Nie umiem tańczyć ani śpiewać, ale to niekoniecznie oznacza, że robię to tak fatalnie, jak oni by chcieli. Czemu nie dostaję zaproszeń na sensowne przesłuchania?

W wagonie jest gorąco jak w piecu, a przez rosnący niepokój mam coraz większe plamy potu pod pachami.

Wysiadam z metra i nie mam pojęcia, w którą stronę iść. Wertuję plan miasta, kiedy dzwoni Tom. Jak to dobrze słyszeć jego życzliwy głos - przynajmniej na jedną chwilę zapominam o tym, co mnie czeka.

- Naprawdę cudownie spędziłem w sobotę czas.

- Ja też - odpowiadam, wspominając długi pocałunek pod domem. Na samą myśl przechodzą mnie ciarki.

- Kiedy znów się zobaczymy? - pyta. - Masz czas w czwartek?

- Czeka, czeka, dzisiaj jadę na kolację do rodziców, ale w czwartek - jak najbardziej.

- W takim razie jesteśmy umówieni.

- Ojej, szlag, zaczekaj chwilę. Zapomniałam, że mają do nas wpaść Carrie Anne, Ella i Sabina. Może ty też zajrzysz? Na pewno chętnie cię poznają - mówię z nadzieją w głosie.

Tom przez chwilę milczy.

- Wiesz co, jeśli to babskie spotkanie, to może lepiej nie.

- Będzie Paul, mąż Elli, i Adam, chłopak Abbie, więc na pewno nie będziesz jedynym facetem - tłumaczę, niby mimochodem przygryzając dolną wargę.

Chwila milczenia.

- Jeśli uważasz, że to dobry pomysł, to z przyjemnością poznam twoich przyjaciół.

-Wspaniale. Słuchaj Tom, nie chcę być niemila, ale właśnie pędzę na casting - mam mało czasu. Może zadzwonię później, to normalnie pogadamy?

- Casting? Brzmi intrygująco. Powodzenia. Zadzwoni, jak skończysz. Ja pędzę do chorej kaczki.

- Powodzenia z kaczką. Na razie.

Godzinę później siedzę na plastikowym krześle przed pokojem, w którym odbywają się przesłuchania, i czuję, że jeszcze trochę i puszcę pawia. Dość szybko znalazłam budynek, a na śmierć zapomniałam, że na swoją kolej trzeba zwykle czekać tak długo, że praktycznie marnuje się cały dzień. Carson dał mi co prawda wolne, ale chciałam jeszcze wrócić do pracy, żeby pokazać, że naprawdę nie chcę wykorzystywać sytuacji, ale już wiem, że nie dam rady. Czemu ja się stale pakuję w takie sytuacje? Wreszcie drzwi się otwierają, wychodzi kolejna oszołomiona kandydatka i wychyla się facet z brodą.

- Cześć. Francesca, prawda? Bez beretu ledwie cię poznałem.

Uśmiecham się z przymusem i idę za nim do zniszczonej, pustej sali.

Wysoki, tyczkowaty facet z brodą podaje mi rękę i mówi:

- Jestem Roger, reżyser, to Jan, odpowiedzialny za obsadę, i David, producent.

- Dzień dobry - staram się to powiedzieć z butą w głosie, ale zupełnie mi to nie wychodzi. Moją uwagę przykuwa złowieszczy odtwarzacz CD stojący na blacie przed komisją. Nie wróży nic dobrego.

Nie będę was zanudzać szczegółami wymiany zdań w kolejnych kilku minutach. Wystarczy, jak powiem, że przez minutę mówię o sobie i nawet jakoś tam wzbudzam ich zainteresowanie, ale zaraz robi mi się niedobrze na myśl,

że teraz będę musiała przed tymi ludźmi zaśpiewać albo, co gorsza, zatańczyć.

Pewnie tak czuły się biedne niewolnice wydane na pastwę lwów i pewną śmierć na arenie koloseum. Roger, Jan i David bez wątpienia sprawdziliby się w roli rzymskich władców.

- No, dobra - mówi Roger, który ma wymięty, brudny, lniany garnitur, a do tego fryzurę jak czeski piłkarz. - Jaki taniec przygotowałaś?

- Szczerze mówiąc - zaczynam - dopiero dziś dostałam informację od agenta. Przepraszam, ale nie miałam czasu niczego przygotować.

Roger raczej nie jest zadowolony.

- Rozumiem.

- Ale skoro nie szukacie zawodowej tancerki, to może coś zaimprovizuję?

Rysy Rogera łagodnieją, reszta ma kamienny wyraz twarzy.

- Dobra, niech będzie. Znajdę jakąś muzykę. Naprawdę jest mi niedobrze.

- Chciałam tylko uprzedzić, że tańczę raczej marnie, ale co mi tam, spróbuję.

Już ja im pokażę pewność siebie, świadomość własnych niedoskonałości i zuchwałość.

Roger ignoruje moją uwagę, ze stosu wybiera płytę z napisem *Now 63*.

Wsuwa ją do odtwarzacza, a ja zastanawiam się, co takiego wybrał.

Rozpoznaję pierwsze takty *Biology* zespołu Girls Cloud. Mogło być gorzej. No, dobra, co mi tam, mogę się postarać. W końcu co mam do stracenia?

Odwracam się plecami do panów i kiwam nogą, po czym wykonuję szybki obrót i łypię na nich, żeby pokazać im zuchwałość. Potem robię mniej więcej to samo, co moja mama na przyjęciu bożonarodzeniowym, jak wypije za dużo sherry. Ta gehenna trwa w nieskończoność, po czterdziestu

sekundach zaczynają kończyć mi się figury. Do tego brak mi tchu. Robię głupkowate miny i żalosne wygibasy, żeby przekonać komisję, że mam do siebie dystans - panowie mają mocno zmieszane miny. Ta kretyńska sytuacja przywołuje falę wspomnień, które dziś wydają mi się tak odległe. Myślę o Stacey z Diamond PR, o jej rozpaczliwym pragnieniu sławy i o tym, jakim przez to napawała mnie wstrętem. Bogiem a prawdą, nie znosiłam jej za to pewnie tak bardzo, bo sama byłam równie żalosna i zdesperowana. Ależ by się Stacey ucieszyła, gdyby mogła teraz zobaczyć moje katusze. Nie wiem dlaczego, ale ta myśl zamiast mnie smucić, wprawia mnie w rozbawienie, więc zaczynam się uśmiechać. Przypominają mi się wszystkie castingi, wszystkie kursy gry aktorskiej, sztuki, na które nikt nie przychodził, w maleńkich, starych teatrach, no i oczywiście *Damski Asekurator*. Jest środek dnia, a ja bez żadnego specjalnego powodu wykonuję durnowate pląsy w tej obskurnej sali, a to może oznaczać tylko jedno: przesłuchania mam już w dupie - najlepsze, co mnie spotkało od dłuższego czasu, to wyzwolenie. Rytm jest coraz szybszy, a ja niemal zapominam, po co tu jestem, i zaczynam upajać się swoimi wyglupami. Czuję się wolna.

Potem myślę sobie, co zrobiłaby Caroline, gdyby mnie teraz zobaczyła. Wyobrażam sobie jej twarz, wykrzywioną niesmakiem, i mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Co powiedziałaby Tom? Co, do cholery, powiedziałaby Tom, gdyby widział, jak klaszczę i podskakuję, godząc się na ten poniżający spektakl szaleństwa? To naprawdę jest szaleństwo: Carson, Caroline Mason, takie desperatki jak ja i Stacey, które nawet nie wiedzą, czego tak naprawdę chcą, castingi, cały ten absurd show-biznesu. Obnażasz się, żeby usłyszeć, że jesteś dobra albo do bani, że wyglądasz dobrze albo fatalnie, a przecież te opinie są zupełnie subiektywne. Uwielbiam to - fakt, ale wreszcie dociera do mnie absurdalność tego wszystkiego, wreszcie rozumiem, że nie warto do tego dążyć za wszelką cenę. A skoro tak, to uznaję, że już dość,

więc tanecznym krokiem zmierzam w stronę drzwi i nie zawracając sobie głowy udzielaniem wyjaśnienia zdumionym panom, wyskakuję na korytarz. Piosenka Girls Aloud brzmi coraz ciszej i ciszej, aż wreszcie przestają ją słyszeć.

27

Jest wtorek. Co tu dużo mówić, Caroline nie jest zadowolona. Rankiem była w całkiem dobrym humorze, ale potem musiałam przekazać jej wieści z Great British Films i zrobiło się niebezpiecznie.

Kiedy zjawiłam się o dziesiątej z venti quattro bezkofe-inową latte na chudym mleku z syropem orzechowym, dom pod numerem czterdziestym siódmym wydawał się radosną oazą spokoju. Steph i Carson byli na górze - zajęci pewnie wpatrywaniem się sobie w oczy - Cameron wcinał trzecią miskę chrupków czekoladowych, a Lorna krzątała się w kuchni, sprząając po śniadaniu i podśpiewując piosenkę nadawaną przez Capital Radio. Caroline siedziała na swoim miejscu przy stole pod oknem francuskim - paliła papierosa i spokojnie przeglądała kolejne strony magazynu „Hello”.

- Dzień dobry, Caroline - powiedziałam radośnie, wyczuwając, że dziś może być jeden z tych rzadkich dni, kiedy moja szefowa jest w dobrym humorze.

- Dzień dobry, Fran. Moja kawa, cudownie. Popatrz - zwilżyła palec śliną, żeby odszukać odpowiednią stronę. - Proszę bardzo.

Sięgnęłam po magazyn, żeby przyjrzeć się nieostremu zdjęciu przedstawiającemu Caroline i Camerona na chodniku przed domem. To musiał być ten dzień, kiedy Caroline wychodziła do pracy, a Steph i Cameron wychodzili w tym samym czasie na spacer. Ze zdjęcia wycięto Steph - został tylko

kawałek jej łokcia, ale trzeba się naprawdę uważnie przyjrzeć, żeby go dostrzec. Widocznie paparazzo polował na ujęcie matki z dzieckiem. Zerknęłam na Caroline, ciekawa jej reakcji na tak rażące naruszenie prywatności i opublikowanie wizerunku jej „syna”. To, co słyszę, wprawia mnie w osłupienie.

- Nieźle wyszłam, co?

Jej zdolność do wywoływania we mnie obrzydzenia wcale nie słabnie. Nagle uświadamiam sobie, że nie widziałyśmy się od jej urodzin.

- Caroline, jak się udało przyjęcie i lunch? Wszystko poszło dobrze?

- Tak, chociaż jagnięcina była za bardzo wysmażona. Poza tym super - mówiąc to, Caroline nawet na chwilę nie podniosła wzroku, wpatrzona w swoje zdjęcie.

- A... sukienka i buty - podobały się?

- W końcu ich nie nałożyłam. Tyle się działo, że wcale się nie przebrałam. Słyszając to, byłam gotowa ją udusić, i uznałam, że to doskonały moment, żeby powiadomić ją, że sprawy zawodowe nie układają się po jej myśli. Wysłuchawszy mojej relacji, zupełnie straciła dobry humor, a w miarę upływu czasu stawała się coraz bardziej wściekła - do chwili obecnej zdążyła już wszystkich zarazić swoim koszmarnym humorem. Od godziny schodzimy jej z drogi. Caroline zamknęła się w gabinecie, żeby w prywatności porozmawiać z Geof-freym, Kennethem i prawnikiem, więc przeniosłam się z telefonem do salonu, żeby trochę popracować. Steph zaszła się na górze, pakuje rzeczy - swoje i Camerona - bo dziś wieczorem wylatują do Stanów. Zatrzymają się w Nowym Jorku, a przed końcem wakacji Camerona wrócą do Los Angeles. Carson, który zwykle unika Caroline, widząc ją w takim humorze, po prostu znika. Tym razem schował się na górze ze Steph i Cameronem i udaje, że pomaga przy pakowaniu. Lorna ukryła się w łazience pod pozorem pilnych

porządków, ale kiedy do niej zajrzałam, siedziała na brzegu wanny i przeglądała niesławny egzemplarz „Hello”.

Caroline kończy rozmowę telefoniczną ze „swoimi ludźmi”, po czym wzywa mnie do kuchni - muszę sama stawić czoło Cruelli de Mon. To żadna frajda.

Próbuję ją uspokoić.

- Wszystko się okaże dopiero na spotkaniu w przyszłym tygodniu.

Dopóki nie wiadomo, co się zdarzy, nie ma sensu się zamartwiać.

Patrzy mi prosto w oczy, przysięgam, że czuję, jak stygnie mi krew.

Stoi tak w swojej ulubionej tunice, jak zwykle z papierosem w dłoni, rozpuszczone włosy opadają jej na ramiona. Bez żadnego ostrzeżenia odrzuca głowę do tyłu i wydaje z siebie pierwotny, gardłowy ryk, od którego serce mi staje i który każe mi powątpiewać w jej poczytalność.

Podbiega do wyspy i pięściami wali w blat.

- Pieprzone skurwysyny! Pieprzone, pieprzone, pieprzone skurwysyny!

W tej jednej chwili mogłaby być nawet królową Saby -mam to gdzieś.

Zachowuje się jak rozpuszczona gówniara, a ja nie zamierzam tego tolerować.

- Caroline, na górze jest Cameron.

To przynajmniej zamyka jej usta, bo uświadamia jej, że na górze jest też Carson, a więc powinna nad sobą panować. Pada na krzesło, pokonana.

Oczy zwężają jej się w szparki, wyraźnie ma gonitwę myśli. Jak by ci tu utrudnić życie, Francesco?

- Mój telefon nie działa tak jak trzeba. Źle słyhać. Miałaś się tym zająć.

- I się zajęłam - potwierdzam.

- No i? - pytając, rzuca mi wyzwanie.

- W żadnej komórce nie będziesz miała krystalicznego dźwięku, ale jeśli chcesz, to za dopłatą osiemdziesięciu funtów można wymienić słuchawkę.

- Czemuś tego jeszcze nie zrobiła? - warczy.

- Tłumaczyłam ci w zeszłym tygodniu - zaczynam tyradę i naprawdę staram się nie wywracać oczami. - Musisz pójść do sklepu, żeby podpisać nową umowę. Nie podrobię twojego podpisu, to nielegalne - wyjaśniam cierpliwie po raz sto czternasty.

- Zachowujesz się jak prowincjuszka - syczy w odpowiedzi. W tej chwili do kuchni wchodzi Carson.

- Co się dzieje, Cas? Nie krzycz tak przy Cameronie. Boi się, myśli, że coś cię boli. - Carson otwiera drzwi lodówki i zagląda do środka.

Caroline nie raczy nawet odpowiedzieć, tylko za plecami Carsona robi minę jak chłopaczek z *Kevin sam w domu*, po czym powraca do przerwanej zajęcia, czyli nękania mnie.

- Żeby zmienić telefon, muszę iść do sklepu? - pyta takim tonem, jakby wyjście do sklepu było synonimem wbijania sobie szpilek w oczy.

- Tak - odpowiadam spokojnie. Podchodzę do stołka i siadam, patrząc, jak Carson jednym haustem połyka pół kwarty mleka.

Caroline rozmyśla, z dezaprobatą patrząc na Carsona, który wyciera ręką wąsy z mleka.

- Kiedy wracasz do Stanów? - pyta go mrukliwie.

- W przyszłym tygodniu - informuje ją Carson, chowając mleko do lodówki. - Agentka naciska, żebym się spotkał z tym cholernym reżyserem. Facet przylatuje w środę, więc zabiorę się dopiero po spotkaniu.

Carson sprawia wrażenie, jakby miał tę sprawę głęboko w nosie.

- Aha - prycha Caroline. Wiem, że zżera ją zazdrość. Dlaczego to nie do niej ustawiają się kolejki reżyserów? - Powiedz mi wreszcie, Francesco, co ja mam zrobić z tym telefonem?

Może mam więcej odwagi, bo w kuchni jest Carson, a może po prostu mam już serdecznie dość jej jęków na temat

tego zasranego telefonu - w każdym razie odpowiadam jej bez zastanowienia.

- Wyrzucić przez okno!

Carson wybuchając śmiechem. Caroline wygląda, jakby żuła posoloną cytrynę.

- Pojedziemy do tego przekłętego sklepu. Zadzwoń po Terry'ego.

- Jest na zwolnieniu. W tym tygodniu ma operację -przypominam jej.

Czasem się zastanawiam, czy ona w ogóle kogokolwiek słucha, no i wątpię, żeby zaglądała do moich codziennych raportów. - Nie pamiętasz?

- ciągnę. - Sama mówiłaś, żeby ci umówić kierowców tylko na przejazdy do teatru i żeby w samochodzie koniecznie można było palić -tak zrobiłam. Zanotowałam to wszystko w codziennym raporcie, tak jak prosiłaś.

Carson wychodzi z kuchni, ale najpierw zerka na mnie, wywraca oczami, naśladując rozdrażnienie Caroline, a jednocześnie wzrusza swoimi potężnymi ramionami.

- Dobrze, jak w takim razie mam się dostać do tego zasranego sklepu, żeby wymienić telefon?

Wstaję ostrożnie ze stołka, żeby nie strącić żadnego wazonu.

- Przejdziemy się. To dosłownie pięć minut stąd. Patrzy na mnie osłupiała.

- Przejdziemy się?! -Tak.

- Dobrze, chodźmy - odpowiada z nutą buntu w głosie. Wstaje z krzesła jak bohaterka melodramatu, wychodzi

za mną na korytarz i wkłada buty Giny na płaskim obcasie.

- Co mam ze sobą zabrać? - pyta, nagle dziwacznie podniecona tą naszą niespodziewaną wyprawą.

- Nic. Mam twoje karty, twój telefon i twoje klucze do domu. Steph, Carson, wychodzimy na pięć minut - krzyczę do nich.

Otwieram drzwi. Jak to cudownie wyjść na świeże powietrze. Jest wilgotny, wrześnieowy dzień.

- Francesco?

- Tak, Caroline?

- W przyszłym tygodniu mam botoks. Tylko Terry może mnie zawieźć - mówi Caroline, idąc takim krokiem, jakby jej nogi nie były przyzwyczajone do chodnika. Może faktycznie nie są...

- Spokojnie, w przyszłym tygodniu Terry powinien już być, jeżeli nie będzie jeszcze zbyt obolały. Masz to w raporcie, opisałam ci też plan awaryjny. W najgorszym razie ja cię zawiozę moim samochodem - co ty na to?

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale dobrze mieć plan awaryjny - odpowiada Caroline i obdarowuje mnie uśmiechem. Serio, ona jest bardziej zmienna niż pogoda na Karaibach.

Dochodzimy już do końca ulicy, kiedy orientuję się, że ktoś dostrzegł Caroline. Jakiś młody chłopak, ma pewnie z piętnaście lat i najwyraźniej pędzi po autograf. Z Carsonem spacer po ulicy byłby po prostu niemożliwy, bo oblegają go takie tłumy, że robi się niebezpiecznie, natomiast bywając z Caroline w sklepach i restauracjach, zdążyłam się zorientować, że nie wywołuje większego poruszenia, choć oczywiście odwracają się za nią głowy, bo jest tak piękna, że nie sposób jej nie zauważyć. Zerkam na Caroline - ona też dostrzegła tego onieśmiałego chłopaczka, ale choć jak może stara się udawać, że to dla niej normalka, to i tak widać, że jest rozanielona.

- Dzień dobry - mówi chłopak i nie wiedząc czemu, podaje mi kartkę i długopis. - To pani była w *Damskim Ase-kuratorze*? Mogę prosić o autograf?

Caroline opada szczeka, ja zanoszę prośby, żeby ziemia się rozstała i mnie pochłonięła. Czy ten chłopak nie rozumie, że obok stoi najprawdziwsza gwiazda? Najwyraźniej nie. Pędem skrobię swój podpis i dziękuję chłopcu, który zmyka, bardzo z siebie zadowolony.

- Pierwszy raz coś takiego mi się przytrafiło - tłumaczę się przed Caroline, czerwieniąc się jak burak, ale ona nie słucha, idzie przed siebie, udając nieporuszoną i pewnie obiecując sobie, że za nic nie spyta mnie, co to takiego *Damski Asekurator*, chociaż wiem, że zżerają ciekawość. Cała ta sytuacja jest okropnie zabawna, ale za skarby świata nie mogę pokazać Caroline, że się śmieję - przygryzam policzek aż do krwi i pędzę za nią.

Wielu moich przyjaciół zastanawia się pewnie, jakim cudem wytrzymałam w tej pracy tak długo, czemu znoszę zachowanie Caroline i jej niemal codzienne lekceważenie. Pieniądze są oczywiście dobrym powodem, ale tak naprawdę trudno mi to wyjaśnić. Chociaż Caroline potrafi być naprawdę wrednym babskiem i chociaż naprawdę jej nie lubię, to wcale nie pałam do niej nienawiścią. Na swój chory sposób czuję się częścią jej dziwnego świata i w tej małej niszy, którą sobie znalazłam, jest mi całkiem wygodnie. Pewnie, że są takie chwile, kiedy z rozkoszą skrzyłabym ten jej chudy kark, ale generalnie jej okropny charakter mnie fascynuje, a incydent z autografem to po prostu wymarzona scenka do mojej powieści. Odkąd zaczęłam ją pisać, praca dla Caroline nabrała dla mnie nowego wymiaru - czasem wręcz czekam na jej gorszy dzień, bo to dla mnie gotowy materiał.

- Caroline! - wołam ją, choć jest tylko krok przede mną. Wchodzimy do sklepu. W swojej kolorowej tunice Missoni Caroline wygląda w tym miejscu absurdalnie, a przyziemność tej sytuacji odbiera jej urok gwiazdy filmowej i sprawia, że nie różni się od zwykłych klientek. Z ulgą stwierdzam, że menedżer ją rozpoznaje, co okazuje się rekompensatą za szkodę - czyli autograf owe fiasko. Caroline zaczyna zalotnie mrugać, ale widzę, że nie zależy jej na zrobieniu wrażenia, bo nie sięga po swoją fenomenalnie wdzięczną pozę. Załatwiamy jej nowy telefon... oj, przepraszam, ja załatwiam jej nowy telefon - ona ma się tylko podpisać, po czym ja uiszczę opłatę.

- Francesco - cedzi, wymachując ręką - zostawię cię. Zobaczymy się w domu.

- To zajmie tylko chwilę - odpowiadam.

- Nie, nie, ja już pójdę, a ty się wszystkim zajmij - mówi, wychodząc na ulicę i machając po królewsku do kierownika sklepu - Nigela, sądząc po napisie na plakietce - który już Przyj- gotówkę i podaje mi paragon.

- Już załatwione... - próbuję jeszcze, ale Caroline zdążyła wyjść.

Zdaje mi się, że chodzi jej o to, żeby nie dać mi odczuć, że zrobiłyśmy coś razem. Z jakiegoś niepojętego powodu ona musi mieć poczucie, że to ja załatwiłam jej telefon. Wychodzę ze sklepu, a ona idzie tylko kilka kroków przede mną - wlokę się więc za nią do domu, bo nie wiem, czy mam podbiec czy iść jej śladem, jak Cato za inspektorem Clouseau. Wieczorem odwiedzam rodziców w Teddington i odgrywam przed nimi tę scenę, ale oni nie są specjalnie rozbawieni, bo nie rozumieją, co w ogóle jest śmiesznego w tym, że ona idzie ze mną do sklepu...

28

Łatwo poznać, czy nam na kimś zależy, bo zwykle chcemy wtedy, żeby spodobał się naszym przyjaciołom, i ogromnie potrzebujemy pieczęci ich aprobaty. Dziś Tom pozna moich przyjaciół, a ja bardzo, ale to bardzo chcę, żeby spotkanie się udało i żeby wszyscy tak samo jak ja uznali, że on jest niesamowity. Zdaję sobie sprawę, że to dopiero nasza druga randka, ale pierwsza była tak cudowna, że nie obawiam się o to, jak poradzi sobie Tom w szerszym gronie. Wpadnie do nas wieczorem i pozna Sabine, Elle, Paula i Carrie Anne. Abbie zdążył już poznać, a ona z kolei zaprosiła

swojego nowego chłopaka, Adama - mam nadzieję, że szykuje się fajny wieczór.

Tata zaopatrzył mnie wczoraj w lasagne, którą właśnie podgrzewam w piekarniku, a wracając z pracy, kupiłam bochen chleba z chrupką skórką i warzywa na sałatkę. Jest wpół do ósmej, Toma zaprosiłam na ósmą - zanim się zjawi, chciałam mieć chwilę, żeby ochłonać i ze wszystkimi pogadać. Towarzystwo siedzi w dużym pokoju, oprócz mnie i Carrie Anne, która chyba po raz pierwszy w życiu wyszła wcześniej z pracy - to niespodziewana gratka. Strasznie się cieszę z tego spotkania, bo nie widziałam jej całe wieki. Opowiadałam jej kilka moich ulubionych anegdot z życia Caroline, a ona aż płacze ze śmiechu.

- O, Boże - parska. - Strasznie cię przepraszam, że ci coś takiego zafundowałam. Pewnie przeklinasz mnie co drugi dzień.

- Skąd! - protestuję, szukając w kredensie oliwy i octu. - Gdyby nie ta praca, pewnie dalej łapałabym jakieś dorywcze zajęcia, umierała z nudów i ledwie wiązała koniec z końcem. Uratowałaś mnie przed tym, za co jestem ci do zgonnie wdzięczna.

- O, rany, nie ma za co, naprawdę. Bylebyś nie zwariowała.

- Bez obaw - zapewniam ją, szykując sos do sałatki. - A tak poważnie, myślę, że to bardzo ciekawe doświadczenie i że na wiele spraw otworzyło mi oczy.

- Na przykład? - pyta Carrie Anne. Namysłam się nad odpowiedzią.

- Na przykład na moją wstydliwą obsesję na punkcie sławy - zawsze wydawało mi się, że to coś absolutnie fantastycznego. Przekonałam się, że faktycznie otwiera drzwi, daje pewne przywileje i niejaką frajdę. Ale teraz zaczynam rozumieć, że jeśli ktoś od początku nie jest szczęśliwy i nie czuje się dobrze we własnej skórze, to sława może mu tylko namieszać w głowie.

Carrie Anne uśmiecha się. To oczywiste, że ona zrozumiała to już jakiś czas temu.

- Wiem już, że sława nie oznacza automatycznie szczęścia ani całkowitej swobody, a to dla mnie spora lekcja -mówię, myśląc o Carsonie. - Myślisz pewnie, że jestem koszmarnie naiwna.

- Wcale nie - odpowiada Carrie Anne. - Chociaż bywasz idealistką.

- Może - dodaję do sosu czosnek i energicznie mieszam. -Tak czy inaczej, jestem naprawdę zadowolona, a poza tym ta praca to niezła inspiracja.

Wróciłam do pisania.

- Naprawdę? Co piszesz? - pyta Carrie Anne, skubiąc wielki kawał parmezanu, który wyjęłam z lodówki, żeby go zetrzeć.

- Nazwałam to coś *Pamiętnikiem osobistej asystentki* - mam nadzieję, jest dość zabawny. Trochę mnie to pisanie poniosło - zaczęło się od krótkiego opowiadania, a teraz mam już książkę - dodaję z lekkim zażenowaniem.

- Książkę?! - wykrzykuje Carrie Anne. - Fran, to naprawdę wielka rzecz! Jestem z ciebie dumna!

- Dziękuję - odpowiadam i czuję, że rozpiera mnie duma. - Pisanie sprawiło mi ogromną frajdę. Dobrze pamiętam, jak ganiałam po castingach, a wiem, że pisanie jest jeszcze trudniejsze i jeszcze bardziej konkurencyjne, ale czuję, że z tego coś może wyniknąć. Skończę tę książkę i zobaczę, co dalej.

- Koniecznie musisz mi ją dać do przeczytania, brzmi intrygująco. Jak będzie dobra - w co nie wątpię - mogę cię skierować do właściwych osób. Może nawet podrzuciłabym ją redaktorom z Great British Films - mogliby ci przekazać swoje uwagi - proponuje moja nieoceniona przyjaciółka.

Carrie Anne czytała wiele moich opowiadań i artykułów, ale gdy chodzi o powieść, budzi się we mnie asekurant. Ta książka jest dla mnie bardzo ważna, zależy mi na dopracowaniu każdego szczegółu. Nie wiem czemu, ale na samą myśl o tym, że jakiś zawodowiec - jak choćby Carrie Anne

przeczyta moje wypociny, dostaję nerwowych skurczów żołądka. Boję się, że może uznać moją radosną twórczość za wyraz braku lojalności wobec szefowej - ujawniam przecież jej najgorsze wady, a mam być jej wierną i oddaną pracownicą. W końcu to Carrie Anne załatwiła mi tę pracę.

- Naprawdę ogromnie ci dziękuję, ale obawiam się, że do końca jeszcze daleko - odpowiadam, po czym szybko zmieniam temat. - Dolać ci wina? Raptem rozlega się dźwięk dzwonka, a mnie ogarnia podniecenie.

- Ktoś idzie! - krzyczy Abbie z dużego pokoju.

- Lecę - odpowiadam, czując, jak serce skacze mi do gardła.

Biorę głęboki oddech i pędzę do domofonu - zajmuje mi to pewnie ze trzy sekundy, nasze mieszkanie wcale nie jest duże.

- Wchodź, drugie piętro - informuję swojego nowego mężczyznę, sapiąc w słuchawkę domofonu. Czekam na niego przy drzwiach.

- Cześć, Fran - mówi, całując mnie w policzek i wręczając mi butelkę merlota. Jest sto razy bardziej zdenerwowany niż ja.

- Wielkie dzięki. Wejdz.

Prowadzę Toma do dużego pokoju, przedstawiam go wszystkim i cieszę się, widząc, jak moi przyjaciele starają się, żeby poczuł się swojsko.

Wymieniając uścisk dłoni z Paulem i Adamem, Tom wyraźnie się odpręża.

- Dedukcja podpowiada mi, że to ty jesteś Ella - mówi Tom serdecznym tonem do mojej przyjaciółki, której ciąża jest już bardzo widoczna. -

Abbie już znam, a przynajmniej tańczyłem z nią do taktów YMCA na weselu...

Stoję z głupawym uśmiechem na twarzy, aż wreszcie Carrie Anne szturcha mnie i każe nalać mu wina.

Godzinę później po lasagne zostaje tylko wspomnienie. Wszyscy po kolei zapadają się w fotelach - tylko ja się nie

obzarłam, więc postanawiam sprzątnąć ze stołu, ale robię to tylko ze względu na Toma. Gdyby nie on, jak zwykle walczyłabym z Sabiną o resztki i oczywiście bym się przejadła.

- Jezu - jęczy Ella - nie powinnam była tyle jeść, teraz nie zasnę.

Rzeczywiście ma mocno napięty brzuch.

- Ile zostało? - pyta Tom.

- Trzy miesiące - odpowiada z dumą Paul.

- Ja pierdziele - mówi Abbie, przypalając papierosa przy oknie, wychyla się na zewnątrz, żeby dym nie leciał na Ellę. - Nie do wiary, że jedna z nas zostanie matką. Myślisz, że urodzi się w terminie?

- Raczej nie - kręci głową Ella. - Podobno pierwotodnie zwykle rodzą się później - może się okazać, że to jeszcze trzy i pół miesiąca - horror. No i urodziłoby się za blisko świąt. Tak jak ty, Fran - Ella czule głaszcze się po brzuchu i z zadumą kiwa głową, jak ktoś, kto dobrze rozumie, że mieć urodziny w grudniu to fatalna sprawa. - Najśmieszniejsze jest to, że w życiu nie przypuszczałam, że nie będę mogła się doczekać porodu - widać tak to Bóg wymyślił: w którymś momencie kobiety mają tak dość ciąży, że niespecjalnie przeraża je myśl o tym, że przez pochwę musi się przecisnąć coś wielkości arbuza.

Wszyscy kontemplujemy tę uroczą wizję, aż nagle Ella gwałtownie podnosi głowę i szybko dodaje:

- Wybacz, Tom.

- Mną się nie przejmuj - odpowiada. Na szczęście zupełnie nie wygląda na zde gustowanego, ale głęboko zamyślnego.

Ella wydaje z siebie ciężkie westchnienie, jednocześnie usiłując wygodniej się usadowić, co niestety jej się nie udaje.

- Przepraszam, Paul, że psuję zabawę, ale chyba musimy się zbierać.

Mam zgagę, muszę się rozebrać do naga i położyć. Przepraszam, Tom.

- Wiem, co Czujesz - odpowiada Tom niezmiuszony, głaszcząc się po brzuchu.

Paul i Ella zegnają się i wychodzą. Na kanapie robi się więcej miejsca, więc wciskam się obok Toma.

Carrie Anne przerywa rozmowę z Adamem, podnosi wzrok i mówi:

- Fran, skoro już się najedliśmy i jest nas trochę mniej, to może dasz nam do poczytania swoją powieść.

-Nie.

- Oj, nie bądź taka - nalega Carrie Anne.

- Jeszcze za wcześnie, nie jest gotowa - próbuję ją zniechęcić.

- Nie daj się prosić - mówi Tom. - Też bym chciał poczytać.

- Nic z tego - odpowiadam, zasłaniając twarz poduszką. Za nic w świecie nie pokażę książki Tomowi. Gdyby uznał ją za szmirę, upokorzenie byłoby nie do zniesienia.

- Fran, rozumiem, że niekoniecznie chcesz ją pokazać Tomowi, ale mnie znasz przecież kopę lat. Poza tym dobrze wiem, że umiesz pisać, więc nie rób z tego wielkiego halo - obstaje przy swoim Carrie Anne.

Dobrze wiem, że kiedy Carrie Anne wpadnie na jakiś pomysł, nie sposób jej od niego odwieść - prędzej czy później będę musiała się poddać, więc niechętnie idę do komputera. Mam nadzieję, że zamykając w ten sposób temat, uniknę nagabywania przez innych. Zapomniałam, jak nieprzejednana w swoich postanowieniach bywa moja przyjaciółka.

Patrząc, jak drukarka wyrzuca świeżo zadrukowane strony, myślę sobie, że wysłuchanie czyjejś opinii na tym etapie to całkiem dobry pomysł. W końcu bez czytelników pisanie nie ma sensu. Ale nie chcę, żeby książkę czytał Tom, bo - powiedzmy sobie szczerze - jeśli uzna, że to chała, może dać sobie ze mną spokój. Przynajmniej ja tak mam, że zrażam się do facetów, którym tylko wydaje się, że są w czymś dobrzy. Na szczęście Tom chyba wyczuł moje skrepowanie i podjął rozmowę z Abbie na zupełnie inny temat. Dyskretnie podaję kilka stron Carrie Anne - trzeba sporo czasu i papieru A4, żeby

wydrukować całość. Carrie Anne siada na krześle i zaczyna czytać.

Trochę wypła, może za bardzo mnie nie skrytykuje.

Przylączęm się do rozmowy Toma i Abbie, żeby odciągnąć ich uwagę od Carrie Anne. Staram się nie myśleć o tym, że ona właśnie czyta moje słowa. Podnosi głowę dopiero po dziesięciu minutach.

- To naprawdę świetna rzecz. Nie do wiary, ile tego jest. To najprawdziwsza książka. Pewnie jesteś z siebie dumna, co?

- Jestem - przyznaję, gwałtownie się rumieniąc.

- Daj następny kawałek - domaga się Carrie Anne, a ja, zachęcona jej zainteresowaniem, posłusznie wyciągam kolejne strony z podajnika drukarki.

Carrie Anne radośnie oddaje się lekturze, my gadamy jak najęci, wieczór upływa w cudownej atmosferze. Kiedy goście zaczynają się zbierać, robi mi się smutno. Spotkanie nadzwyczajnie się udało. Tom całuje mnie na pożegnanie tak, że sięgam po rezerwy silnej woli, żeby nie zaciągnąć go do swojej sypialni - powstrzymuję się przed tym, bo chcę jeszcze trochę poczekać. Może dwa tygodnie, może tydzień, a może pójdziemy do łóżka na następnej randce - nie wiem. W końcu nie jestem zakonnica.

29

12 października

Nie pisałam całej wieki - praca nad książką pochłania cały mój wolny czas i energię.

To i oczywiście, Tom Worthington.

No właśnie, od ostatniego wpisu sporo się wydarzyło - Tom jest oficjalnie moim chłopakiem, staliśmy się prawie nierozłączni.

Formalnie rzecz biorąc, ta ostatnia uwaga jest kłamstwem, bo niestety nie mogę zabierać ze sobą

Toma do pracy, a od jakiegoś czasu przesiaduję w robocie od dziesięciu do dwunastu godzin dziennie. Zresztą nawet gdybym mogła go zabrać, nie zrobiłabym tego i to z kilku ważnych powodów. Po pierwsze, kiedy jest obok, nie mogę się od niego odkleić, co raczej nie spodobałoby się Caroline, która domaga się wyjątkowej uwagi, zadreżając mnie przy tym na śmierć. Po drugie, nie wiem, jak zareagowałby Tom, widząc, jak Caroline dyryguje jego dziewczyną i jak traktuje ją, jak osobę drugiej kategorii - już w tej chwili z trudem znosi, kiedy rozmawiam z nią przez telefon. Caroline faktycznie zachowuje się coraz obrzydliwiej, ale to teraz nieważne, wróćmy do przyjemniejszych tematów.

Każdą wolną chwilę spędzam z Tomem i jestem tak szczęśliwa, że nie przerażają mnie ponure, jesienne wieczory, wizja noszenia rajstop i swetrów, i nieuchronna o tej porze roku potrzeba pochłaniania purée w ilości równej masie mojego ciała.

Sama nie mogę się nadziwić, że wreszcie popisałam się taką mądrością: znalazłam tak cudownego faceta, że chyba nawet rodzice nie mieliby się do niego o co przyczepić. Prawdziwy związek - dobry, dojrzaly - to dla mnie nowość, po raz pierwszy cieszę się, że jestem czyjąś dziewczyną. Randki z Tomem są zupełnie inne od tych, które przytrafiały mi się do tej pory - dotychczas kojarzyły mi się z lękiem, dezorientacją i podsycaniem myśli o konieczności przejścia na dietę. Przy nim nie zastanawiam się, jak się zachować albo kiedy zadzwonić, nie roztrząsam, czy przypadkiem nie widzimy się zbyt często ani czy na pewno dobrze to rozgrywam - zaczęłam się nawet zastanawiać, czemu tak jest. Po długim

namyśle wreszcie znalazłam odpowiedź - dlatego, że on mnie lubi. I tyle. To naprawdę proste.

Podobam mu się, to fakt, ale najważniejsze jest to, że on lubi mnie taką, jaką jestem, więc nie muszę się wysilać, tylko być sobą. To uczucie jest zresztą obopólne, co bardzo mnie cieszy.

Poważnie - naprawdę nie potrafię wymienić choć jednej cechy, której w nim nie lubię. No i takiego seksu nie uprawiałam nigdy w życiu - tylko jak ja mam o nim napisać? Musiałabym gadać jak Jilly Cooper i używać takich czasowników, jak „pieścić”, „wszedł”, „posuwał”, i przysłówków, jak „delikatnie”, „zdecydowanie”, „namiętnie”, ale nie dam rady, bo zaczynam się wstydzić i chichotać, chociaż to przecież mój własny pamiętnik (szacuneczek dla tych, którzy potrafią dobrze opisać stosunek). Powiem tylko tyle: za pierwszym nie zatrzęsa się ziemia, ale już drugi raz mnie zdumiał, trzeci uznałam za rewelację i od tego czasu jest wciąż lepiej. Dość powiedzieć, że dopasowanie trochę nam zajęło, ale udało się znakomicie, więc teraz używamy sobie, ile wlezie. O, Jezus, nie mogę się doczekać wieczora.

Oczywiście nie wszystko szło do wyrzycania cudownie - na początku mieliśmy parę potknięć, kiedy dopiero zaczynaliśmy się bliżej poznawać i badać granice. Kilka tygodni temu mieliśmy pierwszą kłótnię - przekonałam się wtedy, że choć Tom jest z natury spokojny, to w żadnym razie nie da sobą pomiatać.

Odkładam długopis i wracam myślami do tamtego wieczora. Z perspektywy czasu wiem, że wyznaczył on moment, od którego nasz związek zaczął nabierać znaczenia,

bo właśnie wtedy stało się jasne, że łączy nas wyjątkowo silne uczucie. To był sobotni, wrześnieowy wieczór, wybraliśmy się na drinka z Harrym, Briggsym, Abbie, Adamem, Wayneem i kilkorgiem innych znajomych. To był jeden z tych wieczorów, których początek wyznacza ich dalszy ciąg - zaczęło się źle, a potem było już tylko gorzej: raptem po dziesięciu minutach w barze zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie leci dziś coś ciekawego w telewizji. To nigdy nie wróży niczego dobrego. Dziś wiem, że fatalnie to spotkanie zaplanowaliśmy. Po pierwsze, sama knajpa była okropna. Przystaliśmy na propozycję Briggsy'ego i spotkaliśmy się w maleńkim, klaustrofobicznym barze w Richmond - sam dojazd na miejsce nastęczył wszystkim trudności i z pewnością nie był tego wart. Wchodząc do środka, od razu poczułam się zmęczona. Tłum był straszny, wszystkie miejsca zajęte, a bar - obleżony. W ramach rekompensaty za upiorne oczekiwanie na horrendalnie drogą podwójną wódkę puścili potwornie głośno jakiś kawałek z rodzaju rhythm and blues (wiem, że mówię jak własna matka, ale mam to gdzieś). Głośna muzyka nadaje się na imprezę albo do klubu, ale już nie do baru, w którym ludzie spotykają się, żeby pogadać (do sklepu odzieżowego też nie, tam przecież podejmuje się ważne decyzje, ale to zupełnie inna historia). W każdym razie było za głośno, ale przynajmniej dzięki temu nie słyszeliśmy własnych westchnień i pytań, co, do jasnej cholery, robimy w tak koszmarnym miejscu.

Kolejnym problemem była grupa w grupie. Briggsy i Harry przyszli dużo wcześniej, więc ich stan zupełnie odbiegał od nastroju całej reszty. Oni osiągnęli już krzykliwą fazę pijaństwa, a myśmy byli dopiero na etapie „co u ciebie”, „ja stawiam”, „jest tak głośno, że nie słyszę własnych myśli”.

Sandy została w domu z małym Maksem, a Harry najwyraźniej chciał się wyszumieć za wszystkie czasy i wypić za całą swoją rodzinę, w czym z zapalem wspomagał go Briggsy, jakby obrał sobie za cel na ten jeden wieczór wybić Harry'emu z głowy wszystkie obowiązki, a potem dostarczyć Sandy zamiast męża drugie dziecko pod opiekę.

Briggsy zaczął rzucać rozpaczliwie niestosowne żarty, więc próbowaliśmy z Tomem skupić się na rozmowie z Abbie i Adamem.

Rzecz w tym, że po raz jedenasty pytając Adama, co powiedział, straciłam ochotę do życia - poddałam się i słuchałam ryków Briggsy'ego, bo tylko jego głos przebijał się przez hałas. Wielka szkoda. Specjalnie dla mnie zaczął od przycinków na temat *Damskiego Asekuratora*, potem przeszedł do rzekomo historycznej anegdoty o byłej pannie Toma, po czym te wspomnienia kombatanta okraślił opowieścią o tym, jak Wayne nakrył mnie i Harry'ego, kiedy uprawialiśmy seks na kanapie. Aha, uśmiełam się po pachy. Tom usiłował się zaśmiać, ale nie zabrzmiało to przekonująco, bo szczęki miał zaciśnięte tak mocno, że mało brakowało, a połamałby sobie zęby.

To chyba jasne, że ulżyło mi dopiero, kiedy trzeba było wykrzyczeć pożegnanie i wyjść. Huczało nam w uszach, wskoczyliśmy do taksówki, a ja sprawdziłam wiadomości. Caroline nagrała się dwa razy, więc do niej oddzwoniłam. Najpierw nie uwierzyła, że to ja, bo zachryłam od pokrzykiwania w barze, więc na oczekaniu wymyślała pytania, żeby sprawdzić, czy to naprawdę ja. Gdy wreszcie skończyłam rozmowę, wyczułam, że Tom jest nieco spięty, więc powiedziałam mu, że to zupełnie normalne, że jest zazdrosny o Harry'ego. On zaprzeczył, mówiąc, że wcale nie dlatego jest gburowaty, tylko dlatego, że w wolny wieczór dzwonię do Caroline.

Nic dziwnego, że po tak gównianym wieczorze wdaliśmy się w sprzeczkę. Kiedy dotarliśmy do domu, żadne z nas nie miało ochoty na łóżkowe figle - usiedliśmy nadąsani na przeciwnych krańcach kanapy. Atmosfera była tak napięta,

że postanowiłam włączyć telewizor, myśląc, że dzięki temu unikniemy pierwszej wielkiej kłótni. Bardzo się pomyliłam.

- Napijesz się czegoś? - spytałam. - Idę po wodę.

- Poproszę.

Odkręciłam kurek w zlewie, a kiedy czekałam, aż poleci lodowata woda, dobiegła mnie z telewizora koszmarna, znana mi melodia - dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, skąd ją znam, a wtedy zaczerwieniłam się po czubki uszu i cała zeszywniałam na myśl o tym, co się stanie za chwilę. Usłyszałam, jak Tom parska śmiechem, ale choć wiedziałam, że tak się stanie, wcale nie było mi przez to łatwiej. Tak naprawdę było mi tylko gorzej.

„Nieważne, czy stłuczka czy poważny wypadek... nie bój się i zadzwoń, możesz liczyć na to, że cię uratuje twój Damski Asekuratooor...” - moje trele wypełniły cały pokój.

- O, Boże - wysapał Tom. Niepewnie zajrzałam do pokoju.

- Nic tylko boki zrywać. Co oni ci założyli na głowę? Wyglądasz jak Frank Spencer.

Tom sam siebie rozbawił tym komentarzem, próbował zasłaniać usta, żeby powstrzymać śmiech, bez skutku. Pod koniec reklamy łapał się za boki, nie mogąc opanować wesołości, która w cudowny sposób rozwiała jego podły nastrój. W tym samym momencie mój wstyd ustąpił złości.

Jak śmie tak się ze mnie nabijać?

- Briggsy uprzedzał, że można zrobić w portki ze śmiechu - wysapał Tom

- ale, Chryste, gdybym wiedział, że aż tak, częściej włączałbym telewizor.

W życiu nie widziałem czegoś tak śmiesznego... Ja... Ja...

Tom nie był w stanie dokończyć zdania, bo nie mógł złapać tchu. Zaraz ogarnął go kolejny atak głupawki.

- O rany, aż mnie żebra bolą. Ten twój wzrok wpatrzony w obiektyw... No nie, to bezcenne.

Dopiero po chwili Tom uświadomił sobie, że ja nie zaśmiewam się razem z nim. Wręcz przeciwnie. Mój gniew się

ulotnił, przeszła mi potrzeba wydarcia się na niego i ogarnęła mnie dotkliwa żalność. Ku własnej zgrozie rozplakałam się ze wstydu, bolejąc nad największym upokorzeniem w życiu.

- Jak mogłeś? - spytałam przez łzy.

- Jak mogłem co? - spytał Tom. Twarz miał zatroskaną, dotarło do niego, że zrobił coś nie tak.

- Jak mogłeś tak się ze mnie naśmiewać? - jęknęłam. - Nie zastanowiłeś się, jak ja się przez to szajstwo czuję?

Tom popatrzył na mnie osłupiały, a mnie przez sekundę wydawało się, że facet od kilku miesięcy zakochany we mnie po uszy za chwilę wystąpi z pokornymi przeprosinami i będzie błagał o przebaczenie. Bardzo się pomyliłam.

- Na rany Boga, czemu ty ryczysz, Fran? Obrażasz się za żart? Jeśli wyprowadziłem cię z równowagi, to przepraszam, ale nie rozumiem, dlaczego Briggsy mógł lać po nogach cały wieczór, a kiedy robię to ja, to uważasz, że jestem okrutny?

- Może dlatego, że akurat na twojej opinii mi zależy? - zasugerowałam wstydliwie, nie mogąc uwierzyć, że nie błaga o wybaczenie. - I może dlatego, że to dla mnie koszarne upokorzenie, bo ta zasrana reklamówka jest moim największym aktorskim osiągnięciem. Wcale nie śmiejesz się z reklamówki, tylko ze wszystkich lat, które zmarnowałam, usiłując zrealizować swoje marzenie - dodałam nieco bardziej butnie. Tom rzucił mi litościwe spojrzenie i ukrył twarz w dłoniach.

- Co takiego? - spytał, totalnie osłupiały.

Nic więcej nie dodał, tylko wbił wzrok w jakiś nieokreślony punkt.

- Pytasz mnie co?! - spytałam ze złością. Kiedy ktoś nie daje się wciągnąć w kłótnię, tracę nad sobą panowanie. To chyba moja włoska krew - mówię to, co myślę, i chętnie to z siebie wyrzucam. A czasem lubię krzyknąć.

Tom zupełnie się wyłączył - fizycznie i werbalnie - nie potrafiłam odczytać jego wyrazu twarzy.

- Nie patrz na mnie z takim obrzydzeniem - zaskrzeczałam jak stare babsko, doskonale wiedząc, że takiej mnie

jeszcze nie zna i że taka scysja jest dla nas obojga czymś nowym. Poniósł mnie gniew, podsycany sześcioro podwójnymi wódkami z limonką i wodą sodową. Kręcąc głową, Tom wreszcie przemówił.

- Wiesz, Francesco, czasami w ogóle cię nie rozumiem. Z jednej strony jesteś inteligentną, cudowną, piękną, uroczą dziewczyną, w której się coraz bardziej zakochuję. Z drugiej, potrafiś nagle palnąć coś takiego, że widzę cię zupełnie inaczej i mam wrażenie, że w ogóle cię nie znam. Przestałam cokolwiek z tego rozumieć.

- Na przykład co? - spytałam z wahaniem.

- Nie sądzę, że to ja powinienem ci o tym mówić. Nie nadaję się do robienia komuś psychoanalizy.

W duchu przyznałam mu rację, ale byłam zbyt ciekawa, żeby pozwolić mu na tym skończyć.

- Jesteś moim facetem. Jeśli ty mi nie powiesz, to kto?

- No, dobra. Jesteś pewna?

- Tak - odpowiedziałam twardo, choć zupełnie nie byłam.

- Nie rozumiem na przykład, czemu tak poważnie traktujesz swoją karierę aktorską. Chciałaś zostać prawdziwą aktorką - okay, próbowałaś i nic z tego nie wyszło. Nie jestem naiwny i wiem, że w tym zawodzie trzeba mieć mnóstwo szczęścia, żeby się wybić, ale wydaje mi się, że trzeba mieć też talent. Ty tylko lamentujesz nad złamaną karierą, ale nigdy nie bierzesz pod uwagę tego, że może... tak miało być?

Tom przełknął nerwowo ślinę. W tym momencie dotarło do mnie, że nie chciał zranić moich uczuć. Ale zranił.

Prawda boli i choć nie powiedział tego całkiem wprost, to wiem, do czego zmierzał. Że nigdy nie przeszło mi przez myśl, że nie zostałam aktorką dlatego, że jestem kiepska.

Niestety, zamiast ze smutkiem przyznać: „Ojej, dzięki, Tom, masz całkowitą rację. Nie mam talentu, a do tego żyję iluzją. Wielkie dzięki, że mi to uświadomiłeś”, powiedziałam coś w stylu: „Ty kutasie, jak śmiesz spokojnie sobie

siedzieć i mówić, że jestem gównianą aktorką?! Kto ci, kurwa, dał prawo..." itede, itepe.

Zaczęliśmy się kłócić, zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie.

Tom stwierdził, że mam obsesję na punkcie pierdoł i że robię za podnózek Caroline. Powiedziałam mu na to, że nie spodziewam się, żeby mnie zrozumiał, skoro sam nie ma krzty zdrowej ambicji, na co on odparł, że rozumie całkiem dobrze i że jestem zdolną babką, która marnowała czas na nierealistyczne marzenia, zamiast skupić się na czymś bardziej konkretnym, na przykład na pisaniu. Odparłam, że przecież piszę pierdoloną książkę i nie bardzo wiem, co jeszcze miałabym zrobić, a wtedy zadzwoniła Caroline, Tom powiedział, że jeśli odbiorę telefon, to on wyjdzie. Odebrałam. Kiedy skończyłam rozmowę, Tom był siny z wściekłości - dotrzymał słowa i wybiegł z mieszkania, ale wrócił po dziesięciu minutach, bo kiedy dotarło do mnie, że wcale nie schował się na klatce schodowej, tylko naprawdę wyszedł, zadzwoniłam na jego komórkę i ubłagałam, żeby wrócił.

Ogromnie mi ulżyło, kiedy go znów zobaczyłam, ale od razu spytał, jaka to pilna sprawa nie mogła poczekać do poniedziałku, a kiedy mu powiedziałam, że Caroline pytała, gdzie ma czyste rajstopy, wpadł w szal. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie, wpadłam w defensywny ton i nieroztropnie wypaliłam, że nic dziwnego, że weterynarz nie może pojąć, że niektóre osoby, zwłaszcza kreatywne, mają bardziej żywy temperament, a dla mnie odbieranie telefonów od Caroline to nic takiego.

Tom spokojnie odpowiedział, że mam rację i że nigdy nie zrozumie ludzi, którzy zasłaniają się temperamentem, a tak naprawdę są totalnie popieprzeni.

Kłótnia wybuchła na nowo i trwała w nieskończoność. Po jakimś czasie emocje wreszcie opadły, zażarty spór zmienił się w ożywioną dyskusję, a ta - w czułe pojednanie w łóżku.

Tak oto, w żołnierskim skrócie, wyglądała nasza pierwsza kłótnia. Właśnie wtedy przekonałam się, że Tom potrafi

bronić swoich przekonań i że nie da sobą pomiatać, za co polubiłam go jeszcze bardziej.

Choć sama kłótnia wydawała się czymś potwornym, okazało się, że wyszła nam na dobre - kiedy później leżałam w ramionach Toma, on po raz pierwszy wyznał mi miłość. Powiedziałam mu, że ja też go kocham, potem zaczęliśmy się bzykać, a on zafundował mi największy orgazm, jaki miałam w życiu. Myślę sobie, że to całe szczęście, że on potrafi doprowadzić mnie do takiego stanu, bo w przeciwnym razie musiałabym udawać, a przecież on twierdzi, że żadna ze mnie aktorka i na pewno nie dałby się nabrać.

30

Listopad dobiega końca, Terry jest na Teneryfie. Nie mogę się doczekać jego powrotu - tak się jakoś dziś złożyło, że przez większą część dnia woziłam Caroline po mieście i nie starczyło mi czasu, żeby cokolwiek załatwić.

- To twój samochód, Francesco? - spytał rano Carson, dostrzegłszy wcześniej, jak wrzucam monety do parkomatu.

W ciągu ostatnich kilku tygodni Carson przeprowadzał się w tę i z powrotem przez ocean - teraz znów jest w Londynie, ma podpisać kontrakt na film, do którego jego agentce - po wielu tygodniach emocjonalnego szantażu - wreszcie udało się go przymusić.

- Tak - odpowiedziałam, zamykając drzwi i licząc na to, że Caroline jest gotowa do wyjścia, bo z braku dwudziestopięćdziesiąt opłać parking na bardzo krótki czas.

- Super. Uwielbiam te małe samochodziki z wielkimi tablicami rejestracyjnymi. Mają charakter - zachwycił się, wyglądając przez okno.

Zerknęłam na mojego zardzewiałego, zielonego fiata uno i zaczęłam się zastanawiać, czy w jego głosie był sarkazm.

- Ty dzisiaj wozisz Cas?

- Tak, zabieram ją na Harley Street.

- A mogłabyś mnie potem podrzucić na spotkanie? Wołałbym zabrać się z tobą niż wynajmować kierowcę. Poza tym choć raz chciałbym się przejechać normalnym samochodem.

- Pewnie - odpowiedziałam z wahaniem, nadal doszukując się - i nie znajdując - w tonie jego głosu sarkastycznej nuty. - Spotkanie masz o wpół do pierwszej? Przyjadę o dwunastej - dodałam, zastanawiając się, jakim cudem mam dzisiaj cokolwiek załatwić.

- Dzięki, Fran, jesteś cudowna - odpowiedział, wbiegając na schody. Poszłam do gabinetu, lekko zaniepokojona. Ostatnio Carson dość często wychwalał uroki normalności. Niedawno rozmarzony opowiadał o wieszaniu prania na sznurze i wypadzie do sklepiku po mleko, a dziś zachwyca się moim bardzo przeciętnym samochodem.

Rażą mnie te komentarze - w końcu jeśli chce mieć fiata uno, to dlaczego go sobie nie kupi? Sprzedam mu swój za sześćset funtów. Stać go na całą fabrykę. Nikt mu nie każe przemieszczać się luksusowymi autami z klimatyzacją i skórzanymi fotelami. Dla jego innych zachcianek mam nieco więcej zrozumienia, bo faktycznie jest więźniem we własnym domu. Paparazzi sterczą na ulicy od tak dawna, że właściwie uodporniłam się na ich obecność, a przy tym wiem doskonale, że gdyby Carson postanowił skoczyć do sklepu po mleko, wybuchłyby zamieszki. Ale to w końcu on postanowił zostać aktorem, a skoro tak strasznie nie cierpi sławy, to po co umawia się dziś po południu w sprawie kolejnej roli? Skoro tak go to mierzi, to czemu nie zrezygnuje, czemu nie zaszyje się gdzieś, gdzie będzie mógł robić to, od czego serce mu rośnie: jeździć fiatem uno, skakać po mleko,

rozwieszać pranie i utrzymywać się z fotografowania? A może gaża w wysokości dwudziestu milionów dolarów to zbyt wielka pokusa?

A właśnie, nie wspominałam wcześniej o zdjęciach. Kilka dni temu Carson zwierzył się mnie i Lornie, że jego wymarzonym zajęciem byłoby wykonywanie profesjonalnych portretów. Nie przywiązywałam do tego wynurzenia większej wagi, dopóki nie pokazał nam swojego portfolio - tak niezwykłego zbioru czarno-białych fotografii nigdy nie widziałam. Fakt, zdjęcia są świetne między innymi dlatego, że przedstawiają sławne osoby w codziennych sytuacjach. Robert De Niro stoi nad grillem ze szczypcami w ręku. Brad Pitt łowi ryby na brzegu rzeki, obok Angelina pluska bosymi stopami w wodzie. Julia Roberts pije kawę przy stole - i całe mnóstwo innych. Już sama tematyka zapewniłaby mu sukces, niemniej fotografie są naprawdę wyjątkowe. Lorna bacznie przyglądała się zdjęciu Julii Roberts z filiżanką gorącej kawy i zauważyła: „Ależ ona nie używa spodeczka”...

Powiedziałam Carsonowi, że zdjęcia są wyśmienite, a on popatrzył tęsknie gdzieś w dal, jakby z żalem, że nie może się temu poświęcić. Ta poza nieco mnie poirytowała. Zdaje się, że nie bardzo umiem współczuć komuś, kto ma wszystko,' o czym zwykli śmiertelnicy mogą tylko pomarzyć, i nie potrafi zrobić z tego użytku.

Ale dość rozmyślań. Czas zawieźć Caroline na zastrzyki. Idę po nią do salonu - leży na kanapce i słucha muzyki z iPod'a.

- Już jedziemy? - pyta znużona.

- Tak. Zaczekam w samochodzie.

Caroline przerabia dziś fazę użalania się nad sobą i ten jeden, jedyny raz wcale się jej nie dziwię. To robią jej nadzieję na rolę w filmie, to znów ją odbierają - góra, dół, góra dół - zupełnie jak majtki prostytutki. W październiku wydawało się, że lada chwila dojdzie do podpisania umowy, po czym coś się wydarzyło i sprawa stanęła w miejscu. Zgodnie

ze stanem z dnia wczorajszego realizację filmu oficjalnie odwołano, co oznacza, że już za kilka tygodni przestanę być prywatną asystentką Caroline. Cieszę się, że ta chwila się zbliża, a jednocześnie ogarnia mnie panika - nie mam pojęcia, co ze sobą pocznę, kiedy skończą się spektakle, a Caroline wróci do Stanów i zniknie z mojego życia. Choć pisanie sprawia mi ogromną frajdę, to nie zarobię na nim - a na pewno nie szybko - więc w najbliższych tygodniach muszę jak najwięcej odłożyć.

Usłyszawszy, jak sprawy się mają, Jodie wpadła w czarną rozpacz, a kiedy podczas ostatniej rozmowy przekazałam jej, że Caroline życzy sobie, żeby przed jej powrotem do Stanów oddała całą zimową garderobę do prania, wydawało mi się, że Jodie się rozplakała.

Na początku życie bez Caroline Mason na pewno będzie dziwne. Odkąd zostałam jej prywatną asystentką, zaczęłam żyć jej życiem i wiem, że niektórych rzeczy będzie mi brakować. Na szczęście nie będę musiała na zawsze pożegnać się z Lorną - powiedziała, że mogę zaglądać pod numer czterdziesty siódmy; będzie tu wpadała dwa razy w tygodniu, żeby posprzątać.

Caroline obchodzi mój samochód, wpatrując się w niego z wyraźnym niesmakiem. Okrąża go i przystaje po stronie pasażera, dezorientowana zastanawia się, jak tu się dostać na tylne siedzenie. Wreszcie, stwierdziwszy, że nie ma drugiej pary drzwi, zrezygnowana siada obok mnie. Nie potrafi nawet posłużyć się dźwignią pod siedzeniem, żeby przesunąć fotel. Jest tylko jeden powód, dla którego Caroline decyduje się na przejażdżkę takim samochodem - próżność. Jedynym kierowcą, którego Caroline nie podejrzewa o to, że puści coś do prasy, jest Terry, a wyprawa do chirurga plastycznego na Harley Street w sam raz nadałaby się do opisanie i zilustrowania zdjęciami w prasie brukowej.

Wyrzuciłam opakowania po batonach, a nawet pojechałam do myjni, ale Caroline i tak przez całą drogę siedzi zdumiona, że przyszło jej podróżować tak niegodnym pojazdem. Przynajmniej nic nie mówi.

Odmowa wytwórni widocznie podcięła jej skrzydła, nawet lista dzisiejszych sprawunków jest raczej skromna. Odzywa się tylko raz: mówi, żebym wyłączyła komórkę. Mój telefon dzwoni non stop, a ja nie mogę odebrać, bo prowadzę.

Kiedy zbliżamy się do kliniki, Caroline zarzuca na głowę szal Pucciego i zakłada ciemne okulary, przez co wygląda jak gwiazda, która nie chce zostać rozpoznana. Nie wiem, czemu tak się czai z tym botoksem. Znane babki łudzą się, że utrzymają takie zabiegi w tajemnicy, a przecież każdy głupi widzi, że mają tak naciągniętą skórę, że ich twarze są całkiem pozbawione naturalnego wyrazu. Żeby wszystko było jasne: oprócz operacji piersi Caroline zdecydowała się też na korekcję oczu, a Shelly jest pewna, że miała też liposukcję.

Zostawiam Caroline w klinice, mam ją z głowy do końca dnia, bo po zabiegu odbierze ją Leticia, która pewnie przeobrazą się w jej osobistą pielęgniarkę; później Caroline jedzie do teatru. Przed powrotem do South Kensington, skąd mam zabrać Carsona, włączam telefon i sprawdzam wiadomości. Jest ich czternaście, ale tylko jedna jest warta uwagi - to wiadomość od Toma, który pyta, czy zobaczymy się wieczorem.

Natychmiast oddzwaniam i zostawiam mu wiadomość: z przyjemnością i niech zadzwoni później. Na koniec ostrożnie dodaję „kocham cię” - jeszcze nie czuję się pewnie, wypowiadając te słowa na głos, na chwilę zupełnie się rozklejam. Chryste, jak ja go kocham.

No dobra, czas podjechać po jednego z najświetniejszych facetów na świecie i zabrać go na spotkanie. Znowu nachodzą mnie myśli, że w sumie niepotrzebnie zawraca sobie głowę, skoro tak ma tego dość i tyle go to kosztuje.

Nie zrozumcie mnie źle - naprawdę lubię Carsona i rozumiem, że sława i majątek przysparzają pewnych problemów,

że odbierają znanym osobom prywatność i obciążają je presją zupełnie nieznaną nam, zwykłym śmiertelnikom. Nie chcę, żeby to zabrzmiało cynicznie, ale skoro ta sytuacja tak bardzo mu nie odpowiada, to czemu jej nie zmieni? Myślę, że pewne zmiany w życiu Steph, Carsona i Camerona tylko wyszłyby im na dobre. A może Carson tylko mówi, że chciałby żyć jak normalny facet, a tak naprawdę nie potrafiłby się tego wszystkiego wyrzec?

Powiedzmy sobie szczerze, że gdyby naprawdę chciał wolności, to mógłby ją sobie kupić. A może jest tak rozpuszczony, że sam już nie wie, czego chce?

Jakkolwiek jest, mam nadzieję, że nie będzie dziś stękał, bo nie mam nastroju do wysłuchiwania takich gadek. Gdybym dysponowała choć ułamkiem jego majątku, nie traciłabym ani chwili na robienie czegoś, na co nie mam ochoty.

Po spotkaniu Carson wróci do Los Angeles - tam ma więcej czasu dla siebie i tam czekają na niego Steph i Cameron. Nagle uświadamiam sobie, że skoro wkrótce przestanę pracować dla Caroline, to być może dziś widzę go po raz ostatni - przed chwilą na niego narzekałam, ale robi mi się smutno.

Przystaję pod numerem czterdziestym siódmym, wciskam klakson i chichoczę na widok zdumionych paparazzi, którzy trzaskają zdjęciami, kiedy Carson zbiega ze schodów i wskakuje do obskurnego fiata uno. Jak nic zastanawiają się, co też, do licha, on wyprawia.

- Cześć, Fran, dzięki, że przyjechałaś - wita się ze mną, racząc mnie swoim uśmiechem o sile megawata.

Rozpływam się.

- Drobnostka.

Pachnie cytrusową, bardzo drogą wodą toaletową, ma na sobie stylowy płaszcz, który z pewnością kosztował więcej niż mój samochód, na szyi niedbale zawiązany szalik - efekt jest piorunujący. Jego uroda nie powszednieje z czasem. Wręcz przeciwnie.

- Super autko! - wykrzykuje Carson. - Jak Cameron był maleńki, kupiłem mu w Los Angeles podobną zabawkę. To był samochodzik z prawdziwym silnikiem, jeździł nim po ogrodzie całymi godzinami. I był podobnej wielkości. Ale radocha.

Przyglądam się Carsonowi. Na samo wspomnienie twarz mu promienieje

- zupełnie nie dociera do niego, że popełnił koszmarny faux-pas.

- Pewnie nie możesz się doczekać powrotu do Stanów? -
pytam.

- Oj, tak. Będzie wspaniale. Tęsknię za synem.

- To super chłopak. Naprawdę ci się udał - mówię, skręcając w Brompton Road.

- Tak myślisz? Dzięki. Robimy ze Steph, co w naszej mocy. Biorąc pod uwagę okoliczności, jestem nawet dumny.

Carson zaczyna majstrować przy odtwarzaczu.

- Masz jakąś płytę?

- Nie - chichoczę. - Włączę radio Heart.

Po chwili oboje podśpiewujemy jakiś stary przebój. Carson śpiewa z ogromnym zapałem i zachowuje się tak, jakby te nasze wspólne trele sprawiały mu ogromną radość.

Kiedy piosenka dobiega końca, zadaje mi pytanie.

- Francesco, jest w twoim życiu ktoś wyjątkowy? Jeśli mogę spytać.

- Jest. Poznaliśmy się na weselu prawie pół roku temu.

- Na weselu? Romantycznie. Wiesz co, Fran? Farciarz z niego.

Gdyby tylko Sabina mogła mnie teraz widzieć - myślę sobie i uśmiecham się szeroko. Dzwoni moja komórka.

- Mógłbyś odebrać? - pytam z zażenowaniem. - Ogromnie cię przepraszam, ale ja nie mogę, jak prowadzę. Takie przepisy. Jak się okaże, że to ktoś, z którym łączą cię sprawy zawodowe i z kim nie chcesz rozmawiać, po prostu powiedz, że jesteś moim znajomym.

- Francesco, nie jestem Caroline. Potrafię odebrać telefon. Nie chciałam go pouczać, po prostu przywykłam do traktowania Caroline jak krnąbrne dziecko.

- Halo?... Siedzi obok, ale prowadzi, mogę coś przekazać?... Aha, rozumiem, nie ma problemu. Fran, to chyba ważna sprawa - mówi, tłumacząc mi gestem, że rozmówca jest chyba pomyłony.

Skupiam się na drodze, bo właśnie przejeżdżamy obok „Harrodsa”.

- Szlag, jak jeszcze raz wciśniesz zielony, włączy się głoś-nomówiący. Mogę cię prosić? Dzięki. Halo?

- Fran, to ja, Ella. Wody mi odeszły. Trzy tygodnie przed terminem. Nie mogę złapać Paula.

Ella płacze, jest spanikowana. Nie tego się spodziewałam, serce mi zamiera.

Carson siedzi obok mnie, osłupiały trzyma telefon w wyciągniętej dłoni. Gwałtownie hamuję na czerwonym świetle.

- Szlag, Ella, jak to nie możesz go złapać?

- O, Jezus, Fran - płacze Ella - miał jakieś ważne spotkanie i kazałam mu iść.

Staram się zachować spokój.

- Gdzie to spotkanie? Trzeba go powiadomić i ściągnąć.

- W Cardiff. Nie odbiera, włącza się poczta głosowa - skamle Ella. -

Oooch, zaczekaj chwilę... ooooooch, ooooooch, ooooooooch.

Telefon wypada jej z ręki. Ella dyszy, sapie i jęczy przez dobrą minutę, kiedy wydaje z siebie donośny, krowi ryk, wymieniamy z Carsonem zdumione spojrzenia. Wreszcie podnosi słuchawkę.

- A niech mnie, ten bolał jak cholera - mówi cienkim głosem. - Szlag, co ja mam robić?

- Eee... mogło być gorzej, Cardiff jest niedaleko - mówię pogodnym tonem, choć w duchu myślę sobie, że dobrze to wcale nie jest. - Na pewno ściągniemy go na czas - nie

jestem o tym przekonana, ale staram się to powiedzieć pewnym głosem.

- Fran, nie mam pojęcia, dlaczego to już. Wcale nie chcę rodzić. Jeszcze nie kupiłam wózka - jęczy.

- Ella, spokojnie. Już do ciebie jadę. Wytrzymaj i spróbuj złapać Paula. Może jest w tunelu albo co.

- Okay - pociąga nosem Ella.

Dojeżdżamy do Knightsbridge, zupełnie nieostrożnie zjeżdżam na prawy pas - zamiast jechać prosto na West End, chcę skrócić w Sloane Avenue i dojechać do Sloane Square.

Szlag, szlag, szlag, nie mogę uwierzyć, że właśnie w takiej chwili nie ma Paula. Dopiero po krótkim czasie przypomina mi się, że przecież wiozę samochodem gwiazdę klasy A.

- Rany, Carson, przepraszam. Co z twoim spotkaniem? Mógłbyś dojechać na miejsce taksówką? Co prawda to już. niedaleko, ale lepiej żebyś...

- Spokojnie, dam radę - odpowiada, autentycznie zatroskany.

Jadę Sloane Avenue i uznaję, że najlepiej będzie go wysadzić na Sloane Square. Oczywiście w takich chwilach ma się wrażenie, że wszyscy niemiłosiernie się wloką, że dojazd trwa całe wieki.

- Tu się zatrzymaj, to wyskoczę - nalega Carson, rozglądając się bardzo niepewnie po tłocznej ulicy. To przecież jeszcze nie grudzień, a już tłum nadgorliwców szuka prezentów świątecznych.

- Na pewno? - pytam, modląc się w duchu, żeby powiedział „tak”, bowiem ścigają mnie przerażające wizje Elli rodzącej w salonie. - Przepraszam cię, ale do Tooting mam jeszcze kawał drogi.

- Na pewno - mówi dzielnie Carson.

Słyszając tę odpowiedź, gwałtownie skręcam w lewo, z piskiem opon hamuję na krawężniku przed bankiem, tylko cudem unikając kraksy, i zostawiam Carsona na chodniku. Właśnie wrzucam jedynekę, żeby odjechać, kiedy słyszę pierwszy wrzask.

- Carson Adams! Ludzie, to Carson Adams!

Nie uśmiecha mi się oglądanie zamieszek, które ani chybi za chwilę wybuchną - już mam zostawić Carsona na pastwę losu, ale zerkam w lusterko i pod sklepem Petera Jonesa dostrzegam trzy młode dziewczyny z matkami, które jak oszalałe pędzą przez jezdnię, byle tylko zobaczyć z bliska swojego idola. Wiem, że nie mogę go tu zostawić... On też to wie.

- Francescaaaaa! - wrzeszczy przerażony, opędzając się od ludzi jak od natrętnego robactwa.

Cofam i nachylam się, żeby otworzyć drzwi.

- Wskakuj - rzucam ponuro.

Wścibski tłum przyciska nosy do szyb, więc wciskam gaz, jakbym miała rozjechać gapiów, żeby się rozstąpili. Nie mogę uwierzyć, że ludzie się tak zachowują.

- Psiakrew. I co teraz? - pytam przerażona, bo coraz bardziej martwię się o Elle.

- Fran, twoja przyjaciółka rodzi - nie traćmy czasu na szukanie taksówki. Gaz do dechy, trzeba tam jak najszybciej dojechać.

Co za ulga! Mówię Carsonowi, żeby wziął mój telefon i odszukał jej numer.

Ella odbiera natychmiast.

- Gdzie jesteś?! Mam skurcze co dwie albo trzy minuty. Boli jak jasna cholera.

- Już jadę, kochanie. Złapałaś Paula?

- Tak - mówi nieprawdopodobnie roztargnionym głosem - wysiądzie na następnej stacji i pierwszym pociągiem wróci do Londynu. A jak nie zdąży?! Nie daruję mu... aaaaaa!

Wsluchujemy się w jej ciężkie dyszenie.

- Oddychaj - instruuję ją bezradnie, pędząc pasem dla autobusów w kierunku Tamizy i najbliższego mostu. - O nic się nie martw, podobno pierwsze dzieci długo się rodzą, prawda?

- Nie wiem, kurwa... aaałaaa... To raczej długo nie potrwa.
Psiakrew, co za koszmar. Przyspieszam. Jeśli zatrzyma mnie policja, będzie niezły ubaw. I gdzież to pani tak pędzi fiatem uno z najsłynniejszym gwiazdorem Hollywood? A, pani przyjaciółka rodzi w Tooting, bardzo zabawne.

- Jadę, Ella, już jadę! - wrzeszczę do słuchawki.

Po kilku minutach mijam skrzyżowanie na czerwonym świetle i wjeżdżam na most.

Zerkam na Carsona i ze zdumieniem stwierdzam, że ma łzy w oczach.

- Co jest? To przez to, jak prowadzę? Strasznie cię przepraszam, ale naprawdę staram się jechać ostrożnie - uspokajam go, ignorując kolejne czerwone światło. Trąbi na mnie rozwścieczony kierowca rangę rovera.

- Nic mi nie jest - mówi Carson rozmarzonym głosem. -Przypomniały mi się narodziny Camerona. Steph była taka dzielna. Rodziła prawie trzy dni, ale dopiero po trzydziestu sześciu godzinach zgodziła się na znieczulenie zewnątrz-oponowe. Przedtem wszystko znosiła bez żadnej skargi. Biedactwo. Nie obyło się bez szwów - założyli jej chyba pięć.

Naprawdę nie musiałam tego wiedzieć.

- Nigdy nie zapomnę tego małego zawiniątka i świadomości, że jestem ojcem - to właśnie z tego jestem najbardziej dumny. Pal licha nominacje do Oscarów, filmy, zapisanie się w historii. To nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, czy mój syn jest zdrowy i szczęśliwy. Chociaż trochę tę sprawę sknociłem.

- Przestań - odpowiadam, pędząc przez rondo i myśląc, że to nie najlepszy moment, żeby powiedzieć coś głębokiego i mądrego. - Cameron to jeden z najszcześniejszych dzieciaków, jakie znam. Jedyne, co mu może namieszać w głowie i wpłynąć na jego późniejsze życie... nie wiem, czy powinnam mówić tak otwarcie...

- Patrz na drogę, Francesco... Mów.

- Na pewno dziwnie mu z myślami, że jego własna matka go nie kocha. On nawet nie oczekuje od niej czułości ani wsparcia. To tylko dziecko, ale na pewno przemknęła mu myśl, że opiekunka kocha go bardziej niż matka - wypalam, zbyt zestresowana, żeby przebierać w słowach.

Carson ze smutkiem kiwa głową.

- Wiem, to koszmarna świadomość. Widzisz, Francesco, miałem dziś podpisać kontrakt, a przecież ten film jest gównem wart. Jedziemy, żeby pomóc twojej przyjaciółce, która rodzi - to właśnie na tym polega życie. Dawno nie czułem w sobie tak dobrej energii.

Nie odpowiadam - jestem zbyt skupiona na jeździe po chodniku, żeby ominąć korek.

- Żebyś mnie dobrze zrozumiała - uwielbiam grać, tylko że marzy mi się coś niszowego, coś bardziej kreatywnego od tego, co robiłem do tej pory. Najwyraźniej mam nieodpowiedni wygląd, bo nie dostaję takich propozycji.

- No cóż - mówię z przekąsem. Nie jestem w nastroju, żeby mu współczuć.

Carson wyczuwa sceptycyzm w moim głosie.

- Tu nie chodzi o pieniądze. Naprawdę chętnie bym zrobił jakiś mały projekt.

- Wiesz co, to może powinieneś parę rzeczy przemyśleć - mówię wprost, prowadząc jak szalenię. - Jeśli nie chodzi o pieniądze, to tego nie rób. Nie występuj w kolejnym filmie, skoro na samą myśl flaki ci się przewracają. Po co w takim razie się decydujesz? Kto ci, do cholery, każe? Jesteś wolnym człowiekiem, Carson, i naprawdę nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty. Za jeden film dostajesz tyle, ile większość ludzi nie zarobi w ciągu całego życia... Co ja mówię, w ciągu dwudziestu żywotów. Skoro marzy ci się coś kreatywnego, to czemu nie napiszesz scenariusza? Weź rok wolnego... wynajmij dom w Toskanii i przygotuj film, w którym naprawdę chciałbyś wystąpić. Albo kup teatr i wystawiaj sztuki. Albo... Spadaj, palancie... To nie do ciebie....

Albo nie rób nic. Przestań jęczeć, bo nie masz powodów do narzekania, a jeśli twoim największym życiowym problemem jest to, że jesteś cholernie przystojny - to ze współczucia aż mi serce krwawi...

Przepraszam, nie chciałam być chamska - dodaję po chwili namysłu.

- Francesco, nie chciałem cię zdenerwować. Chodzi mi tylko o to, że moje decyzje wpływają na życie wielu osób -mojej agentki, Caroline... Wiem, że mam szczęście. Tylko że ja nigdy nie dążyłem do takiej sławy.

- To z tym skończ - wypalam sfrustrowana. - Unikaj rozgłosu, to się przecież da zrobić. Zwolnij gościa od kontaktów z mediami, przestań kręcić filmy. Może i wygaduję niestworzone rzeczy, ale kasy starczy ci do końca życia. Możesz sprzedać kilka posiadłości i zająć się fotografią.

Przez kilka lat nie musisz się z tym ujawniać. Wybacz, że to mówię, ale ludzie o tobie zapomną, w końcu przestaną za tobą biegać tłumy, znajdą sobie kogoś innego. Jasne, że menedżer, agentka i Caroline będą cię namawiać, żebyś dalej pracował, bo to leży w ich interesie, ale co myślą ludzie, którzy naprawdę dla ciebie coś znaczą? - Niechętnie zatrzymuję się na światłach i zerkam na Carsona, po czym ciągnę wątek. -Na wieść o normalnym życiu Steph oszalałaby z radości. I nie wmówisz mi, że to nie byłoby najlepsze dla Camerona. Tylko widzisz, nie jestem przekonana, że nie brakowałoby ci tego przepychu, sławy, pieniędzy i stylu życia...

Naprawdę nie chciałam być niegrzeczna.

Poniewczasie zdaję sobie sprawę z tego, że przekroczyłam wszelkie granice, ale jestem tak napompowana adrenaliną, że mam to gdzieś, choć czuję ulgę, kiedy dźwięk komórki przerywa moją tyradę, zanim powiem coś, czego naprawdę będę żałować. Carson - z mocno urażoną miną -niemal automatycznie odbiera telefon i przełącza na głośno-mówiący.

- Halo? - wrzeszczę.

- Francesca, tu Tom. Wszystko w porządku?

Nie ma czasu na uprzejmości.

- Tom, Ella rodzi przed terminem, nie ma Paula, a ona ma skurcze co dwie, trzy minuty.

- Cholera. To już. Powinna być w szpitalu. Wezwałeś karetkę?

- Nie. A powinnam?! - krzyczę.

- Może nic się nie stanie, pierwsze dzieci zwykle dłużej się rodzą, ale w sumie to ja się najlepiej znam na porodach psów i kotów. Dojadę do was. Gdzie jest Ella?

- W Tooting, a ja w Clapham - wołam do słuchawki, którą Carson, który nagle przeobraził się w mojego asystenta, trzyma wysoko w wyciągniętej dłoni.

- Dobra. Zadzwoń po karetkę, na wypadek gdybyś nie dotarła na czas. Daj mi jej adres. Zobaczymy się w szpitalu.

- 17A Pleshey Road - odpowiadam.

- Jedź do niej, może zdążysz przed karetką.

- Dobrze - odpowiadam, czując wszechogarniającą wdzięczność do Toma za to, że przejął kontrolę nad sytuacją i jest tak opanowany. Tom rozłącza się, a ja warczę na Carsona.

- Dzwon do Elli.

Carson wykonuje moje polecenie, a ja pędzę obok Clapham Common.

- Ella, jadę do ciebie, zaraz będzie karetka.

- Ja chcę tylko Paula - jęczy.

- Wiem, kochanie, wiem.

- Przepraszam, Francesco - mówi Carson niepewnym tonem, rozłączywszy rozmowę.

- Nie przepraszaj. Tylko chodzi o to, że od dzieciństwa marzyłam o tym, żeby zostać gwiazdą, grać w filmach, chodzić na oscarowe gale. Każdy, kto ma choć odrobinę rozsądku, wie, że to nie są najważniejsze rzeczy w życiu, ale ja i tak o tym marzyłam.

Po chwili dodaję łagodniejszym tonem:

- Nie jest tak źle, Carson, a ty naprawdę możesz wszystko zmienić.

Kiedy docieramy na Pleshey Road, karetka jest już pod domem - krzyczę do Elli przez okno, że będziemy jechać za nią, po czym sanitariusz zamyka drzwi.

31

Pielęgniarki ze szpitala Tooting General są - delikatnie mówiąc - co najmniej zdziwione na widok Carsona Adamsa mijającego wahadłowe drzwi oddziału położniczego; następuje to, co zawsze, kiedy Carson zjawia się w miejscu publicznym - pandemonium. Położne nagle tracą zainteresowanie odbieraniem porodów - za znacznie pilniejszą uznają potrzebę zrobienia sobie z nim zdjęcia i wyżebrania autografu. O dziwo, ta zamiana priorytetów personelu wcale nie drażni pacjentek, które jeszcze przed chwilą cierpiały porodowe męki - wiele z nich najwyraźniej podziela zdanie pielęgniarek, że jedno spojrzenie na Carsona Adamsa jest znacznie ważniejsze niż znieczulenie zewnątrzoponowe i ono samo doskonale uśmierza ból.

Jedna z kobiet z największym trudem zwleka się z łóżka i kuśtyka korytarzem, choć urodziła dopiero przed dwiema godzinami i ledwie może chodzić - jej nowo narodzonemu dziecięciu nie pozostaje nic innego, jak usiłować ssać pierś zszokowanego ojca.

Pojawienie się Carsona pogrzyżyło cały oddział w totalnym chaosie - w pewnym momencie bardzo głośno i stanowczo tłumaczę oszołomionej siostrze przełożonej, że nie, Carson nie może podpisać jej fartucha i że naprawdę trzeba zająć się Ellą.

Siostra wreszcie daje się przekonać i strzelając oczami do Carsona, prowadzi nas - i podążający za nami tłumek - na porodówkę, gdzie czeka Ella, w mocno zaawansowanej

fazie porodu. Nie mam wyjścia, jak zostawić Carsona z siostrą przełożoną, na łasce zagorzałych fanek.

- Fran - stęka na mój widok spocona Ella - jesteś, Bogu dzięki. To się dzieje tak szybko, mam rozwarcie na prawie dziesięć centymetrów. Nie chcę rodzić sama.

- Nie będziesz - pocieszam ją, zastanawiając się, co też, na Boga, ona do mnie mówi, i odwracając wzrok od jej krocza. Podchodzę do niej z boku, żeby wziąć ją za rękę. - Wytrzymaj jeszcze chwilę, zaraz przyjedzie Paul. Kiedy z nim rozmawiałam, był już w taksówce, w Paddington. Na szczęście w porę się do niego dodzwoniłaś, pociąg nie zdążył zbyt daleko odjechać.

- Oooooooch - jęczy Ella, a jej twarz wykrzywia ból. -Ja już chcę przeć.

- Jeszcze nie - upomina ją położna. - Już niedługo. Rozwarcie jest prawie pełne.

Wtem z korytarza dobiegają nas odgłosy ogromnego poruszenia. Jak nic wieści o niespodziewanej wizycie Carsona Adamsa rozeszły się po całym budynku - hałas jest taki, jakby pod salą zebrał się dziki tłum, a idola otaczała cała żeńska populacja południowego Londynu.

- Co to za hałas, do jasnej cholery? - pyta Ella. Do sali wpada zatroskany lekarz.

- Przepraszam. Oooh, przepraszam - lekarz zasłania oczy, aby nie narażać na szwank skromności Elli. - Trzeba coś z tym zrobić. Pewien dżentelmen na zewnątrz wywołuje wielkie poruszenie. Powiem tak: za chwilę zrobi się tu bardzo nieprzyjemnie. Ten pan prosi, żeby wyszła do niego Francesca.

- Kto cię szuka? Nie zostawiaj mnie - błaga Ella.

- Może tu wejść? - pytam lekarza, bo zupełnie nie mam pojęcia, co robić.

- Zdaję sobie sprawę, że to nietypowa prośba, ale w innym razie pod salą rozpęta się piekło.

Lekarz drapie się po głowie.

- To wbrew przepisom, ale chyba nie ma wyjścia... Jeśli pacjentka się zgodzi.

Przepraszającym tonem wyjaśniam Elli, o co chodzi.

- Ella, pod drzwiami jest Carson, walczy o życie. Może tu wejść?

Ella ma właśnie potężny skurcz, jest bardzo spocona i oszołomiona.

- Wszystko mi jedno. W dupie to mam.

- Fraaaaaancesca! - Carson drze się pod drzwiami, jakby go rozdzierali na strzępy.

- Błagam, proszę go tu wprowadzić - mówię do doktora. Tak oto po kilku sekundach nieprzytomnie przystojny,

choć mocno wymięty gwiazdor wciska się do sali z ogromną ulgą na twarzy, zupełnie niezrażony widokiem Elli w pozycji kolankowo-łokciowej, gryzącej poduszkę. Jasna sprawa, że teraz na chwilę traci głowę potężna hinduska położna imieniem Connie.

- To pan, prawda? Carson Adams? Pan jest ojcem dziecka? - pyta oszołomiona, wycofując dłonie z dolnych partii Elli, które właśnie badała. Trudno dziwić się położnej - w końcu w Tooting General gwiazdy nie zjawiają się na porządku dziennym.

Ella uznaje jednakże, że tego już za wiele.

- Może się pani na mnie skupić chociaż przez jedną, zasraną chwilę?!...

Ooooo, aaaaaaa - jęczy Ella z dzikim błyskiem w oku - aaaaaaa, boli! Ja chcę przeć! Chyba nie wymagam zbyt wiele, chcę tylko trochę, kurwa, uwagi...

Zszokowani zerkamy z Carsonem na Connie, która odzywa się do nas z całkowitym spokojem.

-To normalne słownictwo w tej fazie. Burza hormonalna.

Wtem skurcze ustają tak szybko, jak się zaczęły, i mimo dziwaczności całej sytuacji Ella i jej hormony odzyskują dobre maniery.

- Cześć, Carson. Tak w ogóle, to bardzo mi miło. A potem wypadki rozgrywają się błyskawicznie.

Do sali wpada zdyszany, nieprawdopodobnie zestresowany Paul - z radością ustępuję mu miejsca obok rodzącej,

bo - szczerze mówiąc - jeszcze chwila, a zemdleję. Carson usuwa się na bok, ale zostaje w pokoju, drżąc na myśl o tym, co by się z nim stało, gdyby wyszedł.

Paul rejestruje jego obecność dopiero po chwili, bo dotarłszy na miejsce, podbiega do Elli i mówi:

- Jestem, kochanie, już jestem. Tak cię przepraszam, że byłaś tu sama. Ella drze się na niego przez kilka minut, po czym Paul wypytuje położną, czy na pewno nie należy obawiać się porodu trzy tygodnie przed terminem. Dopiero po chwili pośród osób stłoczonych w kącie naprzeciwko rozwartych nóg jego żony Paul dostrzega Carsona Adamsa. Skacze na równe nogi, wydaje się jednocześnie wściekły i zdezorientowany, szybko przedstawiam sobie obu panów, którzy wymieniają raczej gwałtowny uścisk dłoni. Nie ma czasu na stosowne wyjaśnienie, bo dziecko jakby wiedziało, że oboje rodzice są już na miejscu, i uznało, że czas przyjść na świat. Ella prze z całą mocą i po godzinie wyłania się główka - najbardziej niezwykły, a jednocześnie najbardziej krwawy widok, jaki zdarzyło mi się widzieć - a potem małeńkie ciało, piękne, choć pokryte krwią i kleistą mazią; czas na chwilę staje w miejscu.

Po chwili rzeczywistość znów ożywa: rozlega się płacz, który jest zapytaniem: cóż to za zimne, jasne miejsce? Skąd to oślepiające światło i przeraźliwe dźwięki?

Wyczerpana, zapłakana Ella i pijany ze szczęścia Paul tulą się, całują i płaczą - chcą jak najszybciej wziąć na ręce tę małą istotkę, którą siostry szybko myją, badają, ważą i wreszcie im podają.

To małeńka dziewczynka. Ich córeczka.

Ze szczęścia i emocji płaczą i ja, i Carson - przytula mnie mocno, a łzy spływają mu po twarzy. Ściskam Elle, rozbitą, bladą, podpuchniętą i szczęśliwą. Paul ściska Carsona, którego po chwili bierze w objęcia Connie - położna uznała, że już czas przystąpić do działania i wtula się

w niego z całą mocą. Potem trzeba zostawić świeżo upieczonych rodziców, więc wychodzimy z Carsonem z sali - na korytarzu czeka Tom.

- To dziewczynka! - krzyczę, wpadając w jego otwarte ramiona.

Po półgodzinie Carson, Tom i ja wskakujemy do mojego samochodu - mam za szybą mandat, pewnie dlatego, że zaparkowałam na żółtej linii, jakieś cztery stopy od krawężnika. Carson siada obok mnie, Tom wciska się do tyłu, jesteśmy w cudownych nastrojach.

- Musimy to uczcić - oznajmia Carson.

- A twoje spotkanie? - pytam. - Jak się pospieszymy, to może jeszcze złapiemy reżysera, zanim pojedzie na lotnisko.

- Nie ma co, Francesco, nie podpiszę tego kontraktu. Później zadzwonię do agentki i wszystko jej wytłumaczę. Jak jej się nie spodoba, to niech się pochlasta. Jak stoisz z czasem? - pyta Carson Toma, odwracając się do niego i stukając go w kolano.

- Zaraz po telefonie Franceski powiedziałem w operacyjnym, że biorę dziś wolne - odpowiada podekscytowany Tom.

- Świetnie.

Wpatruję się w Carsona zszokowana.

- Dobrze usłyszałam? Rezygnujesz z filmu?

- Właśnie tak. To już postanowione. Przez dzisiejszy dzień i przez to, co wydarzyło się wcześniej, zobaczyłem pewne sprawy w innym świetle. To jest właśnie jedna z tych spraw. Co powiecie na lunch?

- Nie da rady - odpowiadam, oszołomiona tym, co właśnie usłyszałam. - Mam mnóstwo roboty. Muszę załatwić bilety lotnicze dla Caroline i parę innych rzeczy. Powinam wracać.

- Francesco, naprawdę bardzo cię proszę: weź do końca dnia wolne, żebyśmy mogli wspólnie uczcić przyjście na świat małej Rosie - o wadze siedmiu funtów i trzech uncji - a jeśli Cas będzie się krzywić, wytłumaczę jej, że to był mój pomysł.

- Zgoda - przytakuję, chichocząc, szczęśliwa, że Carson przekonał mnie do swojego pomysłu, bo ostatnią rzeczą, na jaką mam w tej chwili ochotę, jest tak przyziemna czynność, jak załatwianie samolotu do Stanów dla Caroline. Szukam w torbie komórki i zastanawiam się, dokąd pojechać.

- Szlag, dopiero sobie uświadomiłem, że pewnie chcecie być sami. Przepraszam, bałwan ze mnie. Odwieź mnie do domu, Fran - mówi Carson z wyrozumiałością.

Głupio mi - nie wiem, co powiedzieć, żeby nikogo nie urazić. Na szczęście Tom potrafi odnaleźć się w każdej sytuacji.

- Nie ma mowy, Carson, nie po tym, co dopiero przeżyliśmy. Uczymy to razem podczas lunchu, a potem, jeśli dopisze mi szczęście, spędzę z piękną Francescą wieczór sam na sam.

Carson uśmiecha się do mnie jak uczeń, po czym zмага się z zapiętym pasem, żeby odwrócić się do Toma, wsunąć dłoń między oparcia i uścisnąć mu rękę.

Wzruszają mnie słowa Toma, a jednocześnie ogarnia mnie zdumienie na myśl, że Tom, który gwiazdy filmowe ma głęboko w nosie, najwyraźniej zapalał do Carsona aż taką sympatią, że ma ochotę zjeść z nim lunch. Świetnie się składa, może wreszcie zrozumie, czemu pociąga mnie świat Caroline i Carsona, tym bardziej że osobowość Carsona wywiera na ludzi, z którymi się styka, ogromny wpływ. Oczywiście po wizycie w szpitalu grono jego fanów poszerzyło się o większość oddziałowych lekarzy i pielęgniarek, pacjentek oraz Paula i Elle, którzy - choć poznali go w zupełnie nietypowych okolicznościach - całkowicie ulegli jego urokowi. Mało tego, nawet Rosie przestała płakać, kiedy Carson wziął ją na rękę.

- Wiem, gdzie zjemy lunch - mówię, uśmiechając się do Toma w lusterku.

- To kawałek drogi stąd, ale po pierwsze, już najwyższy czas, żeby Tom się tam wybrał, po drugie, dostaniemy najlepszy stół, a po trzecie, Carson będzie mógł zjeść w spokoju.

Wykonuję szybkie telefony do Sabiny i Abbie, żeby powiedzieć im, że zostałyśmy ciotkami, uruchamiam silnik i jadę do Teddington.

Rozanielona przysłuchuję się, jak panowie rozmawiają o pracy Toma, Cameronie, piłce nożnej i rządzie.

Dojeżdżamy do restauracji „Massi's” pod koniec pory lunchowej; w lokalu zostało jeszcze kilkoro gości, którzy dopijają kawę. Po chwili dostrzega nas Angelo (odkąd pamiętam, pracuje u taty jako kelner) i wita nas po królewsku, jak wszystkich klientów.

Angelo jest pewnie jedyną osobą na ziemi, która nie ma pojęcia, kim jest Carson. Całuje nas wszystkich w oba policzki, po czym pędzi do kuchni po mojego ojca, a ten na mój widok cieszy się jak dziecko. Ciepło wita się z Tomem i Carsonem, po czym przekonuje nas, żebyśmy niczego nie zamawiali i zdali się na niego - przygotowuje nam półmisek pyszności.

Ojciec nie kryje, że to dla niego „wyjątkowa radość i zaszczyt” gościć Carsona i pyta, czy może zrobić sobie z nim zdjęcie - chciałby je oprawić i powiesić obok fotek z Keithem Barronem z *Duty Free* i Valerie Singelton. Rozradowany Carson przytakuje. Tata zwraca się do Toma:

- Dbasz o moją małą?

- Tato - protestuję, czując się jak dwunastolatka.

Tom i Carson śmieją się, ojciec, rozanielony, klepie Toma po plecach.

- Wyglądasz na porządnego gościa. No dobra, jesteście jeszcze głodni?

Czegoś wam donieść? Pasty? Ryby? Mięsa? Mówcie, na co macie ochotę.

- Sam zdecyduj. Możemy jeszcze trochę wina?

- Oczywiście. Przyniosę czerwone - na pewno wam zasmakuje.

Ma rację, jest wspaniałe. Próbuję się wymówić od drugiego kieliszka, ale Carson protestuje.

- Pij, Francesco. Wrócimy taksówkami, ja stawiam.

- Nie ma mowy - protestujemy oboje z Tomem.

Carson patrzy na nas i mówi ze śmiertelną powagą:

- Pozwólcie mi, proszę. To naprawdę drobiazg. Sama wspomniałaś, Fran, że zgarniam dwadzieścia milionów za film. W zeszłym roku zarobiłem co najmniej sześćdziesiąt milionów i to nie licząc zysków z biletów. Dwie taksówki to żaden problem, serio.

Oburzająca wypowiedź Carsona wywołuje nasz gromki śmiech.

Przystajemy na jego propozycję, dziękujemy, zapewniamy, że chętnie z niej skorzystamy.

Lunch jest przyjemnym wydarzeniem, do tego suto zakrapianym.

Wszystkich nas poruszyły narodziny córki mojej przyjaciółki, ale wypadki dzisiejszego popołudnia największy wpływ wywarły chyba na Carsona, który zachowuje się wręcz, jakby doznał objawienia: kiedy talerze z przystawkami, makaronem, mięsem i sałatą zostają opróżnione i uprzątnięte, Carson raptem poważnieje.

- Francesco, Tomie, pozwólcie, że coś wam powiem.

- Oczywiście - odpowiada Tom, który pochłonał imponującą ilość jedzenia, co nie uszło uwagi mojego dumnego ojca.

Odstawiam kieliszek, wyczuwając, że Carson powie coś ważnego. Dziwi mnie, że jest odrobinę wstawiony.

- Przez ostatnie siedem lat - zaczyna Caron ze wzruszeniem - tylko jedna osoba wywierała na mnie dobry wpływ. Tylko jedna osoba chciała tego, co dla mnie najlepsze, i zawsze kierowała się moim najlepszym interesem.

- Kto to taki? - pyta Tom.

- Oczywiście moja najdroższa Steph, którą kocham całym sercem.

Ta odpowiedź wprawia Toma w niemąłą konsternację, ale nie przerywa on Carsonowi, żeby domagać się wyjaśnień.

- Wielokrotnie rozmawialiśmy o tym, jak by to było zacząć od nowa, jak by to było, gdybym przestał grać i generalnie dał sobie spokój z Hollywood. Zastanawialiśmy się, jak wszystko by wyglądało, gdybyśmy żyli jak mąż i żona z naszym synem, gdybyśmy powiedzieli całemu światu, że

się kochamy. Rzecz w tym, że Steph nigdy nie próbowała mnie do tego przekonać, bo ona nie ma w sobie krzty egoizmu. Chyba martwiła się, że to, czego chce ona, niekoniecznie jest tym, czego pragnę ja, i bała się, że dla niej musiałbym z wielu rzeczy zrezygnować. Pod pewnymi względami ma rację - na pewno by tak było.

Zerkam na Toma, który wpatruje się w Carsona jak urzeczony. Wcale mu się nie dziwię. Carson potrafi hipnotyzować, a choć dopiero zaczął, nie mam złudzeń, że właśnie wygłasza mowę godną Oscara.

- Przepraszam was - mówi Carson. - Zagalopowałem się. Chryste, czemu wstawiam się tylko wtedy, kiedy piję z Brytyjczykami?

- No to czemu tego wszystkiego nie rzucisz? - pytam, usiłując nie zgubić wątku.

- Próbuję tylko powiedzieć, że mamy wspaniałe życie i że wybraliśmy opcję, która wydawała się łatwiejsza - mówi Carson ostrożnie. - Zarabiam krocie i przyznaję, że parę lat wstecz cały ten blichtr sprawiał mi sporo frajdy. Ale już nie sprawia. Mam tyle kasy, że sam nie wiem, co z nią zrobić. Zresztą Caroline i tak wydaje forszę szybciej, niż ja ją zarabiam. Kiwam głową. W końcu sama jestem tego świadkiem. Carson opróżnia kieliszek, po czym natychmiast go uzupełnia.

- Potężna część tego, co zarabiam, idzie na agenta, menedżera, gościa od kontaktów z mediami, ludzi, którym płacę za to, żeby za mnie decydowali o moim życiu. Chyba od zawsze czułem się za tych ludzi odpowiedzialny, zawsze byłem lojalny względem tych, którzy przez te wszystkie lata kierowali moją karierą. Tylko może tę lojalność źle ulokowałem?

Zerkam na Toma - jest zdeorientowany, ale niewątpliwie zaintrygowany. Domyślam się, że usiłuje zrozumieć, o co chodziło Carsonowi, gdy mówił o Steph.

Carson bierze głęboki oddech.

- Dziś, Francesco, w drodze do szpitala, powiedziałaś mi kilka prostych prawd. Może twoje słowa przypomniały mi pewne aluzje Steph sprzed lat. Z tym że ona była subtelna, a ty brutalnie szczerza. Nie powiem, na początku nie byłem zachwycony, ale może właśnie tego mi było trzeba? Rumienię się.

- Po raz pierwszy od lat poczułem, że ktoś mówi mi coś zupełnie bezinteresownie. Ktoś mówi mi prawdę prosto w oczy. Jeśli faktycznie się wycofam, jeśli wszystko rzucę, to na twoje życie nie będzie to miało żadnego wpływu. Nie masz żadnego ukrytego interesu, nie jesteś bezpośrednio uwikłana w cały ten skomplikowany bajzel, jakim jest moje życie. Nie podlizujesz się, nie przytakujesz wszystkiemu, co mówię, przypominasz mi, że mam szczęście, a przede wszystkim - że mam wybór. Widzisz, Fran, masz rację, show-biznes jest super - narzekając, za nic nie chciałem tego zanegować. Praca w show-biznesie to największy przywilej, jeśli ma się szczęście i osiąga sukcesy. Człowiek dostaje gigantyczne pieniądze za to, żeby grać - żeby się przebrać i udawać kogoś innego - to wielka frajda, a do tego - powiedzmy sobie szczerze - najbardziej rozrywkowy zawód na świecie. I te wszystkie korzyści! Wożą cię, dbają o ciebie, zasypują prezentami. Chwalą cię i oklaskują za to, że zapewniasz ludziom rozrywkę, za to, że widzowie cię uwielbiają. Tylko że wszystko na nic, jeśli człowiekowi zabraknie fundamentu, jeśli nie znalazł płaszczyzny, z której może się cieszyć sukcesem. Ludzie, którym oddaję dwadzieścia procent swoich dochodów, nie pozwolą mi nawet o tym pomyśleć; stale przypominają, że jestem coś winien fanom, im, swojemu talentowi. Moje życie prywatne się nie liczy. Czemu tak mówią? Bo tak im na mnie zależy? Bo uwielbiają moje filmy? Nie. Bo dostają dwadzieścia procent, a to, co jest dobre dla mnie, Camerona i Steph, zupełnie ich nie obchodzi.

Stało się. Carson jeszcze o tym nie wie, ale właśnie przeżywa spektakularny dzień przeznaczenia. Tom delikatnie ujmuje i ściska pod stołem moją dłoń. Carson mówi dalej:

- Byłem dziś w szpitalu, który zupełnie nie przypomina tych, do których zdążyłem przywyknąć, jak Cedars Sinai. Widziałem, jak ciężko pracują lekarze i pielęgniarki. Ich praca jest tak ważna, a jednak mało kto się nad tym zastanawia. Wiem już, dlaczego przestałem doceniać to, co mam - bo co za dużo, to niezdrowo. Jeśli sława to tort, to ja zjadłem o jeden kawałek za dużo. Jest mi niedobrze, chcę zjeść coś normalnego. Krótko mówiąc, przedawkowałem Hollywood, a teraz chciałbym poświęcić się czemuś bardziej wartościowemu. Chciałbym odzyskać coś, co kiedyś miałem. Widzisz, Fran, uświadomiłaś mi, że mogę to zrobić. Kazałaś mi odpowiedzieć na pytanie, co mnie powstrzymuje i czy jestem ze sobą szczery.

Czuję, że zbliżamy się do punktu kulminacyjnego; ani Tom, ani ja nie zakłócamy potoku myśli Carsona, słuchamy uważnie, bez reszty pochłonięci tym, co mówi.

- Na całym świecie mam posiadłości warte miliony dolarów. Mam na koncie tyle pieniędzy, że do końca życia nie muszę się o nic martwić. Sam już nie wiem, na co je wydawać. Żyję z kobietą, której nienawidzę i której w najmniejszym stopniu nie obchodzę.

- Steph? - pyta zdezorientowany Tom, który rozpaczliwie usiłuje się nie pogubić.

- Nie, Caroline. Patrzyłem dziś, jak przychodzi na świat dziecko, i zastanawiałem się, jak możemy tak krzywdzić Camerona. Steph jest jego matką i on ma prawo o tym wiedzieć. Najwyższy czas, żebym wreszcie zrobił to, co powinienem był zrobić dawno temu. Zostawię Caroline i poproszę matkę mojego dziecka, żeby za mnie wyszła. Potem usiądę z Cameronem i odbędę z nim bardzo długą rozmowę, i będę się modlił, żeby nam wszystko wybaczył. A potem zajmę się resztą spraw. I nie będę już marnował czasu na spełnianie

oczekiwać ludzi, którzy nic dla mnie nie znaczą. Dziękuję ci, Francesco. Bardzo ci dziękuję, bo pomogłaś mi dostrzec coś, co powinienem był zobaczyć dawno temu. Już czas, żebym zmienił swoje życie, czas, żebym zrobił coś, co naprawdę ma znaczenie. Zacznę od razu - wypiszę czek na milion dolarów dla szpitala, w którym urodziła się Rosie. Jesteśmy z Tomem zbyt zdumieni, żeby coś powiedzieć, z otwartymi ustami wpatrujemy się w Carsona, który wyjmuje książeczkę czekową i wypisuje sumę z porażającą liczbą zer. Uświadamiam sobie, że zupełnie nie doceniałam Carsona Adamsa i właśnie wtedy podchodzi mój ojciec i pyta, czy mamy ochotę na tiramisu.

32

Pod restaurację podjeżdżają taksówki, a mnie robi się smutno na myśl o pożegnaniu z Carsonem. Ze łzami w oczach życzę mu wszystkiego najlepszego i przytulam go mocno, w duchu zaklinając go, aby znalazł w sobie siłę, by zrealizować to, co postanowił, i wbijając sobie do głowy, żeby przekazać czek szpitalowi. Carson wylatuje dziś wieczorem do Los Angeles - obiecuje, co prawda, że będziemy w kontakcie, ale ja dobrze wiem, że nasze światy są tak odległe, że jest to po prostu nierealistyczne. Następuje krótka wymiana męskiej czułości - Tom i Carson przez chwilę poklepują się po plecach - po czym nasz sławny przyjaciel znika. Wsiadamy z Tomem do drugiej taksówki i jedziemy do mojego mieszkania. Wreszcie dotarły do mnie wydarzenia dzisiejszego dnia, dotarło też, ile wypiałam - z jednej strony chce mi się spać i strasznie mnie suszy, z drugiej, czuję się dziwnie ożywiona. W drodze powrotnej do Clapham odpowiadam na wszystkie pytania Toma, uzupełniając luki

w opowieści Carsona. Wtulam się przy tym w mojego mężczyznę, usiłując dać mu do zrozumienia, że mam dziś ochotę na czułości. Tom łapie aluzję, bo przez ostatnie piętnaście minut drogi nie może oderwać ode mnie rąk. Oboje marzymy o tym, żeby wreszcie znaleźć się w sypialni; ledwie się powstrzymuję przed powiedzeniem kierowcy, żeby sobie wsadził ten zasrany rachunek gdzieś - wypisuje go całą wieczność, nawet kwotę gryzmoli słownie.

Ten dzień był naładowany emocjami, kiedy wreszcie padamy na łóżko, musimy sięgnąć po rezerwy sił. To, co wyprawiamy w pościeli, to coś o potężnym ładunku namiętności - na jakiś czas myśli opuszczają moją skołowaną głowę, cała skupiam się na rozkoszach tego nagłego, wieczornego bzykania. W którymś momencie zbieram się na odwagę, żeby wypróbować tę pozycję, w której przed kilkoma miesiącami widziałam Carsona i Steph, ale Tom wygląda na nieco zszokowanego, więc rezygnuję. Poza tym wszystko idzie cudownie.

Leżymy później wtuleni, a Tom mówi, że jest ze mnie dumny.

- Że jak? - pytam rozmarzona, zastanawiając się przez chwilę, czy odnosi się do moich łóżkowych umiejętności.

- Najwyraźniej zrobiłaś na Carsonie potężne wrażenie, skoro pod wpływem tego, co powiedziałaś, postanowił zmienić swoje życie.

- Myślisz, że to zrobi?

- Tak. Chichoczę.

- Co jest? - pyta Tom.

- Nie mogę uwierzyć, że tak sobie przypadliście do gustu. Było podczas lunchu parę takich chwil, że zastanawiałam się, czy nie zostawić was samych. Czułam się trochę jak piąte koło u wozu.

Tom uśmiecha się.

- Moi kumple na pewno byliby pod wrażeniem, gdyby się dowiedzieli, że jestem teraz oficjalnym korespondentem

Carsona w sprawach piłki nożnej. Jak rozmawiałaś z ojcem, prosił, żebym esemesował mu do Stanów wyniki rozgrywek. Mejla też mi dał - za nic nie mogę się wygadać przed panienkami z pracy, bo gotowe mnie torturować...

W tym, co mówi Tom, jest sporo racji; przez chwilę obawiam się o jego bezpieczeństwo.

- A mówiąc poważnie, myślisz, że skończy z Caroline? -Tak.

Mam taką nadzieję. Zasypiam, rozmyślając o tym, jak mogłaby wyglądać scena rozstania.

Następnego dnia jak zwykle punktualnie zjawiam się w pracy - jestem mocno podekscytowana, nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć Lornie o wczorajszym dniu. Niestety, okazuje się, że nieprędko będę miała ku temu okazję, bo wkładając klucz do zamka, odbieram telefon, który nie dość, że całkowicie rujnuje mój nastrój, to jeszcze zwała mnie z nóg.

Odkąd zaczęłam tę pracę, nie przestaje mnie zdumiewać, jak szybko i często normalna sytuacja może się przeobrazić w totalny chaos. Szczerze mówiąc, mocno mnie to już męczy, a po wczorajszych wydarzeniach przydałoby się kilka dni nudy, porządna dawka normalnej, zwykłej codzienności. Ale to marzenie ściętej głowy - w końcu pracuję dla Caroline. Sprawdzam, kto dzwoni, niespecjalnie się dziwię, że to Leticia. W chwili, kiedy odbieram telefon, staje się jasne, że coś nie gra - natychmiast ogarnia mnie lęk.

- Francesca, musisz mi pomóc. Coś jest nie tak. Ona jakoś dziwnie oddycha.

- O, Boże. Jest przytomna?

- Tak, ale coś jej jest. Boję się, że to może być coś poważnego. Widzisz, leżałyśmy na kanapie, przytulałyśmy się, całowałyśmy, głaskałam ją po brzuchu...

Co z tymi ludźmi jest? Czy ja o wszystkim muszę wiedzieć?!

- ...aż nagle zauważyłam, że ona nieregularnie oddycha. Kazałam jej się przenieść do łóżka i teraz leży po cichutku...

- Psiakrew. Tylko spokojnie, wezwę lekarza. Jesteście u siebie?

- Tak. Fran, błagam cię, pospiesz się. Nie darowałabym sobie, gdyby coś jej się stało.

O, Boże. Leticia ma spokojny głos - to dobry znak, ale mówi „błagam cię” - to wróży jak najgorzej. Ogarnia mnie panika, nie chce mi się wierzyć, że muszę opanować kolejną kryzysową sytuację. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Wczoraj Caroline była zupełnie zdrowa. Może to wszystko przez złe wieści z Great British Films. Pędzę do gabinetu, rzucam torbę i gorączkowo przeglądam akta, szukając listy lekarzy, która - miałam nadzieję - nigdy się nie przyda. Jest.

- Dobra, Leticia, mam listę lekarzy, zaraz podzwonię, sprawdzę, który może najszybciej przyjechać. Powiedz mi jeszcze tylko, jakie dokładnie ma objawy.

- Tak, jak mówiłam - nieregularnie oddycha.

- Nieregularny oddech - zapisuję szybko, przytrzymując telefon brodą. - Co jeszcze?

- Gorące stopy.

- Gorące stopy? -Aha.

- Tylko stopy czy coś jeszcze? - dopytuję, żałując, że nie Leticia będzie to mówiła lekarzowi. Co za absurd - nawet kiedy sytuacja jest poważna, ona nie uważa za stosowne niczego samodzielnie załatwić.

- Jest coś jeszcze... Ma wyjątkowo śmierdzący oddech.

- Śmierdzący oddech? - nie mam pojęcia, czego to może być objawem.

Biedna Caroline.

- Dobra, dzwonię po lekarza, spotkamy się u ciebie. Coś mam jej przywieźć? Czystą podomkę? Cokolwiek?

- Podomkę? A po co Froo Froo podomka? - pyta zbara-niała Leticia. - Nic nie przywoź, tylko powiedz Caroline, co się dzieje, na pewno będzie chciała od razu do nas przyjechać.

O, Boże.

- Leticia - mówię powoli i z rozmysłem - myślałam, że mówisz o Caroline. Czemuś mi nie powiedziała mi, że chodzi o Froo Froo? Omal nie dostałam zawału.

Następuje chwila ciszy, po czym Leticia, która najwyraźniej nie jest w stanie dłużej trzymać nerwów na wodzy, wpada w coś, co można opisać wyłącznie jako histeryczny słowotok.

- Ależ ty potrafisz być wredną żołą, Fran! Co to miało znaczyć? Chcesz mi powiedzieć, że chorobę Froo Froo masz gdzieś? Aaaaa, nie wytrzymam. W dupie mam, co myślałaś. Mój pies jest chory, więc masz mi ściągnąć lekarza. I to już!

Jej pies jest chory, więc muszę jej darować obrzydliwe zachowanie. Z ciężkim sercem podnoszę słuchawkę telefonu stacjonarnego.

Właśnie puszczam z dymem randkowy bon ton - facet nie zdążył jeszcze odetchnąć po jednej awaryjnej sytuacji, a ja już dzwonię, żeby poinformować go o kolejnej. Na szczęście jeszcze nie zaczął operować, wraca do kliniki po wizycie domowej.

- Cześć, Tom, to ja, Francesca - zaczynam, lekko podenerwowana.

- Ojej, cześć. Właśnie o tobie myślałem. Wszystko w porządku? Ella się odzywała?

Słyszę radość w jego głosie. W przeciwieństwie do mnie, on trwa w cudownym nastroju po naszym wczorajszym romantycznym wieczorze.

Muszę mu go popsuć. Wpadam w słowotok.

-Jeszcze nie. Cholera, Tom, strasznie mi przykro, że znów zawracam ci głowę w pracy, domyślałam się, że masz już dość moich absurdalnych problemów, ale...

- Co tym razem? Nie mów, że kolejny poród.

- Nie, tym razem chodzi o psa. O coś, na czym się znasz. Z tego, co mówi Leticia, coś jest nie tak z jej psem, Froo Froo. Muszę coś szybko wymyślić... albo będzie źle. Nie znam żadnego weterynarza oprócz ciebie, więc muszę cię spytać, czy jest chociaż cień szansy, że mi pomożesz? Moglibyśmy się spotkać w mieszkaniu Leticii w Notting Hill?

- Ten pies na pewno ma swojego weterynarza - mówi Tom stanowczo. - Naprawdę będzie lepiej skontaktować się z lekarzem, który zna... Jak jej tam, Froo Froo?

-Tak.

- No właśnie. Zadzwoń do weterynarza, który ma jej kartę...

Tom mówi bardzo rozsądnie, a mnie rozprasza nagle przedziwny widok - przystając zdumiona, wyłączam się. Przez okno gabinetu widzę, jak w stronę domu biegnie Caroline, a za nią jej osobisty trener. Samo to, że uprawiają jogging, nie jest niczym dziwnym; chodzi o to, że dziś Caroline biegnie jak wariatka. Młóci rękami i nogami, a głowa lata jej na wszystkie strony, jakby za chwilę miała odpaść. Gdybym nie była zestresowana, ryknęłabym śmiechem. Uświadamiam sobie, że Caroline biegnie w takt muzyki, i albo jest to jakiś porąbany, pobudzający kawałek, albo ona ma poważne zaburzenia rytmu.

- Mam dziś kupę roboty. Poza tym nie bardzo rozumiem, czemu aż tak się przejmujesz, skoro tak naprawdę to nie twój problem. Możesz mi powiedzieć, czemu ona automatycznie dzwoni do ciebie, skoro... - Tom mówi dalej, ale nie jestem w stanie skupić się na rozmowie.

Pan Mięśniak - trener Caroline - pali się ze wstydu, będąc w miejscu publicznym z babką, która sprawia wrażenie umysłowo chorej i specjalnie wlecze się za nią w pewnej odległości, z wyrazem bólu na masywnej twarzy. Caroline najwyraźniej ma to gdzieś, jest zbyt pochłonięta muzyką, która dudni jej w uszach - oho, teraz leci kulminacyjny fragment:

Caroline wali w wyimaginowane bębny. O, rany, a teraz wymachuje w powietrzu pięściami. Gdzie są paparazzi, kiedy są tak potrzebni?! Wszystkich nas czasem ponosi muzyka, ale pozwalamy sobie na to raczej we własnej kuchni, a nie na ulicy, w świetle dnia. Fakt, czasem dajemy się złapać w samochodzie. Nagle puszczają w radiu jakiś genialny kawałek, nam wydaje się, że jesteśmy sami, choć tak naprawdę mamy widownię w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Ale żeby dać się tak ponieść podczas joggingu? Co to, to nie.

Caroline już dobiega pod numer czterdziesty siódmy, lekko trąca oszołomionego przechodnia, wbiega po dwa schodki naraz i wpada do środka.

Tymczasem Tom nadal usiłuje spokojnie mnie przekonać, że Leticia powinna zadzwonić do swojego weterynarza.

- Ba, ba, ba, ba, ba, ba. Kurwa, jaka muza, Francesco! Jak to dobrze, że cię złapałam. Od rana słucham iPoda Carla... - Caroline milknie na sekundę, żeby wykonać pa-jacyka z imponującym rozkrokiem. - Ja pierdziele, ale mnie rozpiera energia!

- Tak, tak... Przepraszam, Caroline, rozmawiam przez telefon.

- Oj, weź się przymknij. Czasem gadasz bez sensu. Mogłabyś chociaż raz nie przynudzać? Carl ma niesamowite kawałki, *Ibiza anthems* - musisz mi je zgrać. Dopisz to do dzisiejszej listy, na samej górze. Dlaczego ja nie mam w iPodzie nic house'owego? - Caroline pyta ze złością, jakby to była moja wina i powinnam mieć z tego powodu wyrzuty sumienia.

Carl, który właśnie przybiegł za swoją porąbaną panią, przystanął z tyłu w nadziei, że odzyska iPod, widząc, że mu niezręcznie.

- Caroline - mówię do niej, zerkając na zegar i aż zamieram z przerażenia. Mam ochotę zjeść kolację, wychylić kieliszek wina i iść wcześniej spać, a tymczasem jest dopiero

kwadrans po dziesiątej. - Chodzi o Froo Froo. Niedobrze z nią.

- Co jej jest? - pyta rozkazująco. Przestaje podskakiwać i usiłuje przybrać zatroskany wyraz twarzy, co w ogóle jej nie wychodzi.

Widzę na jej czole kilka różowych punktów, które zdradzają, że wczoraj miała zabieg. Sądząc po jej zachowaniu, oprócz jadu kiełbasianego wstrzyknęli jej coś jeszcze - faza wariackich podskoków dobiegła końca, znów objawia się stara Caroline.

- Szlag, Ticia będzie się teraz zamartwiać - wzdycha, choć raczej nie z powodu niepokoju o emocjonalny stan swojej dziewczyny, tylko ze złości, bo ta sytuacja może oznaczać, że Caroline będzie musiała okazać Leticii wsparcie. - Nie do wiary. Wreszcie mam chwilę dla siebie, wreszcie jest mi dobrze, a ty od razu musisz wszystko zepsuć złymi wiadomościami - fuka, trzymając ręce na biodrach. - No i co zrobisz w sprawie Froo Froo?

- Tom - błagam go po cichu przez komórkę, którą cały czas trzymałam przy uchu. - Proszę cię.

Tom wzdycha przeciągle.

- Mogę przełożyć następną wizytę, ale za półtorej godziny muszę być w klinice.

- Dziękuję ci, dziękuję! - wybucham radością.

- Daj mi adres, już jadę - odpowiada oficjalnym tonem. Czterdzieści minut później Tom, Caroline i Leticia stoją

zebrani nad łóżem Froo Froo w okazałym apartamencie Leticii w Notting Hill. Mówiąc „łóże”, wcale nie żartuję. Małe, kudłate, niepozorne stworzenie wyleguje się na gigantycznym łóżku z czterema kolumnami, w ekskluzywnej pościeli Cologne and Cotton, podparte co najmniej ośmioma wielkimi, kwadratowymi poduchami. Bosko.

Koszmarne parka ogranicza się do warczenia rozkazów pod moim adresem, jęczenia jedna przez drugą i wydawania poleceń Tomowi. Froo Froo wpatruje się w nas złowrogo,

ma ten sam wyraz mordy, co zawsze, i wzrok, który mówi: „ta, jasne”. Całkowicie ją rozumiem. Jak się jest zwierzęciem Leticii, trzeba mieć w sobie sporo obojętności z domieszką wzdargy. W sumie jak się jest prywatną asystentką Caroline -też. Pomimo dziwacznych okoliczności strasznie się cieszę, że widzę Toma, ale on zdaje się mojej radości nie dzielić. Traktuje cały ten cyrk z pozorną obojętnością i spokojnie robi swoje, przerywając tylko po to, by morderować Caroline spojrzeniem za każdy grubiański tekst. To oznacza, że wpatruje się w nią właściwie cały czas, więc nie ma chwili, żeby zerknąć na mnie. Defensywną pozycją (zajmując się Froo Froo, odwraca się do mnie plecami) i rozmyślnym skupieniem jasno daje mi do zrozumienia, że bardzo niechętnie wyrwał się z pracy, żeby mi oddać kolejną przysługę. To całkiem zrozumiałe. Dobrze wiem, że pewnie przekroczyła pewną granicę, oczekując, że przyleci jak na skrzydłach, żeby ratować mnie z kolejnej kabały, ale miło by było zobaczyć tego szczęśliwego Toma, którego zostawiłam dziś rano w łóżku. Coś mi się widzi, że nie przestanie się złościć, dopóki nie uzna z satysfakcją, że dotarło do mnie, co on o tym wszystkim myśli.

Sama się temu dziwię, ale jestem zazdrosna o psa. Froo Froo jest wyłącznym obiektem uwagi i czułości Toma i to pomimo odrażającego oddechu. Leticia nie przesadziła.

- Nic jej nie będzie - mówi Tom, po raz ostatni głaszcząc Froo Froo. - To zwykłe przeziębienie. Problem w tym, że pani suczka się starzeje, przydałoby się jej więcej ruchu. Jak często ją pani wyprowadza? Leticia wbija wzrok w Toma, rumieni się, a jej twarz wykrzywia wściekłość.

Caroline postanawia się wtrącić.

- Ticia wychodzi z psem tak często, jak tylko pozwala jej napięty grafik, prawda, kochanie?

- Prawda.

- Rozumiem, ale obawiam się, że to za mało - mówi sucho Tom. - Jak wyzdrowieje, powinna spacerować co najmniej godzinę dziennie - musi schudnąć i odzyskać formę.

Tom pakuje przyrządy do zniszczonej, czarnej skórzanej torby, po czym wkłada kurtkę.

Tak chłodnego i naburmuszonego Toma jeszcze nie widziałam - nie powiem, jest całkiem pociągający. Będę musiała mu to jakoś wynagrodzić, bo w końcu to przeze mnie jest teraz w podłym humorze, ale gdzieś w głębi cieszę się, widząc, jak obchodzi się z Caroline i Leticją bez żadnych ceregieli. Jest w tym wyjątkowo zniewalający - w taki bardzo brytyjski, chłodny sposób. Temu facetowi będę kiedyś chciała urodzić dzieci.

- Godzinę dziennie?! - wykrzykuje zdumiona Leticja, jakby Tom właśnie kazał jej wyłupać sobie oczy zardzewiałym gwoździem.

- Tak, godzinę dziennie - powtarza Tom twardo, okazując lekkie zniecierpliwienie. Potem, zapiąwszy kurtkę, chłodno się żegna, niemal nie zwracając na mnie uwagi. Na chwilę ogarnia mnie irytacja. Trzeba bardzo uważać, żeby nie pomylić tych dwóch rzeczy: dać coś komuś do zrozumienia a zachować się jak świnia. Nie żegnając się ze mną, on to właśnie zrobił. Ma prawo mieć mnie powyżej uszu, ale nie lubię, kiedy ktoś tak mnie traktuje. Gdyby mój ojciec był Brytyjczykiem i ktoś przypiekał mu tyłek żywym ogniem, to w tej chwili Tom przypominałby mi ojca. Poza tym okoliczności faktycznie nie są sprzyjające, ale w końcu dziś poznał moją szefową i nawet nie silił się na uprzejmość, a powinien, choćby ze względu na mnie.

Caroline patrzy na Toma przez zmrużone oczy. Bezbłędnie rozpoznaje tę minę. Przypiekał jej do żywego.

- Jak się pan nazywa? - pyta Toma, który zmierza do wyjścia.

- Tom Worthington - odpowiada Tom, na szczęście mając w sobie dość przyzwoitości, żeby się odwrócić.

- Widzisz, Tom - sączy jad Caroline - nie mam pojęcia, skąd cię Francesca wystraszyła, ale dla twojej wiadomości, ludzie naszego pokroju nie mają tyle czasu, żeby godzinami bez sensu włóczyć się po parku. Tacy jak my mają kalendarze wypełnione po brzegi. Froo Froo będzie wyprowadzana, ale przez moją asystentkę, bo od tego ludzie tacy jak my mają takich ludzi jak Francesca.

No, po prostu, kurwa, cudownie - myślę sobie ponuro. Tom jest wściekły.

- To chyba zależy od takich ludzi jak Francesca, prawda? Przez chwilę wpatruje się w Caroline. Jego oczy ciskają błyskawice.

Nawet Caroline przez chwilę odbiera mowę.

- Tak... To prawda... Do widzenia. Proszę przysłać fakturę. Tom nie raczy jej odpowiedzieć. Nie odwraca się, idzie do drzwi.

Zrywam się na równe nogi. Nie mogę tak mu dać wyjść. Pędzę za nim.

- Caroline, dam mu adres do faktury - rzucam i nie czekam na odpowiedź.

- I powiedz mu, że to zależy ode mnie, nie od ciebie -wypala Caroline poniewczasie.

Na dworze jest zimno i mokro. Rozglądam się, widzę Toma po drugiej stronie, już wsiada do samochodu. Jestem rozczarowana i zdezorientowana. Liczyłam na to, że będzie na mnie czekał. Chciałam, żeby domyślił się, że za nim biegnę.

- Tom! - krzyczę.

Podnosi wzrok, ale zamiast do mnie podejść, kręci głową i zapina pas.

No nie, tego nie zniosę. Jak śmie mnie ignorować? Co, do jasnej cholery, w niego wstąpiło?

- Tom! - wrzeszczę raz jeszcze, tym razem głośniej, rozglądam się, czy nic nie jedzie i pędzę na drugą stronę, żeby domagać się od niego wyjaśnień.

- Tom, co ci jest? Czemu mnie olewasz? Wiem, że oddałeś mi ogromną przysługę, ale jeśli przez to masz taki koszmarny humor, to trzeba było nie zawracać sobie głowy. Nie wiem, czym sobie zasłużyłam na takie traktowanie. Wiesz, jak mi jest teraz do dupy, zwłaszcza po zeszłej nocy? Przerzywam, żeby złapać oddech. Nic, koszmarna ściana ciszy.

Mija wieczność, wreszcie doczekuję się werbalnej reakcji, ale Tom trzyma rękę na kluczyku w stacyjce, jasno dając do zrozumienia, że jest już gotów do drogi.

- Naprawdę nie rozumiesz, Francesco?

- Czego? Co ja takiego, psia mać, zrobiłam, że się tak wkurzyłeś?

Tom wzdycha. Już nie jest wściekły. Jest zrozpaczony. Teraz to naprawdę mam w głowie bajzel.

- Co takiego?! - ponawiam pytanie. - Nienawidzę, jak mi to, kurwa, robisz: jestem wkurwiony, ale nie powiem ci dlaczego. Doprowadzasz mnie tym do szału, czemu po prostu nie powiesz, o co ci chodzi?!

- Bardzo proszę - wrzeszczy Tom. Jestem w szoku, że spełnia moje polecenie. - Powiem ci dokładnie, o co chodzi, chociaż nie wierzę, że naprawdę myślisz, że się wkurwiam za przysługę.

Wzruszam ramionami.

- Mam wrażenie, że ty czasem niczego nie rozumiesz. I powiem ci szczerze, że na początku wcale nie zamierzałem ci pomóc - dopiero kiedy usłyszałem, że Caroline traktuje cię jak śmiecia, zmieniłem zdanie, bo wiedziałem, że będziesz miała kłopoty. Sam podjąłem tę decyzję, więc nie mogę się na ciebie złościć. Ale nie spodziewałem się, że to, co usłyszałem rano przez telefon, to tylko mizerna próbka możliwości Caroline, i teraz zastanawiam się, czy ja ciebie w ogóle znam.

- Co ty wygadujesz? - pytam spanikowana. - Co takiego wydarzyło się w ciągu kilku godzin, żebyś zupełnie zmienił o mnie zdanie?

Na twarzy Toma maluje się straszliwa gorycz.

- Francesco, spędziłem z tobą cudowne pół roku, ale właśnie w chwili, kiedy sądziłem, że poznałem cię dość dobrze, nagle okazało się, że nie mogę być tego pewien. Dobrze wiesz, że nie mogę znieść, jak się zrywasz na każde pstryknięcie Caroline, ale do tej pory nigdy nie widziałem was razem. Dzisiaj po raz pierwszy widziałem cię w towarzystwie tych obrzydliwych, głupich bab i naprawdę nie wiem, czemu się dziwisz, że poczułem się nieswojo.

- No, nie - oceniasz mnie, bo to one są okropne? Aleś wymyślił - mówię rozgorączkowana, odwracając się, żeby nie widział, jak z oczu płyną mi łzy. Nie zniosę tego. Dlaczego zachowuje się jak świnia?

Tom rozpiną pas i wysiada z samochodu. Łapie mnie za łokcie i zmusza, żebym spojrzała mu w twarz.

- Francesco, opowiadałaś, jak obrzydliwa potrafi być Caroline, ale zawsze mówiłaś o tym w zabawny sposób. Dziś na własne oczy zobaczyłem, jak ta kobieta cię traktuje. To straszliwa chamka, która do tego tobą pomiata, a ty jej na to pozwalasz.

Nie mogę przestać płakać. Nie panuję nad sobą.

- Najgorsze w tym wszystkim jest to, że się w ogóle nie bronisz. Ona ma cię za gówno przyklepione do buta, a ciebie to w ogóle nie rusza, jakbyś przyzwyczaiła się do takiego traktowania i uważała je za normalne.

- Na miłość boską - przerywam mu z wściekłością - przestaniesz po mnie jeździć? Nie jest aż taka straszna. Dobrze wiem, że potrafi wygadywać koszmarnie rzeczy, ale to nie ma znaczenia. To idiotka, krowa, która dużo ryczy. Gdyby raniła moje uczucia, pewnie bym protestowała, ale tak nie jest. To, co mówi, zwyczajnie po mnie spływa, a najczęściej po prostu mnie bawi.

- Wiem, już mi to mówiłaś. Tylko wiesz co? To nie jest zabawne.

Płaszczenie się przed idiotką nie jest śmieszne. Nie jest, rozumiesz? Nie mam pojęcia, czemu to znosisz. Jedyne,

co przychodzi mi do głowy, to twoja niepojęta obsesja na punkcie sławy. Moja kolej na wybuch wściekłości.

- Jak śmiesz mnie pouczać? Po pierwsze, nie mam obsesji na punkcie sławy, po drugie, gdybym nawet miała, to wcale nie byłaby niepojęta, bo pieprzona sława i wszystko, co się z nią wiąże, jest dużo ciekawsze od wielu innych rzeczy, jak choćby zaszranego noża. Fakt, Caroline bywa wredną małą, ale przynajmniej nikt mi nie powie, że mam nudną pracę.

Leci mi z nosa, a ja nie mam chusteczki. Zimno mi, wybiegłam bez płaszcza. Pociągam nosem i ciągnę watek.

- Wiesz, ile osób chciałoby być na moim miejscu? Dostaję pieniądze za to, żeby przebywać z gwiazdami filmowymi i wiesz co? Kasa też jest ważna. Nie będę wydziwiać tylko dlatego, że ty nie możesz zdzierżyć mojej szefowej, która jest inna niż wszyscy. Zanim dostałam tę pracę, byłam bez grosza, a teraz nieźle zarabiam. Mogę trochę pocierpieć.

Tom wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

- Dobrze wiem, że to twoja praca, ale mam uwierzyć, że nie mogłaś znaleźć innej? Że nie miałaś innego wyjścia, jak robić za popychadło Caroline? A co z twoim pisaniem? Masz talent, lubisz to - czemu nawet nie wzięłaś tego pod uwagę?

No, bosko. Oto Tom przeobraził się w mojego doradcę do spraw kariery - jakoś nie przypominam sobie, że bym prosiła go o radę.

- Czy ty masz pojęcie, jak trudno jest się przebić? Opublikowanie czegokolwiek graniczy z cudem!

- Czemu od razu wpadasz w taki defensywny ton? Próbuję ci tylko pokazać, że masz inne możliwości i ludzi, którzy mogliby ci pomóc. Carrie Anne zrobiłaby to z największą przyjemnością. Dopiero uświadomiłem sobie, dlaczego twoje przyjaciółki nawet nie próbują z tobą o tym rozmawiać - w odróżnieniu ode mnie od dawna wiedzą, że jesteś odurzona pragnieniem sławy.

Auć. Sukinsyn. Jak śmie mieszać do tego moje przyjaciółki?!

- Tylko dlatego, że tobie się wydaje, że zajmuję się czymś totalnie bezużytecznym, nie oznacza, że inni też tak myślą. Dla twojej wiadomości - przyjaciółki zawsze mnie wspierały. A prawda jest taka, że większość ludzi zazdrościłaby mi tej pracy.

Tom ma niesmak na twarzy, wsiada do samochodu.

- Nie rób tego. Nie zostawiaj mnie, dopóki się nie pogodzimy - mówię do niego z płaczem, ale jego to chyba już nie obchodzi.

- Nie rozumiesz, że to, co mówisz, jest żałosne? - pyta sfrustrowany. -

Naprawdę myślisz, że ktokolwiek zazdrościłby ci tej pracy, gdyby wiedział, na czym ona polega? Tylko kretyn by się z tobą zamienił, bo tu nie ma czego zazdrościć. Fran, musisz się szanować. Musisz zrozumieć, że jesteś kimś wyjątkowym, a to babsko, które wszystkimi pomiata, jest nic niewarte. Rozumiem, czemu ludzie szaleją na punkcie Carsona Adamsa. To świetny facet, on faktycznie jest gwiazdą. Ale ona? To po prostu koszmar... koszmar... - Tom wyraźnie zmaga się, szukając dobrego słowa - .. .pizda.

Zapina pas. Widać, że chce już odjechać.

- Załapałem docinek na temat mojej pracy. Tobie weterynaria może wydawać się koszmarnym nudziarstwem - rozumiem. A mnie znudziło się patrzeć, jak dziewczyna, którą miałem za twardą sztukę, zmienia się w tchórzliwego, powierzchownego mięczaka, i to na moich oczach.

- Czekaaj - wyję przez łzy. - Wczoraj mówiłeś, że jesteś ze mnie dumny. Może to jednak ty jesteś powierzchowny, skoro twoje odczucia zmieniają się z dnia na dzień?

- Byłem dumny, Francesco. Tak dumny, jak nigdy w życiu, a do tego szczęśliwy, że spotkałem kogoś tak wyjątkowego. Dzisiaj jestem straszliwie rozczarowany.

Tom odjeżdża. Zostaję sama na chodniku, w makabrycznym stanie. Myślę sobie, że właśnie przydarzył mi się dzień przeznaczenia, bez którego wolałabym się obejść.

33

Samochód Toma znika na horyzoncie, a ja stoję wbita w chodnik, sparaliżowana szokiem i smutkiem i usiłuję doszukać się sensu w tym, co się właśnie stało. Jestem do tego stopnia wytrącona z równowagi, że nawet mnie nie obchodzi, co sobie myśli Caroline, która - jasna sprawa - bardzo szybko sobie o mnie przypomina.

- Fraaaaaancescaaaaaaaa! - drze się po drugiej stronie ulicy. Gwałtownie odwracam się i widzę, jak pędzi przez jezdnię w moją stronę, wściekła jak diabli.

- Czemu to, kurwa, tak długo trwało? Masz na dzisiaj listę sprawunków długości metra, a ja nie płacę ci za to, żebyś się wymykała, żeby poflirtować z jakimś pieprzonym weterynarzem, więc masz natychmiast...

Podbiega do mnie, na chwilę przerywa potok bluzgów i dostrzega, co się ze mną dzieje. Jestem tak zapłakana, że z trudem łapię oddech, a w jej oczach na chwilę pojawia się zgroza, bo uświadamia sobie, że oto po raz drugi w ciągu jednego dnia będzie się musiała zdobyć na uprzejmość.

Widać, że nie ma pojęcia, jak się zachować, a mój stan najwyraźniej budzi w niej odrazę, ale ja niczego jej nie ułatwiam. Zwyczajnie nie jestem w stanie, czuję się, jakbym przestała normalnie funkcjonować. Stoimy tak, niezręcznie się w siebie wpatrując.

Caroline co rusz przymierza się, żeby coś powiedzieć, ale nic nie przychodzi jej do głowy, nie jest w stanie zdobyć się

nawet na proste „wszystko w porządku?”. Wreszcie jakieś słowa przechodzą jej przez gardło.

- Najwyraźniej coś jest nie tak. Może po prostu jedź do domu - wydusza z siebie w końcu, bardzo starając się robić wrażenie zatroskanej - bez skutku.

- Dziękuję - mamroczę. Nie mam siły oponować. Chyba obie wiemy, że do niczego już dzisiaj się nie nadam.

Jadę do domu, co oznacza, że Caroline nie musi już udawać przejętej, nie musi też maskować odrazy na widok mojej zasmarkanej twarzy, a ja mogę sobie pozwolić na bezproduktywność i łzy. Wszyscy dobrze na tym wyjdą.

Gdy nadchodzi noc, desperacko usiłuję zasnąć, żeby we śnie znaleźć pocieszenie, ale raz za razem odtwarzam w myślach scenę kłótni. Miotam się między poczuciem, że ja jestem obłudna, a Tom jest nadętym idiotą, który powinien iść po rozum do głowy, a wrażeniem, że jestem mizerną, głupiutką dziewczyną, która popełniła największy błąd, pozwalając mu odejść. Do tego koszmarnie mi wstyd. Nie wiem, czyje ego wytrzymałoby oskarżenie o to, że jest się podnóżkiem, pozorantem i tchórzem. Czuję się jak oskarżona i skazana za niedołęstwo - nie mogę wyjść z szoku.

Wiem, że pod pewnymi względami Tom miał rację. Pracuję dla Caroline już od jakiegoś czasu i faktycznie jest tak, że poziom jej chamstwa rośnie stale i skrycie - jak jakaś wstrętna plama. Z tym że to już zbyt stara plama, żeby dało się ją wywabić.

Caroline bez przerwy naruszała granice mojej tolerancji, sprawdzając, na ile może sobie pozwolić, a ja nigdy nie dałam jej do zrozumienia, że już dość. Jak dziecko brak granic uznała za zielone światło dla złego zachowania. Za to powinnam winić tylko samą siebie, ale nie potrafię nie obarczać winą Caroline. Może to irracjonalne, ale mam wrażenie, że ona zatruwa wszystko, czego się dotknie, i strasznie żałuję, że Tom ją poznał.

Z drugiej strony i tak uważam, że przesadził i że gdyby darzył mnie autentycznym uczuciem, to usiłowałby mnie zrozumieć. Skoro ja jestem w stanie zdzierżyć obrzydliwe zachowanie Caroline, to co komu do tego? Dopóki wytrzymuję w tej pracy i nie naśladowuję szefowej, to czy ma to jakieś znaczenie? Tylko o jednym staram się nie myśleć - o tym, czy między mną a Tomem to naprawdę koniec.

Rano budzę się niewyspana, nadal skołowaciała, ale przynajmniej wyplakałam już wszystkie łzy. Zwlekam się z łóżka i natychmiast sięgam po telefon. Żadnych wiadomości, nawet jednego, nędznego esemesa. Ściska mnie w dołku, w ustach niemal czuję smak rozczarowania. Odruchowo zaczynam szykować się do pracy - Caroline z pewnością spodziewa się, że przyjadę wcześniej i nadrobię wczorajszą nieobecność. Myślę sobie, że przynajmniej miała dość przyzwoitości, żeby wczoraj darować mi pracę, ale co tu kryć - nie doszłam jeszcze do siebie po gniewnym ataku Toma.

Ubieram się. Wczoraj poużalałam się nad sobą, a dziś muszę wziąć się w garść i oswoić się z tym, że Tom być może zniknął z mojego życia na zawsze. Jeszcze nie do końca sformułowałam tę myśl, a moja dolna warga już zaczyna niebezpiecznie drżeć. Chyba za wcześnie próbuję być dzielna; sprawdzam, jak mi idzie trwanie w depresji - znacznie lepiej. Zerkam w lustro. Wyglądam koszmarnie. Twarz mam ciastowatą i szarawą, spuchnięte oczy i skotłowany łeb - nie chce mi się nawet wejść pod prysznic, żeby doprowadzić się do porządku. Szlag, wczoraj wydawało mi się, że rano będzie lepiej. Muszę przyjąć do wiadomości, że wczorajszy dzień dowiódł ponad wszelką wątpliwość, jak bardzo zakochałam się w Tomie. Potrzeba będzie mnóstwa sił i samozaparcia, żeby wziąć się w garść - na pewno zdobędę się na ten wysiłek, bo nie wytrzymam długo w tym stanie. Poza tym tłumaczę sobie, że przecież Tom nie przekreśli tego, co mamy, tylko dlatego, że nie postawiłam się Caroline, więc

może po paru dniach, kiedy ochłonie, zadzwoni albo puści esemesa. Kurczowo trzymam się tej myśli. Oczywiście sama mogłabym do niego zadzwonić, ale przypominam sobie, że chociaż czasem daję sobą pomiatać, to jednak ocenił mnie pochopnie i niesprawiedliwie. Nie widzę więc powodu, dla którego to ja miałabym błagać o wybaczenie. Modłę się tylko, żeby przełknął dumę i wykręcił mój numer.

Dojeżdżam do pracy i ten jeden, jedyny raz widok stosu papierów na biurku mnie cieszy. Koszmarnie nudne, otepiające zajęcie to coś, czego mi trzeba, żeby choć na trochę uwolnić się od zamętu sprzecznych myśli i uczuć.

O wpół do dziesiątej słyszę odgłos klucza w zamku.

- Cześć, Lorna! - wołam zza biurka. Zdumiona staruszka zagląda do gabinetu.

- Wcześniej dziś jesteś, skarbie. Co tam?

- Muszę podgonić porządkowanie akt i listy wydatków Caroline.

Dopiero po krótkiej chwili uświadamiam sobie, że Lorna nie poszła do kuchni, tylko nadal obserwuje mnie, stojąc w progu.

- Francesco, wszystko w porządku? - pyta podejrzliwie.

- Jak najbardziej.

Spuszczam wzrok. Na pewno nie potrzeba mi teraz współczucia. Ale niełatwo zwieść Lornę. Wyczuwa, że coś jest nie tak, i po chwili przełącza się na tryb matki kwoki.

Pod wieloma względami Lorna jest całkowitym przeciwieństwem Caroline. Ma w sobie ogromne pokłady matczynej miłości, nie może znieść cudzego smutku.

- Skarbieńku, przecież wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć. Co z ciebie taki ranny ptaszek? Płakałaś? Co ci tym razem zrobiła?

- To nie Caroline. Poważnie, Lorna, nic takiego się nie stało.

Do tej pory Lorna widywała mnie tylko w pogodnym nastroju i widać, że mój smutek mocno ją strapił, ale jest

przy tym dość wrażliwa, by wyczuć, że nie dam rady mówić o tym, co mi jest, więc podchodzi tylko do biurka i bez wahania pochyla się, żeby mnie przytulić.

Z czułości wymienialiśmy dotąd jedynie całusa w policzek, więc z zaskoczeniem stwierdzam, że moja głowa pochyla się ku jej obfitemu biustowi - w tej chwili tego właśnie potrzebuję: przytulić się do kogoś.

Lorna mocno mnie przyciska

i głaszcze po włosach. Jej czułość mnie koi, trwamy tak przez jakąś chwilę. Jej koszulka pachnie proszkiem do prania. Wtem, równie raptownie, jak się uścisnęliśmy, uświadamiamy sobie, że czas przestać, zanim obie poczujemy się skrepowane.

Lorna chrząka.

- No, tak... Wiesz, że gdybyś chciała pogadać, to jestem tuż obok. Zrobię herbatę.

Uwolniona z uścisku Lorny wracam do rachunków. Jest mi zdecydowanie lepiej. Kolejna godzina upływa w spokoju, po czym Caroline wraca po treningu. Biegnie korytarzem, mija otwarte drzwi gabinetu, dopiero po chwili dociera do niej, że tu jestem, więc podbiega z powrotem, żeby krzyknąć w moją stronę: „Dobrze, że jesteś wcześniej”.

I znika.

Pojawienie się Caroline oznacza, że nie uda mi się zrobić już nic produktywnego, więc wyłączam komputer. Wychodzę na korytarz - właśnie w tej chwili ona wybiega z kuchni z bananem w rękę. Pędzi na schody. Zakładam, że weźmie prysznic, skoro właśnie zdjęła zieloną bluzę z kapturem firmy Juicy i rzuciła na podłogę.

- Przepraszam cię za wczoraj, Caroline, i bardzo dziękuję za zrozumienie - mówię.

- Powiem tak: podziękuj opatrności za szefową, która potrafi okazywać współczucie. Inne asystentki nie mają tyle szczęścia - odpowiada, opierając się o poręcz, żeby przyjąć efektowną pozę, w której opada jej burza włosów.

Pojawia się Lorna i chichocze pod nosem, po czym schyla się po rzuconą przez Caroline bluzę i skórki od banana.

Caroline uciszają spojrzeniem, po czym zwraca się do mnie.

- W każdym razie, lepiej, żeby to się nie powtórzyło. -Zastanawia się przez chwilę, po czym dodaje: - Chyba że to jakieś sprawy hormonalne, to mogę ci polecić specjalistę.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy... Ja po prostu...

- Najważniejsze, że wzięłaś się w garść. Potrąć za wczoraj ze swojej wypłaty i zapomnijmy o całej sprawie - mówi, machając ręką, jakby mnie odprawiała.

- Aha... dobrze - odpowiadam bezgranicznie zdumiona, bo nigdy nie liczę jej za długie nadgodziny.

- Chodź na górę, porozmawiamy, jak będę brała prysznic - rozkazuje, ściągając podkoszulek Nike'a i rzucając go na ziemię. Jak zwykle nie ma stanika.

Wzdychając, podążam za umięśnionymi pośladkami Caroline, obleczonymi w spodenki Juicy i za jej gołymi plecami - nie mogę znieść myśli, że zaledwie po kilku minutach obecności Caroline opinia Toma wydaje się o wiele bardziej trafna, niż wydawała mi się wczoraj. Czemu ja nie umiem się postawić? Niechętnie przyznaję to sama przed sobą, że dociera do mnie, jak zachowuje się Caroline, i nie wydaje mi się to nawet odrobinę śmieszne.

Idę za Caroline, a za mną Lorna, która zbiera przepoczone ubrania Caroline i wzdycha pod nosem. Wygląda, jakby uprawiała jakiś dziwaczny taniec. Jestem zmęczona i mam dość.

Dochodzimy na półpiętro, dzwoni moja komórka. Wyciągam ją z torby, przez ułamek sekundy licząc, że to Tom. Przestań, Francesco.

To nie Tom. To Great British Films.

- Chwileczkę, Caroline. Odbiorę telefon. Halo? - pytam, odwracając się gwałtownie, przez co prawie wpadam na Lornę.

- Dzień dobry. Czy rozmawiam z Francescą Massi?

- Tak, to ja - odpowiadam, schodząc ze schodów w kierunku gabinetu.

- Mówi Scott James z Great British Films, jestem współpracownikiem pana Devine'a.
 - Dzień dobry panu. Proszę sekundę zaczekać, właśnie idę do gabinetu po kalendarz. Chce pan umówić spotkanie?
 - O, a ktoś już dzwonił w tej sprawie?
 - Jedną sekundę - mówię, przesuwając papiery i wyciągając kalendarz. - Przepraszam najmocniej. W jakiej sprawie ktoś miał dzwonić?
 - W sprawie *Pamiętnika osobistej asystentki*.
 - Słucham? - pytam, powoli odkładając kalendarz. Następuje dłuższa chwila ciszy.
 - Czy rozmawiam z panią Francescą Massi, autorką *Pamiętnika asystentki*?
- Nie trzeba być Einsteinem, żeby zgadnąć, co się dzieje, ale nie mam dużo czasu na myślenie.
- Ehm, to zależy - odpowiadam, usiłując zyskać na czasie. Carrie Anne musiała tamtego wieczora zabrać wydruk. Gwizdnęła mi książkę i dała komuś do przeczytania, nic mi o tym nie mówiąc?
 - Przepraszam za tę chwilę niezdecydowania, chciałabym tylko spytać, czy dostała pan wydruk od Carrie Anne?
 - Tak, nic pani o tym nie wiadomo?
 - Ależ nie... Wiadomo - kłamię zdenerwowana. Mam gonitwę myśli. Co, do jasnej cholery, ta Carrie Anne nawyprawiała? Czeka mnie albo przyjemne zdziwienie, albo kubek zimnej wody. Jak będzie?
- Z góry dobiega mnie wrzask Caroline.
- Fraaaaaaaancesca! Co ty tam wyprawiasz?!
 - Chwileczkę! Rozmawiam przez telefon! - odkrzykuję.
 - Proszę pani - facet, który do mnie dzwoni, mówi takim tonem, jakby żałował, że wykręcił mój numer -przeczytali ją nasi recenzenci. Carrie Anne nieco nam o pani powiedziała. Rozumiem, że to pani pierwsza próba pisarska?

- Tak, ale książka nie jest jeszcze gotowa. Dostali państwo pierwszą wersję, jeszcze niedopracowaną - bronię się na wszelki wypadek.

- Jak na pierwszą wersję jest całkiem niezła. W naszym przekonaniu - chyba mogę to pani powiedzieć - niektóre miejsca trzeba podszlifować, a inne nieco zmienić, ale generalnie pomysł jest świetny.

- Poważnie?

- Tak. Krótko mówiąc, chcielibyśmy zaproponować pani spotkanie. Wydaje nam się, że na podstawie tej książki mógłby powstać scenariusz - to świeży materiał, a do tego temat jest zupełnie nowy.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Przyznaję, że mnie samego urzekło, jak postawiła pani wszystko do góry nogami. Bohaterka, czyli gwiazda, jest antybohaterką. Napisała pani współczesnego *Kopciuszka*. Mamy w związku z tym pytanie, czy byłaby pani zainteresowana sprzedażą praw? To mógłby być wyjątkowy film, jeden z naszych reżyserów już wyraził zainteresowanie.

- Rozumiem... Chyba tak. Myślę, że tak. - Muszę porozmawiać z Carrie Anne, moja głowa nie nadaża. - Kiedy mielibyśmy się spotkać?

- Pasowałoby pani jutro o dziesiątej? Spotka się pani ze mną, z panem Devine'em i wspomnianym reżyserem.

- Jak najbardziej. Do zobaczenia - odpowiadam, zbyt oszołomiona, żeby wziąć pod uwagę to, że jutro o dziesiątej muszę być w domu Caroline. Opadam na krzesło, próbuję przetrwać to, co właśnie usłyszałam. Jestem oszołomiona i moją pierwszą reakcją na ten nadzwyczajny, wręcz sur-realny obrót spraw jest zmartwienie. Czy pan Devine wie, że książkę napisała prywatna asystentka Caroline Mason? W końcu z jego własną asystentką wymieniłam sporo mejli. Nie, pewnie nie wie. Założę się, że Caroline nie ma pojęcia, jak nazywają się asystentki jej przyjaciółek, a pan Devine

pod tym względem raczej się od niej nie różni, choć nie mogę być tego pewna.

Co ja powiem na tym spotkaniu? Jak mam wziąć wolne, nie mówiąc Caroline, o co chodzi? Nie mówiąc, że studio Great British Films rozważa nakręcenie filmu na podstawie tego, co napisałam?

Wreszcie dociera do mnie, że stało się coś nadzwyczajnego, a smutek ustępuje radości. Ja pierdziele! Ludziom z Great British Films spodobała się moja książka! Muszę powiedzieć Tomowi. Nie mogę powiedzieć Tomowi. Tom tak by się ucieszył...

Przecież takie rzeczy się nie zdarzają. Tylko że taka rzecz się właśnie zdarzyła.

Podrywam się, obiecuję sobie, że nie będę się już gryźć, tylko cieszyć - zobaczymy, jak się wszystko ułoży. Chwytam notes, papiery i pędzę na górę po dwa schodki naraz, tłumiąc potrzebę wydania z siebie głośnego okrzyku. Smutek z powodu kłótni z Tomem będzie musiał poczekać.

Pewnie, że znów mnie ogarnie, ale teraz chcę się cieszyć i nic mi tej radości nie popsuje.

Caroline właśnie wychodzi spod prysznic i wpatruje się we mnie podejrzliwie, kiedy wpadam do jej sypialni. Lorna krząta się gorączkowo, sprzątając rozrzucone po całej podłodze ubrania.

- Jestem - oznajmiam radośnie.

Caroline przeszywa mnie wzrokiem, zastanawiając się, skąd ten błysk w moich oczach, zaróżowione policzki i całkowita zmiana nastroju. Lorna jest równie zdziwiona.

- Francesco, jest sporo do zrobienia. Skup się.

- Oczywiście - odpowiadam wesoło i przysiadam na krańcu łóżka. Lorna przygląda mi się bacznie, ale nie zwracam na nią uwagi.

Caroline podchodzi do toaletki, zrzuca ręcznik i zaczyna smarować nogi balsamem. Jej nagość właściwie nie robi już na mnie wrażenia, ale Lorna jest zde gustowana i coś

mamrocze pod nosem. Wydaję z siebie cichutki chichot, który nie umyka uwagi Caroline.

- Francesco, zrób coś z tym wyrazem samozadowolenia na swojej twarzy, zupełnie do ciebie nie pasuje. Weź długopis.

Posłusznie otwieram notatnik, ale strasznie ciężko mi się skupić na tym, co ona mówi. Nie mogę się doczekać, żeby zadzwonić do Carrie Anne.

- Przeloty. Prawdę mówiąc, nie do wiary, że jeszcze się tym nie zajęłaś. To powinno być już dawno załatwione. Ma być pierwsza klasa, wylot rano, służby specjalne mają sprawdzić bagaże. Zobacz, może uda się załatwić upgrade w cenie klasy biznesowej...

Caroline brzęczy przez następne dziesięć minut, a niemal każde zdanie zaczyna się od „masz”.

- Masz powiedzieć Kennethowi, że jestem na niego wściekła. Załatwił mi w teatrze sesję dla „Telegraph” i nawet nie raczył się pojawić. Mój pracownik od kontaktów z mediami w Stanach w życiu nie zostawiłby mnie samej w takiej sytuacji. Masz mu powiedzieć, że nie zapłacę mu za listopad. Lorna? - pyta nagle, skończywszy smarować każdy cal swojego pięknego ciała.

- Tak? - mamrocze Lorna lękliwie, składając koszulki na łóżku.

- Zrobiłaś białe pranie? Potrzebuję na dziś bluzeczkę na ramiączkach.

- Prawie się skończyło. Zaraz zejść na dół i przełożę je do suszarki -

odpowiada Lorna posłusznie, rzuca mi konspiracyjne spojrzenie i wychodzi z pokoju. Bardzo ją ciekawi ta nagła zmiana mojego nastroju.

Boże, tak bym chciała powiedzieć Tomowi, że to moje pisanie na coś się zdało, wiem, że bardzo by się ucieszył, a wzięwszy pod uwagę to, co mówił, byłaby to wręcz idealna chwila. Może to dobra wymówka, żeby do niego zadzwonić? Ale jeśli nie odbierze, to zapadnę się pod ziemię. A poza tym najnormalniej w świecie mnie obraził. W duchu upominam

się za to, że pozwoliłam mu znów wtargnąć do moich myśli. Zmuszam się, żeby o nim nie myśleć.

- Słuchasz mnie, Francesco? Masz mi przedłużyć członkostwo w Soho House...

Kiwam głową i pospiesznie skrobię w notatniku, ale myślami jestem daleko stąd.

A jeśli właśnie spełnia się to, co od dawna podejrzewałam? Może nie uda mi się stworzyć szczęśliwego związku, ale za to osiągnę zawodowy sukces? To nie takie straszne, można to zaakceptować. Byłoby cudownie być z Tomem i jednocześnie zajmować się tym, co daje mi radość i satysfakcję, ale powiedzmy sobie wprost, że niewielu ludzi ma jedno i drugie.

To, co się wydarzyło, nie mogło nastąpić w lepszej chwili - muszę w jakiś sposób przekazać Tomowi, że przed pewną powierzchowną i tchórzliwą osobą być może właśnie otwierają się drzwi do nowej, ekscytującej kariery. Może Tom będzie miał nauczkę, że nie wolno ludzi pochopnie oceniać. Ta mściwa myśl wcale nie przynosi mi spodziewanej satysfakcji. Chyba jestem na skraju hysterii.

Zerkam na notatnik. „Załatwić Soho House” - Chryste, co to miało znaczyć?

Caroline wstaje, z przepastnej szafy wyciąga rzeczy i rzuca je na podłogę, mimo że Lorna dopiero doprowadziła pokój do ładu po jej poprzednim szykowaniu się do wyjścia.

Wreszcie wybiera minispódniczkę Miu Miu i wzorzyste rajstopy - nakładając je, obraca się do mnie i mówi głośnym szeptem:

- Biedna Lorna. To miła kobiecina, ale nie bardzo sobie radzi. Zadzwoń do Carsona - powiedz mu, że trzeba znaleźć nową gospodynię. Naprawdę nie rozumiem, skąd to jego uwielbienie dla Lorny. Powiedz mu, że tak będzie dla niej najlepiej i że sama uważasz, że ona sobie nie radzi.

Wpadam w osłupienie. Ta koszmarna wypowiedź ani trochę mnie nie bawi.

- Przecież Lorna jest wspaniała - usiłuję protestować.

- Tak? To zależy, co chcesz przez to powiedzieć. Może i coś w sobie ma, ale nie nazwałabym wspaniałą kobiety, która sprząta byle jak i ubiera się jak hobbit. - Caroline odrzuca głowę do tyłu, długo i głośno zaśmiewa się z własnego dowcipu. To pusty, niezaraźliwy śmiech. Wyprowadza mnie z równowagi.

Czuję, że jej nienawidzę, zastanawiam się, jakim cudem mam z nią wytrzymać jeszcze trzy długie tygodnie.

Milknę i przestaję zapisywać polecenia. Jej nudne brzęczenie wlatuje mi do głowy jednym uchem i wylatuje drugim. Brzęcząc, wkłada kaszmirowy sweter, który otula jej wypielegnowane ramiona, po czym uzupełnia dzisiejszy strój botkami Gucciego.

- I pamiętaj, żeby kupić ekologicznego łososia, a nie zwykłego. Aha, i chciałabym, żebyś w sobotę pojechała do Borough Market. Wiem, że masz wolne, ale i tak jesteś mi winna dzień za wczoraj. Ticia mówiła, że można tam kupić doskonale prażone migdały, idealne do szampana. I zróbże coś z tą skwaszoną miną, już chyba ten głupkowaty uśmiech był lepszy. A teraz chodźmy zobaczyć, czy Lorna poradziła sobie z praniem, co?

Kipię z wściekłości. Na schodach mam przemożną chęć podstawić jej nogę, żeby potknęła się w tych swoich żalonych botkach i zleciała w dół jak połamana Barbie. Jeśli powie coś obrzydliwego pod adresem Lorny, będę musiała zareagować.

- Lorna? - warczy Caroline, kiedy wchodzimy do kuchni. Jestem w szoku - akurat dziś pierwszy raz jest jakiś problem z praniem. Lorna klęczy obok pralki, ściska w rękach ubrania i prawie płacze.

- Caroline, dałaś mi z białymi rzeczami czarną kamizelkę. Wszystko zafarbowało. Rzeczy są szare - tłumaczy spanikowana Lorna.

- Aaaaa! - wydziera się Caroline, jakby właśnie dowiedziała się, że wymordowano jej całą rodzinę, a nie że jej białe dzinsy nabrały szarawego odcienia, który - co widać na pierwszy rzut oka - bez problemu się wywabi.

- Moje ukochane džinsy i bluzeczka. Rany boskie - jęczy, opadając na najbliższe krzesło.

Żebyście mieli jasny obraz sytuacji, muszę dodać, że w garderobie Caroline jest przynajmniej pięć par białych džinsów i piętnaście w innych kolorach, a także bluzeczki we wszystkich barwach tęczy. Mówiąc o szarym odcieniu mam na myśli taki, który większość normalnych ludzi uznałaby za biały. Normalnych ludzi, którym ubrania służą przez kilka lat, a nie kilka miesięcy. Poza tym, jeśli Lorna nie zauważyła czarnej kamizelki, to tylko dlatego, że robi co najmniej trzy prania dziennie, bo Caroline nie nałoży jednej rzeczy dwa razy. Do tego trzeba dodać, że zmienia garderobę częściej, niż rodzice przebierają rzygające dziecko - chyba jest już jasne, że Lorna naprawdę ciężko pracuje. Co zaś się tyczy komentarza, że Lorna niedokładnie sprząta, jest w tym ziarno prawdy - czasem faktycznie robi to po łebkach, ale jest lojalna, kochana i pracuje tu od lat. Jest integralną częścią tego domu, więc kogo to obchodzi?

- Jak mogłaś?! - pyta Caroline.

Widząc, że Lorna trzęsie się ze strachu, postanawiam wziąć sprawy w swoje ręce. Tom miał rację. We wszystkim.

- No, dobra - wypalam - nie martw się, Lorna, załatwimy to, będzie dobrze. Idę do sklepu, zaraz wracam.

- Kiedy ja wcale nie chcę nowych džinsów - syczy rozdrażniona Caroline. Ona naprawdę ma coś nie tak z głową.

- Nie idę po džinsy. Zaczekaj i nic się nie martw.

Wybiegam z domu - muszę wyjść i łyknąć świeżego powietrza, choć na chwilę oddalić się od tej jadowitej wiedźmy. Jestem tak wściekła, że dopiero po jakimś czasie przypominam sobie o telefonie od Great British Films. Od razu wybieram bezpośredni numer do Carrie Anne, jakimś cudem nie jest zajęty, odbiera.

- Halo?
- Rany boskie, Carrie Anne, coś ty, do cholery, nawyprawiała? - piszczę.
- Cześć, skarbie. Niesamowite, co? Dobra robota! Strasznie się nakręcili, i na ciebie, i na twoją książkę.
- Naprawdę? - I to jak!
- Boże, nie mogę uwierzyć, że mi ją wykradłaś, ale jestem ci za to cholernie wdzięczna.
- Będziesz, jak ci zapłacą.
- Serio? - pytam z radością. W ogóle nie myślałam o pieniądzach. - A ile za coś takiego płacą? Czy to znaczy, że przez jakiś czas nie będę się musiała martwić, jak skończę pracować dla Caroline?
- Na pewno - mówi zadumana Carrie Anne.
- Niesamowite, o ja pierdziele! - świergoczę do słuchawki. -Myśl sobie, co tam chcesz. Słuchaj, mam drugi telefon, pewnie będę jutro na tym spotkaniu. Spotkajmy się u mnie w biurze za dwadzieścia dziesiąta - obgadamy kilka spraw.
- Carrie Anne rozłącza się, ja stoję tak, jak stałam, z otwartymi ustami. Biorę się w garść, pędzę do sklepu, chwytam odplamiacz i lecę z powrotem do domu. Rozmowę z Carrie Anne przetrawię później, w pierwszej wolnej chwili.
- Caroline jest sama w kuchni, mocno naburmuszona.
- Gdzie Lorna? - pytam.
- Nie wiem, chyba poszła wycierać kurze. Albo farbuje meble na szaro. Gdzieś ty się podziewała?
- Ignoruję jej pytanie, idę do pralki, wkładam z powrotem szarawe pranie i wsypuję do dozownika zawartość paczuski, którą kupiłam w sklepie.
- Co to? - pyta Caroline, wyraźnie zafascynowana.
- Glo White - proszek z wybielaczem. Wszystko będzie białe.
- Naprawdę? - pyta, spoglądając na mnie z szacunkiem. -Niesamowite, skąd, do cholery, znasz takie sztuczki?

Włączam pralkę. Nie uważam za stosowne odpowiadać na głupie pytania.

- Sprawdzę, co robi Lorna.

Staruszka siedzi w salonie, oczy ma zaróżowione, w rękę ściska ścierkę do kurzu.

- Szlag, co ci zrobiła?

Lorna patrzy mi prosto w oczy, a do mnie dociera, że nie wygląda na smutną. W jej spojrzeniu jest wyraz triumfu.

- Powiedziała, że się zestarzałam i że nie zauważyłam czarnej kamizelki, bo mam już nie te oczy. I dodała, że powinnam się mocno zastanowić, czy nadal chcę tu pracować.

- A chcesz?

- Wiesz, Francesco, to już nie ma znaczenia. Właśnie rozmawiałam ze Steph. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale wygląda na to, że Carson wrócił wczoraj do domu i się jej oświadczył... Moja córeczka wychodzi za mąż.

- O, Boże! - wykrzykuję, chwytam Lornę za ręce, po czym podskakujemy dokoła, ściskając się i płacząc. Po chwili obie padamy na kanapę, Lorna mnie ucisza.

- Cicho, Fran, ona jeszcze nie wie. Za chwilę zadzwoni do niej Carson. Siedzimy wtulone na kanapie, chichocząc nerwowo. Nie chcemy wyjść z pokoju, bo obie wiemy, że za chwilę Caroline wpadnie w szal.

34

-Ty sukinsynu! Mówiłeś, że mi tego nie zrobisz! Jak, kurwa, mogłeś?! - To pierwsza reakcja Caroline na wieści od Carso-na. Coś mi się zdaje, że nie doczeka się od niej gratulacji.

Przyczajone, siedzimy z Lorną w salonie, gdy tymczasem w kuchni rozpętuje się piekło.

- A co ze mną?! Nie tak się umawialiśmy! - wrzeszczy Caroline najgłośniej, jak może.

Wrzaski nie odnoszą skutku, więc zmienia taktykę. Przysłuchujemy się, jak sięga po najrozmaitsze techniki szantażu emocjonalnego: błagania, patetyczne deklamacje i płacz. Nieco łagodniejsza wydaje się tylko wtedy, gdy mówi: „Wiem, że Marina Madson i James Reddington nie wyszli na rozstaniu źle, ale naprawdę myślisz, że tak będzie i w moim wypadku?”.

Potem Caroline wpada w szloch, a kiedy staje się jasne, że Carson jest nieugięty, zaczyna rzucać talerzami i garnkami. Każdy kolejny huk i każda kolejna groźba odwetu powodują, że obie z Lorną drżymy, ale największe przerażenie ogarnia nas wtedy, kiedy nastaje martwa cisza. Chyba można powiedzieć, że nie zareagowała pozytywnie.

- Co robimy? - pytam Lornę szeptem. - Idziemy zobaczyć, co z nią?

- Rób, co chcesz, ja się stąd nie ruszę - odpowiada Lorna szeptem, przyciskając do piersi poduszkę. Siedzimy tak całą wieczność, czyli pewnie około dziesięciu minut, po czym przepełnia nas zgroza, bowiem słyszymy, że drzwi do kuchni wreszcie się otwierają, a na drewnianej podłodze rozlega się odgłos kroków. Serce podskakuje mi do gardła, kiedy w drzwiach salonu pojawiają się jej szpony z francuskim manikiurem, a za nimi - ona cała.

Jest śmiertelnie blada, ma potargane włosy, wygląda jak obłąkana.

- Wiedziałaś o tym? - pyta niskim głosem rozdygotaną Lornę.

- O czym? - odpowiada pytaniem staruszka.

- Tylko bez takich - cedzi Caroline. Trzyma ręce na biodrach, ma lodowaty wzrok. - Wiedziałaś, że Carson wszystko spierdoli, bo poprosi twoją pieprzoną, żalowaną córkę o rękę?

- Nie przeklinaj i nie mów tak o Steph. Nie zrobiła nic złego - mówi dzielnie Lorna.

Oczy Caroline rozszerzają się, złowrogo pulsuje jej żyła na czole. Po chwili przenosi swój tępy wzrok na mnie.

- Francesco, nie waż się nikomu wspomnieć o tym choćby słowem, bo cię pozwę.

- Nic nie powiem - zapewniam posępnie.

- Zadzwoń do Leticii, niech tu natychmiast przyjedzie. A ty - mówi wskazując kościstym palcem na Lornę - wynoś się z mojego domu, wredna starucho. Nie chcę cię więcej widzieć.

Słyszając, jak zwraca się do Lorny, dostaję mdłości. Nagle uświadamiam sobie, że tolerując jej obrzydliwe zachowanie, niczego nie zyskam, co najwyżej nabawię się wstrętu do samej siebie. Caroline jest zupełnie rozdygotana - jest mi tym łatwiej zapanować nad sytuacją. Nagle widzę ją oczami Toma. Nie dziwię się, że go zemdliło, kiedy zobaczył, jak pozwalałam się traktować. Dość tego.

- Nie odzywaj się tak do Lorny - mówię spokojnie, ale zdecydowanie.

- Słucham? - pyta Caroline, zszokowana tym, że się jej stawiam.

- Mówię, żebyś nie zwracała się do Lorny w ten sposób.

- Już dobrze, Francesco - Lorna usiłuje łagodzić sytuację, ale jest już za późno. Zrobiłam coś, od czego nie ma odwrotu - dociera do mnie, że po rozmowie z Tomem ta chwila stała się nieuchronna, niemal jakbym czekała, aż Caroline przekroczy granicę - właśnie to zrobiła.

- O, nie, zupełnie nie jest dobrze - mówię. - Takie wrzaski i obelgi to nic innego, jak zwykłe chamstwo.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić? - skrzeczy Caroline, podbiegając w moją stronę. Zatrzymuje się w odległości jakichś trzech stóp ode mnie. Nie cofam się.

- Właściwie mogłabym cię spytać o to samo, bo od miesiący traktujesz mnie jak psa. Ani jednego dobrego

słowa, żadnego „dziękuję” za ciężką pracę - niech będzie, przywykłam. Ale nie waż się tak traktować Lorny.

Z tej odległości widzę meszek na twarzy Caroline. Jej oczy płoną, w ustach bulgoce ślina. Wzbudza we mnie nie tylko gniew, ale i litość. Stoi w tej kretyńskiej minispódniczce, na którą jest za stara, i ziele smutkiem. Nagle czuję się bezbrzeżnie szczęśliwa, że jestem sobą, a nie nią, bo Caroline jest jedną z najbardziej żalonych, samolubnych osób, jakie miałam nieprzyjemność poznać, i właśnie dlatego jest samotna, niekochana i nie docenia wszystkich cudownych rzeczy w swoim życiu. Moja odwaga musi być zaraźliwa, bo Lorna wychodzi z kąta, w którym się schowała, i staje przy mnie dumnie, w poliestrowych spodniach i koszulce z napisem: „Frankie mówi: wyluzuj”.

- Francesca ma rację, Caroline. Przesadziłaś. Już czas, żebyś przestała krzyczeć i przemyślała swoje zachowanie.

Wiadomo było, że ten komentarz rozsierdzi Caroline.

- Obie się zamknijcie, i to już! - syczy oburzona. - Co w was, kurwa, wstąpiło? Czy wyście zupełnie zapomnieli, z kim rozmawiacie? Postradałyście zmysły? Ja pierdziele, obraziła się na mnie panna nudziara, hołdująca modzie ulicy i cholernie z siebie dumna, bo umie obsługiwać pralkę, i stare babsko, które gównu wie o sprzątaniu. Mam dość wysłuchiwania waszych bzdur. To chyba jasne, że za ten tydzień wam nie zapłacę.

Teraz to ja podchodzę do Caroline, która usiłuje zachować równowagę, cofając się w kąt pokoju.

- Jak śmiesz nas oceniać? A bardziej konkretnie, jak śmiesz nas oceniać na podstawie swoich gównianych, materialistycznych kryteriów? Tylko dlatego paradujesz całe dnie w ekskluzywnych ciuchach, że płaci za nie Carson, ale coś mi się zdaje, że łatwy szmal się właśnie skończył, co? Może więc przestań oceniać innych i zajmij się sobą. Masz nad czym pracować - możesz mi wierzyć.

W Caroline bulgoce gniew, widzę, że zbiera się w sobie, żeby przypuścić kolejny atak, ale po chwili zmienia zdanie. Wie, że straciła przewagę, i nieważne, co powie, bo żadnej z nas to nie obchodzi. Po raz ostatni próbuje odzyskać kontrolę i zrobić na nas wrażenie.

- Obie jesteście zwolnione.

- Świetnie - odpowiadam ze śmiechem. - Miałam nadzieję, że to powiesz, bo za żadne skarby świata nie przepracowałam dla ciebie ani chwili dłużej. Powodzenia, na pewno świetnie dasz sobie radę bez asystentki. Aha, no i co to dla ciebie: dom na głowie? Wszystkie rzeczy zostawię ci w gabinecie, karty też, choć pewnie i tak nie umiesz się nimi posługiwać, co? A, co tam, dostaniesz notatki Jodie. To doskonała lektura, przez parę godzin będziesz dosłownie wyła z nudów. Lodówka jest zaopatrzona, jak zawsze, ale jakby czegoś zabrakło, to za rogiem masz Safeways. -

Przechodzę obok Caroline, idę do gabinetu i z kosmetyczki wysypuję na biurko stos kart i rachunków.

Caroline idzie za mną.

- Zwalniam cię, ale to nie znaczy, że możesz mnie tak zostawić. Musisz mi znaleźć asystentkę, zostały mi jeszcze trzy tygodnie przedstawić.

- Serio? Zaraz, zaraz, chyba czegoś tu nie rozumiem. Zwalniasz mnie, ale jeszcze przez jakiś czas mam być jakby asystentką. To może przy okazji załatwię jeszcze wszystkie sprawy związane z twoim powrotem do Stanów?

- Tak byłoby najlepiej - mówi Caroline ostrożnie. Odrzucam głowę i wybucham śmiechem.

- A to dobre. Drugiej takiej jak ty ze świecą szukać. Jesteś gotowa, Lorna? Muszę odebrać samochód z Teddington, przy okazji zapraszam cię na lunch w restauracji mojego taty.

Lorna patrzy na mnie z podziwem i podchwytuje mój ton.

- Wspaniale! Przecież już nie pracuję - pewnie, czemu nie. Och, jak cudownie, uwielbiam włoską kuchnię.

- Świetnie, to my lecimy. Powodzenia, Caroline. A tak przy okazji, o drugiej przyjedzie po ciebie kierowca, masz dziś... A zresztą, po co ci to mówię - przecież na pewno czytasz moje codzienne raporty. A może jednak nie, w końcu taka ze mnie nudziara... Aha, jeszcze jedno - piłaś tłuste mleko, a wczorajszy kurczak wcale nie był naturalny. Na razie. Triumfalnie wychodzimy z Lorną, po raz ostatni trzaskamy drzwiami pod numerem czterdziestym siódmym, a tymczasem rozsierdzona do białości Caroline dostaje apopleksji, stojąc w korytarzu i zastanawiając się, ile pochłoneła przeze mnie dodatkowych kalorii.

- Byłaś boska, Fran - śmieje się Lorna, kiedy idziemy do metra. Adrenalina nadal buzuje nam w żyłach.

- Ty też - odpowiadam.

- O, nie, to ty jej dałaś popalić. Ale miała minę! Zapamiętam tę chwilę, kiedy zastanawiała się, jak sobie poradzi z żelazkiem i suszarką do ubrań. Zadzwonimy do Carsona i Steph. Powiemy im, co się stało.

Przysiadamy na najbliższej ławce, wystukuję numer do ich apartamentu w Nowym Jorku. Udaje mi się dodzwonić do Carsona, który - nie wiedzieć czemu - jest zszokowany zachowaniem Caroline; on, zdaje się, nigdy nie widział jej w najgorszym wydaniu. Zapewnia mnie, że dostanę całą wypłatę, i mówi Lornie, że przyśle jej bilet - prosi, żeby przyleciała do Nowego Jorku i omówiła ze Steph plany ślubne. Potem chce znów rozmawiać ze mną.

- Słuchaj, Fran, na razie chcemy wszystko zachować w tajemnicy, bo mam jeszcze przed sobą promocję najnowszego filmu. Muszę się pojawić na wielu premierach - pójdę sam, Steph nie chce jeszcze niczego mówić prasie. Będę się trzymał wersji, że Caroline jest chora. Bardzo cię proszę, żebyś jeszcze przez jakiś czas nikomu nic nie mówiła.

- Oczywiście - zapewniam go.

- Potem nasze życie bardzo się zmieni. Ogromnie ci dziękuję za to, że miałaś w sobie tyle odwagi, żeby mnie nakłonić do podjęcia pewnych decyzji.

- Daj spokój - odpowiadam. - To ty jesteś odważny. Aha, mam jeszcze tylko jedną sprawę - dodaję niepewnie, nie wiedząc, czy mam prawo pytać.

- Jasne, cokolwiek chcesz.

- Chciałam tylko spytać, jak zareagował Cameron. Carson stara się zachować spokój, ale jego głos łamie się z emocji.

- Ogromnie mu ulżyło. Tak cię ucieszył, że to nie jego matka, powiedział, że zawsze w duchu marzył...

- Cudownie. Tak się cieszę, że dobrze to przyjął. Uściskaj go mocno ode mnie - mówię, ignorując Lornę, która robi dziwaczne miny, bo właśnie zdała sobie sprawę z tego, że wiem dużo więcej, niż do tej pory dawałam po sobie poznać.

- Przepraszam cię, Carson, bardzo bym chciała dłużej pogadać, ale muszę już kończyć. Jadę do ojca po samochód i zabieram Lornę na lunch.

- Super. Weźcie taksówkę, ja stawiam, prześlij mi rachunek razem z fakturą.

Uśmiecham się, nie zamierzam protestować.

- Dzięki, Carson, tak właśnie zrobimy. -1 pozdrów Toma. To świetny facet.

Serce mnie boli, kiedy odpowiadam: „Wiem”.

Wieczorem wracam do domu, odwiózłszy obżartą jak bąk Lornę, i kulę się na kanapie z telefonem w ręku. Tak strasznie chcę komuś o tym wszystkim opowiedzieć i nie wiem, do kogo zadzwonić. W moich myślach stale pojawia się Tom. Ale nie mogę z nim porozmawiać. Odkładam telefon i szukam pocieszenia w pamiętniku.

28 listopada

Kiedy dzieje się coś złego, chcę się tym podzielić z Tomem. Kiedy dzieje się coś dobrego, chcę się tym podzielić z Tomem. Kocham go, a on mnie nienawidzi - muszę pozbyć się miłości do niego i tego strasznego poczucia, że to niemożliwe. Tym bardziej że wcale tego nie chcę.

35

Fatalnie spałam zeszłej nocy, ale co tu się dziwić? W tak krótkim czasie wydarzyło się tak wiele, że właściwie przestałam nadążać za biegiem wypadków. Przed spotkaniem w Great British Films bardzo bym chciała mieć kilka dni dla siebie - potrzebuję czasu, żeby wszystko sobie poukładać, zebrać myśli, wziąć się w garść. Niestety, nie ma takiej możliwości, skoro więc już wstałam, przespawszy pewnie nie więcej niż cztery godziny, idę pod prysznic i sterczę tam przez całe wieki, w nadziei, że woda ukoji moją skołataną głowę. Przynajmniej dzięki wczorajszemu popisowi przed Caroline nie muszę kombinować, jak urwać się z pracy. Za piętnaście dziesiąta zjawiam się w imponującym biurze Carrie Anne w Great British Films, w samym sercu So-ho. Rozmawiamy o tym, jak poprowadzić spotkanie, które może odmienić moje życie.

- Pamiętaj, kochanie, że to ty jesteś górą - mówi Carrie Anne, stukając czarnymi szpilkami wokół biurka. - Pomysł jest twój, a oni go łyknęli. To ty jesteś ekspertem, to ty wiesz, co czuje bohaterka. Jeśli nie zrozumiesz jakiegoś pytania, nie próbuj zgadywać - zerknij na mnie, pomogę ci. I jeszcze jedno, musisz być pewna swojego pomysłu, bo nikt inny nie będzie. Masz sprzedać swój produkt, a do tego masz wielką przewagę,

bo ja wiem, że oni już postanowili go kupić. - Carrie Anne kończy przechadzkę, dostrzega moje przerażone spojrzenie, uśmiecha się, żeby mnie pokrzepić, i ściska za ramię.

- Wszystko będzie dobrze. Idziemy.

Carrie Anne przystaje w drzwiach, odwraca się i mówi:

- Jeszcze tylko jedno, Fran. Nie jesteśmy przyjaciółkami, tylko kiedyś razem pracowałyśmy. I cokolwiek powiesz, nie zdradź, kim jest pani M., dobrze?

- A jak się domyśla? - pytam nerwowo. - Przez kilka miesięcy korespondowałam z panem Devine'em i jego asystentką.

- Nic się nie martw. Już rozmawiałam z jego asystentką -załatwione. Devine nie ma bladego pojęcia. A teraz chodź, spróbujemy zarobić trochę kasy.

Dziękując Bogu za Carrie Anne, biorę głęboki oddech i w krok za moją pewną siebie przyjaciółką i sojusznikiem idę do boju.

Spotkanie odbywa się w jednej z większych sal konferencyjnych piętro wyżej niż gabinet Carrie Anne. Kiedy dochodzimy na miejsce, widzę przez szklane ściany, że wszyscy na nas czekają. Jest pan Devine - korpulentny facet po pięćdziesiątce ze świecą łysiną i czerwonym, bulwiastym nosem. Założę się, że nie jest wegetarianinem. Jest jakiś młodszy mężczyzna, zakładam, że to Scott James - ma rudawe blond włosy i przyjemną twarz upstrzoną piegami. Siedzi tu jeszcze jeden gość - pewnie kreatywny, bo inaczej nie uszłoby mu na sucho badziewne ubranie. Ma tak zamyślony wyraz twarzy, że nie od razu dostrzegam, że jest przystojny - ma w sobie jakąś skrywaną namiętność. Ale raczej nie pachnie zachęcająco.

- Pani Massi - wita mnie elegancki piegus z lekkim akcentem z Yorkshire. Podrywa się i podbiega, żeby uścisnąć mi dłoń. - To dla mnie ogromna przyjemność. Scott James, rozmawialiśmy przez telefon. Proszę usiąść. Pan Devine, i reżyser, Thomas Anderson.

Uśmiecham się ciepło i ze wszystkimi wymieniam uścisk dłoni, w nadziei że robię to dość zdecydowanie.

- A zatem - zaczyna Scott, który chyba poprowadzi spotkanie - od czego zaczniemy, Francesco?

Nie mam pojęcia, więc milczę i durnowato się uśmiecham. Wtrąca się Carrie Anne.

- Francesca chciałaby pewnie najpierw usłyszeć, co sądzimy o jej książce. Uśmiecham się do niej z wdzięcznością i znów kiwam głową. Jak tak dalej pójdzie, wezmą mnie za niemowę.

- Świetnie - mówi z zachwytem Scott. - Wie pani, że wszyscy, którzy czytaliśmy pani książkę, zgadzamy się, że na jej podstawie można stworzyć doskonały scenariusz. Jest w niej i czarny humor, i romans między asystentką Abbie i Timem. Podoba nam się pomysł wyprodukowania filmu, który byłby satyrą na nasz własny przemysł. Na razie jakoś idzie, ale na samym kiwaniu głową daleko nie zajdę.

- Zanim przejdziemy do szczegółów - rozumiem, że ma pani doświadczenie w branży filmowej. Proszę powiedzieć, jakie zajmowała pani stanowiska - ciągnie Scott.

Odchrząkuję i chyba wyglądam na przerażoną, bo pan Devine dla zachęty puszcza do mnie oko, co jest równie uprzejme, jak niepokojące.

- No, tak... To znaczy... Przez kilka lat pracowałam przy produkcji. Wtedy zresztą poznałam Carrie Anne. Później podjęłam pracę w charakterze prezenterki, a do niedawna pracowałam dla dość znanej osoby, której tożsamości na tym etapie wolałabym nie ujawniać.

Pan Devine opiera łokcie na stole, splata tłusciutkie dłonie, przez co jego palce wyglądają jak surowe kiełbaski, po czym zwraca się do mnie aksamitnym, głębokim głosem -idealnie czytałby filmowe zwiastuny. To głos, który jak ulał pasuje do kwestii: „już wkrótce na ekranach kin”.

- A to dlatego, że wzorowała pani na tej osobie postać bohaterki, pani M.?
-Tak.

Albo mógłby czytać reklamówkę ciasteczek Mr Kiplinga -ma naprawdę nadzwyczajny głos.

Pan Devine unosi głowę i znów się do mnie uśmiecha; kiedy usłyszał moją odpowiedź, aż mu się oczy zaświeciły. Wszyscy czekają, aż przemówi.

- Niech tak będzie. Podejrzywałem, że ta postać nie jest tylko wytworem wyobraźni. Ta informacja może zresztą wzbudzić zainteresowanie, jeśli tylko odpowiednio ją przedstawimy. Nie będę pani teraz prosił o wyjawienie, o kogo chodzi, niemniej, jeśli postanowimy realizować ten projekt, to przyjdzie taka chwila, kiedy - ze względów zawodowych i prawnych - panią o to poproszę.

- Rozumiem - odpowiadam, zastanawiając się, czy na pewno robię dobrze, i znów kiwam głową.

Scott ciągnie wątek.

- Bardzo ciekawe. Francesco, jeśli chodzi o obsadę -masz pewnie pomysł, kto mógłby zagrać panią M. i jej asystentkę, Abbie. Kogo widziałybyś w tych rolach?

Zerkam na Carrie Anne, ale ona niemal niedostrzegalnie wzrusza ramionami. Tym razem z odpowiedzią muszę uporać się sama.

- Wydaje mi się, że rolę Abbie powinna zagrać jakaś nieznana aktorka. Atrakcyjna, ale w taki skromny, naturalny sposób. Ktoś - czy ja wiem - trochę jak Bridget Jones. Jeśli chodzi o panią M., to od początku sądziłam, że najlepsza byłaby aktorka pokroju Mariny Madson albo... - o, szlag, замуrowało mnie. No, wyduśże coś z siebie, kobieto. -... .Caroline Mason?

Każdy, tylko nie ona.

Następuje dłuższa chwila ciszy, którą wreszcie przerywa pan Devine.

- Caroline Mason... Ciekawe. Pewnie pani nie wie, że omal nie zawarliśmy z nią umowy na inny film. Do tej roli faktycznie świetnie by się nadawała. Jak sądzisz, Thomas?

Thomas z namysłem przeczesuje brodę palcami, po czym wygłasza swoją opinię.

- Marina Madson byłaby w sam raz, ale podpisała trzy umowy z Universalem. Zresztą nie jestem pewien, czy umiałaby się wczuć w rolę neurotyczki równie dobrze, jak Caroline Mason.

- Fakt - przyznaje Scott. - O Caroline Mason mówi się wręcz, że ma nerwicę, więc z pewnością będzie potrafiła przekonująco oddać napięcie. Jeśli dodamy do tego jej urodę -mamy dynamit. Warto to przemyśleć. Thomas Anderson mierzwi palcami skotłowaną, czarną czuprynę, którą płukał chyba olejem z frytownicy, i dodaje:

- Byłaby idealna, tym bardziej że jest już w tym wieku, kiedy kończy się i jej młodość, i uroda. Nadal jest atrakcyjna, ale w Hollywood jest już po niej - to tylko dodałoby filmowi pikanterii. Ale jeśli zdecydujemy się na nią, to pana X. i asystentkę muszą zagrać aktorzy z górnej półki, bo Caroline nie przyciągnie widzów.

Rozglądam się z zaciekawieniem, czekając na reakcję na ten raczej niesprawiedliwy i mocno szowinistyczny komentarz, ale nikt nawet nie mruga okiem.

- Warto spróbować - ogłasza Scott z przekonaniem. -Carrie Anne, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to możemy chyba od razu skontaktować się z jej agentem, mimo że nie mamy jeszcze scenariusza. Przynajmniej Caroline poczuje się chciana. U nas zajmuje się nią Geoffrey Darnell, a kto w Stanach - nie wiem.

Spotkanie przebiega gładko, wszyscy zachowują się tak, jakby tę sprawę traktowali naprawdę serio. Jest oczywiście pewna przeszkoda, czyli fakt, że pani M. to nikt inny jak Caroline Mason, co może stać się dla niej jasne w chwili, gdy przeczyta scenariusz. A gdyby nawet od razu do niej nie

dotarło, to z pewnością dotrze, kiedy dowie się, kto jest autorem scenariusza. Sama nie mogę w to uwierzyć, że wypowiedziałam jej imię. Tak czy inaczej, nie czas się nad tym zastanawiać, spycham tę myśl na boczny tor. Wtem odzywa się Carrie Anne.

- Chciałabym zabrać głos w imieniu nas wszystkich. Musisz wiedzieć, Francesco, że twoja książka jest bardzo na czasie - powinnaś zacząć od znalezienia agenta literackiego. Jeśli nadal będziesz zainteresowana sprzedażą praw, wówczas uzgodnimy warunki finansowe i będziemy mogli nadać sprawie bieg.

- To brzmi doskonale.

Pan Devine uporczywie się we mnie wpatruje.

- Zanim podejmiemy jakiegokolwiek decyzje, jest jeszcze bardzo ważna sprawa - jak cała ta historia się kończy? Książka nagle się urywa, a ja bardzo chciałabym wiedzieć, dokąd zmierza historia pani M.

- Szczerze mówiąc, panie Devine, nie jestem pewna, ale przyznaję, że mam pewien pomysł - odpowiadam z tajemniczym uśmiechem.

Spotkanie trwa jeszcze dobrą godzinę; najważniejsze jest to, że muszę szybko znaleźć agenta. Jest co negocjować. Oni chcą, żebym jak najszybciej skończyła książkę, żeby móc ją przekazać doświadczonemu scenarzyście, który dokona jej adaptacji na potrzeby ekranu. Wreszcie nadchodzi chwila pożegnania, wracam z Carrie Anne do jej gabinetu, totalnie skołowana. Carrie Anne daje mi numer agentki, mówiąc, że nikt inny nie wynegocjuje dla mnie lepszych warunków.

Żegnam się z przyjaciółką, w głowie mam zupełny zamęt. Nie mogę uwierzyć, że wszystko poszło tak gładko, mam wrażenie, że w brzuchu coś mi kipi, że rośnie w nim, jak ciśnienie w butelce szampana tuż przed wyjęciem korka. Chcę krzyczeć i pisać z radości i faktycznie wydaję z siebie kilka śmiesznych odgłosów chwilę po tym, jak

niemal wybiegam z siedziby Great British Films z idiotycznym uśmiechem na ustach. Nagle dociera do mnie, że spotkało mnie coś nadzwyczajnego, łapię taksówkę i jadę do Clampham - w świetle ostatnich wydarzeń ta rzadka gratka wydaje mi się zupełnie usprawiedliwiona.

W domu dosłownie rzucam się do komputera, żeby zasiać do pisania zakończenia. Nic tak nie budzi kreatywności, jak zachęta ze strony największego studia filmowego w Wielkiej Brytanii. Stało się. Oto moja wielka chwila. Wiem już, że dzień, w którym pojawiła się u nas Carrie Anne i przeczytała fragment mojej książki, był jednym z największych dni przeznaczenia w całym moim życiu.

Tej nocy jeszcze raz kartkuję swoje zapiski; nie mam żadnych wątpliwości, że tego, co napisałam, nie można bezpośrednio powiązać z Caroline. Zmieniłam okoliczności na tyle, że jedynymi osobami, które mogą doszukać się związków, jesteśmy: ja, Caroline, Carson, Steph i Lorna. Nie cierpię Caroline, to fakt, ale nie chcę, żeby moja książka choć w najmniejszym stopniu była oszczercza - nawet Caroline nie zasłużyła na coś takiego.

Kilka dni później z pomocą Carrie Anne zawieram umowę z agentką - jedną z najinteligentniejszych i najbardziej niezwykłych osób, jakie poznałam. Ma na imię Lucinda, jest cholernie elegancka, a pod względem stosunku do klientów przypomina teriera, który dla swojego pana robi wszystko. Nie do końca dociera do mnie, że moja książka naprawdę jej się podoba i że po tylu latach, kiedy nic mi nie wychodziło, dzięki niej zyskałam siłę, z którą inni muszą się liczyć. Wiem, że jestem w doświadczonych i zdolnych rękach - Lucinda chce nie tylko wynegocjować pokaźną kwotę za książkę, ale też okrąglą sumę za prawa do filmu, chce, żeby moje nazwisko widniało na liście płac pod tytułem „producent wykonawczy” i jeszcze, żebym dostawała tantiemy ze sprzedaży biletów kinowych.

Mija tydzień, a ja nadal wszystkiego nie ogarniam. Nie chce mi się wierzyć, że stoję u progu nowej, wymarzonej kariery, a odpoczynek od Caroline i jej wariactw to po prostu błogosławieństwo.

Ale nie wszystko układa się tak fantastycznie. Tom do dziś nie zadzwonił ani nie przysłał esemesa, a czas wcale nie leczy moich ran - przeciwnie, ból rośnie, gdy uświadamiam sobie, że pojednanie jest coraz mniej prawdopodobne. Brakuje mi Toma i choć jestem autentycznie szczęśliwa i przejęta wszystkim, co się dzieje, to w środku nie mogę przeboleć końca naszego związku. Jednocześnie nie chcę wierzyć, że już naprawdę po wszystkim, a do tego gdzieś w głębi jestem na Toma wściekła, bo skoro łączyło nas coś tak wyjątkowego, to powinien być ostrożniejszy. Może się mylę, ale nie sądzę, żeby takie uczucie przytrafiało się każdemu, więc nie mogę tego odżalować.

Oczywiście wszyscy moi przyjaciele uważają, że powinnam połączyć tę żabę i do niego zadzwonić. Nawet Radź, z którym widziałam się w zeszłym tygodniu - po raz pierwszy od wieków - sądzi, że to ja powinnam wykonać pierwszy ruch, chociaż nawet Toma nie zna. Nie mogę. Wierzę, że gdyby Tomowi na mnie zależało, to już by się ze mną skontaktował, więc nie mam wyjścia, jak tylko wylizać rany i wziąć się w garść.

Przed utratą zmysłów ratuje mnie tylko moja książka - pisanie na szczęście idzie mi świetnie. Muszę jeszcze popracować nad zakończeniem, z którego nie całkiem jestem zadowolona. Książka ma już tytuł (po długiej debacie w Great British Films) - *Ja i pani M.* i pewnie dawno bym ją skończyła, gdyby nie to, że wciąż wydzwania do mnie mnóstwo osób, które nie są w stanie pojąć, że nie pracuję dla Caroline

Mason, a jej woskowanie brwi/ odbiór poduszek do salonu/ organizację biletów mam gdzieś. Powinnam po prostu wyłączyć telefon, ale wolę tego nie robić, bo może jednak Tom zmieni zdanie? Szkoda tylko, że nie wyłączyłam go tego dnia, gdy zadzwoniła do mnie sama pani Mason. Telefon zabrzączał, kiedy akurat zawzięcie pracowałam: poprawiałam, redagowałam, porządkowałam rozmaite fragmenty.

- Halo - powiedziałam do słuchawki, z namaszczeniem żując palec i po raz kolejny czytając fragment, z którym próbowałam się uporać całe popołudnie.

- To ja, Francesco.

Od razu poznałam ten głos, a poza tym - któż inny byłby taki pewien, że od razu go rozpoznam?

- Witaj, Caroline. Co u ciebie? - spytałam ostrożnie, szybko zapisując plik i wyłączając komputer, niemal w strachu, że ona zobaczy, co napisałam.

- A jak myślisz, skoro cały ten burdel mam teraz na swojej głowie?

Postanowiłam przemilczeć to pytanie.

- Słuchaj, Francesco, to bez sensu. Powiedziałaś jasno, o co ci chodzi. Może faktycznie byłam nieco obcesowa wobec Lorny, ale musisz wrócić. Musisz dotrzymać słowa i pomóc mi dotrzeć do końca tych cholernych spektakli, czyli jeszcze przez dwa tygodnie - wypaliła Caroline, przy czym ta wypowiedź jest najbliższym odpowiednikiem przeprosin, jaki kiedykolwiek padł z jej ust.

- Obawiam się, że nic z tego - powiedziałam twardo, rozkoszując się sytuacją.

- Dam ci podwyżkę.

- Nie chcę podwyżki. Nie chcę dla ciebie pracować. Byłaś bardzo niemiła, a ja nie mam złudzeń, że to się zmieni.

- Francesco, nie będę cię błagać - wycedziła Caroline ostrożnie, ale głos jej się załamał; czułam, że nie wie, jak dalej poprowadzić rozmowę.

- Nie musisz, bo to i tak niczego by nie zmieniło - wyjaśniłam, czując nadzwyczajną satysfakcję na myśl o tym, jak bardzo musi być jej niezręcznie.

- Rozumiem. Ale przynajmniej zrób jedno: znajdź mi asystentkę na następne dwa tygodnie, aż do mojego powrotu do Stanów. Sama nie dam rady. Wiesz, ile mam do kupienia prezentów gwiazdkowych? Uznałam, że nie warto tego komentować.

- No i jeszcze... nie załatwiłam sobie biletu powrotnego -zaskomlała. Pewnie, że nie. Jeszcze, nie daj Bóg, ktoś kazałby jej chwilę poczekać - pomyślałam sobie, wspominając te wszystkie godziny, kiedy wisiałam na telefonie, wydzwaniając do biur linii lotniczych i wysłuchując koszmarnych melodyjek tak długo, że odechciewało mi się żyć.

- Caroline, mam naprawdę sporo na głowie. Nie mam czasu ci nikogo szukać.

Strach musiał rzeczywiście zawładnąć Caroline, bo podjęła próbę wypowiedzenia zwrotu, który w jej ustach zabrzmiał zupełnie obco.

- Proszę cię...

Wtedy przypomniało mi się coś, o czym mówił Radź, a w mojej głowie zrodził się zupełnie niegodziwy pomysł. Z trudem zdusiłam chichot, który ogarnął mnie na samą myśl.

- Może faktycznie kogoś znam. Spytałam, czy ta osoba byłaby zainteresowana, ale jeśli okaże się, że nie, to nie licz na mnie.

- Okay - odparła Caroline. Wiem, że własną bezradność musiała znosić koszmarnie.

I tak oto pewnego popołudnia do mojej dawnej kumpeli Stacey zadzwonił Radź, który zapewnił ją, że ogromnie mu przykro, że zrozpaczony Geoff wylał ją z Diamond PR, nakrywając ją in flagranti z Mikiem z księgowości, a jeśli jest zainteresowana, to słyszał, że pewna gwiazda filmowa szuka asystentki na dwa tygodnie. Jasne, że była zainteresowana

kto by nie był? Stacey natychmiast skontaktowała się z Caroline. Wiem, bo Radź mówił mi, że zadzwoniła do niego, żeby mu podziękować. Powiedziała, że dostała pracę i zaczyna od zaraz. Biedna dziewczyna nie miała pojęcia, co ją czeka, a mnie tymczasem zrobiło się lepiej na myśl o tych dwóch babach, bo chyba trudno by znaleźć lepiej dobraną parę. Oj, sporo bym dała, żeby zobaczyć spotkanie najbardziej zaabsorbowanych sobą osób, jakie kiedykolwiek poznałam.

Z pozostałych wydarzeń - odbyłam wreszcie rozmowę z panem Devine'em i wyjawiałam mu prawdziwą tożsamość pani M. Na szczęście ubawił się po pachy, mam wrażenie, że autentycznie mu zaimponowałam, proponując, aby tę postać zagrała Caroline. Ironia przypadła mu do gustu - przyjął wieści lepiej, niż myślałam. On, zdaje się, myśli, że Caroline może się poczuć dowartościowana tym, że to film o niej. Moim zdaniem to żaden komplement, ale jeśli chodzi o rąbniętą aktorkę, to trudno cokolwiek przewidzieć, więc najpewniej pan Devine ma rację.

O Caroline można powiedzieć wiele złego, ale z pewnością nie jest głupia - zrozumie, że przyjmując tę rolę, przekona widzów, że pani M. jest jej całkowitym przeciwieństwem i że właśnie dlatego do tej roli ją wybrano. Nie bardzo to rozumiecie? Nie dziwię się.

Pewnie zastanawiacie się, czemu tak radośnie daję Caroline szansę zagrać tę rolę, skoro ona wcale na to nie zasługuje - prawda jest taka, że to rola stworzona dla niej i że zagrają doskonale. A może, grając samą siebie, przekona się, jaka jest koszmarna, i nieco zmieni swoje zachowanie? Jeśli okaże się, że zinterpretowałam sytuację od początku do końca źle, a Caroline, czytając scenariusz, postanowi mnie pozwać, to będę się tym martwić, kiedy tak się stanie. Studio Great British Films zadbało oczywiście o to, aby w razie czego było zwolnione z odpowiedzialności.

Moją gorączkową pisaninę urozmaicają jedynie sentymentalne przerwy na przemyślenie, jak zmieniło się moje życie - czas pędzi jak szalony, sama nie wiem, kiedy nadchodzi czternasty grudnia i moje trzydzieste urodziny. Nie mam ochoty na imprezę, postanawiam uczcić swoje święto skromną kolacją w gronie najbliższych przyjaciół. Zdmuchując świece, nie mogę uwolnić się od myśli, że mieliśmy świętować ten dzień z Tomem w Rzymie.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja wcale nie chcę, żeby mi przeszło, bo wtedy poczuje, że to naprawdę koniec. Na razie więc moje uczucia do Toma sączą się do świadomości kropla po kropli. To bardzo skuteczna forma tortur.

Przynajmniej jeden facet pamiętał o moich urodzinach. Nie chciało mi się wierzyć, że Carson przesłał mi przepiękny bukiet białych róż, choć oczywiście wiem, że załatwianiem takich spraw zajmuje się asystentka. Wiem też jednak, że poprosił ją o to w grzeczny sposób i jestem tym gestem szczerze wzruszona. Dziwna sprawa - choć nie widziałam go od wieków, to i tak wiem, co u niego słyhać, za sprawą mediów. Jego zdjęcia niemal codziennie pojawiają się w gazetach, a w telewizji coraz to nadają relacje z promocji i premier jego filmu *Reporter*. Wersja przyjęta przez jego PR-owców jest taka, że Caroline jest zbyt chora, aby mu towarzyszyć.

Tydzień przed Bożym Narodzeniem przekazuję skończony tekst agentce i Great British Films. Klikając „wyślij”, czuję słodczy zaprawioną goryczą. Nigdy dotąd nie zaznałam takiego poczucia spełnienia, a jednocześnie ogarnął mnie smutek na myśl, że pisanie czegoś, co sprawiało mi taką przyjemność, dobiegło końca. Tak czy inaczej, przyda mi się przerwa i odpoczynek, święta z rodziną, która nadal bardzo uważa, żeby nie powiedzieć przy mnie czegoś, co mogłoby mnie wyprowadzić z równowagi (moich krewnych wyraźnie ogarnęła fala współczucia; kiedy podejrzewają, że za chwilę będę opłakiwać koniec mojego związku z Tomem,

wszyscy nagle znajdują pilne zajęcia w innych pomieszczeniach). Zakazane są zatem takie tematy, jak: zwierzęta, wesela, miłość, pomoc przy porodach i chore psy, ale te ograniczenia raczej nie przeszkadzają w codziennych rozmowach. Jak co roku oglądamy *To wspiane życie* - rodzice i Daniel trochę się spinają, widząc, że płaczą bardziej rzewnie niż zazwyczaj, ale poza tym udaje mi się zachować względnie stabilny stan umysłu i autentycznie się odprężyć. Jak zwykle przesadzamy z jedzeniem i pić i za długo przesiadujemy przed telewizorem - za to Nowy Rok zaczniemy od diety, oczyszczania i poprawek redakcyjnych.

Agentka przekonuje, że jeśli szybko uporam się z korektą, to ona tak skonstruuje umowę, żeby książka wyszła, zanim ukaże się film, co według niej jest właściwą i rozsądną kolejnością. Pewnego popołudnia pracownicy nanoszą poprawki, kiedy z drugiego pokoju woła mnie Abbie.
- Fran, chodź tu! Szybko!

Pędzę do salonu. Abbie ogląda wiadomości, które zaczęły się o szóstej, ze specjalnego raportu z Hollywood dowiadujemy się, że za rolę w *Reporterze* Carson został nominowany do Oscara. Wpatrując się z tęsknotą w jego przystojną twarz na ekranie, uświadamiam sobie, że dotkliwie mi go brakuje. I właśnie w chwili, gdy o nim myślę, dzwoni telefon. To on. Życie potrafi zaskakiwać.

- Francesco, co porabiasz? - pyta swoim cudnym, seksownym głosem.
- Carson? O, rany, a to dopiero - właśnie o tobie myślałam i oglądałam cię w telewizji. Co u ciebie?
- W porządku, choć ostatnio sporo się działo.
- Słyszałam. Gratulacje.
- W sumie dobrze się złożyło, tym bardziej że to mój ostatni film.
- Czyli trzymasz się planu? - mówię, mrugając do Abbie i bezdźwięcznie mówiąc do niej: „to Carson”.

- Sraty taty - odpowiada Abbie, a kiedy uzmysławia sobie, że wcale się nie wygłupiam, niemal spada z kanapy.

Nie dziwię się jej.

Pewnie powinnam się już z tym oswoić, ale fakt, że znam tak przystojnego aktora, wciąż mnie mocno ekscytuje. Poza tym nie rozmawialiśmy od tygodni i zakładałam, że o mnie zapomniał, więc ten telefon to cudowna niespodzianka.

- Jak najbardziej. Ruszyły już nawet przygotowania do ślubu, ale nie mogę ci powiedzieć ani kiedy, ani gdzie się odbędzie, bo wszystko trzymamy w takiej tajemnicy, że sami dowiemy się pewnie dopiero w dniu ślubu. Ale mów, co u ciebie. Jak z Tomem?

Och.

- No... raczej nijak. Rozstaliśmy się niedługo po naszym ostatnim spotkaniu - głos mi się łamie, nadal nie jestem w stanie ukryć swoich uczuć.

- Wiem.

- Jak to? Skąd? - dopytuje.

- Wymieniamy mejle na temat piłki nożnej, a kiedyś zeszło nam na wasz związek. Straszna szkoda. Nie mogę tego pojąć. Wydawaliście się dla siebie stworzeni.

Jeszcze nie wiem, co myślę o tym, że Tom utrzymuje kontakt z Carsonem, ale przynajmniej mam pewność, że żyje.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Ostatnio to ty miałaś z nim kontakt, a nie ja. Z tego, co wiem, to myślał, że jestem inna.

- Nie rozumiem. Co się stało? Możesz mi powiedzieć?

- To trochę krepujące. Rzecz w tym, że Tom zobaczył, jak Caroline mnie traktuje, i bardzo mu się to nie spodobało. Powiedział, że powinnam się postawić. No i parę innych rzeczy.

- Jakich?

- Czy ja wiem? Uznał, że mam porąbane priorytety. Ale to już zamknięta sprawa. On nie chce mnie znać, nie ma o czym mówić - odpowiadam, rumieniąc się.

Abbie przykleja się do mnie, żeby podsłuchać rozmowę, ale ją odsuwam.

- Straszna szkoda. Może jednak powinnaś do niego zadzwonić? Może on się bardzo ucieszy?

Rozmowy na temat Toma nadal przychodzą mi z trudem. Kiedy znów otwieram usta, głos mi się załamuje.

- Nie, Carson. To nie ja powinnam zadzwonić. On mnie zostawił i więcej się nie odezwał. Poza tym jest już chyba za późno.

Carson jest znacznie bystrzejszy od Caroline - zmienia temat. Niestety, znów trafia na mnie.

- No, dobra, rozumiem, że nie chcesz o nim mówić... Powiedz, jak tam w pracy?

O, Boże, już chyba wolałabym kontynuować temat mojego katastrofального życia miłosnego. Przelykam ślinę.

- Widzisz, napisałam książkę i nawet chciałam się w tej sprawie do ciebie odezwać, bo wygląda na to, że na jej podstawie powstanie film.

- O, rany... To niesamowite - Carson naprawdę jest pod wrażeniem. - Nie wiedziałem, że piszesz. Wspaniale.

-Aha.

- A o czym jest? Oho, zaczyna się.

- Jak by ci to powiedzieć - o dziewczynie, która pracuje dla słynnej aktorki.

Przez jakieś piętnaście sekund wsłuchuję się w ciszę.

- Carson, przysięgam, że nie zdradzam żadnych tajemnic. Fakt, że zainspirowała mnie praca dla Caroline, ale zmieniłam imiona i okoliczności. Nikt poza tobą, Caroline i Steph nie będzie wiedział, o kogo chodzi. Serio.

Wreszcie Carson odzyskuje głos. Mówi powoli.

- Francesco, nie powiem, żeby ten pomysł mi się podobał. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, byłbym wściekły i bardzo bym się zmartwił, ale tobie ufam. Dałaś mi w końcu mnóstwo powodów do zaufania. Skoro nie napisałaś książki, żeby się zemścić, i możesz mnie zapewnić, że nikomu nie stanie się krzywda - niech tak będzie.
- Obiecuję. Ta aktorka nie jest szczególnie miła, ale nikt nie będzie wiedział, na kim się wzorowałam, a poza tym wątki są tylko wytworem mojej wyobraźni. No i jest szansa, że tę postać zagra Caroline - tylko proszę cię, nawet jej o tym nie wspominaj.
- Nie będę miał okazji. Porozumiewamy się wyłącznie przez prawników.
- Rozumiem...
- Ja też tam jestem?
- Nie. Zupełnie nie. Jest pan X., który pod żadnym względem ciebie nie przypomina. Jest śniadym brunetem i ma dzioby po ospie, do tego bywa potworem i ma ciągoty do latynoskich chłopców sprzątających baseny... Ale dość o tym. Bardzo się cieszę, że do mnie zadzwoniłeś - mówię tak, żeby załagodzić sytuację i zmienić temat. Zdaje się, że Carson nie jest aż tak przejęty, bo na to przystaje.
- A widzisz, wcale nie dzwonię bez powodu.
- Tak? Jeśli cokolwiek mogę zrobić, wal.
- Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że mnie nominują. Dostałem Oscara dwa lata temu, więc w tym roku nawet nie wybierałem się na galę, tym bardziej że organizujemy ślub. Tylko coś mi się widzi, że obraziłbym producentów i Akademię. To będzie mój ostatni aktorski występ, potem koniec.
- Jeśli chcesz mojej rady, to uważam, że powinieneś iść -mówiąc to, usiłuję powstrzymać śmiech - Abbie wyjęła banana z misy z owocami i wykonuje obsceniczne gesty.
- Nie, nie, nie dzwonię po poradę. Bo widzisz, Steph nie może ze mną iść
- z oczywistych powodów. Wolałbym nie ujawniać naszego związku akurat podczas gali, a poza tym

sama wiesz, że Steph nie znosi takich imprez. Na dodatek pismaki już zaczęły węszyć - w zeszłym tygodniu przyłapali Caroline na zakupach u Gucciego na Rodeo Drive, dowiedzieli się, że wydała trzydzieści tysięcy dolarów, i domyślili się, że wcale nie jest taka chora. Wkurzyłem się jak diabli, bo umowa była taka, że ona będzie siedzieć cicho, a w zamian dostanie ode mnie większe pieniądze.

- O, kurczę, to nie tak - odpowiadam. Jakoś zupełnie nie jestem zdziwiona.

- Fakt, ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że dobrze by było, żebym pokazał się z kobietą, żeby odwrócić uwagę prasy od Steph, no i bardzo nie chcę iść sam. No więc, chciałem spytać... czy masz wolne dwudziestego czwartego lutego? A jeśli tak, to czy poszłabyś ze mną na rozdanie Oscarów?

Czas staje w miejscu. Przestaję się śmiać ze sprośności Abbie i zamieram. On naprawdę to powiedział?

Zdaje się, że tak - słuchawka wypada mi z rąk, padam na kolana, żeby ją podnieść i przytknąć do ucha. Już mam wrzasnąć „tak!”, ale ku swemu przerażeniu odkrywam, że się rozłączyłam.

- Szlag, szlag, szlag! - krzyczę.

- Co jest? - pyta Abbie. - Złe wieści?

- Nie, kurwa, najlepsze wieści w moim życiu, a ja się, kurwa, rozłączyłam! - wrzeszczę, majstrując przy telefonie. Próbuję wybrać numer Carsona, nie mogę się dodzwonić, nic dziwnego, telefonował przecież ze Stanów.

- Uspokój się - mówi Abbie. - Zrozumie i oddzwoni.

Modląc się, aby Abbie miała rację, przestaję podskakiwać i skupiam wszystkie swoje moce na tym, żeby telefon zadzwonił. Po dwudziestu sekundach rozbrzmiewa dzwonek, natychmiast odbieram.

- O, Boże, jak to się mogło stać? Upuściłam telefon, przepraszam...

- Francesca?

To nie Carson, tylko Sabina. Wzdragam się i rozłączam bez słowa wyjaśnienia. W tej samej chwili znów rozlega się dzwonek.

- Błagam, niech to będzie on. To on.

- Francesca, co ty wyprawiasz?

- Przepraszam, tak się ucieszyłam, że nagle zwątpiłam, czy na pewno dobrze cię usłyszałam. O niczym tak nie marzę! Dziękuję, dziękuję, dziękuję! - krzyczę, drżąc z podniecenia, robi mi się trochę niedobrze.

- Dobra, spokojnie - Carson usiłuje powstrzymać śmiech. - Przystaniesz dziękować, jak ci tylek zdrtwieje od siedzenia w jednym miejscu przez sześć godzin.

Absolutnie nic nie może osłabić mojego podniecenia i radości.

Zaproszenie na oscarową galę oznacza, że moje życie będzie pełne, że wszystko inne nie będzie miało znaczenia, że spełni się moje największe marzenie. Zdaje się, że krew odpływa mi z głowy, nagle robi mi się słabo, siadam.

- Kiedy ja mogę tam siedzieć bite sześć tygodni! - wypalam.

W tej chwili Abbie wybucha.

- Do jasnej cholery, powiedz mi, co się dzieje! Czemu płaczesz?! - krzyczy.

- Płaczesz? - pyta Carson z drugiej strony globu, zupełnie oszołomiony.

- Tylko trochę - odpowiadam, po czym wrzeszczę do Abbie. - Jadę, kurwa, na Oscary!

Na jej twarzy maluje się niedowierzanie, po chwili dociera do niej, co powiedziałam, a wtedy zaczyna krzyczeć. Podskakujemy, ściskamy się i tańczymy. Uświadamiam sobie, że przez przypadek mogę znów się rozłączyć, więc się uspokajam. Błyskawicznie biorę się w garść i zasypuję Carsona pytaniami.

- Jesteś pewien, że Steph nie będzie miała nic przeciwko temu? Kiedy mam przylecieć do Stanów? Co ja, do jasnej

cholery, na siebie włożę? Tak ci dziękuję! Mam zarezerwować hotel? Wiesz co, może od razu zabukuję przelot, żeby potem nie było problemów z miejscami...

Carson zdecydowanie ucina moją rozgorączkowaną paplaninę.

- Francesco, to super, że tak się cieszysz. Fajnie będzie dla odmiany wybrać się na galę z kimś, kogo przepelnia taki. .. entuzjazm, ale musisz na chwilę się uspokoić.

- Jestem spokojna - odpowiadam od razu, choć zupełnie mijam się z prawdą.

- Posłuchaj, zanim się zgodzisz, powinnaś rozważyć kilka rzeczy. Czuję ciężar na piersiach. Wiedziałam. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Zmieni zdanie, już to widzę. Nie można komuś rzucić światła do stóp tylko po to, żeby chwilę potem mu go odebrać...

- Jeśli pojawisz się ze mną na Oscarach, to mogę setki razy zapewniać, że jesteś moją przyjaciółką, krewną czy kim tam jeszcze - prasa i tak uzna, że jesteś moją nową dziewczyną. Jeśli chodzi o Steph, będzie zachwycona, bo nikt nie będzie węszył wokół ślubu, a ona spokojnie wszystko pozalátwia. Co innego ty. Przez jakiś czas dziennikarze będą śledzić każdy twój krok. Będzie ci się wydawało, że jesteś pod stałą obserwacją.

- Nie szkodzi - bełkoce. - Dam radę. To nie potrwa długo, no i może być całkiem zabawnie.

- Na pewno z nikim się teraz nie widzisz? - pyta Carson ostrożnie.

- Na pewno.

- Przepraszam, musiałem spytać. Mało który facet życzyłby sobie, żeby jego dziewczyna uchodziła za moją. Nie sądzę, żeby Tom był zadowolony.

- Mam to w nosie - odpowiadam wkurzona. Carson wzdycha.

- Francesco, wiem, że się rozstaliście, ale nie zdziwiłbym się, gdybyście się zeszli. Jeśli Tom jest choć trochę taki, jak ja albo większość normalnych mężczyzn, to udawanie, że jesteś moja, wcale mu się nie spodoba.

- Carson - zaczynam wyjaśnianie - nie interesuje mnie, co myśli Tom. Nie rozmawiałam z nim od kilku tygodni, a nie zejdziemy się dlatego, że na przeszkodzie stoi jego głupi upór.

- Okay - mówi Carson ze złością, jakby mi nie wierzył. -W takim razie masz randkę. Bardzo się cieszę. I bardzo chcę, żebyś przyjechała - to będzie dobra zabawa. Poza tym wiem, że dotrzymasz tajemnicy. To wiele dla mnie znaczy. I tak mamy ze Steph wobec ciebie ogromny dług - nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie ci się odwdziżyć. Widzisz, Fran, jeśli mam być zupełnie szczery, to równie dobrze mógłbym pójść z matką, ale ona nie byłaby tak dobrą zasłoną dymną. A skoro ci to mówię, to muszę dodać, że nam na tobie zależy i nie chciałbym, żebyś poczuła się wykorzystana. Bardzo cię proszę, przemyśl to jeszcze, zanim dasz mi ostateczną odpowiedź.

- Dobrze... Już przemyślałam. Tak! Tak! Tak!

- Może zadzwonię jutro i się upewnię? - pyta Carson ze śmiechem.

- Bardzo proszę - odpowiadam. -I tak nie zmienię zdania. Nie szukaj nikogo innego.

Żegnamy się i rozłączamy, szczegółowo relacjonuję Ab-bie naszą rozmowę. Śmiejemy się, bo czy którakolwiek kobieta uznałaby za problem to, że na całym świecie będzie uchodzić za dziewczynę Carsona Adamsa? Wystarcza mi sekunda namysłu, żeby uznać ściganie przez prasę za niewielką cenę za spełnienie życiowego marzenia.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi jestem trochę zła na Carsona za to, że przypomniał mi o Tomie. Jak zwykle to właśnie do Toma mam ochotę zadzwonić, żeby podzielić się wieściami. A, właśnie, powinnam oddzwonić do Sabiny.

W tym roku gospodarzem oscarowej gali będzie aktor, James Reddington (który od czasu rozstania z Mariną Madison przeżywa renesans popularności), a Francesca Massi z przedmieść Middlesex usiądzie w drugim rzędzie obok aktora nominowanego do nagrody na rolę pierwszoplanową. Surrealne, co?

Zjadłszy kurczaka z dzikim ryżem, którego popiłam szampanem, rozsiadam się, a właściwie rozwalam, w bardzo wygodnym fotelu. Mam na sobie wygodny dres i skarpetki, oglądam film, który w Wielkiej Brytanii nie doczekał się jeszcze premiery, i czuję się zadowolona z życia. Trudno, żeby było inaczej: lecę do Los Angeles pierwszą klasą, a nie ja płaciłam za bilet, na miejscu zatrzymam się w domu gwiazdy filmowej, a do tego idę na rozdanie Oscarów. Carson zabukował mi bilet cztery dni przed galą, żebym spędziła trochę czasu z nim, Steph, Cameronem i, rzecz jasna, z Lorną, doszła do siebie po zmianie czasu i - co najważniejsze - zdążyła wymyślić, w co się ubiorę.

Przeżywam rok naznaczony nowościami - jak choćby ten przelot pierwszą klasą. Niemal żałuję, że się na niego zdecydowałam, bo ciężko mi będzie wrócić do klasy ekonomicznej. Ale nie czas narzekać, a poza tym zaczyna się film - pooglądam sobie, zaczekam, aż szampan mnie ulula, i prześpię resztę lotu.

Budzę się po kilku godzinach, mam sucho w ustach, a pod powiekami czuję piasek, ale poza tym jestem rześka. Kiedy samolot zaczyna schodzić do lądowania, popijam wodę i niezdarnie próbuję się umalować. Koła nie uderzyły jeszcze w pas startowy, a ja zdążyłam się już całkiem rozbudzić - przechodzą mnie dreszcze podniecenia na myśl o tym, że zaczyna się moja przygoda. Jako pasażerka pierwszej klasy nie muszę zwracać sobie głowy bagażem,

pozostaje mi znaleźć Shawna, którego Carson obiecał po mnie przysłać. Jest, trzyma kartkę z moim imieniem.

- Cześć, Shawn - witam się z przysadzistym kierowcą o przyjaznej twarzy, który przed chwilą do mnie machał. Ma na sobie uniform szofera, czapkę z daszkiem i okulary Ray Ban.

- Witaj w Mieście Aniołów.

Wychodzimy z lotniska, przez chwilę czuję kalifornijskie słońce, po czym od razu wsiadamy do klimatyzowanego auta. A właściwie - do limuzyny, skoro auto ma doskonale wyposażony minibar.

- Poczęstuj się, Francesco - mówi Shawn, który w lusterku dostrzegł mój wzrok wpatrzony w barek.

- Dziękuję.

Sięgam po colę light i staram się opanować dziki uśmiech, który pojawia mi się na twarzy, gdy auto zsuwa się z krawężnika. Palmy na lotnisku to zawsze dobry znak - wiadomo, że dotarło się gdzieś, gdzie czeka nas dobra zabawa.

Shawn rozpoczyna pogawędkę i wkrótce zabawia mnie opowieściami o tym, co takiego zdażyło się już wydarzyć na tylnym siedzeniu. Na szczęście mówi bardzo ciekawie, bo na autostradzie jest koszmarny korek, ale poza tym moja podróż z Anglii do Beverly Hills przebiega bez najmniejszych przeszkód. Wkrótce dojeżdżamy do okazałej rezydencji. Shawn mówi coś do interkomu, otwiera się czarna brama, jesteśmy w środku. Nie mogę się doczekać, żeby wszystkich zobaczyć. Okazuje się, że nie tylko ja - oto widzę, jak wybiega na dwór Lorna, a za nią Steph i Cameron.

- Cześć! - piszczę, wystawiając nogi za drzwi, zanim Shawn wyłączy silnik. Następuje lekka przepychanka - wszyscy skaczemy, krzyczymy i mówimy naraz.

Z jakiegoś powodu spotkanie za granicą ludzi, których poznało się w kraju, zawsze jest dziwne. Wszyscy wyglądają trochę inaczej, jakby rzucili londyńską skórę i dosłownie wygrzali się w słońcu. Cameron jest brązowiutki, ma bardzo

jasne włosy i zgubił dziecięcy tłuszcz. Jak to dziecko -w ciągu kilku miesięcy ogromnie się zmienił, jakby ktoś mu wgrał nową wersję oprogramowania. Wydaje się jeszcze bardziej naładowany energią i podekscytowany niż zwykle, jeśli to w ogóle możliwe. Steph ma lekką opaleniznę - dopiero teraz, kiedy jest w szortach i koszulce, widzę, jaką ma wspaniałą figurę. Lorna - no cóż, Lorna jako jedyna nadal wygląda na Brytyjkę. Po pierwsze, nosi skarpety do sandałów, po drugie, ma poparzone ramiona i widoczne ślady po ramiączkach.

Wtem ogarnia mnie zmęczenie po podróży - mam przemożną ochotę wziąć prysznic. Chcę zdjąć tenisówki i włożyć japonki.

- Pewnie jesteś wykończona - mówi Steph, podchodząc do Shawna, żeby mu pomóc przy wyjmowaniu bagaży. - Pokażę ci dom, a potem zdrzemniesz się przed kolacją.

- Dziękuję, tego właśnie mi trzeba. Zniecierpliwiona Lorna chwytą mnie za rękę.

- Chodź, chodź. Inaczej przed podwieczorkiem zdążysz obejrzeć tylko łazienki.

- Gdzie Carson? - pytam, starając się, aby mój głos brzmiał normalnie, choć jestem zawiedziona, że nie wyszedł mi na powitanie.

- Na lunchu dla nominowanych aktorów. Strasznie żałował, że nie może cię przywitać, ale za to będzie wieczorem na powitalnej kolacji - mówi Steph.

- Super - odpowiadam i od razu robi mi się głupio za wcześniejsze myśli. Trzy godziny później budzę się z drzemki, wychodzę półprzytomna z pokoju i zaskoczona wpadam na Carsona.

- Cześć! - piszczę, desperacko usiłując przygładzić włosy. - Wróciłeś.

- Parę godzin temu - mówi Carson. Uśmiecha się szeroko, jak zwykle przepięknie go energia. - Nie chcieliśmy cię budzić. Na szczęście już wstałaś, bo potem nie spałabyś w nocy. Dobrze cię widzieć. Wyglądasz... wyglądasz, jakbyś

dopiero wstała. Chodź, wypijesz margaritę, od razu krew ci zabuzuje. Na moją powitalną kolację Richie (osobisty kucharz Carsona) przygotował wyborną meksykańską ucztę, do której zasiadamy pod gwieździstym niebem. Nasyciwszy się, wzdychając z zadowolenia i rozkoszując się roztaczanym przez bugenwillę aromatem, leniwie oznajmiam, że jutro powinnam pewnie zacząć poszukiwania sukni. Steph i Lorna chichoczą, po chwili odzywa się Carson:

- Mówiłem ci chyba, że się tym zajmiemy.
- Wspominałeś - mówię z powątpiewaniem, bo nie bardzo przypadł mi do gustu pomysł, żeby to Carson coś dla mnie wybrał. Miałam nadzieję, że mówiąc „zajmiemy”, miał na myśli pokrycie rachunku, chociaż jeżeli znajdę coś drogiego, co naprawdę mi się spodoba, to chętnie uszczknę z honorarium za książkę. W końcu nigdy już nie będę musiała podjąć tak ważnej decyzji dotyczącej garderoby, poza dniem ślubu oczywiście.
- Bądź gotowa jutro o jedenastej - mówi Carson ze śmiertelną powagą, podczas gdy Lorna i Steph, która chyba jest nieco wstawiona, nie przestają chichotać.

Następnego ranka z głębokiego snu wywołanego zmianą czasu budzi mnie łomotanie Lorny do drzwi sypialni.

- Już tu są, Fran! Już przyszli!

Wyślizguję się z arcywygodnego łóżka i idę otworzyć drzwi.

- Kto? - pytam zachrypłym głosem.
- Wstawaj, śpiochu - mówi Lorna, tarmosząc moje skotłowane włosy.

Pół godziny później, po orzeźwiający prysznicu wchodzę do salonu i ze zdumienia przysłaniam otwarte usta dłonią. Stoją tu niezliczone wieszaki - jeden, drugi, szósty, ósmy - na których wiszą przepiękne, powiewne, lśniące kreacje we wszystkich możliwych fasonach i kolorach. Czuję się jak w pieczarze Aladyna, z tym że gustownej.

Dzień mija tak, że z pewnością zasługuje na miano jednego z najprzyjemniejszych w moim życiu. Cudowna kobieta imieniem Rosa pomaga mi przymierzać suknie, które odkłada na dwie kupki: „nie” i „być może”. Z początku mam ochotę wszystkie odkładać na stos „być może”, ale mijają godziny, a ja robię się uważniejsza. Jestem w modowym niebie. W pewnej chwili, gdy biegnę po pokoju w brzoskwiowej, wyszywanej cekinami sukni Michaela Korsy, czuję, że muszę spytać Steph, czy naprawdę nie ma nic przeciwko całemu temu przedsięwzięciu. Otwieram usta, żeby sformułować pytanie, ale Steph dostrzega niepewność w moich oczach i czyta w moich myślach.

- Nawet nie wiesz, Francesco, jak się cieszę, patrząc, ile masz frajdy. I jak to dobrze, że to nie ja muszę tam iść - zapewnia mnie, przysiadając na brzegu jasnobrązowej, skórzanej kanapy. Ma na sobie dzinsowe szorty i koszulkę, wygląda przepięknie i bardzo naturalnie.

- Na pewno? - pytam, bo trudno mi w to uwierzyć.

- Na pewno - odpowiada stanowczo. Spontanicznie podbiegam, żeby ją przytulić.

- Strasznie ci dziękuję - mówię, mocno ją ściskając. Steph chichocze.

- Jesteś niemożliwa, Fran. Wydaje ci się, że wyświadczamy ci przysługę, a my wiemy, że jest dokładnie na odwrót.

Wzruszam ramionami, postanawiam zaakceptować to, że ona ma jakiś skrzywiony obraz sytuacji, i być za to wdzięczna. Upajam się rolą Kopciuszka, aż do chwili, gdy po południu zawężamy wybór do trzech kreacji. Pierwsza to suknia vintage Ives Saint Laurent - srebrna, obcisła, bez rękawów. Rosa sugeruje, żebym włożyła do niej długie, białe rękawiczki i upięła włosy. Druga to zielonoturkusowa suknia Alberty Feretti z lekkiego szyfonu z kryzą. Trzecia to klasyczna, czerwona suknia vintage od Valentino - satynowa, z głębokim wycięciem na plecach i usztywnionym stanikiem; mam w niej talie, jakiej pozazdrościłaby mi sama Jessica Rabbit. Nie wiem, na którą

kreację się zdecydować, ale wreszcie dokonuję wyboru. Następnego dnia przychodzi ktoś od Jimmy'ego Choo, bierze próbkę satyny, żeby ufarbować buty na dokładnie ten sam kolor.

Kolejne dni mijają w równie cudownej atmosferze dogadzania sobie, wylegiwania się w słońcu i nadrabiania zaległości w rozmowach. Pal licho ciuchy - samo przebywanie w tym domu to nadzwyczajna gratka. Jest absolutnie piękny - to gigantyczna rezydencja w hiszpańskim stylu kolonialnym z dwoma basenami, krytym i na świeżym powietrzu. Pogoda codziennie nas rozpieszcza. Dobrze jest widzieć Lornę, która zamiast ciężko pracować, wypoczywa. Jest w doskonałej formie, głównie dlatego, że kalifornijskie słońce to najlepszy lek na jej artretyzm. Steph emanuje spokojem, a Cameron jest o wiele szczęśliwszy. Wcale mnie to nie dziwi, ja też wpadłabym w ekstazę, dowiedziawszy się, że nie łączą mnie z Caroline więzy krwi.

Carson, uroczy jak zawsze, jest wyjątkowo zajęty bieganiami na oscarowe lunche, udzielaniem wywiadów i oczywiście cichymi przygotowaniem do ślubu. Do tego nie mają końca rozmowy z prawnikami Caroline. Na razie za ich pośrednictwem ustalono, że Carson wypłaci Caroline określoną sumę, otrzyma pełnię praw do Camerona i zachowa domy w Beverly Hills i Londynie. Na Caroline będą czekać Bermudy i stary, dobry Nowy Jork.

38

Przygotowania do wieczornego wyjścia zwykle zajmują mi godzinę, i to razem z myciem i suszeniem głowy. Tymczasem szykowanie się do wyjścia na oscarową gałą trwa godzin pięć. Nie żartuję.

Rankiem nadciąga armia wizażystów, fryzjerów i stylistów - ich jedynym celem jest upiększenie mnie i Carsona. W domu panuje całkowity rozgardiasz, wciąż wydzwania telefon - wszyscy chcą życzyć Carsonowi powodzenia. Co godzina ściga go agentka, błagając, żeby rozważył udział w komedii romantycznej. Carson nie ustępuje, wreszcie, rozdrażniony, wyłącza telefon.

W całym tym chaosie Cameron czuje się jak ryba w wodzie - szaleje po domu jak tornado. W pewnej chwili wpada do pokoju ze szklanką soku, potyka się i naprawdę niewiele brakuje, a rozlałyby kleisty, różowy płyn na wiszącą na drzwiach suknię.

- Chodź, sprawdzimy, kto szybciej pływa. - Steph wyprowadza syna w nadziei, że zawody go nieco zmęczą. Nic dziwnego, że jest taka szczupła. Krawcowe nanoszą ostatnie ściegi na frak Armaniego, a tymczasem Carson biega po domu bez koszuli, prezentując swój idealny tors. Rozprasza wszystkie kobiety w domu i, oczywiście, wszystkich gejów. Lorna z zapalem roznosi na tacach kanapki i napoje i jest wyraźnie niezadowolona z braku chętnych do degustacji. Nie mam serca jej powiedzieć, że cała ta kosmetyczna mafia z Los Angeles, która dziś się tu zebrała, z pewnością nie jadła chleba ani niczego, co zawiera węglowodany, od jakichś pięciu lat.

Zamieszanie jest mi bardzo na rękę, bo przez to szybciej biegnie czas. Eduardo, zniewieściały gość spowity w biały len, ma mi ułożyć włosy. Po spotkaniu na szczycie z Rosą w celu omówienia najważniejszej kwestii: upięte czy rozpuszczone, ustalają, że jednak rozpuszczone. Eduardo zabiera się do pracy. Doczepia kilka idealnie dobranych pasm, przez co dodaje fryzurze objętości. Ostateczny efekt: błyszczące, gęste, doskonale kręcone loki. Po bokach mistrz upina dodatkowe pasma, które ślicznie wiją się wokół mojej twarzy. Wreszcie

Eduardo ogłasza, że jego dzieło jest gotowe. Do pracy przystępuje wizażysta - Glen, przy którym Eduardo wygląda jak Sylvester Stallone. Glen przygląda mi się zmrużonymi oczami i ogłasza wszem wobec, że generalnie „masz, kochanie, cudowną cerę”, ale nie podobają mu się te otwarte pory. Wszyscy z namaszczeniem mu przytakują. Glen sięga po specyfik w aerozolu i nakłada mi na twarz mgiełkę podkładu.

Wszystkie te zabiegi są niezwykle ekscytujące. Mniej więcej w połowie skomplikowanego procesu nakładania podkładu dzwoni Sabina. Jak dobrze ją słyszeć! Rozczulam się, myśląc o przyjaciółkach. Sabina jest mocno ożywiona. Cieszę się, słysząc, że jedzie do mnie do domu, żeby razem z Abbie i całym towarzystwem obejrzeć transmisję ceremonii. Potem dzwonię do rodziców - okazuje się, że już siedzą przed telewizorem, a mama specjalnie zdrzemnęła się po południu, żeby obejrzeć transmisję do końca. Myślę o tym, jak to wszyscy siedzą w domach, żeby mnie zobaczyć w telewizji, i czuję dziwny skurcz w żołądku. Zastanawiam się, czy Tom też będzie oglądał. Glen chce mi umalować oczy, więc odkładam telefon (cały umazany podkładem). Malowanie trwa w nieskończoność. W którymś momencie, śniąc na jawie, przypominam sobie coś i parskam śmiechem. Glen omal nie wydłubuje mi oka pęsetą.

- Co znowu? - pyta poirytowany.

- Przepraszam - usprawiedliwiam się - przypomniał mi się ostatni raz, kiedy zawodowcy robili mi fryzurę i makijaż. Powiem panu, że to było zupełnie inne doświadczenie.

Po godzinie, właśnie kiedy zaczynam się niecierpliwić, Glen wstaje, opiera ręce na biodrach i ogłasza:

- Perfetto.

Eduardo oklaskuje go, a ja z niepokojem, bardzo ostrożnie zerkam w lustro.

Ledwie się poznaję. Nie wiem, jak Glen to zrobił, ale wyglądam jak bóstwo. Uwielbiam go.

Właśnie wtedy wpada Lorna z miską chipsów i sosem guacamole. Zerka na mnie, ale niestety odwraca wzrok. Najwidoczniej moja transformacja nie wywarła na niej takiego wrażenia. Proponuje Glenowi chipsy, ale ten odmawia. Po chwili, jakby dopiero coś do niej dotarło, zaczyna się we mnie wpatrywać i dopiero wówczas uświadamia sobie, że ta boska kobieta w kącie to ja.

- Jakaś ty piękna, Francesco - mówi bez tchu, Odkładając jedzenie na stół i ściskając rękę szyję. - W ogóle nie jak ty. Jesteś absolutnie przepiękna - wykrzykuje, zupełnie nieświadoma tego, że jej komplement jest bardzo dwuznaczny. Nie biorę jej tego za złe - ma rację.

Zerkam na zegar ścienny. Shawn będzie tu za niecałą godzinę. Ogarnia mnie panika. Nie chcę być nieuprzejma, ale odwracam się do Eduarda, Glena, Lorny, Rosy i Jessiki, która właśnie przyniosła suknię, i mówię do nich:

- Najmocniej przepraszam, ale czy mogłabym was prosić o pięć minut samotności?

Wszyscy niechętnie się zgadzają i wychodzą jeden za drugim, po drodze grzecznie odmawiając proponowanych przez Lornę chipsów.

Zamykam za nimi drzwi, siadam w szlafroku na łóżku. Znow zerkam w lustro. W tej idealnej fryzurze i makijażu wyglądam prawie jak gwiazda filmowa. Nie wiem, czy to z powodu stresu nagle czuję przyływ emocji. Kto by pomyślał rok temu, w moim najważniejszym dniu przeznaczenia, kiedy zadzwoniła Carrie Anne z propozycją pracy dla Caroline, że pójde na oscarową galę? Nadal to do mnie nie dociera. Na stoliku leży telefon. Wybieram numer Carrie Anne, wiedząc, że Carson nie miałby nic przeciwko temu.

- Halo?

- Cześć, Carrie Anne. To ja, Fran.

- Co u ciebie, skarbie? Jadę do was wieczorem, żeby cię zobaczyć na czerwonym dywanie. Wszyscy tu jesteśmy podekscytowani jak diabli. Jak ci tam jest?

- Cudownie. Carrie Anne, tak strasznie ci dziękuję - wyduszam z siebie, za wszelką cenę starając się nie rozplakać, żeby nie zniszczyć idealnego makijażu. Glen by mnie zabił. -Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Jesteś nadzwyczajną przyjaciółką i... - nie mogę dokończyć zdania, język staje mi w gardle. Carrie Anne przez chwilę milczy -wiem, że w tej chwili ona naprawdę rozumie, jak bardzo jestem jej za wszystko wdzięczna i jak bardzo ją kocham.

- To sama przyjemność, skarbie. A teraz idź im wszystkim pokaż.

Trzymamy kciuki. W czym idziesz?

Zerkam w kąt pokoju, gdzie wisi moja suknia, i uśmiecham się szeroko.

- W czymś bardzo pięknym. I bardzo krwistym.

Kończymy rozmowę, po czym wypadki następują błyskawicznie. Rosa i asystentka nie czekają ani chwili dłużej, wpadają do pokoju i wykładają akcesoria, wśród których jest maleńka, ozdobna torebka, która idealnie pasuje do sukni. Potem bardzo ostrożnie pomagają mi włożyć suknię, diamentowe kolczyki, naszyjnik i bransoletkę - warte w granicach dwóch milionów dolarów - po czym wkładam satynowe szpilki Jim-my'ego Choo - na sześciocalowych obcasach, z diamentowymi klamerkami. Nie mam czasu dokładnie się obejrzeć, bo słyszę, jak Cameron krzyczy: „Tatusiu, Fran! Shawn przyjechał!”.

Już czas. Jestem podenerwowana jak nigdy przedtem. Wyglądam nie jak ja i nie czuję się jak ja, co wywołuje pewien dyskomfort. Ścisza mnie w żołądku, jestem zupełnie oszołomiona, mam spocone dłonie. Biorę głęboki wdech i zachecona przez Rosę wychodzę powoli na półpiętro. Czuję się trochę jak Julia Roberts w *Pretty Woman* (w czerwonej sukni, nie w ciuchach prostytutki). Wszyscy stoją przy schodach. Pierwsza odzywa się Lorna.

- Francesco, wyglądasz przepięknie. Nawet lepiej niż ta, taka ładna, jak jej tam, Shania Twain.

Steph śmieje się, podchodzi i szepcze mi do ucha tak, że tylko ja to słyszę:

- Skoro Carson musi dziś mieć inną dziewczynę, to strasznie się cieszę, że jesteś nią właśnie ty, Francesco. Wyglądasz wspaniale. - Steph całuje mnie w policzek.

Cameron mówi tylko „wow”, a Eduardo i Glen przecierają oczy, po czym rzucają się w moją stronę, żeby zrobić ostatnie poprawki.

Odwracam się do Carsona, który dla swojego dobra nie powinien we fraku wyglądać aż tak oszłamiająco.

- Może być? - pytam.

- Jesteś pełna niespodzianek, panno Massi - mówi, obdarzając mnie obezwładniającym uśmiechem, po czym wystawia ramię i mruga do Steph na pożegnanie.

Ona uśmiecha się do niego szeroko i mówi bezgłośnie „powodzenia, kocham cię”, tak że Eduardo i spółka nie mogą jej słyszeć.

Wszyscy wychodzą na podjazd, żeby nam pomachać, a ja, siedząc z Carsonem na tylnym siedzeniu tak wystrojona, czuję się jak panna młoda w drodze do kościoła. Nerwy zżerają mnie coraz bardziej, a do tego powoli wykształcam chroniczny zespół Tourette'a.

Mam sucho w ustach, ale dosłownie nie mogę przestać gadać. Nic tylko współczuć Carsonowi i Shawnowi, bo nie mówię nic, czego warto by posłuchać. Trajkoczę jak katarynka i klnę jak szewc. Przez jakieś dziesięć minut non stop wyrzucam z siebie wulgaryzmy. Carson i Shawn znoszą to dzielnie, aż do chwili, kiedy nagle wykrzykuję: „zapomniałam, kurwa, schować gumy do torebki” - wtedy Carson delikatnie zwraca mi uwagę.

- Mam nadzieję, że nie będziesz mówić jak Osbournowie przez cały wieczór.

W lot pojmuję, o co mu chodzi, gryzę się w język i skupiam na tym, żeby przez resztę drogi siedzieć cicho.

Kodak Theatre jest niedaleko, ale kiedy dojeżdżamy na miejsce, wiem już, czemu musieliśmy wyjechać tak wcześnie. Jezdnia zamienia się w morze czarnych limuzyn, stoimy

w najdziwniejszym korku, jaki widziałam. Zza rogu dobiega nas fala głosów. Tłum czeka.

Carson odwraca się do mnie i mruga. Nagle uzmysławiam sobie, że on też się denerwuje.

- Wszystko w porządku? - pytam.

- Tak. A u ciebie?

Kiwam głową. Jestem zbyt oszołomiona, żeby coś dodać. Oboje czujemy przyływ adrenaliny. Nerwy mnie zżerają, chcę już wysiąść z samochodu, a wydaje się, że w ogóle nie posuwamy się do przodu.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem, Fran. Wkrótce się dowiedzą, kim jesteś i że dla nas pracowałaś, ale dziś nie daj niczego po sobie poznać.

Posłusznie kiwam głową. Jak tak dalej pójdzie, odgrywanie zagadkowej postaci przyjdzie mi bez trudu, bo nie jestem w stanie wypowiedzieć ani słowa.

Wreszcie nasza limuzyna podjeżdża bliżej, zgromadzeni ludzie usiłują dojrzeć, kto jest w środku. Serce mi wali jak oszalałe na myśl, że kiedy tłum dojrzy, z kim jadę, nie będzie rozczarowany. W chwili, gdy otwierają się drzwi i wyłania się głowa Carsona, podnosi się wrzask, a napięcie pandemonium wzrasta pięciokrotnie.

Fala dźwięku rozchodzi się jak elektryczność, a moje zdenerwowanie nagle przeobraża się w znacznie przyjemniejszy stan. Nadal się trzęsę, ale nade wszystko chcę rozkoszować się chwilą. Po raz ostatni biorę głęboki oddech, Shawn mruga do mnie w lusterku. Myślę o Tomie i w nadziei, że właśnie ogląda telewizję, elegancko wysiadam z samochodu. Przed kilkoma dniami Carson udzielił mi przy basenie lekcji, które teraz się przydają - wysiadam tak, żeby nie odsłonić nawet rąbka bielizny. Carson szarmancko ujmuje moją dłoń i prowadzi mnie na miejsce, za co jestem mu ogromnie wdzięczna, bo oślepiają mnie błyski fleszy. Przypominam sobie, że mówił, żeby zachować spokojny wyraz twarzy, bo inaczej na zdjęciach będę miała grymas. Ze

wszystkich stron tłum pokrzykuje „Carson!”, ale słyszę też krzyki: „Pani w czerwonym! Tutaj!”. Nie mam pojęcia, jak na to reagować, więc zdaję się na Carsona, uśmiecham się i mam nadzieję, że zachowuję się tak jak trzeba. Ja cię kręcę. Jestem na czerwonym dywanie. Idę na rozdanie Oscarów. To dziś. To się dzieje naprawdę.

Na sekundę zamykam oczy i przenoszę się myślami do domu. Myślę o rodzinie, o tym, jacy wszyscy będą dumni, o tym, że trudno im będzie uwierzyć w to, co widzą. Wyobrażam sobie Abbie, Sabine, Elle, Paula, Adama, Radza, Briggsy'ego, Wayne'a i Carrie Anne - patrzą po sobie z otwartymi ustami, zszokowani moim wyglądem. Chichoczę pod nosem. Założę się, że Briggsy palnie coś na temat mojej sukni. Ciekawe, czy transmisję ogląda Stacey? Boże, mam nadzieję, chciałabym zobaczyć wyraz jej twarzy. Ojej, znacznie ważniejsza kwestia: czy ogląda nas Caroline? Jeśli ktokolwiek w tej chwili dotrzymuje jej towarzystwa, to mam nadzieję, że nie. I wreszcie, wyobrażam sobie Toma, co prawda z trudem, bo przecież nie wiem, czy ogląda telewizję, choć z pewnością wieści o tym, że jego była będzie na gali, jakimś sposobem do niego dotarły.

Czas się ocknąć. Uśmiecham się szeroko. Tłum radośnie krzyczy do Carsona, który ściska mi rękę.

- W porządku, skarbie? Wyglądasz, jakbyś była myślami gdzie indziej.

- Wybacz, już dobrze - szepczę - a nawet wspaniale.

I właśnie wtedy mój wzrok pada na ogromny ekran telewizyjny, a na nim transmitowany materiał, czyli zbliżenie mojej twarzy. Zdumiona, odwracam wzrok i uzmysławiam sobie, że moja obecność u boku Carsona to niesłychane wydarzenie.

Mijamy córkę Joan Rivers, Melisę. Słyszę, jak mówi: „Kim jest tajemnicza kobieta, z którą przybył Carson Adams? Kimkolwiek jest, zazdroścą jej kobiety na całym świecie. Wygląda na to, że wreszcie potwierdziły się plotki o końcu związku Carsona z Caroline Mason”.

Melissa Rivers mówi o mnie - to zupełnie surrealne. Udaję, że niczego nie słyszałam, i skupiam uwagę na Carsonie.

Carson radzi sobie z dziennikarzami wprost rewelacyjnie, patrzę na niego z podziwem. Widać, że jest weteranem czerwonego dywanu: odbija trudne pytania jak piłeczkę, dbając mimo wszystko o to, żeby każdy dziennikarz miał przyzwoity wywiad.

Wśród tłumu dostrzegam kogoś z BBC, a tuż przed nim -samą Joan Rivers. Puls wraca mi do normy, zaczynam doskonale się bawić, a nawet podgrywać do kamery. Wywiady nie są tak straszne, jak myślałam, a ponieważ stoję tuż za Carsonem, nie słyszę, co mówią reporterzy, więc nie muszę się martwić, co powiedzieć, dopóki ktoś nie poprosi mnie na bok, żeby spytać, od jakiego projektanta mam suknię. Tymczasem zbliżamy się do Joan, która wyławia mnie z za Carsona.

- Jest pani Angielką, prawda? - pyta. -Tak.

- Zazdrości pani każda kobieta na ziemi. Jak się poznaliście?

Zerkam na Carsona. Jest nieco podenerwowany.

- Przez przyjaciół - odpowiadam dyplomatycznie.

- Długo jesteście razem?

- Niezbyt długo - odpowiadam, racząc babkę od PR-u znaczącym spojrzeniem. Pojmuje, o co mi chodzi, i interweniuje.

- Ostatnie pytanie, Joan.

- Co pani ma na sobie? - pyta Joan niechętnie, wiedząc, że tego właśnie wszyscy będą chcieli się dowiedzieć, a ja po raz setny tego wieczoru odpowiadam: „Suknię od Valentino, buty od Jimmy'ego Choo i biżuterię od Harry'ego Winstona”.

Inna panienska od PR-u prowadzi nas dalej, a Carson znów ściska moją dłoń.

- Byłaś świetna, dobra robota.

Wreszcie, po półtorej godziny od przybycia na miejsce, wchodzimy do środka, a ja mogę się rozejrzeć po zebranych.

Wokół same sławy. Idąc do wejścia wytwornego, bogato złoconego audytorium z czerwonymi, aksamitnymi fotelami, wpadam na Susan Sarandon i niechcący nadeptuję jej na nogę.

39

Jesteśmy w audytorium, siedzimy w drugim rzędzie, otoczeni przez reżyserów i producentów *Reportera*. Ale tuż obok, z naszej prawej strony siedzi Julia Roberts, która partnerowała Carsonowi w tym filmie, Russell Crowe jest dosłownie o rzut beretem, a za mną siedzi Christina Ricci. Od chwili, kiedy zajęliśmy miejsca, stale ktoś do nas podchodzi, żeby przywitać się z Carsonem i ukradkiem zerknąć na mnie; na razie wymieniłam uścisk dłoni z Robertem De Niro, Brangeliną, Gwyneth Paltrow i Denzelem Washingtonem - wymieniam tylko kilka nazwisk. Istnieje autentyczne niebezpieczeństwo, że się zleję z radości. Wszyscy są dosyć życzliwi i bardzo ciekawi, kim jestem, ale Carson zręcznie unika odpowiedzi. Raptem, dosłownie w chwili, gdy Christina Ricci nachyla się, żeby spytać Carsona, co się stało między nim a Cas, rozbrzmiewają dźwięki orkiestry, goście milkną, zaczyna się gala. Jestem podekscytowana do granic niemożliwości, sięgam po dłoń Carsona i boleśnie ją ściskam, co raczej nie sprawia mu przyjemności.

Zastanawiam się, co czuje teraz gospodarz wieczoru. Na świecie jest pewnie garstka osób, które są w stanie zmierzyć się z uroczystością tej skali. Żeby poprowadzić ceremonię z rozmachem i humorem, trzeba mieć nadzwyczajny talent i pewność siebie. Ciekawe, jak poradzi sobie James Reddington.

- Ja pierdziele, jestem na Oscarach! - szepczę do Carsona pod wpływem zalewającej mnie fali podniecenia.

-1 weź, człowieku, zaproś dziewczynę z Teddington... -żartuje.

James Reddington inauguruje galę przezabawną piosenką, w którą wplata zapowiedzi wszystkich nominowanych filmów, a nawet dowcipy o samych nominowanych. Jestem tak oszołomiona, że z początku nie dociera do mnie, że może też zaśpiewać o Carsonie - pod koniec piosenki obrywa się i jemu, a jakże.

Kolejna nominacja Carsona Adamsa - tym razem za rolę reportera, ale taki przystojniak nie powinien chyba wygrać, co? Uczciwie trzeba powiedzieć, że w filmie jest intryga, jest romans i jest humor. No igra w nim Julia, która uważa, że to wszystko bardzo zabawne, ale nie sądzę, żeby jej zdanie podzielała pewna aktorka imieniem Caroline.

Kontrowersyjną puentę James Reddington wygłasza, zszedłszy ze sceny, praktycznie siedząc Carsonowi na kolanach. Doskonale wiem, że kamera filmuje nas troje. Tłumię w sobie żenującą chęć pomachania do kamery i skupiam się na obserwowaniu spoconego czoła Jamesa Reddingtona, które z bliska wygląda jak mocno przypudrowany воск.

Gala trwa w najlepsze i wkrótce rozpoczyna się właściwa część: ogłaszanie zwycięzców poszczególnych kategorii. Po czterech godzinach, mimo obaw Carsona, można powiedzieć o mnie wszystko, ale nie to, że się nudzę. Jak można się nudzić, siedząc pośród żywych wersji figur woskowych Madame Tussaud? Tak czy inaczej strasznie mnie pili, żeby iść do toalety, więc pochłania mnie modlitwa, żeby pod wpływem siedzenia nieruchomo ten nagły przymus ustąpił. Oczywiście są na sali wyznaczone osoby, które natychmiast zapełniają puste miejsca, gdy któryś z gości się oddali, ale za nic nie mogę iść teraz, bo mogłabym przegapić rozstrzygnięcie kategorii, w której startuje Carson: Oscara dla najlepszego aktora wręcza się prawie na końcu, a rywalizacja jest ostra. Oprócz Carsona nominowani zostali Russell Crowe, Tom Hanks, Jack Nicholson i jakiś siedemnastoletni

młodziak, który wspaniale zagrał głuchoniemego w westernie wyreżyserowanym przez Clinta Eastwooda.

Na scenie pojawiają się Sting i Phil Collins, laureaci w kategorii „najlepsza oryginalna piosenka filmowa”, a kiedy przebrzmiewa zwycięski utwór, zza kulis wyłania się zeszłoroczna zdobywczyni Oscara w kategorii „najlepsza aktorka pierwszoplanowa”, Judi Dench. To ona dokona prezentacji nominowanych, na którą czekamy.

Wymieniamy z Carsonem nerwowe uśmiechy. Judi Dench przemawia króciutko i od razu zapowiada urywki filmów. Do tej pory Carson sprawiał wrażenie, jakby na tej nagrodzie w ogóle mu nie zależało, ale gdy tylko jego twarz pojawia się na wielkim ekranie, czuję, że cały się spina. Byłam raczej naiwna, sądząc, że ma to wszystko w nosie. Nagle najważniejsze jest to, żeby wygrał.

Kończy się prezentacja. Madame Judi otwiera kopertę. - Zwycięzcą jest... Jack Nicholson. Zerkam na Carsona - to stuprocentowy zawodowiec, na jego twarzy nie ma nawet śladu rozczarowania. Uśmiecha się i wygląda na autentycznie zadowolonego z sukcesu Jacka. Może gorycz przegranej osładza fakt, że ma już w domu taką statuetkę, w jednej z łazienek na parterze. Chociaż z Oscarami jest pewnie tak, jak z torebkami i butami - nie można mieć ich zbyt wielu. Oklaskuję Nicholsona z rozczarowaniem, że nie wygrał Carson. Mam nadzieję, że nie popsuje mu to zbytnio humoru.

Po godzinie kurtyna wreszcie opada, a choć pęcherz boli mnie niemiłosiernie, a do tego zdrętwiały mi obie nogi, to smutno mi, że już po wszystkim. Już po gali.

Byłam na rozdaniu Oscarów, ale w odróżnieniu od większości zgromadzonych, uczestniczyłam w ceremonii po raz pierwszy i najprawdopodobniej po raz ostatni.

Wyjście z audytorium trwa całą wieczność, bo co chwila wpadamy na kogoś, kto chce pomówić z Carsonem i wyrazić swoją solidarność.

Wreszcie wychodzimy z sali, a ja pędzę

na szpilkach najszybciej jak tylko mogę do najbliższej toalety, przed którą zdążyła już się ustawić imponująca kolejka. Zdaje się, że gwiazdy mają takie same pęcherze jak my, zwykli śmiertelnicy, więc stoję za Hilary Swank i Catherine Zetą-Jones i czekam cierpliwie.

Trwa to jakiś czas. Carson czeka. Czas ruszać na oscarowe afterparty. Nie muszę chyba mówić, że Carson został zaproszony na wszystkie imprezy, ale postanowił iść tylko na jedną, a sądząc po tym, jak często zerka na zegarek, nie może się doczekać.

Z ulgą zapadam się w siedzeniu klimatyzowanej limuzyny. Wreszcie mogę pomyśleć o tym, co właśnie przeżyłam, i normalnie odezwać się do Carsona.

- Bardzo się zawiodłeś, że nie wygrałeś? - pytam.

- Nie... Może trochę. Skłamałbym, gdybym powiedział, że gdzieś w głębi duszy nie liczyłem na wygraną. Ale w końcu jednego Oscara już mam. A jak się tobie podobało?

- Bolą mnie nogi i szczęka od ciągłego uśmiechania się, ale z całą pewnością nigdy się tak dobrze nie bawiłam. Było cudownie.

Carson uśmiecha się krzywo.

- Prawda? Wiesz, nie sądziłem, że kiedy będę z tym kończył, zrobi mi się smutno, ale właśnie mi się zrobiło.

Ja też markotnieję. Rozumiem powody smutku Carsona i mam nadzieję, że nie przyczyniłam się do podjęcia przez niego decyzji, której będzie żałował. Dostrzegając moje przygnębienie, Carson wyjaśnia, o co mu chodzi.

- Nie zrozum mnie źle. Wiem, że robię to, co trzeba. Robię to dla siebie, dla Camerona i Steph, i gdybym nie podjął takiej decyzji, to dzisiejszy wieczór pewnie byłby dla mnie koszmarem. Te rozmowy o niczym i wymiana uprzejmości bywają nudne jak flaki z olejem, ale wiesz, z tobą to zupełnie coś innego niż z Caroline. Zawsze kazała mi się wszystkim przedstawiać i skakała mi do gardła, jak powiedziałem coś nie tak.

Carson sięga do minibaru po butelkę wody, otwiera ją, bierze potężny łyk.
- Wiem, że podjąłem słuszną decyzję - mówi, mlaskając -ale show-biznes wcale nie jest taki zły. Przede wszystkim filmy sprawiają ludziom mnóstwo frajdy i chyba to właśnie sobie uświadomiłem, oglądając dzisiaj urywki.

Rozważam słowa Carsona, choć przychodzi mi to z niejakim trudem - wypiałam zdecydowanie za dużo szampana.

- Zawsze możesz zmienić zdanie. Jestem pewna, że jeśli za pięć lat postanowisz zrobić kolejny film, Steph nie będzie miała nic przeciwko temu.

Carson patrzy na mnie z uśmiechem.

- Jak zwykle, Francesco, masz absolutną rację.

Przez chwilę towarzyszy nam przyjemne milczenie. Wtem Carson odwraca się do mnie.

- Przykro mi, Francesco, że wymarzony wieczór swojego życia spędzasz z cudzym facetem...

W powietrzu wiszą niewypowiedziane słowa: „a nie ze swoim”. Czuję w żołądku ukłucie smutku, staram się zdusić je w zarodku.

- Strasznie jesteś sentymentalny. Spędzam wymarzony wieczór ze wspaniałym przyjacielem i to jest ważne. -Uśmiecham się, ale wiem, że oczy mam smutne. Biorę się w garść. - Poza tym wcale nie jestem pewna, czy kiedyś znajdę kogoś, kto naprawdę będzie chciał ze mną być - dodaje bez powodu.

Carson z czułością głaszcze mnie po rękę.

- Na pewno znajdziesz kogoś, kto cię pokocha, Francesco. Musisz tylko odpowiedzieć sobie na pytanie, czego naprawdę chcesz w życiu, a wtedy wszystko się ułoży.

Choć wiem, że Carson ma rację, to nie umyka mojej uwagi ironia, że oto doradza mi człowiek, który, gdyby nie ja, nadał trwałą w sztucznym związku z Caroline.

- Grunt, że ty sobie na to pytanie odpowiedziałeś - wypalam i oboje zanosimy się śmiechem.

Limuzyna wiezie nas na imprezę „Vanity Fair” - tłum zebrał się pod budynkiem i staje na głowie, żeby dostać się do środka. Podchodzimy z Carsonem do wejścia - natychmiast i bez żadnych pytań zostajemy wpuszczeni do środka; przyznaję, że ogrania mnie samozadowolenie, choć wiem, nie ma to ze mną nic wspólnego.

Wchodzimy, a ja chłonę każdy szczegół wnętrza. Miejsce urządzone z przepychem i odtworzono w nim plany filmowe nominowanych produkcji. Impreza zapowiada się niesamowicie, ale zadziwia przede wszystkim jej atmosfera - jak by to powiedzieć, bardzo cywilizowana. Sama nie wiem, czego tak naprawdę się spodziewałam - może odrobiny... szaleństwa? Tak czy inaczej alkohol leje się strumieniami, a wieczór dopiero się zaczął - kto wie, co się jeszcze wydarzy. Pochodzi kelner z tacą drinków, ja sięgam po bellini, Carson - po martini. Bierze mnie za rękę, więc idę za nim -przechadza się po sali z oglądą zawodowca, zupełnie niewzruszony tym, że gdzie okiem sięgnąć, same gwiazdy. Już dostrzegłam Drew Barrymore, Bena Stillera i Willa Smitha, a jesteśmy tu raptem pięć minut.

Po jakimś czasie Carsona dopada jeden z producentów wykonawczych *Reportera*. Zaczynają rozmawiać o ludziach, których nie znam i o których nigdy nie słyszałam, więc postanawiam na chwilę się oddalić.

Wymykam się na zewnątrz nad basen, drzewa są przystrojone lampkami, miejsce wydaje się magiczne. Powietrze jest rześkie, przyjemne, rozbrzmiewa spokojny jazz i szum fontanny. Wszystko i wszyscy są piękni. Piękni i bardzo grzeczni.

Przysiadam i sącę drinka, obserwując grupki ludzi z branży filmowej, pochłoniętych rozmowami. Na chwilę przerywam rozmyślania, żeby pogratulować jakiejś nieznanej osobie, która mija mnie ze złotą statuetką w ręku.

Przypomina mi się, jak Ella mówiła, że dzień jej ślubu minął tak szybko, że do dziś żałuje, że nie zrobiła sobie dziesięciominutowej przerwy, żeby ochłonąć i na zawsze uwiecznić w pamięci szczegóły. Postanawiam to właśnie zrobić, usiłuję przyswoić każdy detal. Piękne otoczenie, ciepłą bryzę, migocące światełka. Wokół same gwiazdy; tylko na niebie jest ich więcej.

Nagle czuję się straszliwie samotna.

Co, do jasnej cholery, jest ze mną nie tak? Jestem na najbardziej nadzwyczajnej imprezie na świecie, a jednak nie jestem do końca szczęśliwa.

No, tak. Oczywiście oszukuję sama siebie. Prawda jest taka, że wiem dokładnie, kiedy straciłam szampański humor. W chwili, gdy w samochodzie Carson zrobił aluzję do Toma. Szkoda, że akurat dziś. Mam już dość ciągłego rozmyślenia o Tomie i naprawdę chciałabym znaleźć sposób, żeby raz na zawsze o nim zapomnieć. Wbrew temu, co myśli Carson, dobrze wiem, co czuję do Toma; dobrze też wiem, czego chcę od życia, i choć ustalenie tego zajęło mi trzydzieści lat, to wreszcie dotarłam do prawdy.

Wpatruję się ponuro w satynowe, czerwone szpilki.

Prawda jest taka, że sława przestała mnie obchodzić. Chcę tylko osiągnąć w czymś sukces. Chcę w jakiś sposób zasłużyć na uznanie, jestem ambitna. Chcę wykorzystać każdą okazję, która mi się przytrafi, i wolę żałować czegoś, co zrobiłam, niż czegoś, czego nie zrobiłam. Tak było wcześniej i to się nie zmieniło. Nie ma próby generalnej przed prawdziwym życiem - zawsze mnie to przerażało i właśnie dlatego za nic nie chcę wiązać własnego spełnienia i szczęścia z innymi ludźmi. Muszę przy tym dodać, że dzięki Tomowi przekonałam się, że związek dwojga ludzi może być cudowny i zdrowy. Znalezienie właściwej osoby bywa gigantyczną inspiracją; wcale nie musi wszystkiego w życiu zastąpić, ale może je wzbogacić, uzupełnić. Tylko co, jeśli po omacku szukając szczęścia, gdzieś tę szasnę

zaprzepaściłam? Czy tylko dlatego, że kogoś nie pochłania bez reszty poszukiwanie miłości, powinien się jej trzymać, kiedy to ona znajdzie jego? No i jeszcze jedno, choć zabrzmiało to potwornie sentymentalnie: czy bez miłości to wszystko ma jakiegokolwiek znaczenie?

Wzdycham. Wiem już, że po powrocie do Londynu muszę przełknąć dumę i zadzwonić do Toma. Jeśli uda mi się go przekonać, że nie jestem tak próżna, jak myślał, to może da mi jeszcze jedną szansę? Możliwe, oczywiście, że już sobie kogoś znalazł, ale jeśli nie zadzwonię, to nigdy się nie dowiem.

Podnoszę wzrok. Widok przede mną wyrывa mnie z zadumy. Jest tu ekipa telewizyjna z niebywale atrakcyjną prezenterką. Lekko mnie to zaskakuje, a przy tym po części wyjaśnia, czemu wszyscy tak bardzo się kontrolują. Właściwie można uznać, że nadal są w pracy - nikt nie chce zrobić z siebie pijanego durnia, zwłaszcza jeśli ma to uwiecznić kamera i skomentować kobieta, która w staniku zamiast piersi ma dwa sterówce. A skoro o tym mowa, to podczas tych kilku imprez w Diamond PR nikt się nie martwił, że wyjdzie na idiotę, wręcz przeciwnie. Pamiętam, jak na którejś bożonarodzeniowej imprezie wzywaliśmy karetkę - chyba do Gail z działu zasobów ludzkich; nażarła się puddingu i miała płukanie żołądka. Nie twierdzę, broń Boże, że płukanie żołądka jest nieodzownym elementem dobrej zabawy, ale na obecności choćby kilkorga luzaków ta impreza mogłaby tylko skorzystać. W przeciwnym razie obawiam się, że ogarnie mnie zmęczenie i cikliwość, a wołałabym tego uniknąć.

Zerkam na kelnera, oddaję mu pusty kieliszek i sięgam po drinka Cosmopołitan. Wypijam go duszkiem.

Niewiarygodne - jestem w samym sercu świata, który omamił mnie na całe lata, a jedyne, na co mam w tej chwili ochotę, to zdjąć buty i iść spać.

Wszystko wydaje mi się nagle takie powierzchowne i trywialne.

Wstaję, ostrożnie stąkam w szpilkach. Jestem bardziej wstawiona, niż myślałam. Dostrzegam Carsona, macham,

żeby mnie zauważył. Zastanawiam się, czy i on ma ochotę wracać do domu.

Podchodzi do mnie, wyraźnie zadowolony, że dałam mu wymówkę, żeby się oddalić.

- Przepraszam, Fran. Utknąłem. Jezu, jaki nudziarz. Reaguję na ten komentarz zdecydowanie zbyt głośnym śmiechem. Ten ostatni drink był naprawdę mocny.

- Wszystko w porządku, Francesco? Chyba się jeszcze nie narąbałaś, co? Czka.

- Nie, dlaczego?

- Bo noc jest młoda, a przed nami sporo zabawy.

Pojmuję aluzję. Pomiedzy wierszami Carson mówi: „Błagam cię, tylko nie narób mi obciachu, muszę dbać o reputację”. Jasna sprawa, jemu najwyraźniej się nie spieszy, więc muszę szybko odzyskać dobry humor. Może uda mi się go poprawić alkoholem.

- Carson, mogę ci coś powiedzieć? Tylko się nie obraż -mówię, sięgając po kolejnego drinka.

- Postaram się - odpowiada, dostawiając drugie krzesło obok tego, nad którym się chwieję. - Usiądźmy - sugeruje. Pomaga mi usiąść i po raz kolejny nerwowo zerka na zegarek.

- Czemu wciąż sprawdzasz godzinę? Boisz się, że zmienisz się w dynię czy jak? - pytam beczelnie, podjudzona ostatnim drinkiem.

- Nie, Kopciuszku, nic z tych rzeczy - mówi krzywo, siadając i rozpinając frak. Boże, jest tak przystojny i tak nadzwyczaj uprzejmy. Steph ma szczęście - myślę sobie, nie po raz pierwszy zresztą.

- Carson?

- Tak, Francesco?

- Bardzo tu pięknie, a przyjęcie jest fantastyczne... ale nie sądzisz, że przydałoby się tę imprezę trochę ożywić?

Carson ma rozbawioną minę.

- Pewnie tak, ale to nie Nowy Jork, tylko Los Angeles, w dodatku Hollywood. To praca, a nie zabawa.

W tym momencie oślepią nas blask. Podnosimy wzrok, osłaniając oczy dłońmi i mrużąc powieki, żeby dostrzec, skąd on bije. To lampa ponad kamerą, wymierzoną w Cameron Diaz, która właśnie udziela wywiadu przy basenie.

- „E! Entertainment” - wyjaśnia Carson, widząc moją zdezorientowaną minę. - Jedyna ekipa, która ma tu wstęp.

Przyglądamy się, jak Cameron Diaz, która najwyraźniej ma dość chodzenia na szpilkach, zdejmuje je ze śmiechem. To jedyny spontaniczny odruch, jaki widziałam przez cały wieczór.

- Ma coś w sobie. Carson patrzy pytająco.

- Błysk w oku - wyjaśniam.

- To na pewno - odpowiada Carson. Oj, czuję we krwi alkohol.

- Carson? - seplenię, choć bardzo staram się nad tym zapanować. - Cały ten show-biznes to jedna wielka szopka. Filmy uwielbiam od zawsze, ale odkąd poznałam ciebie i Caroline, zmieniłam zdanie na temat sławy.

- A to czemu? - pyta Carson, czym mocno mnie rozśmiesza.

- Bo wreszcie zrozumiałam, że sława nie daje szczęścia i że ambicje powinny być bardziej... wyważone.

- Brawo, Einsteinie - Carson rozsiada się w krześle i znów zerka na zegarek.

Chyba strasznie go nudzę, ale jestem tak zawiana, że mam to gdzieś. Nakręcam się.

- Bo widzisz, cały ten blichtr ma w sobie coś wspaniałego, ale życie gwiazdy ma też swoje minusy. Stale musisz się martwić, co ludzie o tobie pomyślą, to musi być bardzo męczące - wciąż mierzyć się z ideałem.

Carson wzrusza ramionami, ale widzę, że jest rozbawiony.

- A skoro jesteśmy przy tym temacie, to powiem ci, że sama jestem sobie winna, że Tom ma o mnie takie, a nie inne zdanie.

- Naprawdę? - zdaje się, że ta kwestia interesuje go dużo bardziej niż moja pijacka analiza przemysłu filmowego. Natychmiast się ożywia.

- Tak. Bo widzisz, robię błędy, tak jak wszyscy, ale jestem dobrym człowiekiem, mam zdrowe priorytety i nigdy nikogo bym świadomie nie skrzywdziła. Tom zarzuca mi, że skupiam się na sprawach nieistotnych, ale nie ma racji. Może i mam kretyńskie zapędy - to faktycznie może kogoś irytować, ale to nie znaczy, że jestem zła.

Czuję się urażona, bo Carson nawet nie udaje, że mnie słucha, tylko beczelnie wpatruje się w kogoś stojącego za moimi plecami. Uśmiecha się szeroko i kiwa głową, jakby dawał mu sygnał.

- Przepraszam, Carszon, czy ja cię nudzę?

Carson milczy. Odpowiada mi ten ktoś stojący za mną.

- Wszystko można o tobie powiedzieć, Francesco, ale nie to, że jesteś nudna.

O... mój... Boże.

Carson podrywa się z krzesła i emanuje absurdalnym samozadowoleniem. Ja wstaję dużo, dużo wolniej i za nic nie mogę się zmusić, żeby się odwrócić.

- Dla porządku, nigdy nie uważałem twoich zapędów za kretyńskie. Jesteś wyjątkowo bystra, zabawna, urocza, nadzwyczaj piękna i... lekko wstawiona, sądząc po tym, jak seplenisz.

- Tom?! - piszczę wreszcie, robiąc obrót i niemal przewracając Carsona, który szczerzy się jak nienormalny.

- Jakim cudem...? Co ty tu, do diabła, robisz? Nie rozumiem. .. Jak cię tu wpuścili?

- Hmm... Mówiłaś chyba, że nie chcesz się skupiać na nieistotnych sprawach - mówi Tom, szczerząc się jak wariat.

Wygląda absolutnie pięknie - tak cudownie znajomo. Boże, jak ja za nim tęskniłam. Aż brakuje mi tchu.

- O Boże, o Boże! Nie mogę w to uwierzyć. Nie wierzę, że tu naprawdę jesteś! Jak...? To twoja robota, Carson?

Carson skromnie wzrusza ramionami.

- Jak to dobrze cię widzieć po takim... długim czasie -milknę. Moja radość gaśnie, bo oto uświadamiam sobie, że obaj panowie musieli to zaplanować już dawno, a ja przez cały ten czas bolałam, że to koniec.

- Mogłeś zadzwonić - mówię ze złością.

Twarz Carsona markotnieje. Toma też. Nie tak to sobie zaplanowali.

- Nie stać cię było nawet na jednego, nędznego eseme-sa, myślałam, że ci na mnie w ogóle nie zależy, czułam się koszmarnie - robię Tomowi wyrzut, podsycona tygodniami frustracji i alkoholem.

Carson podchodzi do mnie, delikatnie, ale stanowczo bierze mnie za trzęsącą się dłoń i prowadzi bliżej Toma. Znow zaczynam się cieszyć, że go widzę.

Stoję tuż obok niego, widzę, jak cudownie wygląda. Założę się, że ubierał go Carson - Tom ma na sobie frak, z pewnością bardzo drogi i spod igły znanego projektanta, z niejakim niepokojem stwierdzam, że jest przewiązany pasem i ma bardzo świeżące buty. To zupełnie nie jest swobodny styl Toma, widać, że czuje się raczej niepewnie. Przypominam sobie, jak zobaczyłam go po raz pierwszy, na weselu Harry'ego, kiedy był jedynym facetem w czarnym krawacie. Wbrew sobie zaczynam chichotać i sama już nie wiem, czy mam ochotę go przytulić, czy pobić. To wszystko nie mieści mi się głowie. Nie mogę uwierzyć, że on tu naprawdę jest. Co to oznacza?

Carson myśli chyba, że jeśli zostawi nas samych sobie, to za skarby świata się nie dogadamy (może ma rację), więc zaczyna nas instruować. Odgrywamy droższą wersję programu Jerry'ego Springera.

- Rany, Francesco. Jak chcesz się na kogoś złościć, to złość się na mnie. To ja przekonałem Toma, żeby się wstrzymał i dopiero dziś powiedział ci, co czuje. Chciał to zrobić już dawno, ale kiedy rozmawiałem z tobą przez telefon, byłaś tak wściekła, że kazałem mu poczekać do rozdania Oscarów. Wiedziałem, że będziesz niecierpliwie wyczekiwać gali, i postanowiłem go tu sprowadzić. Sądziłem, że to będzie najwspanialsza niespodzianka.

Przenoszę wzrok z zatroskanego Carsona na podenerwowanego Toma.

- Bo jest - mamroczę mruklawie.

- Świetnie - mówi Carson miękko. - Chryste, całe szczęście, że nie jesteś aktorką, Fran, bo główną rolę byś rozłożyła. Powinnaś teraz paść Tomowi w ramiona, pocałować go i powiedzieć coś w stylu: „Nie wierzę własnym oczom, wymarzony facet w wymarzonej noc”...

Śmieję się mimo woli.

- Carson, nie zapominaj, że jestem Angielką. Prędzej skoczę na bungee bez liny, niż powiem coś takiego.

- No to teraz już wiesz, dlaczego ja nie piszę scenariuszy. Ale na pewno stać cię na coś więcej niż „mogłeś, cholera, zadzwonić” - odpowiada, nieudolnie parodiując brytyjski akcent, i zanosi się śmiechem.

Wpatruję się w Carsona z najprawdziwszą czułością. Jest niepoprawnym romantykiem - wiem już, że w chwili, gdy postanowił, że pomoże nam się zejść, zaplanował także romantyczne zakończenie. Tak się jednak dla niego niefortunnie składa, że on sam happy endy widywał głównie na ekranie. Jesteśmy z Tomem Brytyjczykami z krwi i kości, my nie możemy po prostu paść sobie w ramiona. Amerykańska spontaniczność jest nam zupełnie obca, martwimy się, co czuje to drugie. Poza tym to nie jest film, tylko prawdziwe życie - ono jest skomplikowane, a emocje nie zawsze są przyjemne. O rany, ale mam w czubie.

Stoimy tak z Tomem, wpatrując się w siebie niezręcznie, ale złość już odeszła, oddech się uspokoił, znów ogarnia mnie radość ze spotkania. Tom to wyczuwa, powoli wraca mu odwaga i choć nadal jesteśmy zbyt onieśmieleni i zdenerwowani, żeby powiedzieć albo zrobić coś pożytecznego, to zaczynamy się do siebie kretyńsko szczerzyć.

- Ludzie!

Carsona zaczyna ogarniać najprawdziwsza frustracja -wygląda, jakby chciał nas stuknąć głowami.

- Dobra, już dobra - mówi Tom. - Wybacz, Carson. No tak... O, Boże, Francesco, miałem ułożone całe przemówienie, a teraz wszystkie słowa mi uciekły. - Tom bierze głęboki wdech. - No już... Zaczynam. Przede wszystkim - przepraszam. Najprawdę cię przepraszam. Przepraszam, że zwątpiłem w ten związek tylko z powodu jednego elementu twojej osobowości. Od grudnia nie robiłem nic innego, tylko myślałem o tobie i o tym, co się wydarzyło. Zrozumiałem, że gdzieś w głębi nie mogłem pogodzić się z tym, że twoja praca jest ważniejsza ode mnie.

Zrozumiałem, że masz powody, by interesować się światem Caroline i Carsona, i powinienem był to zaakceptować, zrozumieć, że to część ciebie, że nie musimy na wszystko patrzeć podobnie. Masz rację, byłem idiotą, że nie zadzwoniłem, a do tego nigdy nie powinienem był tak się wtedy unieść. To jasne, że potrafisz sama o siebie zadbać, nie miałem prawa cię oceniać, przesadziłem. Tysiące razy chciałem do ciebie zadzwonić, ale jestem upartym kretynem, a w dodatku ciężko mi było pogodzić się z paroma rzeczami, które powiedziałaś.

Potwornie się rumienię.

- A skoro się z tym zdradziłem, to powiem ci jeszcze, że choć trochę mi to zajęło, to wreszcie mi się udało. Nie uważam już, że wszystko wiem najlepiej, zrozumiałem, że fatalnie poprowadziłem tę rozmowę. Francesca, tak strasznie za tobą tęskniłem.

Napięcie jest niemal namacalne. Nieco rozprasza je Carson, który głupkowato się w nas wpatruje. Zaczynam chichotać.

- Carson, przestań. Rozśmieszasz mnie. Bije od ciebie takie samozadowolenie, że wszystko psujesz.

- Przepraszam - mówi Carson, nawet nie próbując tłumić szerokiego uśmiechu. To on zaaranżował tę scenę i teraz będzie się nią rozkoszował. Po chwili poważnieje, bo zerkając na Toma, uświadamia sobie, że jest bliski łez.

Tom przełyka ślinę.

- Fran, strasznie mi ciebie brakowało... Bez ciebie życie było tak koszmarnie nudne... Chociaż w sumie miało też swoje plusy. Obyło się bez nagłych porodów, chorych psów i takich tam...

Mój łzawy uśmiech słabnie. Tom szybko podejmuje wątek.

- Przede wszystkim musisz wiedzieć, że nigdy nie przyleciałbym do Los Angeles, nie wziąłbym tygodnia urlopu, nie założył fraka i pasa Versace i nie pozwolił Carsonowi zaaranżować tego spotkania, gdybym nie był w tobie bez reszty zakochany, a jestem od chwili, kiedy cię poznałem, i będę pewnie do końca życia.

- Naprawdę? - zatkało mnie, przyznaję.

- Tak. Strasznie mi na tobie zależy i pewnie dlatego tak bardzo przeżyłem to, jak Caroline cię traktuje. Szkoda tylko, że wcześniej nie uświadomiłem sobie, co czuję. Straciłem mnóstwo czasu, zastanawiając się, czy pasujemy do siebie i czy nie jestem dla ciebie zbyt nudny, a trwało to tyle, że nagle zrobiło się za późno, żeby cię odzyskać. Zanim stało się dla mnie jasne, że nie chcę bez ciebie żyć, zabrakło mi odwagi, żeby podnieść słuchawkę. Zamartwiałem się, że nie będziesz chciała ze mną rozmawiać, że może ci przeszło, że masz kogoś innego. Może masz?

- pyta dziwacznie.

-Nie.

- O, Boże, to dobrze, Carson mówił, że nie.

Carson kiwa głową, jakby mówił: „przecież mówiłem”.

Tom znów przełyka ślinę, po czym mówi dalej:

- Poza tym bałem się, że zwykły telefon to nie będzie to. Wiem, że lubisz nadzwyczajne sytuacje. Kiedy Carson zaproponował, żebym cię zaskoczył po gali, pomyślałem: czemu nie. Uznałem, że warto poczekać. Jeśli mimo to chcesz mi powiedzieć, że jestem napuszczonym dupkiem i mam spadać, to masz do tego prawo, a ja przyjmę to jak facet.

Przyglądam się Tomowi. Jego cudowna, przystojna twarz wyraża cierpienie. Mam ochotę rzucić się na niego, mieć go tylko dla siebie. W tej chwili wiem już, jaka będzie moja odpowiedź.

Odwracam się do Carsona, który czeka jak na szpilkach na moją reakcję. Wygląda zresztą tak, jakby niecierpliwość miała go rozsadzić od środka, a jeśli się nie pośpieszę i nie dam odpowiedzi, to chyba wydusi ją ze mnie siłą. No, ale to w końcu on chciał wspaniałego, romantycznego zakończenia - dostanie je, razem z dramatyczną chwilą niepewności. Ta chwila to tylko moje widzimi się - wcale nie potrzebuję czasu, żeby podjąć decyzję, bo w chwili, kiedy zobaczyłam Toma, wszystko się zmieniło. Znikło poczucie pustki. Znowu poczułam się pełna po brzegi, a przyjęcie okazało się jedynym miejscem na świecie, w którym teraz chcę być, a to dlatego, że on tu jest. Już mam to powiedzieć Tomowi, kiedy nagle w najmniej odpowiedniej chwili przeskadza nam dziennikarka z „E! Entertainment”.

- Cześć, Carson. Możemy nakręcić krótki materiał dla „E”? - pyta, oślepiając nas nie tylko światłem kamery, ale i swoimi zębami.

- Że jak?... Teraz? - pyta Carson z nutą złości. - Za chwilę, dobrze?... Francesco?

- W porządku, Carson, wszystko będzie dobrze. Tak bardzo ci dziękuję - mówię łagodnie.

Carson wreszcie usłyszał to, co chciał, uśmiecha się od ucha do ucha. Przyskakuje do mnie, obejmuje mi twarz rękami i całuje mnie w oba policzki. Potem klepie Toma po plecach.

- To rozumiem, chiopie.

Uśmiechnięta odwracam się od Carsona do Toma, który cudownie wtula mnie w siebie. Tuż obok stoi ekipa, więc jest to frustrująca chwila, bo nie możemy się pocałować ani złożyć miłosnych deklaracji, skoro przyszedłem tu z Carsonem, który właśnie patrząc na mnie, unosi oba kciuki, prze-szczęśliwy, że osiągnął to, czego chciał.

Zadowolony odchodzi z ekipą, a ja przytulam Toma i obserwuję, jak Carson staje nad basenem, żeby udzielić wywiadu.

- Czy teraz, kiedy nas nie słyszą, położysz wreszcie kres mojemu cierpieniu? - szepcze mi Tom do ucha.

Patrzę mu prosto w oczy i wreszcie wypowiadam decydujące słowa.

- Tak strasznie mi cię brakowało. Życie bez ciebie było do bani, chociaż przytrafiło mi się całe mnóstwo dobrych rzeczy. Bardzo cię kocham i strasznie się cieszę, że tu jesteś.

Znów się przytulamy.

- A tak przy okazji - mówię, zwalniając uścisk - wygląda na to, że na podstawie mojej książki nakręcą film. Więc może praca dla Caroline nie do końca była stratą czasu.

Tom uśmiecha się, ma w sobie dość przyzwoitości, żeby się lekko zarumienić.

- Carson mi mówił. Myślę, że to niezwykle. Że ty jesteś niezwykle.

Delektuję się jego komplementami. Za chwilę chyba pęknę ze szczęścia.

- Wiesz, Fran, co rrrrii uświadomiło, jaki byłem głupi?

- Nie. Co takiego?

- *To wspaniałe życie*. Oglądałem ten film co roku na Gwiazdkę i nagle uzmysłowiłem sobie, jak bardzo zmieniło się życie wielu ludzi dzięki tobie.

Macham mu ręką przed twarzą, jakby zbywając to, co mówi, ale Tom ciągnie wątek.

- Poważnie, Fran, pomyśl o tym. Gdyby nie ty, Carson i Caroline nadal trwaliby w absurdalnym związku, Steph po cichu by wędła i marnowała życie, a biedny mały Cameron do dziś myślałby, że to stare, wredne babsko jest jego matką. Nie mówiąc o tym, ile szczęścia dałaś mnie i jak ogromny wpływ wywarłaś na moje życie.

Jestem bardzo poruszona, ale czuję, że trzeba rozrzedzić atmosferę. Każdej kobiecie romantyzm w końcu się przejada. Wpatruję się w poważną twarz Toma z szerokim uśmiechem.

- Ty wiesz, że coś w tym jest. Pamiętaj o tym następnym razem, jak doprowadzę cię do szału.

Tom śmieje się, przytula mnie, a mnie raptem coś wpada do głowy - taka myśl, która czasem się przytrafia, kiedy się staje na szczycie góry.

Myśl w stylu „co by było, gdyby...”.

Zwykle tego typu myśli spycha się szybko na bok, gdzie zresztą jest ich miejsce, bo donikąd raczej nie prowadzą.

Wyzwalam się z objęć Toma.

- Co jest, Fran? - pyta, lekko podenerwowany, widząc zdecydowanie w moich oczach.

- Nic. Zupełnie nic - mówię z szelmowskim błyskiem w oku. - Myślę sobie tylko, że to dobry czas, żeby przestać mówić i pokazać ci, jak bardzo cię kocham.

Nie ma czasu na wahanie. Podciągam suknię, żeby zrobić to, czego podświadomie pragnęłam od chwili, kiedy zobaczyłam basen. Nie myślę o konsekwencjach, nie zdejmuję butów, ku zaskoczeniu wszystkich pędzę ku nieskazitelnej, błękitnej tafli i skaczę. I na tym tę opowieść powinnam właściwie skończyć.

Zawieszona w powietrzu, obejmując kolana ramionami, z wyrazem czystej radości i wolności na twarzy za chwilę wywołam największy plusk, jaki Hollywood kiedykolwiek widział. Za chwilę zrobię to, co mój brat nazwałby „bombą”.

Najwyższy czas ożywić wywiad Carsona - spośród pełnych niedowierzania twarzy wyławiam twarz Carsona, na której maluje się przyzwalający uśmiech.

Jak na ironię, to, co za chwilę zrobię, zapewni mi większy rozgłos niż wszystkie castingi razem wzięte. Zyskam popularność za sprawą głupiego, śmiesznego wybryku, czegoś, co nie wymaga talentu - to fakt, ale czyż nie będzie to wspaniała opowieść dla wnuków?

Tak oto podczas transmisji na żywo ochlapuję wodą pół Hollywood. Wypływając, żeby zaczerpnąć powietrza, czuję bezgraniczną radość, w odróżnieniu od gapiów, którzy nie mają pojęcia, jak zareagować. Po chwili jedna z tych osób wie już, co robić - szalona Cameron Diaz z okrzykiem idzie w moje ślady, sekundę później wpada do wody Carson Adams.

Zimna woda natychmiast mnie otrzeźwia, widzę wszystko bardzo wyraźnie. Nigdy nie czułam się tak rześka i szczęśliwa tylko dlatego, że żyję. Rozglądam się za Tomem - dostrzegam go z boku, zaśmiewa się, obserwując ten niespodziewany bieg zdarzeń. Patrzy na mnie z uwielbieniem i dumą, a kiedy nasze oczy się spotykają, oboje wybuchamy głośnym śmiechem. Teraz to on mnie zaskakuje, bo właśnie zdejmuje pas i rzuca go na bok, bierze głęboki oddech i pędzi w moją stronę.

Epilog

Bardzo, bardzo daleko od świateł Los Angeles, w apartamencie gdzieś w wielkim Nowym Jorku, przyklejona do ekranu Caroline Mason śledzi transmisję „E! Entertainment”. Ogląda zachłannie od dziesięciu godzin, choć ze względu na późną porę robi to w sypialni, w wygodnym łóżku - zwykle jedynym miejscu, w którym nie pali. Dziś uznała, że musi złamać tę zasadę.

Leticia zasnęła dawno temu; leży na boku z otwartymi ustami i chrapie. Caroline dobrze wie, że powinna włożyć zatyczki do uszu, zamknąć oczy i spróbować zasnąć, bo nazajutrz ma mnóstwo spotkań, ale nie może. Jak urzeczona ogląda relację z oscarowej nocy, zwłaszcza teraz, gdy nadają bezpośrednią relację z afterparty w siedzibie „Vanity Fair”.

Wpatrzona w czterdziestodwucalowy płaski ekran, stwierdza, że oto jej była asystentką - która właśnie zrobiła z siebie główną atrakcję wieczoru - wyławia z wody Tom Cruise. Wokół basenu, gdzie rozgrywa się całe widowisko, zbiera się tłum, a wielu gości z radością idzie w ślady Franceski. Sharon Stone właśnie wepchnęła do basenu Michaela Douglasa i najwyraźniej doskonale się bawi - przez chwilę wygląda tak, jakby zaraz za Michaeliem miała wepchnąć Kirka. Po chwili uspokaja się i najwyraźniej uznaje, że lepiej oszczędzić osiemdziesięciolatkowi takich atrakcji.

W basenie siedzą tymczasem i wyją ze śmiechu Cameron Diaz, Carson i - dziwna sprawa - ten weterynarz, który

był u Froo Froo. Weterynarz i Carson wyją dziko i jak mali chłopcy podtapiają jeden drugiego. Ciekawe.

Caroline wyciąga papierosa i zastanawia się, co robić.

Obok niej na nocnym stoliku leży podniszczony skrypt, który Geoffrey, jej agent, polecił jej przeczytać. To scenariusz filmu pod tytułem *Ja i pani M.*; Caroline przeczytała całość trzykrotnie i dobrze wie, że ten film wyniosłby ją z powrotem do sławy. Doskonale wie też, o kim ten film jest i kto musiał być autorem scenariusza. Zupełnie niedawno Caroline doszła do wniosku, że pod wieloma względami nie doceniała Franceski Massi. Caroline zastanawia się, co czuje. Chce poczuć oburzenie dziwnym zachowaniem Franceski, sięga więc po swój zapas żółci. Za kogo, do cholery, ta Francesca Massi się uważa? Po pierwsze pisze o sobie, jakby była jakąś zasraną świętą, a z niej samej, z Caroline Mason, robi wiedźmę nękaną cyklofrenią. Do tego poszła na galę i wzbudza zainteresowanie, na jakie przeciętna dziewczyna po prostu nie zasługuje. Widać mało jej było zamieszania, jakie wywołała, bo miała potem czelność dokonać rzeczy nieprawdopodobnej: zamieniła przyjęcie organizowane przez „Vanity Fair” w dziką imprezę.

Nie, Caroline nie przekonuje nawet samej siebie. Wstaje z łóżka i idzie do kuchni. Otwiera lodówkę, przygląda się zawartości. Nic nie wygląda zachęcająco.

- Pieprzyć to - mówi i uświadamia sobie, że pośród wielu niemożliwych rzeczy Francesca dokonała i tej: obudziła w Caroline potężny apetyt na węglowodany. Caroline buszuje w szafce, szukając czegoś słodkiego, jakiegoś ciastka, ale znajduje tylko nędzne krakersy. Chrupiąc je, wraca do sypialni.

Jest niespokojna - czuje wściekły głód, a na samą myśl o pizzy pepperoni na grubym cieście z dodatkowym serem dostaje ślinotoku. Już ma ją zamówić, ale odwołuje się do silnej woli i dyscypliny, bez których przecież nie zaszłaby tak daleko, i zwalcza zachciankę.

Wraca do łóżka. Za skarby nie chce przyznać, że przyjęcie wygląda jak pierwszorzędna zabawa. Nie może znieść tego, że kamera znów pokazuje Francescę, która wcale nie przypomina przemoczonego szczura, tylko wygląda irytująco pięknie. Jest cała mokra, to fakt, ale czerwona suknia przylega do krągłości, diamenty połyskują, a ona jest taka szczęśliwa, tak pełna życia. W dodatku nikogo innego nie pokazują. Kamera zatrzymuje się na Francescę i zastyga. Nic dziwnego - ta dziewczyna po prostu promienieje.

Caroline wzdycha i mrużąc oczy, wpatruje się w ekran.

Chce poczuć trwogę i furję, tak jak zwykle. Z takimi uczuciami potrafi sobie radzić, a w dodatku wściekłość pozwoliłaby jej natychmiast zadzwonić do prawników i kazać im pozwać tę zasraną Francescę Massi. Tymczasem, ku jej zdziwieniu, lektura scenariusza nieco podcięła jej skrzydła. Pokazała prawdę czarno na białym - to zadziwiające doświadczenie odebrało jej siły, sama już nie wie, co powinna czuć.

Wzdycha, przypala kolejnego papierosa. Jutro każe Jodie umówić kilka dodatkowych wizyt u nowojorskiego terapeuty. To powinno pomóc.

Siada.

Kto by pomyślał, że taka na pozór miła dziewczyna jak Francesca ma takie jaja - że pojawi się na oscarowej gali w sukni vintage od Valentino? Caroline mości się na poduszkach, wierci się, jakby próbowała wyrzucić z siebie to, co czuje - czyli tak naprawdę co? Sama nie wie; pewna jest tylko tego, że jest to uczucie dotychczas zupełnie jej obce.

Wtem uświadamia to sobie. Francesca wywołała w niej coś, co cholernie przypomina podziw.

Caroline bardzo by chciała, żeby było inaczej, ale tak naprawdę za całe to zamieszanie, jakie Francesca wzbudziła na przyjęciu „Vanity Fair”, ogromnie ją podziwia. I wreszcie Caroline musi z oporem przyznać, że to niewiarygodne zachowanie Franceski zrobiło na niej wrażenie.

Z paroma rzeczami trzeba się będzie pogodzić.

Po pierwsze, Caroline dobrze wie, że nikogo nie pozwie. Tak dobre scenariusze jak do filmu *Ja i pani M.* trafiają się raz albo dwa w całej karierze aktorskiej - byłaby szalona, gdyby nie przyjęła tej roli. Grając panią M., znów będzie gwiazdą - musi zdobyć tę rolę za wszelką cenę. Po drugie, absolutnie nikt nie może się dowiedzieć, że pani M. to ona. Granie samej siebie będzie dość dziwne, ale przecież jakoś sobie z tym poradzi.

I wreszcie, Caroline jest przekonana, że o panie Mas-si jeszcze będzie głośno, a ich ścieżki na pewno się kiedyś skrzyżują. Uśmiecha się do siebie. Ta perspektywa jest znacznie przyjemniejsza dla niej niż dla Franceski. To będzie bardzo ciekawy rok. Ciesząc się tą myślą, Caroline wreszcie wyłącza telewizor.